

IWONA BANACH

# CZARCI KRAĞ

KOMEDIA KRYMINALNA



IWONA BANACH

# CZARCI KRAJ



Redakcja: Katarzyna Ziola-Zemczak  
Redaktorka prowadząca: Angelika Ogrocka  
Korekta: Agnieszka Pietrzak  
Skład: Elżbieta Olma  
Konwersja do ePub i mobi: mBOOKS. marcin siwiec  
Projekt okładki: Maciej Pieda  
Zdjęcia na okładce: Shutterstock © Net Vector, © Flash-Vector, Grzegorz Matoryn (zdjęcie autorki)

Wydanie I  
© Copyright by Wydawnictwo Dragon Sp. z o.o.  
Bielsko-Biała 2023

Niniejsza powieść jest fikcją literacką. Odniesienia do realnych osób, wydarzeń i miejsc są zabiegiem czysto literackim. Pozostali bohaterowie, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki i jakkolwiek zbieżność z rzeczywistymi wydarzeniami, miejscami lub osobami, żyjącymi bądź zmarłymi, jest całkowicie przypadkowa.



Wydawnictwo Dragon Sp. z o.o.  
ul. 11 Listopada 60-62  
43-300 Bielsko-Biała  
[www.wydawnictwo-dragon.pl](http://www.wydawnictwo-dragon.pl)

ISBN 978-83-8172-264-3

Wyłączny dystrybutor:  
TROY-DYSTRYBUCJA Sp. z o.o.  
ul. Mazowiecka 11/49  
00-052 Warszawa  
tel. 795 152519

Zapraszamy na zakupy: [www.fabulo.com.pl](http://www.fabulo.com.pl)  
Znajdź nas na Facebooku: [www.facebook.com/wydawnictwodragon](http://www.facebook.com/wydawnictwodragon)

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Od autora

CZARCI KRĄG

*Zagubin nie istnieje i nie ma nic wspólnego z żadnym miastem na świecie, a tym bardziej z tym, w którym  
mieszkam.  
Naprawdę, uwierzcie mi, że sama to wszystko wymyśliłam. Zdarzenia i osoby są więc fikcyjne. Miejsca także.*

Nawet najbłahsze zdarzenia mają swoje mniejsze lub większe konsekwencje. Czasami nawet piorunujące. Jedno zdarzenie pociąga za sobą drugie, potem trzecie i kolejne, ale najpierw wszystko się gdzieś zaczyna. Gdzieś i kiedyś. Ludzie, starając się odnaleźć ten jeden jedyny moment, pytają:

– Jak do tego doszło? Kiedy to wszystko się zaczęło?

No bo kiedy? Od rozkopania tego cholernego dołu? A może wcześniej? Może jakieś pół roku temu, kiedy do pensjonatu przybłąkał się Zyzol i postanowił zostać tu na dłużej? Albo może chwilkę przedtem, kiedy roztargniona Lilka zostawiła przy samochodzie reklamówkę z kielbasą, która uświadomiła Zyzolowi, że trzeba coś zjeść, a kielbasa to wcale nie jest taki zły wybór?

Wszak gdyby Lilka nie zostawiła tej reklamówki, to Zyzol by się nie zatrzymał, pobiegłby dalej i nie stałoby się to, co się stało. Może nawet nie byłoby wampirów?

A może wszystko zaczęło się wtedy, kiedy ktoś pozbył się Zyzola na jakimś przygranicznym parkingu, bo ten za dużo jadł, a wakacje i bez tego są drogie?

Wszystko jest możliwe. Jednak najpewniej zaczęło się wtedy, kiedy Wierciuchowa po kursie samorozwoju dla seniorów postanowiła zająć się nowoczesnym marketingiem i urządzić własny ogród zoologiczny. Gdyby nie to, może nadal miałyby dziurę za domem i raczej nie znalazłoby się zwłok? Może też fioletowa krowa...

No cóż, Wierciuchowa postanowiła zorganizować zoo. Ten fakt nikogo nie przeraził, choć powinien. Lilka kupiła fioletową krowę. Przeznaczenie uśmiechnęło się złośliwie.

– No i nie ma gdzie jej postawić – stwierdziła Wierciuchowa, rozglądając się po swoich zakrzaczonych włościach, bo chociaż teren miała duży, to dzięki konserwatorowi zabytków i jego kumpłowi konserwatorowi terenów zielonych nie mogła wydrzeć z ziemi nawet pół krzaczka. Ten pierwszy co prawda tłumaczył jej, że nie do końca chodzi o zabytki, ale o pewne pozostałości z czasów wojny, które mogą tu gdzieś być i lubią wybuchać, ale mu nie wierzyła.

– Może w dziurze? – zaproponowała Lilka, czym niechętny i zupełnie nieświadomie wywołała lawinę wydarzeń.

Miała dziurę. Była tam od ostatniej wymiany rur kanalizacyjnych i, dzięki Bogu, nie była zabytkiem jak wszystko dookoła.

– No co ty? Łeb by jej ledwie wystawał! Ale w sumie masz rację. To dobre miejsce. Wystarczy zasypać dziurę... Tylko skąd wziąć ziemię?

Kupno ziemi nie wchodziło w grę. Wierciuchowa była bardzo oszczędna.

– Z lasu. Z tego pagórka, o tam. – Lilka wskazała przez okno.

Przeznaczenie zatarło ręce z zachwytem. Mogło oczywiście zadziałać inaczej, ale lubiło wysługiwać się niczego nieświadomymi ludźmi. Tak było zabawniej.

Wypożyczono więc żółtą koparkę, za pomocą której przetransportowano z lasu trochę niepotrzebnej nikomu i cudownie bezpłatnej ziemi. Wsypano ją do dziury, uklepano pobieżnie, ustawiono koszmarną krowę i wywołano wilka z lasu.

Krowa jeszcze przez trzy dni spokojnie stała na swoim miejscu i nie zamierzała się przemieszczać, co potem zdarzało jej się nader często.

Zyzol zszalał po lesie. Rozgrzebywał, co się dało. Kochał zapach świeżo rozkopanej ziemi. W lasku niedaleko cmentarza, w dziurze, z której wykopano ziemię pod krowę, znalazł coś ciekawego, o czym powiadomił radosnym szczeniem przechodzącego tamtędy proboszcza. Ten obejrzał znalezisko i wezwał policję.

\*\*\*

Pochówek wampiryczny! Plotka jęknęła i padła martwym bykiem, a właściwie powinna była paść, ale plotki to żywotne stworzenia. Nie tak łatwo je zabić. Nie tak łatwo zastopować. Potrafią przetrwać wszystko: pukanie w czoło, drwinę i argumenty, nawet te logiczne. Jedyne, co im czasami szkodzi, to zdrowy rozsądek. Jednak w tym momencie był na urlopie, więc plotka się podniosła, otrzępała z kurzu, okrzepla, dojrzała i zaczęła rozprzestrzeniać w zawrotnym tempie. Miała na to swoje sposoby. Nie dalej jak po tygodniu zataczała jeszcze szersze kręgi niczym pijana baletnica, wciągając do sprawy wciąż kogoś nowego, wzbudzając zachwyt, emocje i wielkie nadzieje. Wzbudzała też strach, ale to był ten rodzaj strachu, który co prawda jeży włos na głowie, ale też wywołuje miły dreszczyk emocji.

Choć była głupia, miała charakter i potencjał. Szczególnie marketingowy. A taki potencjał to potęga!

Kilka dni później w jednym ze sklepików koło Biedronki można było kupić porządnie zaostrzone osinowe kołki i łańcuchy do drzwi wejściowych, co prawda tylko posrebrzane, ale i tak całkiem dobre. W każdym razie lepsze niż nic.

\*\*\*

Nikt nie wiedział, dlaczego pewnej nocy krowa zaczęła się przemieszczać. Ciężka i nieporęczna, a na dodatek sztuczna i przecież nieożywiona, wędrowała co noc raz pod płot, raz pod drzewo... innym razem nawet na podjazd.

Przemieszczała się cichutko, nie budząc nikogo. Nawet profesor, który nie spał, bo nocą pracował, niczego nie słyszał.

Wierciuchowa wraz z Lilką uparcie co rano, chwytając krowę za fioletowy pysk i równie fioletowy zad, przenosiła ją na dawne miejsce.

– Od kogo ją kupiłaś? – zapytała w końcu Lilkę zmęczona noszeniem krnąbrnego zwierzaka.

– Od kogo, od kogo... a bo ja wiem? Od jednego z tych... – Pytana wskazała głową na płot, za którym znajdowało się targowisko.

– Może ona jakaś nawiedzona? Opętana? – dociekała Wierciuchowa, przeżegnawszy się na wszelki wypadek.

– A gdzie tam! Jaki demon chciałby nawiedzać krowę?

– No ale..

– Gipsową krowę! – sapnęła Lilka. – To niemożliwe, ale jak tak dalej będzie łązić, to ją chyba do drzewa przywiążę.

Przywiązała. Tej nocy krowa wywędrowała aż do lasu. Wierciuchowa postanowiła temu zapobiec na swój sposób i wylała na ziemię wiadro betonu, w którym zatopiła krowie kopyta. Nazajutrz miała zamiar pomalować beton na zielono, ale nie zdążyła. Nocą rozległ się piekielny huk i krowa wybuchła.

– Od tego betonu! – oznajmiła Lilka

– A może z wysiłku? – zasugerowała Wierciuchowa. – Chciała wyjść i napięła się jak opętana?

Nie miały jednak czasu zbyt długo się nad tym zastanawiać. W miasteczku działy się o wiele straszniejsze rzeczy.

Mianowicie pojawiły się wampiry.

\*\*\*

Na pobliskim bazarku wywieszono pięknie zaplecione warkocze czosnku, dla koloru poprząkane strąkami czerwonej, ostrej jak piekło papryki, a na lokalnym portaliku internetowym zaczęto sprzedawać koszulki z napisem „Krwiodawstwo tak, krwiopijstwo nie” oraz „Zawsze do usług, proszę

się częstować”. Kupowała je młodzież emo i zachwycone *Zmierchem* dziewczęta oczekujące niecierpliwie na swojego Edwarda.

Plotka rosła w siłę, a ludzie zaczęli żyć dostatniej.

Szczątki krwi walające się po posesji nie interesowały nikogo.

Lokalni pisarze, wyczuwając moment, usiłowali szybko dopasować wszelkie okoliczne legendy do zaistniałej sytuacji. Jeden z nich natychmiast wydał *Więzy krwi*, opowieść o królownie i siedmiu wampirach. Jednak książka nie cieszyła się popularnością. Za to doskonale przyjęta została opowieść o tym, że sam hrabia Drakula odwiedził kiedyś Zagubin i pozostawił tu ślady swojej obecności w postaci kilku nadgryzionych obywateli. Była przecież jak najbardziej na miejscu i na czasie oraz przyjemnie lechtała lokalną dumę. W końcu Drakula to był ktoś. Arystokrata, było nie było!

Pojawiła się też inna plotka zaraz po tym, jak pewien funkcjonariusz policji stwierdził:

– Coś mi się tutaj nie podoba.

Owa plotka głosiła, że to nie żaden pochówek wampiryczny, że wampiry nie istnieją i że ktoś powinien się natychmiast opamiętać. Ta jednak była o wiele słabsza. Chodziła oplotkami, nie miała siły przebicia i – co ważniejsze – wkroczyła na cudzy teren, toteż została pobita do nieprzytomności, wyśmiana, wyszydzona i wkrótce musiała się wycofać na może nie z góry upatrzone pozycje, ale jednak wycofać.

Wiara w wampiry, a właściwie w ich istnienie, bo nikt o zdrowych zmysłach nie modli się do wampirów, rozprzestrzeniła się jak wirus. Co do tych zmysłów... no, nie zawsze są zdrowe.

Miesiąc później miejscowy grabarz zasnął w czasie pracy. Nie było w tym nic niecodziennego, zważywszy na stan jego wątroby i mózgu po spożyciu samogonu przyniesionego przez koleżkę. Niestety, przyczyniły się do tego też trzy świeżo rozkopane groby. Fakt, że były świeżo rozkopane, dziwił. Fakt, że wyglądały paskudnie, o wiele mniej. Co było najgorsze, to to, że były puste. Wyglądały, jakby ktoś z nich wstał.

Wstał! Wstał i wyszedł! Zachwycona plotka wrzasnęła radośnie.

Atmosfera w miasteczku zgęstniała, bo o ile dobrze pochowany wampir jest okej, spokojnie można się trochę pobać, to już wampir czynny okej nie jest. A co oznaczają rozkopane groby? Przecież normalny obywatel, taki już martwy i pochowany, z grobu nie wstaje. Więc o czym to świadczy?

Plotka oczywiście doskonale umiała odpowiedzieć na to pytanie. Świadczyło to, że kilku, no dobrze: trzech nadgryzionych nie tylko zębem czasu obywateli porzuciło miejsce swojego wiecznego spoczynku i ruszyło na łowy. Na jakie łowy? Krwi się nie łowi, krew się pije!

Ludzie coraz częściej kupowali amulety. Kolki, zaostrzone lub nie, szły jak ciepłe bułeczki. Domy były starannie zamykane na noc i na dzień. Ludzie mdleli z upału, bojąc się otworzyć okna. Gęsty jak chmura smród przetrawionego czosnku unosił się wokół niektórych obywateli, którzy kiedyś niezbyt dbali o higienę osobistą, a teraz w ogóle się nią nie przejmowali, dla bezpieczeństwa zakładając, że taki wampir to arystokrata, z brudnego talerza nie zje.

Do miasteczka zaczęli napływać dziennikarze. W końcu taki temat wart jest poświęcenia, a cóż to jest kilka kropli krwi, czy jakieś tam ukąszenie wobec sławy?

Za nimi napłynęły rzesze żądnych wrażeń nastolatków, którzy mają za mało wyobraźni, by czegokolwiek się bać, potem kilka wycieczek seniorów deklarujących, że spotkanie z wampirem pomogło by im wyrównać niektóre porachunki rodzinne. Przyjeżdżali też uzdrowiciele i kaznodzieje.

Uzdrowiciele za opłatą, wcale nie taką niewielką, uzdrawiali tych, którzy podejrzewali, że poranne bąble na skórze jakoś tak podejrzanie nie wyglądają na ukąszenie komara, zaś kaznodzieje, też za opłatą, pozwalali słuchać swoich kazań, a ich myśl przewodnią brzmiała: strzeżcie się wampirów, idźcie do uzdrowiciela.

Co cwańsi nastoletni podrywacze ubierali się na czarno, żelowali włosy i, korzystając z bladego pudru z brokatem, zapewniali sobie całkiem spore powodzenie u dziewcząt z okolicznych wiosek. Te miastowe wiedziały, że Edward nie użyłby brokatu.



W takiej atmosferze pewien wędkarz, wypiwszy nieco za dużo, oddalił się za potrzebą i zniknął w jakimś dole. Przeoczył ten fakt na pewien czas, bo zasnął, zanim się zorientował. Obudził się po kilku godzinach nie całkiem jeszcze wypoczęty i stwierdził, że w rowie nie jest sam. To właśnie on, po szaleńczym biegu do miasta i kilku godzinach na izbie wytrzeźwień, został okrzyknięty bohaterem.

Niezaprzeczalnie zresztą nim był.

Odnalazł kolejny grób. A właściwie groby. Trzy kolejne pochówki wampiryczne. No, prawie wampiryczne. W każdym razie dość chaotyczne i nieporządne, jakby pochowane tam wampiry były bardzo szczególnymi istotami i posiadały bardzo zróżnicowaną liczbę członków. W sumie zgadzały się tylko głowy.

Plotka lubiła błąd strach i drżące ręce, więc natychmiast rozniosła wieść pośród ludzi. Wyglądało na to, że w miasteczku zagnieździła się – lub gnieździła się od dawna – całkiem pokaźna liczba wampirów. A jeżeli tak, to musiały coś, a właściwie kogoś jeść! I to od dawna. Zaczęto poważnie się zastanawiać, kto jest kim i dlaczego.

Zaczęto też spekulować.

Dlaczego Kowalski jest taki błąd? Jakim cudem Morawska tak dużo schudła? Skąd Bubala ma pieniądze?!

A kaszanka? Nagle zaczęła praktycznie znikać ze sklepów! Powinno się bardziej zwracać uwagę na to, kto ją kupuje. No i te ostatnio modne krwiste steki...

Miejscowe plotkary usłużnie podpowiadały każdemu, kto chciał słuchać, i każdemu, kto nie chciał też, że no wie pani, taki wampir, to on może dziabnąć, i co? Do lekarza nijak, do księdza też, a potem? Trzeba samemu dziabnąć. I to tak niby, że jak piramida ta argentyńska, wciąż więcej i więcej... Matka syna, syn ojca, ojciec kochankę... Ech! No bo, pani, to tak, na śniadanie jeden, na obiad ze dwóch, na kolację... To niechby i kilku dziennie tylko, a miasteczko małe. Co się na tym świecie porobiło?!

Ludzi zaczęto dzielić na tych, co może są zwampirzeni, i na tych, co są na pewno. Wampiryzm jest zakaźny, wiadomo, przenosi się co prawda przez krew, ale może też być dziedziczny, a jeżeli tak, to w miasteczku żyją potomkowie albo potomkowie potomków jakiegoś zachłannego na krew smakosza.

Jedną z takich osób była z pewnością Dziuńka Rycka, która pewnego dnia wychynęła na ulice miasta z podkrążonymi oczami i obwiązaną szyją, obwieszającą wszem wobec:

– Dopadł mnie. Idę na policję, niech mi zrobią te, jak im tam, dedukcje. O!

Przez chwilę wszyscy myśleli, że Dziuńka mówi o mężu, który dopadał ją dość często, ale ona szybko wyprowadziła wszystkich z błędu i, spoglądając na nich z wyższością osoby oświeconej, oznajmiła:

– Wampir mnie dopadł! Na skargę idę. Prawo jest prawo. Zrobię te dedukcje i będą musieli zapłacić odszkodowanie. O! Co mi zrobili! – Dziuńka teatralnym gestem zerwała z szyi brudną chustkę i wszyscy zobaczyli ugrzyzenie.

Było wyraźnie widoczne.

– Normalnie jego to za zabójstwo powinni wsadzić, no bo ja to teraz martwa żem jest całkiem – oświadczyła, oddalając się w kierunku komisariatu. – I ubezpieczenie też muszą mi wypłacić. Od śmierci żem była ubezpieczona. Od tragicznej. A taka, no, tragiczna jest! – ciągnęła całkiem zadowolona, ponownie zawiązując na szyi chustkę, która osłaniała bardzo wyraźny odcisk czyjejś średnio zasobnej szczęki.

– Ale te wampiry to podobno tylko dwie dziury robią. W telewizji widziałem – zaciekawił się ktoś z rosnącego tłumu. – A tu wygląda na to, że całą gębą gryzł!

– Głodny był jak cholera – odparła Dziuńka, wruszając ramionami. – Dziabnął raz za razem! Smakowałam mu, aż mlaskał – dodała z zadowoleniem, co przekonało ludzi, że Dziuńka jednak wampirem jest, bo wampiry nie widzą swojego odbicia w lustrze. Gdyby mogła się zobaczyć, zorientowałyby się, że na jej twarzy widoczne są ślady braku higieny, a każdy wie, że jedzenie należy myć.

Pojawienie się Dziuńki na komisariacie początkowo nikogo nie zdziwiło. Bywała tu często. Kiedy jednak wyjaśniła dlaczego z własnej woli, bez wezwania i bez krzyków zjawiała się na komisariacie akurat tego dnia, wszystkich zamurowało. No, może wszystkich poza komendantem.

Komendant, podkomisarz Kurzydło, po prostu wpadł w szal. Należał do osób bardzo umiarkowanie, jeżeli nie wcale, przejętych wampirami, a Dziuńkę znał aż za dobrze i wiedział, czym ona pachnie, a raczej śmierdzi. Zazwyczaj był to bimber i lewe interesy, jeżeli nie liczyć tej specyficznej woni, jaką wydziela ciało po kilku miesiącach niemycia.

– Nie jest pani martwa! – powiedział grzecznie, z trudem powstrzymując się od „idź stąd, głupi babsztylu”. Nazywanie Dziuńki „panią” było dla niego prawdziwym wyzwaniem.

– Jestem! – odparła kobieta zdecydowanie. – Wampir mnie dziabnął, a jak dziabnął, to żem jest wampirem. No, a wampiry nie żyją.

– Pani żyje – jęknął, choć woń wydawana przez Dziuńkę mogła rzeczywiście przemawiać za tym, że kobieta ma rację i jest martwa od kilku dobrych tygodni.

– Nie!

– Znam się na tym. Oddycha pani, ma pani puls – nie sprawdzał, za skarby świata nie chciał sprawdzać – mówi pani...

– To i co? Żem jest wampirem.

– Wampiry nie istnieją! – warknął, kiedy zrozumiał, na czym polega problem. – Nie ma pani szans na żadne odszkodowania ani na pieniądze z ubezpieczenia!

– Oj mam, oj mam. Nie żyję! Zmarła żem śmiercią tragiczną! Należy mi się, i już!

– G... się pani należy. – Ledwie się powstrzymał. – Żyje pani!

Dziuńka spojrzała na niego z wyższością, jak na kogoś należącego do niższego gatunku.

– Tak po wampirzemu żyję, po ludzku to już nie – oświadczyła.

– Bzdura!

– Niech pan to udowodni!

Nie był w stanie. Przynajmniej nie w tej chwili. Zresztą jak miał jej dowieść czegoś takiego? Przecież to było oczywiste, a rzeczy oczywiste są najtrudniejsze do udowodnienia, co już dawno wykazali matematycy.

Dziuńka wyszła z komisariatu z podniesioną głową i bardzo pewną miną, co spowodowało zwiększony ruch na bazarze, gdzie bardzo szybko zaczęto wykupywać wszelkie możliwe chustki.

Przecież Dziuńka rzeczywiście mogła mieć rację. Chustka mogła się przydać. Jedni kupowali chustki, by za jakiś czas, kiedy Dziuńka przetrze już szlaki, ogłosić, że oni także są wampirami i żądają odszkodowania, inni po prostu po to, by zasłonić szyję. Marna to ochrona, ale jednak ochrona. Jeszcze inni ze względu na wampirze zapatrywania kulinarne. W końcu kiedy taki wampir zobaczy chustkę, to pomyśli, że towar jest już nadgryziony, a kto jak kto, ale arystokrata resztek po innych dojadł nie będzie.

Nawet stara Miecznikowska chciała kupić sobie chustkę, ale syn ją od tego odwiódł.

– Mamo – powiedział, ze smutkiem kręcąc głową – ty masz dziewięćdziesiąt lat, to już żes się przeterminowała, jak nic! Jesteś całkowi-cie bezpieczna, bo datę przydatności do spożycia dawno szlag trafił!

Sprawa ucichła na kilka dni i mogłaby ucichnąć na zawsze, gdyby nie pewien ogólnopolski dziennik, który opublikował wywiad pod tytułem Jestem wampirem i niedobrze mi z tym, opisujący, jak to Dziuńka, „szanowana” obywatelka, zmieniła przynależność gatunkową i teraz nikt nie chce jej pomóc, a ona nie ma nawet na krwisty befszyk.

– Trzeba z tym skończyć! – oświadczył z mocą Kurzydło po kilku telefonach z urzędu miasta i z lokalnej telewizji. – Co z tymi pochówkami? – zapytał jednego z podwładnych.

– Jeden pochówek, ten pierwszy, to nawet może trochę by pasował – odpowiedział aspirant, podając mu zdjęcia. – Normalnie szkielet, a czaszka była położona pomiędzy kośćmi ud. Ale te trzy to już nie bardzo. Wszystkie kości tak pomieszane, że w jednym grobie są same ręce, w drugim trzy nogi i pół ręki, a w trzecim reszta plus dwie miednice.

Kurzyldo liczył na to, że wyjaśnienie kwestii pochówków załatwi sprawę i ludzie w miasteczku jakoś się opamiętają. Niestety, nie wiedział, że wcale nie chcieli się opamiętywać. Polubili wampiry. Dawaly im poczucie wszechobecnej smakowitej grozy, sprawiedliwości dziejowej, poczucia, że wreszcie coś się dzieje, że dzieje się tutaj, a nie gdzieś w Warszawie. Dawaly im szansę na zarobek, a to też się przecież liczy.

\*\*\*

Tego popołudnia Hanka wparowała do biura w złym humorze. Przyczyną była podłoga, gładź szpachlowa i cholerni gówniarze. Zresztą wszystko szło nie tak. Hanka mogła oczywiście dojeżdżać codziennie do tego przekłętego Zagubina. Trzydzieści kilometrów w jedną stronę to nie kłopot. Mogła. Ale, no właśnie, podłoga i gładź szpachlowa powstrzymały ją od tego skutecznie, dlatego też nie zdecydowała się na codzienne dojazdy i zgodziła się na czas prowadzenia sprawy zamieszkać w jednym z tamtejszych pensjonatów.

Podłoga właśnie się wypaczyła i trzeba było kłaść panele, a gładź szpachlowa sprawiała, że dom wyglądał jak piekarnia po wybuchu worka z mąką, tylko że pachniał o wiele gorzej. Hanka zostawiła więc klucze rodzicielce, w duchu przeprosiła miłych panów murarzy, że będą się musieli z nią użerać, i uciekła najszybciej, jak tylko się dało.

– Torby do samochodu, ale już! – prawie warknęła, widząc dwójkę młodych ludzi siedzących jak na szpilkach w gabinecie szefowej. Jak na komendę ruszyli do biegu.

Nie miała nic przeciwko nim, ale...

– Ten staż, szefowo – zagaiła niepewnie – czy to jest...

– Jest, jest! – odparła kobieta, nie dając jej skończyć zdania. – Płacą nam za to, a poza tym przydadzą ci się – dodała tonem dyrektora wszechmogącego.

Jak cholerna dziura w moście, jęknęła w duchu Hanka.

Kochała swoją pracę. Chyba. Najprawdopodobniej. Pewnie nie dałaby się za nią zabić, ale w sumie... Ważne, że ją miała. Była detektywem, nie żadną tam detektywką. Detektywem matrymonialnym na pełnym etacie, i bardzo się tym szczyliła. To była ciekawa praca. Nie jakies tam łzawe historie zdrad, pogonie za niewiernymi małżonkami czy inne tego typu bzdety! Hanka pracowała w biurze matrymonialnym jako detektyw do spraw wiarygodności klientów, czyli coś jak poszukiwacz zaginionej arki, z tą różnicą, że arka istniała.

Szefowa włożyła w swoje biuro całą siebie, w tym i kilka swoich nieudanych związków, kiedy to facet mówił, że wolny, a był żonaty, kiedy inny opowiadał, że zamożny, a czyhał tylko na jej pieniądze, i kiedy kolejny chwalił się wykształceniem, a mylił ministra z ministrantem. Dlatego upierała się przy tym, by jej biuro było wiarygodne. Idealne. No po prostu wspaniałe. Zatrudniła więc Hanke.

Początkowo całkiem niezłe im się współpracowało.

– Pojedziesz do tego Zagubina i sprawdzisz mi jednego faceta. Jakoś mi się nie podoba. Coś mi w nim nie gra. Jest po prostu zbyt doskonały. Wiem, ludzie robią wszystko, żeby pokazać się w dobrym świetle, ale ten to już przegina. Wiesz, jak jest. Żeby chociaż rozwodnik, ale i to nie! Inteligentny, zamożny, wykształcony, bez dzieci i nałogów, nawet w więzieniu nie siedział, tylko go w ramki oprawić i pilnować, żeby go muszki nie osrały!

Hanka miała na swoim koncie kilka spektakularnych akcji i odkryć. Była w tym dobra. Zadanie przypadło jej do gustu i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie gówniarzeria, którą miała się opiekować, bo szefowej zapłacono, żeby przyjęła ich na staż.

Jedynym pocieszeniem było to, że szefowa wynajęła im trzy pokoje w pensjonacie w Zagubinie, co ułatwiło jej ucieczkę z opanowanego chaosem i gładzią szpachlową mieszkania.

Pensjonat, w którym mieli się zatrzymać, dotychczas nazywał się Pod Lasem, ale ostatnio zmienił nazwę. Teraz był to pensjonat Pod Krwiożerczym Piotrusiem.

Termin „wynajęła” nie był adekwatny do sytuacji. Pensjonat należał do matki szefowej, więc wszystko załatwiono po kosztach. Szefowa była zamożna, to fakt, ale należała do osób, które bez pardonu wyklóca się o dwa grosze reszty, poproszą o zapakowanie na wynos resztek schabowego i wcale nie udają, że to dla pieska, a na imieniny podarują ci resztkę własnych perfum, twierdząc, że jeszcze ci posłużą.

Może właśnie dlatego była zamożna.

Prowadziła kilka firm. Obejmowały one usługi dla singli z wyboru i ludzi samotnych z przypadku, biuro matrymonialne dla czworonogów, terapie dla nieśmiałych, wycieczki zapoznawcze dla osób po przejściach i wyjazdy integracyjne dla kogo tylko się dało. Jednak biuro matrymonialne (to ludzkie) było jej oczkiem w głowie. Miało być idealne.

– Nie takie, wiesz, że potem on ją dusi i wkłada w maszynkę do mięsa albo ona załatwia go siekierą, a wszyscy kiwiają głowami, że co się dziwić, przecież poznali się przez biuro matrymonialne czy przez internet.

No właśnie. Szefowa wiedziała, że ludzie chcą się łączyć w pary, zakochiwać i uprawiać seks, choć kolejność bywała dowolna, ale na zwykłe, związane z tym „pochody” nie mają czasu.

– Pracują po dwanaście godzin dziennie albo i więcej, to jak mają sobie kogoś znaleźć? Owszem, idą w piątek do knajpy i chlają do upadłego, ale na co można liczyć po pijaku? Najwyżej na jakiś przygodny grupowy seks, a w pewnym wieku człowiek próbuje się raczej ustatkować. Facet potrzebuje żony, żeby mieć na kim się wyżywać za wrednego szefa. Kobieta zaś pożąda męża, żeby koleżanki nie mówiły, że nikt jej nie chciał. No i są jeszcze dzieci. Niektórzy lubią sobie komplikować życie.

W zwykłych biurach matrymonialnych to i dowód osobisty się widzi, i człowieka ogląda. Słyszy się go, patrzy na niego, ocenia, jak mówi, czym przyjechał. Internet to nie to samo. Jest szybciej, więcej i lepiej, ale mniej bezpiecznie.

Szefowa właśnie weszła w internet.

Gówniarzeria znów pojawiła się w biurze. Było ich dwoje. Ona mniej więcej zwyczajna, on właściwie też, mieli po dwadzieścia kilka lat i kończyli jakieś szkoły, chyba starali się o licencje. Czy staż był im potrzebny, czy tylko chcieli zdobyć większe doświadczenie, tego Hanka nie była pewna i wcale jej to nie obchodziło. Miała ich szkolić? Jasne. Przeszkoli ich tak, że będą błagać o litość jak o miętówki!

I ten Krwiożerczy Piotruś... Nie to, żeby Hanka miała coś przeciwko, ale nazwa była makabryczna, bo jak krwiożerczy, to wampir, ale jak Piotruś, to chyba dziecko, w dodatku małe, więc niedawno urodzone. Czyli co? Wampiry się rozmnażają? Jeżeli się rozmnażają, to znaczy, że uprawiają seks? Tak? Ups...

Hanka nie mogła sobie tego wyobrazić, tym bardziej że ostatnio z seksem miała zdecydowanie niewiele wspólnego. I że niby co? Wampiry? Takie paskudne, krwiożercze bestie mogą? Mają z kim, a ona nie? To wyraźnie stawiało ją w złym świetle.

Rozmnażanie specjalnie jej nie pociągało, seks za to zdecydowanie tak. Nawet perwersyjny, no oczywiście w pewnych granicach. Teraz odpuściłaby sobie nawet świece, róże i czekoladki, a to przecież już samo w sobie było perwersją.

– Szefowo – zaczęła dziewczyna, zwracając się do Hanki. Najwyraźniej tytuł „szefowa” należał się także i jej. – A ten Zagubin to tam, gdzie są wampiry?

– Nie. To tam, gdzie nie ma żadnych wampirów – odparła niezadowolona Hanka, bo mieszkając w niewielkiej odległości od Zagubina, od lat miała już wyrobione zdanie na temat mieszkańców miasteczka. – Ale nie martw się – dodała – Zagubin to siedlisko starych bab i zabobonów, a to mniej więcej na jedno wychodzi.

Właśnie. Zagubin to siedlisko starych bab, zabobonów i jej osobistych prześladowczyń. W Zagubinie mieszkały jej własne, prywatne babcie. Dwie z trzech, jakie przypadły jej w udziale.

Posiadanie trzech babć, choć początkowo wydawało jej się całkiem naturalne, jak wszystko, co mały człowiek zastaje po przyjściu na świat, po jakimś czasie stało się zmorem Hanki. Bo jeżeli nie chce się nosić sztucznej szczęki w wieku sześciu lat ani ważyć stu kilogramów w liceum, trzeba jakoś sobie radzić. A jak radzić sobie z trzema karmicielkami, które reagują śmiertelną obrazą na odmowę dokładki bigosu albo ciasta? Które niestrudzenie wpychają do ust kanapki, naleśniki z domowym dżemem, racuchy i batoniki? Które gotują od rana do wieczora zupki i gulasze, smażą mielone, tłuką schabowe, podtykają pod nos smalec w każdej postaci, „bo ostatnio trochę schudłaś” albo „coś blado mi wyglądasz”, i załamują ręce, kiedy zostawisz na talerzu zakrzepłe strugi „takiego smacznego tłuszczu, który jeszcze nikomu nie zaszkodził”? Zresztą to przecież tylko preludium.

One mają na koncie jeszcze gorsze rzeczy! Robią na drutach, szydełkują, szyją i... wyszukują naręczonych. I to przez cały czas od wielu, wielu lat. Mają w tym wprawę. Straszna wprawę. Są niestrudzone i groźne.

W dzieciństwie Hanka, żeby nie zostać ofiarą szkolnych prześladowań, musiała być ekspertem od działań obronnych. Wiedziała, jak zgubić każdy kolejny koszmarny szaliczek i gdzie zapodziać rękawiczki w neonowym kolorze, które świecą nocą. Potrafiła sobie poradzić z dzierganym sweterkiem dla średnich rozmiarów słonika z szyją żyrafki albo z czapką, której pompon włócił się po ziemi i ważył dobre dwa kilo. Umiała odmówić włożenia tego czegoś, co udawało sukienkę, a przypominało zmutowane dziecko tęczy i kamizelki odbłaskowej, i przeżyć dzień z plecakiem własnoręcznie wykonanym przez którąś z ukochanych oprawczyń.

Na dodatek każda z babć chciała być tą najlepszą i żadna nie przebieierała w środkach. Wymuszone zeznania na ten temat doprowadzały wszystkich do szału. Nic nie pomagały prośby, groźby a nawet zakazy. Dochodziło do nagrywania zeznań, przekupstwa oraz kłamstw. A wszystko dlatego, że rodzina postanowiła być kulturalna.

Kulturalna rodzina to koszmar, pomyślała Hanka z westchnieniem. Pocieszało ją tylko jedno. Tym razem będzie miała do czynienia z dwiema babciami. Dwie może da się jakoś ogarnąć. Wystarczy pod pretekstem pracy unikać ich jak ognia.

Babcie klóciły się zawsze, dlatego pomysł, na jaki wpadły dwie z nich, czyli wspólne zamieszkanie, wydał się całej rodzinie zupełnie nierealny, ale jakoś się sprawdził. Tak więc babcie od kilku lat mieszkały razem w Zagubinie, tworząc tym samym poważną koalicję przeciwko tej trzeciej.

Dlaczego? To proste. To one były prawdziwe i żądały uznania swojej prawdziwości.

Trzecia była nieprawdziwa, ale też nie przyszywana. Legalnie była babcią i nie byłoby w tym nic strasznego, gdyby znów nie nadzwyczaj kulturalna rodzina...

Jakieś trzydzieści lat temu dziadek Mirek rozwiódł się z babcią Zosią i ponownie ożenił. W ten sposób rodzina powiększyła się o jedną dodatkową nestorkę, która wraz z dwiema pozostałymi w kilka miesięcy później została babcią, bo familia przywitała wnuczkę. Jedyną wnuczkę. Najwyższe dobro, ulubiony obiekt rozpieszczania i wyznacznik pozycji w rodzinie.

W jej imię zdecydowano więc, że spory, kłótnie i łzy nie wchodzi w grę.

– Wszyscy jesteśmy rodziną. Wszyscy mamy takie same prawa i obowiązki. Jesteśmy kulturalni, więc zachowujemy się kulturalnie – oświadczył ojciec i nie było od tego odwołania. – Wszelkie święta spędzamy, oczywiście, razem.

To było dziwaczne, ale w sumie nawet działało. Może nie od razu, ale działało. Zresztą to jeszcze nie tak. Działo to z wierzchu, pod spodem był płacz, zgrzytanie zębów, pretensje i bezgraniczna złośliwość.

Nowa babcia była szkanowana przez dwie pozostałe, jednak tylko wtedy, kiedy nikt nie widział.

Dwie pozostałe babcie pielęgnowały swoją pozycję biednych staruszek, beczelnie ją wykorzystując na wszelkie sposoby. Babcia Zosia była porzucona, zdradzona i nieszczęśliwa. Babcia Marylka była wdową. Nic tak nie łączy, jak wspólne cierpienie i wspólny wróg.

Wszystkie trzy zwracały się ku Hance, jako ku wyroczni ostatecznej, z pytaniem, jakiego nie chce słyszeć żadne dziecko.

– Którą babcie kochasz najbardziej? – pytały, podsuwając jej pod nos wszelkie możliwe łakocie i zabawki.

Jak odpowiedzieć na takie pytanie? Owszem, sam na sam można jakoś się wymigać i każdej przyznać oczekiwane pierwszeństwo, ale co odpowiedzieć, kiedy pytają o to wszystkie trzy naraz, wpatrując się w ciebie oczami pełnymi nadziei i – co tu ukrywać – zawiści?

Hanka nie oszalała chyba tylko dlatego, że była dość bystrym dzieckiem i szybko odkryła pewne zależności, które pozwoliły jej przetrwać. Były to zasady zdrowego rozsądku i reklamy internetowej. Przyporządkować przedmioty do każdej z babć. Koszmarny szaliczek do jednej babci, okropny sweterek do drugiej. Wkładać paskudztwa na krótko, wyłącznie w obecności tej jednej, konkretnej. Nie mylić dań. Wiedzieć, która robi najlepsze pierogi, a która jest mistrzynią szarlotki, i... nigdy, ale to nigdy nie zmieniać zdania. A potem tylko trwać niezłomnie przy swoim dla dobra wszystkich i siebie samej.

I trwała. Trwała przy swoim, od lat unikając konfliktów i zatargów, unikając spotkań i częstych wizyt, dlatego pojawienie się stażystów było jej w jakiś sposób na rękę. Dzięki nim zyska całkiem dobry pretekst, by zminimalizować kontakty z babciami. Oczywiście, odwiedzi je. Przynajmniej raz z pewnością będzie musiała je odwiedzić, żeby nie wywołać trzeciej wojny światowej doprawionej świętym oburzeniem, ale tylko raz, bo będzie przecież bardzo zajęta.

– No, gotowi? – rzuciła, widząc, że stażyści patrzą na nią z mieszaniną niecierpliwości i lęku. Widać było wyraźnie, że śpieszyło im się do Zagubina, a właściwie nie do Zagubina, tylko do wampirów, bo przecież chyba nie do rozpoczęcia stażu.

– Tylko wiesz, Hanka, dyskretnie – rzuciła szefowa, wzdychając. – W całym tamtejszym bałaganie z wampirami nie będzie ci łatwo, ale nie daj się podejść. Żadnych wyskoków. Facet nie może się zorientować! To sprawa życia i śmierci – dodała z taką miną, jakby miała ochotę kogoś udusić. Hanka doskonale wiedziała dlaczego.

Żeby uniknąć kanzania, szybko wyszła z biura, poganiając przed sobą stażystów.

\*\*\*

Podkomisarz Kurzydło otępiełym wzrokiem wpatrywał się w okno swojego gabinetu. Nie czuł się dobrze. Nie to, że był chory czy zmęczony. Był tylko trochę niewyspany. Bolał go kark. Mięśnie szyi i barków stężały, plecy i ramiona były sztywne. Ale nie to było najgorsze. Najgorsza była awantura z żoną.

Kurzydło się zalał. To, co się stało, było dla niego jak grom z jasnego nieba i zbezczeszczenie świętości. To było jak... nie, to było nawet gorsze niż zdrada, bo on wierzył w swoją żonę, a ona po prostu oszalała.

Cały cholerny Zagubin oszalał.

– Szefie, przyszły jakieś papiery z Wrocławia – zawiadomił go jeden z podwładnych, kładąc na jego biurku wydruki faksów. – I przyszła ta Rycka z księdzem, i facet z zarządu cmentarza, i ktoś z prasy. Już godzinę czekają.

Tak było codziennie. Interesanci kłębili się od rana do nocy i wszyscy chcieli wiedzieć, co Kurzydło ma zamiar z tym zrobić. Z tym, czyli z wampirami.

– Pani Rycka – wypluł z siebie wściekle słowa, wychodząc na korytarz. – Niech pani nie zawraca mi głowy. Niech pani stąd idzie! Proszę, niech ksiądz wejdzie. Zresztą wchodźcie wszyscy. O co tym razem chodzi? – zapytał zgnębiony.

Nawet nie musiał dociekać. Przecież wiedział, ale nie chciał być niegrzeczny. A może i chciał, ale po prostu mu nie wypadało. Nie na jego stanowisku.

Podróż w towarzystwie dwójki młodych ludzi nie należała do przyjemności. Kiedy zamknie się troje obcych ludzi na tak niewielkiej przestrzeni jak samochód i każe im spędzić ze sobą więcej niż pół godziny, można spodziewać się oplakanych rezultatów. Jeżeli jedna z tych osób jest szefem, to rezultaty są co najmniej żalosne. Rozmowa się nie kleiła, bo nie bardzo mieli o czym gadać. Niestety, nie potrafili też milczeć.

Hanka z zjadłością brała co ostrzejsze zakręty i hamowała tak gwałtownie, że siedzącej z tyłu dziewczynie wyraźnie zaczynało się robić niedobrze. Chłopak odważnie prawił Hance komplementy, co z kolei sprawiło, że ją też zemdliło. Lubiła mężczyzn, ale po pierwsze mężczyzn, a nie dzieci, po drugie nie znosiła lizusów.

Wreszcie z westchnieniem wjechała na obwodnicę, potem do jednego z kilku tuneli. Była właściwie na miejscu. Skreśliła w lewo, po kilkuset metrach w prawo i już była na prostej drodze do pensjonatu.

Z ciekawością przyglądała się transformacji, jaką przeszło miasteczko przez ostatnie kilka tygodni i trudno było jej uwierzyć, że w tak krótkim czasie zmieniło się aż tyle. Widocznie wampiry służyły temu miejscu. Powstało kilka nowych barów, sklepów i straganów. Skrzyżowania aż jeżyły się od dziwnych niby-drogowskazów określających odległość do knajp, dyskotek i domów noclegowych. Stare, odrapane domy oblepiono reklamami hoteli, których z pewnością nie było tu minionej wiosny, a wszystko to składało się na krajobraz dziwny, przesadnie mroczny i, co tu dużo mówić, paskudny.

Szyldy wołały o odrobinę sensu, ładu i składu, o materiał nieco trwalszy od dykty i o interwencję grafika, najlepiej wyposażonego w miotacz płomieni.

Naprędce sklecone stragany i budy z pamiątkami też wyglądały paskudnie, choć z pewnością miały wszelkie konieczne koncesje i pozwolenia. Burmistrz lubił wpływające do budżetu miasta pieniądze i nie przejmował się estetyką.

Z lewej strony przyjezdni zobaczyli budynki starego szpitala, minęli targowisko, które z całą stanowczością można było nazwać śmietniskiem, bo w pewnym sensie nim było, wjechali w porośniętą zaniedbanymi krzewami alejkę i w chwilę potem byli u celu podróży.

Pensjonat Pod Krwiożerczym Piotrusiem był dziwny. Może sprawiała to jego nowa nazwa, może dość ponura bryła poniemieckiego, poprzetykanego kawałkami pruskiego muru budynku, a może ustawione przy wjeździe gipsowe krasnale, które tak chętnie kupowali turyści z Rajchu. Na powitanie z hotelu wyszła matka szefowej, pani Wierciuchowa. Określenie „pani” jakoś do niej nie pasowało, za to nazwisko owszem. Nawet kiedy stała, wyglądała, jakby kręciła się niczym bąk. Wraz z nią na zewnątrz wybiegł pies. Na pierwszy rzut oka psa nie przypominał, ale to musiał być pies. Miał zeza. Koszmarne zeza, wywieszony ozór, bialo-płowe plamy, krzywe nogi, ogon z pędzelkiem i uszy spaniela. Zdecydowanie nie był ani piękny, ani rasowy, ani nawet uroczy. Był za to zwalisty, szczęśliwy i wyraźnie uśmiechnięty. Ludzie, którzy nie wierzą, że psy umieją się uśmiechać, są w błędzie.

– Co to za psie nieszczęście? – jęknęła Hanka, krzywiąc się na widok zwierzęcia.

– To Zyzol. Przypałała się – odparła właścicielka. – Dobrze, że już jesteście. Przygotowałam wam pokoje na górze. Trzy! – dodała, patrząc na dwoje młodych ludzi z dezaprobatą. – Lilka! – krzyknęła w głąb korytarza. – Domaluj no krasnalom trochę krwi na pyskach i na łapkach! – zarządziła. – To nasza nowa strategia marketingowa – wyjaśniła, widząc zszokowane spojrzenia przybyłych. – Byłam na takim kursie dla seniorów i tam powiedzieli, że trzeba przyciągnąć uwagę. Ostatnio trochę marnie nam szło, więc poszłam na kursy marketingu i samorozwoju... No i tam powiedzieli, że aby ludzi zainteresować, trzeba dać im coś specjalnego.

Pewnie, koszmarnie sensne, pomyślała złośliwie Hanka, ale nie odważyła się tego powiedzieć głośno.

Weszli do domu. Był wielki, ciemny, chłodny i – jak większość poniemieckich domów w tych stronach – bardzo, ale to bardzo przestronny. Na parterze znajdowały się kuchnia, salon i jakieś

sympalnie, na piętrze kolejne pokoje. Wysokie okna, wielkie drzwi, mnóstwo zakamarków, schody, schowki...

– A co to za Krwiożerczy Piotruś? – zagadnęła Hanka właściwie tylko z grzeczności. – To ten pies? Nie wygląda na krwiożerczego.

– To nie pies. To duch – westchnęła ze smutkiem Wierciuchowa, jakby sprawa tego ducha była strasznie przygnębiająca.

– Macie tu ducha? Krwiożerczego?

– Nie mamy ducha. I w tym sęk. Wymyśliłam go. Ludzie to lubią.

– Lubią krwiożercze duchy? Zresztą jak duch może być krwiożerczy? Duchy nikogo nie pożerają. Chyba – dodała Hanka po chwili dość niepewnym głosem.

– Ludzie lubią duchy! To znaczy nie duchy jako takie, ale nawiedzone miejsca. Szczególnie ostatnio, to znaczy odkąd wyszła sprawa z tymi wampirami.

– A to? – Wskazała tabliczkę nad schodami, która była duża i wydawała się znajoma. Nie kojarzyła się jednak najlepiej. – ZUS? Po co tu ten ZUS? Zakład Ubezpieczeń...

– Nie żaden zakład ubezpieczeń, tylko zwyczajnie, Zakaz Uprawiania Seksu! To jest porządny pensjonat, a nie jakiś dom schadzek! Ludzie muszą wiedzieć, że owszem, duch jest, ale rozpusty nie ma.

Nagle dał się słyszeć rumor.

– Au, au, niech pani uważa! – wrzasnął ktoś na zewnątrz. – Złeci pani albo mnie zabije tym gruzem!

– Boże! Lilka? Miałas malować krew, a nie łązić po dachach! Przecież zaraz spadniesz!

– Nic mi nie będzie. Muszę tylko zrzucić kilka obluzowanych dachówek tuż przy wazie. Wszystko jest pod kontrolą.

Wierciuchowa westchnęła i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Robimy mały remont metodą gospodarczą. Niestety to konieczne. Ostatnio krowa nam wybuchła.

Hanka spojrzała na kobietę, nie kryjąc zaskoczenia. Oczami wyobraźni ujrzała masakrę z udziałem latających resztek krowy. Nie wiadomo dlaczego, zamiast wyobrazić sobie powiedzmy karkówkę czy pierwszą krzyżową, zdołała zobaczyć jedynie co bardziej krwawe wnętrze.

– Ja... jakim cudem wybuchła? – zapytała, blednąc. – Krowy raczej nie wybuchają same z siebie.

– Jakim cudem wybuchła, jakim cudem wybuchła. No właśnie nie mam pojęcia! Ktoś chyba podłożył pod nią jakiś materiał wybuchowy. Skąd ja niby mam to wiedzieć? Córka mówiła, że przyjedziecie zająć się tą sprawą. Powieszysz trochę i sprawdzisz, kto nam krowę wybuchł. Podobno dobra w tym jesteś.

Dziewczyna nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Zresztą ze zgrozy prawie odjęło jej mowę. Po raz kolejny tego dnia była wściekła. Owszem, jest świetna w swoim fachu, ale wybuchające krowy?!

– Przecież to straszne. Powinniście to zgłosić na policję!

– Zgłosiłam, ale stwierdzili, że to nic poważnego.

– Nic poważnego? Przecież to bestialstwo!

– No. Bestialstwo. Człowiek sobie śpi, a tu taki huk. Szyby w oknach poleciały z tamtej strony od ogrodu. A kawał krowy wbił się w dach. Odpadło trochę dachówek.

– Jak to wbił się w dach? Jak kawał krowy mógł wbić się w dach? – zdziwiła się Hanka.

– No wybuch był potężny. Oj, potężny! Rąbnęło, że ho, ho... Na cały Zagubin.

– Chodzi mi o krowę, a nie o wybuch!

– No cóż... Trochę szkoda. Była całkiem porządna, cała fioletowa. Lilka kupiła ją na bazarze. Ledwie dało się ją tu przytaszczyć, bo była ciężka jak... Wiecie, ile waży gips?!

Dwójka młodych ludzi stojących tuż za Hanką skrzętnie pokiwiała głowami. Wierciuchowa ciągnęła:

– No, a potem jakiś kretyń wysadził ją w powietrze. Przecież to chore! Od wybuchu z żyrafy zeszło powietrze. O, jeszcze biedaczka stoi w ogrodzie. A trzem małpom urwało głowy. Dobrze, że nie



pozwoiliam Lilce na hipopotama. Strasznie drogi był. No i zoo szlag trafił – skwitowała w końcu. – Szkoda! Pomysł był niezmierny. Można było robić jakieś eventy, dzieciakom bilety sprzedawać albo co, a tu taki pech!

Hanka odetchnęła. Szybko przegoniła sprzed oczu krwawe obrazy. Dobra. Gipsowa krowa to tylko gipsowa krowa. Mogła być paskudna. Na pewno była paskudna. Na tysiąc procent. Dziewczynnie przypomniała się rozmowa z szefową. Ta wspominała o wybuchających krowach w Zagubinie, tyle że Hanka myślała, że to tylko takie gadanie i że znajdzie jakiś logiczniejszy pretekst, a nie takie coś...

Bo pretekst był konieczny. Sprawa była zbyt poważna. Szefowa zrobiła sobie paskudne „a kuku” i teraz naprawdę się martwiła. Do jej biura zgłosił się facet szukający żony. Normalne, właśnie po to są biura matrymonialne, ale wcale nie chodziło o to, że facet jest taki znowu super i w ogóle. Chodziło o coś znacznie gorszego. Ten facet nie dość, że był ideałem, i to bardzo bogatym ideałem, to na dodatek zainteresował się kimś dla niej szczególnym, co pozwalało jej mieć nadzieję na lepsze życie, ale i obawiać się najgorszego.

Jakiś czas temu, zaczynając pracę w branży kojarzenia małżeństw, szefowa potrzebowała słupów. Słupy są konieczne wszędzie, w polityce, w gastronomii, wszędzie, bo jak pierwszym klientom pokazać album ze zdjęciami przyszłych żon, kiedy się ma tylko jedną kandydatkę i do tego z zezem? Nie można. To by było zawodowe harakiri. Czegoś takiego się nie robi. Trzeba pokazać album pełen pięknych kobiet, a potem skłonić faceta, żeby wybrał tę zezowatą. No dobrze, takich cudów nikt nie potrafi, ale można sprawić, że facet wróci. Raz, drugi, piąty, a właściciel biura dostaje coś bardzo cennego, coś, co jest mu najbardziej potrzebne w danej chwili, czyli w czasie rozruchu. Czas na szukanie kandydatek. Najpierw więc trzeba powstawić fotografie różnych aktorek albo modelek, żeby wywołać wrażenie, że to jest najlepsze biuro na świecie. Niestety logicznie rzecz biorąc, każdy facet natychmiast zwróci uwagę na tę czy inną piękność ze zdjęcia. Trzeba więc je jakoś zabezpieczyć. Trzeba zrobić tak, żeby choć atrakcyjne, nie były atrakcyjne. Na przykład dodać do profilu informację w rodzaju „Czasowo przebywa w zakładzie karnym z powodu uduszenia męża”. To często załatwia sprawę.

Niestety, w tej dziedzinie wymagana jest kreatywność. Biuro może zyskać bardzo złą sławę, jeżeli wszystkie kandydatki na żony będą po wyrokach za maltretowanie mężów. Dlatego najlepszym rozwiązaniem są tak zwane swoje słupy, czyli cała rodzina jak leci, a przynajmniej żeńska jej część. Swoją słup jest zawsze okej, bo nawet jak się ktoś nim zainteresuje, może odmówić randki albo przyjść z trojgiem wypożyczonych dzieci. Czyli wszystko w porządku. Ruch w interesie jest, ślubów zero. Można w tym czasie szukać prawdziwych kandydatek. W końcu przecież się trafią.

W myśl tej zasady szefowa zarejestrowała własną matkę jako panią poszukującą męża. Była bezpieczna, bo mamusia do specjalnie urodziwych nie należała i miała już swoje lata. Niestety, zainteresował się nią pewien pan. Właściwie nie byłby to specjalny kłopot, gdyby nie zachłanność szefowej. Otóż pan okazał się wykształconym, przystojnym i bardzo majątym właścicielem zameczku w Kotłęcinie.

I tu powstał problem. Szefowa zapragnęła natychmiast matkę wydać za mąż, ale że matka też do biednych nie należała, trzeba było sprawdzić, czy kandydat rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje. O swoich planach nie chciała informować matki. To byłoby ze wszech miar ryzykowne. Z pewnością zgodziłaby się na jedną czy drugą randkę, a potem bezczelnie zakochała i nie dałoby się już niczego odkręcić. Szefowa zaś chciała zyskać zameczek, ale nie miała ochoty ryzykować utraty pensjonatu.

Na dodatek nie mogła powiedzieć, że matka siedzi w więzieniu, bo to mogłoby odstraszyć faceta na zawsze. Mieszkał ledwie kilka kilometrów od Zagubina i mógł ją najwyczejniej w świecie spotkać na ulicy. Jako pretekst dla pobytu detektywa u rodzicielki wykorzystwała więc sprawę z wybuchającą krową.

Pomysł jak pomysł. Problem w tym, że zapomniała uprzedzić o nim Hankę.

Jej podwładna miała więc udawać, że szuka kogoś, kto wysadził w powietrze gipsowego kozmarka, a tymczasem przyjrząc się przeszłemu, niewątpliwie, ojczymowi szefowej.

Hanka i stażyci udali się do swoich pokoi, które przypominały bardziej komory grobowe niż lokum dla gości. Były ciemne, wąskie, ponure i odrapane. Szło się do nich po schodach tak krętych i stromych, że naprawdę trzeba było uważać, jak i gdzie stawia się stopy. Hanka miała wrażenie, że o wiele lepiej będzie się z nich schodzić. Szczególnie po kilku drinkach.

\*\*\*

Dziunia jako pierwsza wepchała się do gabinetu podkomisarza, nie bacząc na protesty, i usiadła na krześle naprzeciw biurka. Jak wszystkie kobiety jej pokroju wiedziała, że jest najważniejsza.

– Nie popuszczę, no! Nie popuszczę! – rzuciła ostrym tonem. – Ja też muszę jakoś żyć! – sapnęła stanowczo.

– Przecież pani podobno nie żyje – warknął podkomisarz. – Sama pani tak twierdzi. A teraz cicho. Nie mam ochoty pani słuchać. O co chodzi? – zwrócił się nieco grzeczniej do pozostałych.

– Ja w związku z tymi billboardami – powiedział proboszcz.

– To nie do mnie – westchnął podkomisarz. – To w urządzie miasta. Policja nie ma nic do tego.

– Ale ja chciałem zgłosić zniszczenie. Ktoś odgryzł kawałek. O tu, proszę. – Ksiądz wyciągnął przed siebie telefon komórkowy, prezentując wykonane nim zdjęcie. – Niech pan patrzy.

– No właśnie. I biegają po cmentarzu. I wrzeszczą... – dodał nieduży mężczyzna. – Zarząd cmentarza jestem – przedstawił się, widząc niepewną minę policjanta.

– A ja chciałem umówić się na jakiś wywiad – wyjaśnił skwapliwie młody zarośnięty mężczyzna z wielką torbą na ramieniu. – Jestem z miesięcznika „paraNormalność”. Chciałbym z panem porozmawiać o tym pochówku i w ogóle o...

– Nie mam nic do powiedzenia – warknął Kurzydło i chciał powiedzieć coś jeszcze, coś na temat głupoty, szaleństwa i tak dalej, ale wtrąciła się Dziunia.

– Ze mną niech pan pogada, ja wszystko powiem! Jak się ta gazeta nazywa? Paracetamol, mówisz pan? Może być, bo ja nie żyję od tego wampira, co mnie dziabnął. Oj, jak nie żyję, bardzo! – Zamilkła teatralnie, a po chwili wahania dodała: – Ale nie tak, że wie pan, za darmo. Coś mnie zapłacić trzeba. Nawet zwłoki muszą pić!

– Niech już pani stąd idzie! – krzyknął Kurzydło. – I pan też – zwrócił się do dziennikarza, bo młodzieniec wyraźnie był łowcą taniej sensacji.

Po chwili, kiedy Dziunia i dziennikarz wyszli z gabinetu, zwrócił się do proboszcza:

– Ksiądz pokaże to zdjęcie.

Wziął do ręki telefon i obracając go, długo przyglądał się zdjęciu, na którym widać było zniszczony billboard. Ktoś wyraźnie wydarł lub wyciął z niego kawałek tekstu. Brzegi ubytku zostały posmarowane czerwoną farbą, co sprawiło wrażenie, że rzeczywiście billboard został nadgryziony. To, co pozostało z tekstu, brzmiało: „Opamiętajcie się, wampiry istnieją”.

– Wszyscy powariowali – westchnął policjant, rozcierając obolały kark. – Nawet moja żona. Powkładała w poduszki tyle główek czosnku, że spałem jak na kamieniach. Ksiądz z nią porozmawia, co? – zapytał z nadzieją w głosie. – Przecież to jest znęcanie się nad mężem, a tego nie wolno, prawda?

– Znęcanie, znęcanie – obruszył się ksiądz. – To jest wasza prywatna sprawa. Wiara w gusła to problem! Wampiry to problem!

Wyraźnie było widać, że miasteczko podzieliło się na dwa obozy, i to wcale nie na takich, którzy wierzą w wampiry i takich, którzy nie wierzą. Wierzyli właściwie wszyscy, tylko jedni się ich bali, a inni robili na nich interesy.

\*\*\*

Zeszli na kolację i usiedli przy stoliku ustawionym w pewnej odległości od stołów innych gości, a przyjezdnych było sporo. Hanka zlustrowała ich z krzywym uśmiechem. Wszyscy byli co najmniej wiekowi. Miejsce pod oknem zajmował dziwnie wyglądający starszy mężczyzna w grubych okularach i z brodą, która spokojnie mogła należeć do Ambrożego Kleksa. Jego czupryna też była koszmarna, jakaś taka nastroszona i szpeciniasta. Przy kilku stołach bliżej wejścia siedziała grupa eleganckich starszych pań, które chichotały, racząc się winem. Przy ostatnim chuda kobieta w przesadnie wielkich okularach, otulona niegustowną dzierganą chustką samotnie spożywała kolację.

Hanka wiedziała, że dziergane chustki są teraz bardzo modne i kosztują krocie, ale ta była brzydka i przedpotopowa, jakaś zmechacona, szarobura. Najzwyczajniej w świecie po prostu paskudna. Ktoś musiał się bardzo postarać, żeby zrobić coś tak okropnego.

– Czyli od jutra zaczynamy pracę – zwróciła się detektyw do dwójki młodych ludzi. – Ty jesteś Wiolka. Tak? A ty?

– Normalnie to mam na imię Szczepan.

– A nienormalnie?

– No, Szczurek. Wszyscy nazywają mnie Szczurek – powiedział chłopak, uśmiechając się przepaszająco. Rzeczywiście był trochę podobny do szczura. Jakiś taki wyblakły i właśnie szczurzy, choć w odróżnieniu od niego szczurki mają ładne i sympatyczne mordki. On sympatyczny nie był, przynajmniej z wyglądu.

– Dobrze, że jesteście. – Wyraźnie zaafierowana Wierciuchowa dosiadła się do nich, rozkładając na stole zdjęcia. – Więc to było tak. Szykowaliśmy się na Wampiriadę, kiedy...

– Co to jest Wampiriada? – zapytała Wiolka.

– To taka tutejsza akcja, święto, no... Pochód, fajerwerki, przebierańcy, taki no... festiwal – odpowiedziała gospodyni.

– Robicie tu festiwal wampirów?

– Jasne. Festiwal to świetna okazja. Promocja i w ogóle. Będą budki z jedzeniem, występy, takie różne, można na tym niezłe zarobić, a czasy ciężkie. – Zamilkła na chwilę. – I myśmy chciały zrobić takie niby-zoo, ale w nocy ktoś tę krowę...

Podsunęła im pod nosy zdjęcia. Fioletowe skorupy robiły wrażenie. Szczególnie tylna noga z częścią zadu tkwiąca w dachu oraz pół pyska w krzakach pod oknem.

– Jak pani sądzi, dlaczego ktoś to zrobił? I kto mógłby... Kto w ogóle wpadłby na taki porąbany pomysł?

– Konkurencja – sapnęła właścicielka krowy. – Profesor Kociołek usłyszał wybuch, więc wybiegł, bo on w nocy nie śpi, i zobaczył, że ktoś ucieka.

– Profesor Kociołek? – zapytała Hanka, nie rozumiejąc. Gospodyni dyskretnie wskazała głową na mężczyznę z brodą.

– On w nocy prowadzi nasłuch – wyjaśniła, niczego nie wyjaśniając. Gdy zobaczyła zdziwione miny, dodała: – To profesor ufologii. Prawdziwy profesor! Badania robi.

Hanka nie chciała się roześmiać, więc szybko zakrzuszyła się herbatą, której nalała sobie z wyszczerbionego, jakby szpitalnego dzbanka stojącego na stole.

– A ta konkurencja to kto? – zapytała, chcąc zmienić temat, bo profesor ufologii naprawdę ją zaskoczył, ale z wariatami wolała nie mieć nic wspólnego.

– Praktycznie każdy. Tu mieszkają bardzo przedsiębiorczy ludzie, którzy lubią kombinować. Lubią być najlepsi... Pieniądże... Zawsze to samo. Jeżeli nie wiesz, o co chodzi, zawsze chodzi o pieniądze.

– A reszta gości coś słyszała?

– Nie, bo ich tu wtedy nie było. Ci ludzie tam, to tajny turnus. Tamtej nocy spali w Kotłęcinie, bo mieli wycieczkę zorganizowaną – zniżyła głos. – Marika ci pewnie mówiła?

Marika. No tak. Hanka zawsze nazywała ją po prostu szefową, bo imię Marika wcale nie pasowało do tej silnej, dużej, zręczliwej i wymagającej harpii. Ale cóż, imię jak imię.

– Nie. Nie mówiła – odpowiedziała, wzdychając.

– No więc to jest tajny turnus informatyczno-matrymonialny. Ale jakby ktoś pytał, to te panie przyjechały na kurs pieluszkowy. Siedzą tu już od tygodnia...

Hanka jęknęła. Chciała o coś jeszcze zapytać, choćby o ten kurs. Jak ona to nazwała? Kurs pieluszkowy? Nie zdążyła jednak.

– O, już jest kolacja – zawołała właścicielka pensjonatu, widząc zbliżającą się kelnerkę. – Jedzcie na zdrowie, a jakby co, pytajcie. Ale zachowujcie się ostrożnie i dyskretnie, bo konkurencja nie śpi. No i wszystko jest poufne.

– A te wampiry? – zapytała Wiolka wyraźnie zainteresowana tematem. – Wie pani, no one są? Nie ma ich? Jak to jest?

Kobieta przeżegnała się dyskretnie i lękliwie rozejrzała dookoła.

– A czy ja wiem? – odpowiedziała niepewnie. – Różnie mówią. Profesor twierdzi, że nie ma, to znaczy, że są, ale nie są tak jakby wampirami, a Lilka znowu... – zawahała się. – Lilka to moja prawa ręka, kuzynka, ona twierdzi, że tak, są i są wampirami. Nawet jakiegoś widziała. Zresztą nie ma się czym martwić, jesteśmy zabezpieczeni. A! Wy dwoje! – zawołała po chwili, patrząc w kierunku Wiolki i Szczurka. – Tylko mi się nie pieprzyć po kątach!

Oboje się skulili, każde na swoim krześle.

Wierciuchowa odeszła pospiesznie do innych gości, zostawiając ich z kelnerką, która przyniosła bułeczki, masło czosnkowe, twarożek z czosnkiem i pietruszką, sałatkę z pieczonym czosnkiem, salceson i kielbasę. Nie trzeba dodawać, że mięsne wyroby też były szczerze doprawione czosnkiem.

– Jezuuuu! Jak to cuchnie! – jęknął Szczurek. – Tego się nie da jeść!

– Nie marudź – rzuciła Hanka. – Przyzwyczajaj się. Praca to praca. Nikt ci dogadzał nie będzie. Pierwsza zasada... – Hanka zasadę sformułowała naprędce: – Bierz, co dają, dziękuj i udawaj, że wszystko jest jak należy. Zleceniodawca nasz pan!

Chłopak albo się przejął, albo marudził tylko dla zasady, bo natychmiast rzucił się na jedzenie.

Hanka złośliwie popatrzyła na dokonania chłopaka, który pożerał wszystko jak leci. Wiolka też, choć z większą kulturą, czyniła spustoszenie na półmiskach.

– To jak na nie działa ten czosnek? – zapytała po chwili, wpatrując się w Hanke. – No na te wampiry – dodała niepewnie.

– A skąd ja mogę wiedzieć? – Hanka wzruszyła ramionami. Nie bardzo rozumiała pytanie.

– No bo chodzi o zapach? O kształt? Czy o co? Czosnek musi być surowy czy może być pieczony? Mam na myśli to, czy zadziała. I czy niedźwiedzi też się nada? Albo cebula czosnkowa?

– No albo szalotka?

– A co szalotka ma wspólnego z wampirami? – Hanka roześmiała się zdziwiona.

– No bo szalotka to czosnek askaloński. No co? – zapytał Szczurek, czerwieniąc się. – Sprawdziłem. No i te, te znaki religijne, to jak? Bo one latają nocą, a na niebie jest księżyc, taki sierpowaty. To przecież symbol religijny. To co? Giną od tego?

– Daj spokój, nie ma się czego bać! – zawołała Hanka. – I co to za znaki religijne, co latają nocą?

– Nie znaki, tylko wampiry – odpowiedział obrażony Szczurek.

– Błagam cię, nie ma żadnych wampirów – westchnęła ciężko Hanka.

– Muszą być – wtrąciła ponuro Wiolka. – To widać, że wszyscy tu w nie wierzą!

– Nikt w nic nie wierzy, gamonie! Popatrzcie – warknęła Hanka i rozejrzała się. – Ludzie tylko zaklinają rzeczywistość! Zagubin to Zagubin. Zadupie. Dwa sklepy, supermarket, kościół, szpital

i targowisko. Nic więcej, rozumiecie? Nic. Każde miasteczko to ma. Prawie każde. Tu nic się nie dzieje, a „czas nie płynie, ale ciecie”! Rozumiecie? Te wampiry spadły im jak manna z nieba!

– Wampiry jak manna? Raczej jak nietoperze.

– Gównu nie nietoperze. Interes. Zrozumcie. Teraz to jest jedyne, unikalne miasteczko w Polsce, w którym są wampiry. I to tylko dlatego, że jakaś wariatka udzieliła wywiadu, w którym naplotła, że została ukąszona.

– A pochówek? Podobno stwierdzono tu pochówek wampiryczny!

– Oj tam. Pochówek. Przecież to jest największa bzdura. Skoro jest jakiś pochówek wampiryczny, to znaczy, że wampir już nie wstanie. Nie żyje, a wszyscy się zachowują nie tylko jakby żył, ale jakby dostał co najmniej Pokojową Nagrodę Nobla. Popatrzcie na to cholerne miasteczko! Na wszystkie te reklamy! Gdzie nie spojrzeć, tam wampir. Gdzie się nie ruszyć, tam nietoperz. Tu zęby, tu krew... Gdzie indziej krucyfiksy i kołki... Czosnek i podkowy, no horror! Zjedźmy tę kolację, to pójdziemy się rozejrzeć, póki jeszcze jest dość jasno.

Hanka była niezadowolona. Nie wiedziała dokładnie dlaczego. Owszem, nie bardzo miała ochotę szkolić gówniarzy, ale dzięki temu, że z nimi była, mogła zamieszkać w pensjonacie i nie musiała zbyt często odwiedzać swoich babek. Praca to praca. Babcie musiały to zrozumieć. Wiedziała, że i tak będzie zmuszona wybrać się do nich z wizytą, i to wcale nie bezinteresownie. Mogły być całkiem dobrym źródłem wszelkich informacji, włącznie z tymi, które nikomu do niczego nie są potrzebne, jak choćby stan zdrowia kota sąsiadki, ale pomiędzy plotkami, którymi ją zasypią, na pewno znajdzie się coś przydatnego. Może one będą wiedziały coś o krowie? Z ciekawością rozejrzała się po sali jadalnej. Woń czosnku zdążyła już rozsunąć się po całym pomieszczeniu tak, że prawie nie dawało się oddychać. Hance łzały oczy. Ze zdziwieniem patrzyła, jak siedzący dookoła ludzie ze smakiem zajadają podane im potrawy. Wszyscy oprócz kobiety w okularach, która pogryzała suchą bułkę.

Profesor Kociołek jadł z zapalem, robiąc dookoła siebie niezły bałagan. W jego brodzie można było nawet z daleka zauważyć tyle salcesonu i okruszków pieczywa, że wystarczyłoby na dzienną rację dla całkiem sporej rodziny myszy. Na jego spodniach kwitły plamy roztopiającego się powoli masła.

– Ten to na pewno nie jest wampirem – mruknęła Wiolka, wskazując go głową.

– Nigdy nic nie wiadomo! – odparował Szczurek. – Niby się mówi, że wampiry nie znoszą czosnku, ale to wcale nie jest pewne. To może być tylko tak... Bo co niby ten czosnek miałby im robić? Zabijać? Jak? Wstrząs anafilaktyczny? Alergia na co? Na allicynę?

Hanka spiorunowała go wzrokiem, wstając od stołu.

– Ja idę obejrzeć to miejsce za domem, gdzie im wybuchła krowa. Wy róbcie, co chcecie. Nie daję rady. Duszę się tu – mruknęła.

Szczurek spojrział na nią podejrzliwie, ale posłusznie wstał od stołu. Wiolka ociągała się jeszcze przez chwilę, po czym we troje wyszli na zewnątrz. Owiało ich cudownie świeże powietrze z lekką jedynie sugestią czosnku, którego zapach zdążył już wnikać w ich ubrania i włosy.

– Co teraz jest najważniejsze? – Hanka przybrała nauczycielski ton. – Czego musimy się dowiedzieć? – zapytała.

– Kto to zrobił. Dlaczego to zrobił. Jak to zrobił – odparli prawie chórem.

– Bzdura. Musimy się dowiedzieć, ile ważyła ta krowa!

– Jezuuuu – Wiolka jęknęła rozczarowana. – A po cholere nam to?

– Bo wtedy się ogólnie dowiemy, co jej się stało.

– Co jej się stało, to wiemy. Wybuchła – wtrącił Szczurek.

– A może wiesz jak?

Chłopak w odpowiedzi wzruszył ramionami. Wybuchająca krowa to nie była sprawa dla Bonda. To był syf i wstyd. Przecież nie wrzuci na Twittera info o krowie. Wiele sobie obiecywał po tym stażu. Bardzo wiele. Pościgi za niewiernymi żonami miały dużo uroku, nagie kochanki przyłapanie *in flagranti*

jeszcze więcej, szczególnie takie z dużym i koniecznie gołym biustem, fotografowanie potajemnych schadzek i eksperymentów łóżkowych było bardzo okej. Krowy nie.

– Ktoś podłożył pod nią ładunek wybuchowy i już – bąknął po chwili.

Hanka uśmiechnęła się złośliwie.

– Umysłowość przestępcy podkładającego ładunek wybuchowy pod fioletową krowę mogłaby zainteresować jakiegoś psychiatrę, ale nie sądzę, że ktoś jest aż takim świrem.

– Tutaj? – Wiolka wydeła wargi z pogardą. – Całe miasteczko ześwirowało na punkcie wampirów, więc ktoś mógł ześwirować na punkcie krowy.

Tu Hanka, choć niechętnie, musiała jej przyznać odrobinę racji.

– Tak, ale ludzie na ogół postępują dość logicznie. Wampiry to dla miasteczka całkiem niezły zarobek. Ale krowa? Nie... Nielogiczne. Co komu wadziła ta głupia krowa? I dlaczego akurat krowa? Tu są jeszcze inne zwierzaki... No tak – jęknęła zrezygnowana.

W ogrodzie siedziały trzy małpy. Duże pluszowe małpy. Wszystkie miały pourywane głowy, co wyglądało paskudnie i, mówiąc uczciwie, nie nadawało się do pokazywania dzieciom. Przy drzewie, oparta o poprzeczny konar, ledwie stała duża plastikowa albo gumowa żyrafa, której głowa, wyraźnie już zwiędła, zwiślała z gałęzi.

Jeżeli ktoś zamierzał podłożyć ładunek wybuchowy pod któreś ze zwierząt, nie miał specjalnie wyboru. To musiała być krowa. Wybuchające pluszowe małpy mają o wiele mniejszą siłę rażenia, a żyrafa zwyczajnie się nie nadawała. Ją wystarczyło pociąć.

Hanka z odrazą popatrzyła na pobojowisko usłane fioletowymi odłamkami gipsu. Więc to było całe zoo? Zupełnie durny pomysł. Jakie dzieci o zdrowych zmysłach przysłyby to oglądać? Zakończywszy oczywiście, że w miasteczku pozostało jeszcze choć kilkoro dzieci o zdrowych zmysłach. Kto w ogóle chciałby za coś takiego płacić? Po co było zaśmiecać sobie ogród takim szmelcem? Hanka nie była w stanie sobie tego wyobrazić. To był horror. Polski, śmietnikowy horror. Taki, przy którym wampiry to coś naprawdę wspaniałego, wręcz eleganckiego.

– Rano pozbieracie wszystkie fioletowe kawałki, które uda wam się znaleźć. Jutro weźmiemy też od gospodyni ten kawał z dachu. To pozwoli nam obliczyć ciężar. Rozejrzymy się po miasteczku. Pójdziemy zobaczyć, co tu się dzieje, i popytamy, ale delikatnie, o tego faceta z Kotłęcina, a teraz idziemy spać. Ciemno już. – Nagle stanęła, widząc mi-ny pozostałych. – Mowy nie ma! Nigdzie teraz nie pójdziecie. Jesteście w pracy! Zero imprez i włóczenia się po okolicy! – warknęła jak rasowa matka do rozbiegających się szczeniaków. Owszem, da im trochę swobody, ale nie dziś. Najpierw zorientuje się, co i jak. Są pod jej opieką. Wampirów nie ma, owszem, nie ma, ale lepiej dmuchać na zimne i pilnować podwładnych, żeby potem się nie okazało, że dręczą ich światło-wstręt, ból głowy i dziwne pragnienie. Jak to zawsze bywa na kacu.

Nagle usłyszeli niesamowity, modulowany i przeciągły dźwięk. Nie był straszny. Raczej niepokojący, jakiś drżący, właściwie prawie niesłyszalny. Coś zatrzepotało. Czarna chmara czegoś latającego oderwała się od wieżyczki i z szelestem, brzydkim skórzastym szelestem, poleciała w ciemność.

– Cholera! Cholera! Cholera! Panie Kociolek! Częstotliwość, czy jak to cholerstwo się tam nazywa. – Hanka usłyszała wściekły głos właścicielki pensjonatu. Oczywiście rozumiała jej słowa, ale zupełnie nie mogła zorientować się, o co chodzi.

– Oj, przepraszam! – odrzyczyła mężczyzna zza uchylonego okna pokoju, który musiał znajdować się jeszcze wyżej niż te, w których zamieszkali detektywi. – Już przestawiam. Przepraszam. To był wypadek.

– No! I nie za głośno, bo dzwonili z porodówki, że łóżka im się już kończą.

Hanka nie była w stanie zorientować się, czego dotyczyła ta niecodzienna rozmowa i o co chodzi z tymi łóżkami na porodówce, tym bardziej że jej uwagę przykuło coś innego.

Z lewej strony budynku, z pokoju na parterze ktoś wyraźnie gramolił się przez okno na zewnątrz. Najpierw wyrzucił coś ciężkiego i czarnego, potem jakąś płachtę, na koniec wyskoczył niezbyt zgrabnie

i, pojękując, głucho wylądował na ziemi.

Wyglądało na to, że gość postanowił zrezygnować z wynajmowanego pokoju w dość nietypowy sposób. Zastanawiała się, czy powinna zawiadomić właścicielkę, że ktoś się od niej wyprowadza bez placenia, ale zrezygnowała. To nie była jej sprawa i tak powinno zostać. Nadgorliwość to była cecha Hance zdecydowanie obca.

\*\*\*

Dziuńka biegła, wymachując rękoma. Jej chude, a raczej wychudzone ciało, ciemna, pomarszczona twarz i sfatygowane ubrania z targowiska nie robiły dobrego wrażenia.

– Panie, ale co pan! Kilku stówek panu szkoda? Wywiad będzie jak ta lala. Wampir jestem, normalnie prawdziwy wampir. Czego pan mi grosza żalujesz?

Wysoki i szczupły, całkiem porządnie zarośnięty mężczyzna z charakterystyczną wielką torbą na ramieniu oddalał się pospiesznym krokiem, a może najwyczejniej w świecie uciekał przed Dziuńką. Nie chciał przeprowadzać wywiadu z żadnym wampirem, a już najmniej nietrzeźwym. Pismo, które reprezentował, było niszowe. Wprawdzie zajmowało się takimi samymi tematami jak tabloidy, ale miało wyższe wymagania. Owszem, kobieta mogła urodzić kozę, ale to miała być piękna kobieta i piękne kozłátko, białe, słodkie jak syrop glukozowo-fruktozowy! Śpiewający szczur też mógł być, ale obok faceta z sześciopakiem i babki w bikini, a Dziuńka nie spełniała żadnego z tych wymagań, głos miała gorszy od szczura, a sama myśl, że mogłaby pozować w bikini, przyprawiała o mdłości.

Naczelny wyraźnie dał mu do zrozumienia, że owszem, może pisać, co chce, ale wampirzyca powinna być półnaga, a nie półprytomna. Półnagiej Dziuńki wołał sobie nie wyobrażać. Zresztą może niezupełnie. Właśnie ją sobie wyobraził i to bardzo przyspieszyło jego decyzję o ucieczce.

Dotarł do pensjonatu w dużym pośpiechu. Na podjeździe siedział wielki, zezowaty pies.

\*\*\*

Przez chwilę panowała cisza. Hanka podeszła do głównego wejścia. Na drodze pojawił się jakiś mężczyzna. Wyraźnie się śpieszył.

– Panie Kociólek, tylko niech pan pamięta! Trzeba pozamykać wszystkie okna. Wy też! – zawołała właścicielka pensjonatu, patrząc na Hankę. – Na noc zamykać okna!

– Podusimy się, pani Wierciuchowa – jęknęła dziewczyna. – Upał jest!

– Nikt się nie podusi, a jak ja mówię, żeby zamykać, to znaczy, że trzeba zamykać i już!

Pensjonat zaczynał się Hance podobać coraz mniej. Był co najmniej dziwny, wręcz dziwaczny. Zakaz uprawiania seksu? Obowiązkowe zamykanie okien? Wierciuchowa zachowywała się, jakby prowadziła kolonie dla rozwydrzonych nastolatków, a nie normalny hotel.

Z góry dało się słyszeć jakieś chrobotanie. Siedzący na podjeździe Zyzol zadarł głowę wysoko i zawył. Po chwili w okolicy wyły już wszystkie psy.

Wycie było tak przejmujące i złowieszcze, że Hanką wstrząsnął dreszcz. Psie wycie zawsze jest przejmujące. Przez chwilę zastanawiała się, czy ma to coś wspólnego z wampirami, bo z czymś paskudnym musiało mieć.

– No skaranie boskie! – wrzasnęła Wierciuchowa, nie przejmując się specjalnie wyciem. – Panie Kociólek! Niech pan przestanie, bo tylko same kłopoty z panem! Skonfiskuję panu tę cholerną maszynę!

– No już przestawiam, już przestawiam. To wszystko przez tę krowę! – krzyknął z góry mężczyzna.

– Ty mnie, stary oszombie, od krów nie wyzywaj – wrzasnęła wściekła Dziuńka, wbiegając ostatkiem sił na podjazd. Ledwie trzymała się na nogach, a wszystko wskazywało na to, że wkrótce nie utrzyma się nawet na czworakach.

– Dziunia! – zawołała Wierciuchowa z daleka. – Nikt cię nie wyzywa! Na złodzieju czapka gore. Idźże, skąd przysłaś, nie chcę cię tu widzieć, bo ludzi mi straszysz! Wyglądasz jak jakiś brudny wypłosz!

Dziunia nie życzyła sobie takiego traktowania. Należała do tak zwanej arystokracji ławkowej. Nie to, co bazarzkowi menele, codziennie ululani tanim niemieckim piwem, albo podrzędne żuliki działkowie pijące słodkie polskie wina w krzakach za altankami, o nie! Dziunia należała do tych nielicznych, którzy spotykali się codziennie w parku miejskim i pili, co kto przyniósł, ale kulturalnie.

Padłych dyskretnie usuwano za ławkę i składowano tam do wytrzeźwienia, a czasem, gdy to nie następowało, odnoszono triumfalnie do domów, ze śpiewem na ustach, co trochę denerwowało mieszkańców, którzy popełnili tę nieostrożność, by zasnąć przed trzecią nad ranem.

– Kiedy wywiad tylko chciałam... – powiedziała obrażonym tonem. Nie dokończyła, rozejrzała się, ale dziennikarza nigdzie nie dostrzegła. Co prawda wiadomo było, że schronił się w recepcji, ale Dziunia chwilowo zrezygnowała.

Psy tak samo, jak nagle zaczęły wyc, tak samo gwałtownie przestały.

– Załatwione – zawołał z góry zadowolony z siebie profesor.

Hanka nie rozumiała, o co chodziło, ale też i nie bardzo chciała rozumieć. Zazwyczaj nie interesowało jej to, co jej nie dotyczyło. Prywatnie nie była wścibska. Zawodowo owszem. Zawsze jednak potrafiła oddzielić sprawę zawodową od prywatnych.

– Co tam tak lata? – zaciekawił się Szczurek wpatrzony w korony drzew, przez które ledwie, ledwie prześwitywał zamglony księżyc.

– Jakież ptaszyska. Czarne. Duże. Kawki albo kruki – odpowiedziała Wiolka.

– Paskudnie. Nie lubię kruków... Wiesz, są takie złowróźbne. Rozdziobią nas i takie tam, no wiesz... Ze szkoły pamiętam – dodał niepewnie chłopak. – O, i wrony!

– Nikt nas nie rozdziobie – westchnęła Hanka. – Idźmy spać, bo jutro mamy robotę, i to poważną – mruknęła zła na gówniarzy. – Do łóżek!

Gówniarze nie byli specjalnie gówniarzowaci i ogólnie mogli być za siebie odpowiedzialni. Ba, nawet powinni, ale Hanka przeżywała jeden z tych swoich okresów, kiedy nagle widziała w lustrze starą wiedźmę bez osiągnięć, bez przyszłości i bez jakiegoś sensownego wkładu do łóżka, a to sprawiało, że pluła jadem i zgryźliwością jak rasowa kobra.

Sensowny wkład do łóżka powinien być inteligentny, przystojny i samowystarczalny finansowo. To tyle, jeśli chodzi o marzenia. Rzeczywistość zaś podsuszała jej zupełnie inne typy facetów. Miłych, nieporadnych informatyków, suchoklatesów, którzy byli przekonani, że mikrofalówka działa na pilota, skarpetki mają prawo trzeszczeć przy wkładaniu, a sześciopak na brzuchu to dokładnie to samo co antałek. Też, niestety, na brzuchu.

Położyła się spać w ponurym nastroju. Zasnęła dość szybko, z tym nigdy nie miała specjalnych problemów. Jednak nie spała dobrze. Wszędzie śmierdziało czosnkiem. Hanka podejrzewała, że zapachy z kuchni docierały do jej pokoju przewodami wentylacyjnymi. Nie chciało jej się wstawać i otwierać okna. Jej łóżko okazało się istnym łóżem tortur. Twarde, wąskie, gruzłowate, koszmarnie niewygodne. Na dodatek coś jej brzęczało, bzyczało, buczało. Nie było to właściwie jakieś specjalnie głośnie brzęczenie. Buczało jakby na granicy słyszalności, jednak było okropnie denerwujące i dałaby sobie głowę uciąć, że właściwie bardziej je wyczuwa, niż słyszy. Są takie dźwięki, w których najlepiej słyhać ich brak, a zapadająca na chwilę cisza uświadamia ich denerwującą obecność. To było coś takiego. Niestety słyszała także jęki.

– Pieprzeni gówniarze – westchnęła z zazdrością, pomyślawszy o Szczurku i Wiole. – Ani chybi, uprawiają seks!

Nie przejęła się aż tak bardzo zakazem Wierciuchowej. Wyglądało na to, że oni też nie.

Jęki były sugestywne i głośnie. Nakryła głowę poduszką. Pojękiwania i wrzaski wydawały się coraz głośniejsze, czasami jakby zamieniały się w piski, czasami w dziwne zawodzenie.



– No to dają na całego – znów westchnęła, przekonana, że odgłosy nie mogą być w żaden sposób związane z wampirami, chyba że z takimi, które właśnie konają na galopujące zatrucie pokarmowe. Żeby tylko właścicielka się nie zorientowała, poprosiła w duchu.

Niestety, prawdopodobnie wyraziła to życzenie w złym momencie. Istnieje całkiem zgrabna teoria udowadniająca, że takie myślenie potrafi przyciągnąć to, o czym się myśli. Chyba przyciągnęło kłopoty w postaci Wierciuchowej. Hanka usłyszała agresywne walenie w drzwi. W te obok i we własne.

– Przecież mówiłam! Zakaz! Jest zakaz. Niech pani wstanie i ich jakoś uspokoi. Staruszków mi pobudzą! Przecież tu wszystko słychać! Boże kochany! Seks, seks jest niemoralny! Nie wolno!

Hanka wstała. Wyszła z pokoju. Z niechęcią, fakt, z dużą niechęcią, podeszła pod drzwi Szczurka. Naprawdę musiał być niezły w te klocki, stwierdziła. Nie spodziewała się czegoś podobnego po tym nieciekawym, bladym chudzielcu. Z pokoju dochodziły takie jęki i zawodzenia, że aż Hance zrobiło się gorąco i zachciało się tego i owego.

– Jezuuu, ostro sobie poczyną! To jakieś sado-maso, bo brzmi dość przerażająco. Ale skoro dziewczyna się zgadza... Żeby tylko nie zamęczył tej biedaczki, noo – westchnęła.

– No! – odpowiedziała Wiolka, stając obok niej. – Głośny jest jak cholera.

Wierciuchowa przestała burczeć i spoglądała to na Hanke, to na Wiolkę.

– Boże wielki! Kogo, do diabła, on tam tak obraca, skoro wy obie jesteście tutaj?!

Chyba jakaś potworna myśl przyszła jej do głowy, bo najpierw zbladła, a następnie poczerwieniała. Ręce zaczęły jej się trząść jak w febrze, wargi pobielwały.

– Panie Kociółek! – wrzasnęła po chwili ze straszłą miną, zmrożona wizją Szczurka w objęciach profesora. – Tego już za wiele! Panie Kociółek, niech pan przestanie natychmiast, niech pan zostanie tego biedaka w spokoju! Tak się nie godzi! Żeby tak...

– Już przestrajam, już przestrajam – sapnął profesor, pojawiając się na półpiętrze.

Tego Wierciuchowa nie przewidziała. Jak taran rzuciła się na drzwi pokoju Szczurka, waląc w nie pięściami.

Należała do kobiet, które bardzo przejmują się moralnością innych, ale dopiero od chwili, kiedy same tracą już wszelkie szanse na jakąkolwiek niemoralność.

– Sprowadził sobie kogoś! Bez pozwolenia?! Otwierać natychmiast, bo, bo, bo... sama wejść! – dodała po chwili, wyjmując zapasowy klucz. – Babę obcą? Bez wiedzy? Bez zezwo... O, niedoczekanie!

Otworzyła drzwi. W pokoju było jasno od świecącego teraz dość mocno księżycy. Było też strasznie i dziwnie. Szczurek leżał w kącie na podłodze, owinięty kołdrą. Jęczał żałośliwie. Płakał, krzyczał i wymachiwał rękoma.

– Wa... wa... wam... piry! – piszczał, wskazując na sufit.

Wierciuchowa zapaliła światło. Na suficie wisały nietoperze, ale nie przejawiały żadnych oznak wampirowości.

Były wyraźnie nietoperzowate i dość duże. Nie miały raczej złych zamiarów, właściwie to chyba żadnych nie miały, bo spały albo przynajmniej próbowały zasnąć owinięte w swoje skórzaste skrzydła. Wisały uczezione belki na stropie i żyrandola. Było ich kilka. Pod nimi skulony na podłodze w dziwnej pozie leżał Szczurek. Wydawał przeraźliwe dźwięki.

– Wstawaj – warknęła Hanka. Chciała podejść do chłopaka, ale potknęła się o coś. Zakłęła. Ręce jej się zaplątały w obszerny szlafrok i wylądowała twarzą na przeciwległej ścianie.

– Co to, do cholery, jest? – jęknęła, rozcierając nos.

– A, poszewka znów puściła – wyjaśniła Wierciuchowa, z niezadowolaniem kręcąc głową. – To naprawdę potworne. Jedna, no najwyżej dwie noce i wszystko się wysypuje.

– Co się wysypuje? Przecież... to jest jakiś cholerny... czosnek?

– Może lepiej było w ząbkach, a nie w główkach? – zastanawiała się właścicielka pensjonatu.

– Jasne, że lepiej – odburknął Szczurek. – Nogę skręciłem, a te wampiry usiłowały mnie zagryźć! Latały tak złowieszco dookoła, że nie mogłem sobie poradzić. I tak buczyły... Tak jakby mechanicznie...

– Buczenie to nie one – machnęła ręką kobieta. – Zresztą to nie są wampiry. To głupie nietoperze. Pan profesor je tu przywabił tą swoją kosmiczną maszyną. A ty mnie nie zagaduj. – Nagle popatrzyła na Szczurka jeszcze podejrzliwiej. – Gdzie ona jest?! Gdzie ta babka, co ją tak namiętnie obracałeś?

– No, albo chłop – dodała Wiolka z zadowoleniem. – W sumie jest równouprawnienie.

– A żeby cię pokreśliło! – Wierciuchowa wyraźnie nie miała ochoty na żadne równouprawnienie, przynajmniej w tej kwestii. – Gadaj! To wysokie piętro. Przecież nie wyrzuciłeś baby oknem. Bo jeżeli tak, to się zabiła...

– Nikogo tu nie było!

– Jasne, a ty wyprawiałeś te cuda z nietoperzem – zakpiła Hanka, po chwili zastanowienia jednak wzdrygnęła się z obrzydzeniem. – Nic nie zrobiłeś tym biednym zwierzątkom? – zapytała dla pewności.

Szczurek się obraził.

– Nic nikomu! Byłem tu sam.

– I sam wydawałeś te dźwięki? Sam? Nie wierzę. – Wierciuchowa podeszła do okna. – Patrzcie! Tam ktoś biegnie! – zawołała, wskazując krzaki.

Rzeczywiście. Ktoś biegł. Nie wiadomo, kto to był. Kobieta? Mężczyzna? Może jakieś zwierzę... Oczy wszystkich trzech kobiet skierowały się na Szczurka, zastygając w złowrogim wyrzucie.

– Cham!

– Zwyrrodnialec! Żeby tak z okna?!

– Zboczeniec – powiedziała w końcu Wierciuchowa, spluwając, i poszła płoszyć przerażone nietoperze. – A mówiłam, żeby zamykać okna? Mówiłam? To mu się seksu zachciało! Zboczeńcowi jednemu... Taki porządny pensjonat, a teraz co? Co ludzie powiedzą?!

Ludzie pewnie powiedzą, że seks to prywatna sprawa i Wierciuchowa nie powinna się w to mieszać, pomyślała Hanka, ale nie powiedziała tego głośno.

– A może on z tym dziennikarzem? – zastanawiała się na głos Wierciuchowa, schodząc do jadalni.

Hanka poszła do siebie, wyjęła z kosmetyczki nożyczki i szybkim ruchem rozpruła szew w poszewce. Na podłogę wysypała kilkanaście główek czosnku. To samo zrobiła z poszwą. Zasnęła i spała o wiele lepiej.

\*\*\*

Nietoperze były wściekle. Nie tak znowu bardzo, bardzo, ale jakoś niczego nie mogły zrozumieć. Nie miały pojęcia o funkcjonowaniu ludzkiego świata. Najpierw coś je wołało. Wyraźnie wołało je, wspominając coś o dziewicach, zachęcało do lotu przyjemnymi drganiem fal akustycznych. Nietoperze nie miały bladego pojęcia, co to dziewice, ale przecież mogły to być smakowite żuki. To, że je zjadały, nie znaczyło jeszcze, że potrafiły je nazwać. W każdym razie brzmiało to jak dobre jedzenie. Potem wleciały i utknęły w jakimś ciepłym, ciemnym pomieszczeniu. Trochę się poobijały, szukając drogi powrotnej.

Nietoperzy było kilka, a miejsca mało. Nagle pojawiło się światło, które jeszcze bardziej je przestraszyło.

Potem ktoś zaczął straszyć się miotać, a następnie coś wrzeszczało jak opętane.

W końcu ktoś inny otworzył szeroko okna na dwór. Wyleciały. Były mocno rozżalone. To już któryś raz coś kazało im opuścić kolonię w dzwonnicy i lecieć na obiecujący połów, który kończył się katastrofą.

Śniadanie upłynęło Hance w nerwowej atmosferze z powodu zachowania Wiolki, która wyzłościwała się nad Szczurkiem. Wierciuchowa podejrzliwie się mu przyglądała, a kucharka znów przesadziła z czosnkiem.

Szczurek siedział z opuchniętą kostką, z kilkoma wyraźnie czosnkoksztaltnymi odciskami na twarzy i miną zaszczutej ofiary. Wprawa, z jaką Wierciuchowa wypędziła z jego pokoju wampiry, wcale mu się nie podobała. Nie dał się nabrać na gadkę, że były to tylko niewinne nietoperze. To musiały być wampiry!

Był jednym z tych młodych wiekiem, ale starych duszą ludzi, którzy uwielbiali teorie spiskowe. Jedną właśnie poważnie rozważał. Po raz pierwszy w życiu był w miasteczku nawiedzanym przez wampiry i po raz pierwszy do pokoju wpadło mu stado nietoperzy. Przypadek? Nie sądził. A może Wierciuchowa prowadzi hodowlę wampirów?

Profesor też miał niewyraźną minę.

– No przepraszam, przepraszam – mamrotał to do siebie, to do Wierciuchowej pojawiającej się z rzadka w jadalni. – To ten wybuch rozstroił aparaturę i teraz nic nie działa tak, jak należy. Sama pani wie, jak się staram! Pracuję całymi nocami, ale nikt tego nie docenia, a ja dla ludzkości to robię, nie dla siebie!

Właścicielka pensjonatu nie odzywała się, tylko raz po raz znikwała w drzwiach do kuchni.

– Pani Wierciuchowa! Proszę mi wszystko dokładnie opowiedzieć! – rzuciła Hanka, wparowując do kuchni, gdzie właścicielka w duszących oparach czosnku strofowała kucharkę.

– Do potrawki trzynaście główek! Tak, przecież pani mówiłam, trzynaście. To ważne, a do sałaty dwadzieścia jeden – instruowała ją. – Ząbków dwadzieścia jeden!

– Nie będzie smaczne...

– Nie ma być smaczne. To znaczy ma być smaczne, ale przede wszystkim skuteczne.

– Pani Wierciuchowa? Chce pani ludzi tym czosnkiem wytruć? Padną tu pani wszyscy jak ryby w akwarium! Pochorują się!

– Nic im nie będzie! Ja do ludzi to nic nie mam, dopóki płacą. Chodzi o te wampiry. Rozumiesz, nie ma ich, oczywiście, że nie ma, albo i są, ja tam nie wiem, nie moja sprawa, ale trzeba się zabezpieczyć. Do wszystkiego dodajemy pewną ilość czosnku...

– Jasne, pewną – burknęła kucharka. – Zużywamy szesnaście kilo na tydzień! Nawet do ciasta dodaję czosnek! I do deserów. Brrr. – Otrząsnęła się z obrzydzeniem.

– Tylko symbolicznie! – zapewniła uspokajająco właścicielka. – Prawie nie czuć!

– To aż tak?

– A jak inaczej? Do każdego posiłku mam dokładać kolek i krucyfiks? To by było za drogo. Sama powiedz. Wszędzie tylko wampiry i wampiry. Ludzie się boją, ale i są ciekawi, więc przyjeżdżają, lecz mało kto ma tak naprawdę ochotę na bliskie spotkanie z zębami i wiecznością. Ja też nie mam ochoty na zwłoki w ogródku, a zarabiać chcę. Muszę się dostosować, czyli mój pensjonat ma być bezpieczny! Wampiryczny, groźny, mroczny, bo to modne, ale bezpieczny, bo to konieczne. Wszystko tak tu działa w miasteczku, oprócz tych kilku knajp w rynku w stylu Czosnek Free.

– Czosnek Free?

– U nas jest free czosnek, znaczy darmowy, a u nich Czosnek Free, czyli czosnku brak. Zakładają, że wampiry też muszą coś jeść. Profesor mówi, że na samej krwi to by nie dały rady przeżyć. Za dużo białka, żelaza, czegoś tam jeszcze... Więc powstały specjalne knajpy dla wampirów. I jak to tam się teraz nazywa, wamparian.

– A to co znowu, ci wamparianie?

– Odmiana jaroszy. Nie chcą szkodzić wampirom. Coś jak weganie, tyle że nie jedzą też czosnku, bo gdyby taki wampir ukąsił kogoś naczosnkowanego, tak jakby przypadkiem, toby chyba się pochorował i umarł, a oni szanują wszelkie przejawy życia. W końcu nie wiadomo, jak czosnek działa na wampiry, nie? Podają tam dziwne drinki, krwiste steki z kaszy jaglanej i kaszankę z czarnej fasoli... Wyobraź sobie kaszankę z fasoli i do tego bez czosnku. To dla wamparian, a dla wampirów mają nawet suszoną krew. Dodają jej też do lodów. Oczywiście na życzenie. I jest taki napis: „Dziewice tylko na zamówienie”. Niby że są w stanie dostarczyć.

– Dziewice?

– Wiesz, towar jak towar. Marketing to poważna sprawa. To podobno ich przysmak, ale trudny do zdobycia w obecnych czasach.

– Dziewice? Czyli wszyscy tu powariowali!

– Nie, oczywiście, że nie. Ludzie zarabiają, jak mogą, a turyści są ostrożni. Zapanowała całkiem nowa filozofia. Nazywa się ażeżelizm. Turysta mówi sobie, że nie ma wampirów, ale zaraz pojawia się myśl: „A żeżeli?”. Zresztą, profesor Kociołek od jakiegoś czasu usiłuje nawiązać z nimi kontakt, tylko jakoś mu się nie udaje.

– Dobrze, zostawmy Kociołka. Niech mi pani powie, co to wczoraj było? Dzieciak mi prawie na zawal zszedł. Kostkę ma skręconą. W poduszkach i kołdrach było pełno czosnku, latały te nietoperze i to straszne wycie psów...

– To ta maszyna na wampiry. Ona tak brzęczy po nocach, że aż zęby cierpną.

– Ma pani maszynię na wampiry?

– Nie ja. Profesor! On ją ma i w nocy usiłuje się z nimi skontaktować.

– W nocy? No tak, to w sumie logiczne – stwierdziła Hanka, nie będąc już niczego pewna. – Chodzi o to, że one według tradycji są stworzeniami nocnymi?

– Nie. Tak naprawdę na bazarze się skarżyli, że im mleko kiśnie i jajka pękają, gdy on to włącza, więc musiał przestawić się na noc, bo chcieli mu ręce i nogi połamać. Ta jego machina to działa jakoś na fale czy inne takie. Muszę mu podnieść cenę za wynajem pokoju i wieżyczki, bo niby cicho jest, ale czasami to aż ściany drżą. Dlatego lepiej mieć zamknięte okna, no i nie szwendać się nocą po parku.

– No właśnie, ale wczoraj ktoś chodził na zewnątrz. Czy to był ktoś stąd?

– Mało prawdopodobne. Moje panie z tajnego turnusu są bardzo rozsądne.

– No tak. – Hanka przypomniała sobie o tajnym turnusie. – Co to w ogóle za turnus? Wiem, że informatyczno-pieluszkowy, ale dlaczego tajny?

Wierciuchowa wyszła z kuchni z przebiegłą miną.

– To jest nowe pokolenie ludzi zniewolonych, na których można całkiem dobrze zarobić. Patrz tam, to Barbara. – Wskazała na kobietę około sześćdziesiątki. – Została zawieziona przez córkę do psychiatry po tym, jak postanowiła zapisać się na taniec brzucha. Rzeczywiście z tym tańcem to trochę przesadziła. Zobacz, jak ona wygląda.

Hanka spojrzała. Zrozumiała. Kobieta była z tych naprawdę wielkich, tęgich bab. Wenus z Willendorfu przy niej byłaby chucherkiem.

– Podobno zarwały się pod nią dwa podesty taneczne – ciągnęła Wierciuchowa. – Ta niepozorna siwa babka to kuzynka Barbary albo jakaś jej ciotka. On jest gdzieś ze świata, ale jak się dowiedziała o wampirach, to koniecznie chciała tu przyjechać. A patrz tam. Te dwie przy stoliku pod oknem to Anna i Katarzyna. Córki zabroniły im kursu komputerowego, bo podobno są już na to za stare, a one nie chcą oglądać seriali, tylko śmigać po sieci. Córki się wściekły, ponieważ mamusi pornografię oglądały. Tamci dwoje w rogu to Emma i Pit. Tak ich nazywamy. Są parą od dwóch lat, ale boją się powiedzieć dzieciom. Ukrywają się, bo dzieci by im piekło z życia zrobiły. Zorganizowałam ten kurs, żeby im pomóc, to „kurs pieluszkowy”, niby ma uczyć zajmowania się wnukami, więc dzieci tych wszystkich starszych osób oczywiście się na niego zgodziły. Ale tak naprawdę mamy tu podstawy

informatyki, trochę imprezowania, wycieczki i zdobywanie nowych znajomych. Ty będziesz prowadzić wykłady z bezpieczeństwa w internecie i z przygodnych znajomości na Facebooku.

– Ja? – Hanka otworzyła oczy ze zdumienia, jeszcze szerzej niż zazwyczaj. – Ale ja nic o tym nie wiem!

– Marika ci nie mówiła? Trudno, to ja ci mówię. Nie jestem pewna, kiedy to będzie, bo salę mam jeszcze niedograń. Może dziś coś załatwimy. A może za kilka dni?

Pieprzona pańskaczyzna, westchnęła w myślach Hanka, bo Marika i jej matka doskonale nadawałyby się na poganiaczy niewolników.

– Za kilka dni rozwiążę sprawę krowy i już mnie tu nie będzie – odburknęła wściekła.

Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Wierciuchowa zachowywała się dokładnie tak, jak jej córka. Uważała Hankę za swoją własność.

– Nigdy nic nie wiadomo – odparła złośliwie właścicielka pensjonatu, wracając do kuchni.

Hanka podeszła do stolika, by dokończyć szczypiące w oczy czosnkowe śniadanie. Nie wierzyła w wampiry tak samo, jak nie wierzyła w czosnek i jego działanie antywampiryczne, ale dopadł ją ażełelizm. Zresztą lubiła czosnek. Może nie w takich ilościach i nie w sytuacjach seksualno-romantycznych, ale nic nie zapowiadało, że taka się jej zdarzy w najbliższym czasie.

Rozejrzała się po jadalni. Turnus zbierał się na jakąś wycieczkę, zaś profesor Kociołek zasnął nad grzanką z serkiem topionym i pochrapywał z przygwizdem. Nocne życie chyba nie bardzo mu służyło. Szczurek i Wiolka grzecznie czekali na nią, dopijając herbatę. Przy stoliku obok siedział dziennikarz, jeszcze bardziej zarośnięty niż wczoraj.

– Idziemy obejrzeć resztki tej krowy – zarządziła, kończąc śniadanie. – Podobno większe kawałki zostały zniesione do piwnicy.

Ruszyli bez pospiechu i bez specjalnych chęci. Krowa to było zadanie zastępcze i doskonale o tym wiedzieli. Wyraźnie nie wiedział o tym, bo przecież nie mógł, siedzący po sąsiedzku dziennikarz.

– Jakaś masakra? – zapytał z nadzieją w głosie i z miną dzieciaka stojącego przed ladą cukierniczą. – Wycięte organy, wyszana krew, te rzeczy?

– Niezupełnie – odburknęła Hanka niechętnie.

– Wampiry ją załatwiły? – zainteresował się chłopak jeszcze bardziej, licząc na jakąkolwiek sensację dla swojej gazety.

– Ktoś ją załatwił. To pewne. Jednak nie wiemy jeszcze kto. W sumie mogły to być nawet wampiry – odparła, uśmiechając się pod nosem. W końcu wampiry miały prawo podkładać bomby.

– Super! Marcel jestem – przedstawił się. – Idę z wami – zaferował zachwycony. – Bo mnie naczelnicy za jaja powiesi, jeśli wrócę bez artykułu. Wywali mnie na zbity pysk – poskarżył się. – Ostatnio zarzuca mi zbytni sceptycyzm.

No tak, sceptycyzm w zawodzie dziennikarza to bardzo pożądana i porządna cecha, ale nie w takim miesięczniku. Hance zrobiło się głupio, ale nie mogła już wycofać się z tych wampirów.

– Mogę? Mogę? Plizzz! Masakra, nie masakra. Ja tam krwi się nie boję – nalegał Marcel, oczyma duszy widząc już grozę krowy po wybuchu, odrobinę przypominającą krwawą chryzantemę z podrobów. Widział też artykuł, a może nawet i podwyżkę. Wyraźnie zaczął się ślinić.

– Nie będzie żadnej krwi. – Hanka wzruszyła ramionami, burząc mu piękne marzenie.

– Czyli wyszana! – zawyrokował. – Jeszcze lepiej. To bardziej wampiryczne i więcej grozy można uzyskać! Ludzie to kochają... Hm, wyszana! Super!

– Przecież mówiłam, że wybuchła. Boże! Mózgu nie masz? Nawet jeżeli jesteś jednym z tych dziennikarzy od kosmitów, to...

W tym momencie obok nich rozległo się charakterystyczne ciamkanie, dokładnie takie, jakie wydaje ktoś śpiący, a właściwie budzący się i usiłujący zetrzeć z ust oraz nosa nadmiar kitu o smaku serka topionego z dodatkiem pieczarek.

– Mmmm, mmm... wstąpił – wystękał profesor, po czym wyraźnie ucieszony, zakrzyknął: – Od kosmitów? Dziennikarz? Do mnie? Przysłał pana do mnie? Idziemy natychmiast... – Zerwał się. – Pokażę panu laboratorium!

Marcel popatrzył na profesora z mieszaniną nadziei i żalu. Krowa była obiecująca. Laboratorium też. Nie potrafił ocenić, co bardziej nadawało się na artykuł. Profesor co prawda nie był piękną brunetką w bikini, ale laboratorium mogło przebić nawet blondynkę topless.

Bardzo szybko przekalkulował wszystko, biorąc pod uwagę okoliczności i swoją wiedzę, jakkolwiek w tej chwili niewielką. Co bardziej zaciekawi czytelnika? Los biednej krowy? Znęcanie się nad zwierzętami? Morderczy czyn szaleńca czy wariat od kosmitów? Zdecydował, że wariat, i uśmiechnął się do Kociołka.

– A wy co tu jeszcze robicie? – wmieszała się Wierciuchowa. – Autokar czeka już tylko na was – powiedziała obrażonym tonem. – Nie wstyd wam?

Hance nie było wstyd, bo nie wiedziała, dlaczego miałyby być.

– O co chodzi, pani Wierciuchowa? Jaki autokar?

– Macie jechać z turnusem do Kotłęcina – rozkazała organizatorka kursu. – Musicie pomóc Lilce. Panie Kociołek, dość tego spania, bo stoły muszą posprzątać. Ty z tą nogą idź gdzieś stąd, bo tylko przeszkadzasz, a na wycieczkę się nie nadajesz. No, ruszać się! Ale to już!

\*\*\*

Dziunia była wściekła. Zarobek przeszedł jej koło nosa. Zresztą o ile zarobek liczył się bardzo, bo musiała dbać o swój image wampirzycy, a te są dość eleganckie, przynajmniej w zakresie lepszej grzebalin w ciucholandach, o tyle bardziej jeszcze liczyła się sława, a sława, mimo że to coś niewymiernego, jest przyjemna. Ludzie pokazują cię sobie palcami, dzieci uciekają z krzykiem... No, młodsze dzieci. Sklepowe obsługują poza kolejnością i zazdrosczą! Zazdrość Mańki z warzywniaka, Teresy z mięsnego czy przemądrzałej Baśki z bazaru śniła się jej po nocach jako zadośćuczynienie za wszelkie nieprzyjemności, których doznawała od tych wrednych bab przez lata. Zawsze ją oszukiwały na towarze. Zawsze! Ot, chociażby taki kalafior z zeszłego miesiąca. Nie dość, że drogi, to jeszcze ze ślimakami... Albo szynkowa. Zupełnie do niczego. A jak pokrojona! Dziunia nie jadła wiele. Nie gotowała prawie wcale. Jak wszystkie kobiety, była na diecie. Co prawda na diecie płynnej, ale czasami przecież musiała coś przekąsić.

Dziunia pożałowała sławy, ale nie była głupia. Owszem, chętnie wystąpiłaby w *Teleexpressie* czy w *Rozmowach w toku*, ale zdawała sobie sprawę z tego, że ta sława, telewizyjna, liczona w minutach, jest nieco ulotna i nieprzydatna w jej środowisku. Bo niby jak ma być? Połowa kum nie ogląda niczego poza dziennikiem, a w dzienniku mogłaby wystąpić jedynie w formie zwłok. Wolała pisma, najchętniej te kolorowe, które po prostu pokazywałyby każdemu, podtykała od niechcenia pod nos babom na bazarze jeszcze przez długie miesiące, a najbardziej kłula nimi w oczy swojego chłopa.

Znała stare powiedzenie, że każdy mężczyzna chętnie zobaczyłby córkę na okładce „Playboya”, syna na okładce „Przeglądu Sportowego”, a żonę w programie *Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie*. Niedoczekanie! Dzieci nie mieli. Dziunia była osobą przedsiębiorczą, więc taki wywiad bardzo by jej się przydał. Wystarczyło dodać dwa do dwóch i jakoś to zorganizować.

Nie chciała oczywiście zbyt natrętnie nagabywać dziennikarza. Wtedy efekt byłby odwrotny. Postanowiła, że zrobi coś, co sprawi, że durny pismak sam do niej przyjdzie, ba, nawet przybiegnie z pieniżkami w zębach.

Musiała zrobić coś spektakularnego. Coś takiego, że kłękają narody!

Potrzebne jej było odpowiednie miejsce, odpowiedni czas i pół kilograma suszonej krwi. No, może kilogram.

Kurzydło sypiał źle. Ostatnio znów bolały go mięśnie, choć na szczęście nie był chory. Jednak czuł się okropnie, bo co to znów, żeby tak ni z tego, ni z owego znów wszystko zaczęło go boleć? Nogi, ręce, szyja, a nawet szczeka. Kazał żonie wywalić cały czosnek z łóżka, ale się nie zgodziła. Za skarby świata nie chciała wyjąć czosnku z poszewek, poszew, szuflad, szaf ani nawet z butów, skarpet i wszelkich możliwych kieszeni.

Sytuacja w mieście wcale się nie poprawiała, ba, nawet pogarszała się, a na posterunku wcale nie było lepiej. Ludzie niby rozsądni, niby. „Co pan, panie komendancie? Jakie wampiry?”. A gdzie tylko się dało, przemycali wodę święconą, od jakiegoś czasu sprzedawaną przez organistę w litrowych butelkach z napisem „Do użytku zewnętrznego”, oraz tabletki z liofilizowanego czosnku, produkowane przez miejscową zielarkę i sprzedawane za ciężkie pieniądze pod nazwą „awampiryna”.

Kurzydło na to pozwalał. Właściwie to nie pozwalał, ale przymykał oczy. Nie mógł zrobić niczego więcej.

– Co z tymi grobami? – rzucił zmęczonym głosem, chcąc w końcu coś zrobić. Od czasu pojawienia się wampirów spadła liczba bójek i kradzieży, a nawet interwencji w sprawach związanych z przemocą domową. Niestety znacząco wzrosła liczba anonimów.

Anonimy mają to do siebie, że trzeba je weryfikować. Pół biedy, jeśli ktoś pisze, że sąsiad spod trójki jest wampirem. To można jakoś pominąć. A co tam, wolno mu, niech sobie będzie. Ale jeśli taki pisze, że ten sąsiad jest wampirem i żywi się krwią nieletnich, zaczyna być nieco gorzej. Nie chodzi zresztą tylko o nieletnich, w grę wchodzi też rodzice, rodzeństwo, przygodni znajomi i oczywiście dziewice. Kurzydło nie bardzo wiedział, skąd wampiry miałyby brać te dziewczęta. Sto, dwieście lat temu pewnie by się jakoś wyżywiły, ale teraz co wybredniejsze umarłyby po prostu z głodu.

Bycie wampirem nie zostało jeszcze uregulowane żadną ustawą, toteż miały prawo istnieć, pod warunkiem że zrezygnują ze swojej tradycyjnej diety. Jednak wiara, że wampir może zrezygnować z krwi, należała do tej samej bajki, w której Polacy mogą zrezygnować z wódki.

Codziennie przychodziło kilkanaście anonimów adresowanych na komisariat. Większość dotyczyła krwi i dziewic – nieletnich oczywiście, wśród innych istniał poważny deficyt – oraz wszelkiego rodzaju problemów żywieniowych wampirów spod numerów od jedyńki do stu sześćdziesięciu dziewięciu. Wyższe w Zagubinie po prostu nie istniały. Kurzydło jednak z uporem maniaka zamiast z żywymi naprzód iść, interesował się grobami.

Bo te groby były dziwne. Wszystkie, które ostatnio widział, czyli w sumie siedem. Albo raczej jeden grób z wkładem, trzy groby bez wkładów i trzy grobopodobne jamy z pewną liczbą rozsypanych bezładnie kości.

Po przeliczeniu wszystkich elementów szkieletów, które znaleziono w trzech jamach, bo trudno te miejsca nazwać grobami, okazało się, że kości, kostek i pomniejszych kosteczek było około pięciuset. Systemem „zrób to sam” można było ułożyć z nich z grubsza trzy osoby. Trzy bardzo martwe osoby. Pomimo że w jednej jamie znaleziono same ręce, w drugiej trzy nogi i pół ręki, a w trzeciej dwie miednice, patolodzy stanowczo odmówili uznania istnienia człowieka o czterech rękach. Obrazili się też na sugestię, iż istnieje ktoś w kształcie trójnogiego głoworęka, a o dwumiedniczaku kazali zapomnieć.

Śledczy powiązali te dziwne twory z wcześniej rozkopanymi grobami, co zamiast uciszyć plotki, jeszcze bardziej je nasiliło. Kości spokojnie leżały w grobach, a potem jakoś z tych grobów zniknęły. Potem pojawiły się gdzieś indziej... to wszystko.

Czyli co? No co? Przypadek? Niemożliwe! Coś tu musi znaczyć, prawda?

Każdy zgadzał się z tym, że takie sobie, ot, przemieszczanie kości jest po prostu bez sensu. Oczywiście nikt by tego nie zrobił bez celu. Z tego wynikł pomysł, chętnie komentowany we wszystkich środowiskach, że coś tu musi być na rzeczy. Powstała teoria, iż kości przemieściły się same.

Wampiry przecież wstają z grobów. Co prawda nie wiadomo jak, ale wiadomo, że wstają, a więc wstały. Jeżeli wstały, to pewnie gdzieś poszły. Co innego miały robić?

Mogły sobie pewnie darować poranną toaletę i wizytę w ubikacji. Nikt nie zastanawiał się nad problemami wydalniczymi wampirów, ale jak każdy po dłuższym śnie musiały być głodne. Pożywiły się więc. Czymś, a właściwie kimś. Nie wiadomo, jak to na nie wpłynęło. Może posiłek był podlany zbyt dużą ilością alkoholu, co wskazywałoby na Dziunię i jej kompanów, i od tego alkoholu się pochorowały? Może to nie są czysto polskie wampiry? Może mają słabe głowy? A może są zwyczajnie niewytrenowane? To byłoby logiczne. Napily się i padły bezładnie jak leci, stąd zamieszanie w liczbie rąk, nóg i całej reszty. Poza tym to nie musiał być przecież alkohol. Mógł to być choćby polirycynooleinian poliglicerolu albo glutaminian sodu. Nawet wampiry mogą cierpieć na alergię pokarmowe.

Toteż pojawienie się dziwnych kościotworów odnalezionych w dołach nad rzeką przez bohatera wędkarza, zamiast ludzi uspokoić, jeszcze bardziej ich utwierdziło w wierze w istnienie wampirów.

Co ciekawsze, teorię tę wyłożyła komendantowi przy szarlotce jego własna teściowa przy wcale nie milczącej aprobacie żony. Kurzydło bardzo się zdenerwował. Rzucił łyżeczką o spodek i zaklął. Tylko na tyle mógł sobie pozwolić. Jako funkcjonariusz policji nie mógł zrobić niczego innego. Nawet nie mógł zwiariować.

\*\*\*

Lilka okazała się szczupłą, drobną kobietą, która – mimo najszczerzych chęci – nie była w stanie zapanować nad uczestnikami tajnego turnusu. Wszyscy zachowywali się jak nastolatki, które na chwilę urwały się spod kontroli rodziców. Kobiety chichotały, chodziły tam i z powrotem, nie były w stanie usiedzieć na miejscach w autobusie, piszczaly jak opętane, ukradkiem paliły papierosy albo popijały coś z dobrze zakamuflowanych butelek.

Czasami rozlegał się dzwonek telefonu. Ten dźwięk miał dziwne działanie. Nagle ten i ów szarzał, kulił się, uciszał wszystkich dookoła, a potem ze zbolaną miną powtarzał, że owszem, dobrze się czuje, ale kości go bolą, pogoda paskudna, ludzie niemili, a nuuudy...

– Tylko nie przesadzajcie – strofowała ich w takich sytuacjach Lilka. – Bo jeszcze przyjadą was odwiedzić albo i zabrać do domu! Ma być źle, ale umiarkowanie! Nudno, ale nie strasznie. Wasze dzieci nie chcą, żebyście się za dobrze bawili, ale wymordować was też nie pozwolą!

Wsiadli do samochodu dopiero koło jedenastej. Ruszyli godzinę później. Hanka, Wiolka i pani Lilka jak rasowe opiekunki kolonijne siedziały koło kierowcy i pilnowały, żeby pasażerowie nie szaleli za bardzo.

– Odbija im? – zapytała szeptem Hanka.

– A dziwisz się? – odpowiedziała pani Lilka, bezceremonialnie przechodząc z Hanką na „ty”, jakby miała do tego wszelkie prawa. Należała do tych osób, które nie zauważają swojego wieku, co nie zawsze wychodzi im na dobre. – Gdybyś ty wyrwała się z domu po raz pierwszy od roku, też byś szalała.

– Ale oni piją!

– Nie przesadzaj. Są dorośli!

– Może im zaszkodzić – zauważyła Wiolka. – Biorą leki i w ogóle.

– Wiesz, wszystko może im zaszkodzić. Przede wszystkim życie, powietrze jest skażone, jedzenie pełne wszelkiego świństwa, ludzie wredni, no i wampiry dookoła – odparła kobieta, wrzeszcząc ramionami.

– A tam wampiry – roześmiała się Hanka. – W to już nie uwierzę.

Przejechali przez miasto, które ogólnie miało więcej wampirycznych znaków i makabrycznych reklam, niż ktokolwiek widział gdziekolwiek indziej. Minęli restaurację Pod Wampirem, pub Nad



Krwawą Rzeką, bar Przy Przeklętym Moście, kawiarnię Na Upiornym Rozstaju i dziesiątki podobnych. Nie tylko przybytki sztuki kulinarnej przesadzały z nazwami. Cała reszta też. Hance zrobiło się słabo na widok kliniki dentystycznej Dziurawy Kieł, sklepu zoologicznego Twój Przyjaciel Kleszcz i sklepiku z odzieżą używaną o nazwie Nietoperek. Wyjechali z miasta i skierowali się na południe.

Jechali wąską, krętą drogą pośród lasów, co jakiś czas przejeżdżając przez niewielkie kamienne wioski, o wiele ładniejsze i lepiej utrzymane niż te w innych regionach kraju. Mniej tu było przydomowych śmietników, więcej klombów, mniej spalonych gruchotów i starych syrenek, więcej eleganckich mercedesów. Co krok dało się zauważyć rozbudowane, murowane grille z szamotowej cegły i piękne drewniane zadaszenia, pod którymi stały stoły i ławki z ozdobnymi siedziskami.

W porównaniu do Zagubina tu widać było zdecydowanie mniej oznak wampirzego szaleństwa, choć większość domów, zagród, stodół i wszelkich innych zabudowań obwieszono warkoczami czosnku i końskimi podkowami. Niektóre podkowy były tak wielkie i wymyślne, że nadawały się tylko dla zdecydowanie dużych koni mechanicznych.

Zniknęły też zwyczajowe tabliczki „Uwaga, zły pies” czy „Uwaga! Teściowa biega luzem”, a zastąpiły je inne, bardziej wymyślne: „Uwaga, tu łaknie się krwi” albo „Za tą bramą może czaić się życie pozagrobowe”.

– Ty nie wierzysz, ale ludzie wierzą – powiedziała pani Lilka po chwili milczenia. – Każdy! Każdy tutaj wierzy! To co? Uważasz się za mądrzejszą od tylu tysięcy ludzi?

– Nie, ale to wyjątkowo głupie. Taka wiara w wampiry to czyste średniowiecze! Bajki!

– Wcale nie – obruszyła się kobieta. – Wampiry istnieją. To pradawne istoty, które potrafią przetrwać całe stulecia w uspieniu, a potem wychodzą na żer. O!

Hanka zadrzała na samą myśl o pradawnych istotach. Nie wydawały się jej ani magiczne, ani nawet wampiryczne, ale oślisze i jadowite.

Zrobiło się nieprzyjemnie, jednak Lilka wcale nie miała zamiaru kończyć.

– One są jak kleszcze. Takie wielkie, czarne, złowrogie kleszczyska. Przysysają się do człowieka i wysysają z niego krew albo energię, albo duszę, co tylko chcą... A jak już się przysysą, to wpuszczają do człowieka takie coś...

– Pani Lilko! – Hanka usiłowała przystopować opowieść kobiety, bo nagle wszyscy się uspokoili i wyglądali na nieco przestraszonych.

– Co pani Lilko?! Co pani Lilko? Kleszcz może wpuścić chorobę. Jakąś tam boreliozę. A wampiry wpuszczają wampirozę! I zarażeni robią się ospali, boją się światła, a potem łakną krwi... I chodzą tak jakoś...

Jednym zdaniem ustanowiła nową jednostkę chorobową oraz jej podstawowe objawy.

\*\*\*

Dziunia musiała wybrać takie miejsce, w którym nie leżałaby zbyt długo, zanim ją odnajdą, czyli miejsce wrażliwe społecznie. To określenie znała z telewizji.

Najlepsze byłoby przedszkole, ale jej plan wymagał zmroku, a kto odwiedza przedszkola po zapadnięciu ciemności? Odpadała też szkoła, mniej więcej z tego samego powodu. Park miejski również się nie nadawał, bo w parku tylu ludzi leży w krzakach z różnych przyczyn, że nikt się specjalnie leżącymi nie przejmuje, a ona nie mogła czekać zbyt długo.

Dobry byłby parking kościelny, ale dla zrealizowania tego wampirycznego pomysłu musiała trzymać się swojej legendy, więc stronić od miejsc kultu.

Wybrała zarośla obok Krwiozerczego Piotrusia, bo tam się zawsze dużo działo. Poza tym dziennikarz tam właśnie zamieszkał i przy odrobinie szczęścia znajdą ją po kilku minutach.

Wieczór w okolicach dwudziestej drugiej był najlepszy. W Piotrusiu nie wolno było palić, więc mogła liczyć na palaczy, którzy wyjdą na dymka po kolacji.

Problemem było też samo leżenie, ale nie bardzo wiedziała, co innego miałyby robić. Wydedukowała, że jeżeli będzie siedziała albo stała, nikt nie zwróci na nią uwagi, a nawet jeśli zwróci, to nie wezwie policji. Z drugiej strony nie chciała leżeć, bo leżąc, dawała do zrozumienia, że została zaatakowana przez wampira, a to jej nie odpowiadało. To ona miała atakować. W końcu była pełnoprawnym wampirem, a przecież wampiry nie jadają siebie nawzajem!

\*\*\*

Marcel trochę niepewnie wspinał się po krętych schodach za rozentuzjanzmowanym Kociołkiem, raz po raz zadając pytania, żeby jak najwięcej się dowiedzieć. Trochę się obawiał tego laboratorium. Był sceptykiem, a to pozwalało mu nie bać się wampirów czy strzyg, ale niestety, nie zmniejszało obawy przed ludźmi, którzy w nie wierzyli. Z pewnością nie byli specjalnie normalni, a więc nie dzielić być niebezpieczni.

– Ile razy pana porwali? – zagadnął obeznany z tematem, ale Kociołek tylko sapnął oburzony.

– Nikt mnie nie porywał. Nie, nie, nie. Ja jestem poważnym naukowcem, panie redaktorze – powiedział, chcąc się przypochlebić dziennikarzowi. Zresztą jak inaczej miał się do niego zwracać?

– A ten, no, implant albo czip? Jak go panu wszczepili? – Marcel nie ustępował choćby dlatego, że poważni naukowcy wcale go nie interesowali. Byli zazwyczaj koszmarnie zasadniczy i nudni.

– Niczego mi nie wszczepiali! Coś pan, z choinki się urwał? Wierzy pan w te bzdury?

– No wie pan, sam pan mówił coś o kosmitach i laboratorium. Ja tam nie jestem od tego, żeby wierzyć czy żeby nie wierzyć. Mam zrobić zdjęcia i napisać artykuł.

– Ale aparaty nie dam fotografować! Jest ściśle tajna! – zaznaczył profesor pospiesznie.

– Panie! To po co ja tam w ogóle idę? Nie mogę fotografować, nikt pana nie porwał, nie ma pan czipa w głowie. Eee! Spadam – powiedział, zwracając zły na siebie, że zrezygnował z krowy. Teraz wydała się o wiele bardziej obiecującą sensacją. Miał nadzieję, że krowa jeszcze nie całkiem przepadła.

\*\*\*

Dojazd do Kotłęcina zabrał im ledwie kilkanaście minut, podczas których Hanka szczerze się zastanawiała, dokąd zmierza ten świat. Z tego, co widziała za oknami, można było wywnioskować, że zmierzał w kierunku, przy którym mroki średniowiecza nawet w świet-le stosów wyglądały jak wesołe miasteczko dla grzecznych dzieci. Z drugiej strony była nawet zadowolona, bo Kotłęcina i tak miała w swoich zawodowych planach.

– I co będziemy tam robić? – zapytała. Z jej punktu widzenia, a właściwie z punktu widzenia jej zapchanego czosnkowym śniadaniem żołądka piknik nie wchodził w grę.

– Zajęcia z informatyki! – odparła dumnie Lilka. – W Piotrusiu nie mamy jeszcze pracowni komputerowej, a Stawicki zgodził się nam wynajmować swoją w dogodnych cenach.

Stawicki. Wreszcie padło to nazwisko. Hanka właśnie z jego powodu została zesłana do tego wampirzego raj. Z danych wynikało, że to właśnie Arnold Stawicki matrymonialnie interesuje się Wierciuchową, co tak niepokoiło i zarazem cieszyło jej szefową Marikę.

Kotłęcina to było bezsprzecznie ciekawe miejsce. Jeden z tych świeżo odrestaurowanych pałacyków, w których zazwyczaj urządzano hotel z elegancką restauracją i jakieś szalenie ekskluzywne spa.

Tutaj też to wszystko było. Był również plac zabaw dla dzieci, prawie naturalne jeziorko ze wspaniałe zagospodarowanymi plażami i park z urokliwymi alejkami dla romantycznych par z pieniędzmi, ale za to bez wyobraźni.

– Kochani, wysiadamy – zarządziła Lilka, zwracając się do pasażerów autobusu jak do trochę niedorozwiniętych, niesfornych przedszkolaków. – Dzisiaj mamy zajęcia z Facebooka – zachęcała opornych, którzy po śniadaniu i kilku głębszych zdążyli popasypać w autobusie.

– Ach, to ta strona o kotach! – ucieszyła się pani Basia. Nikt jej nie wyprowadził z błędu.

– I takie piękne teksty tam są. Naprawdę. Takie... – jej koleżanka wyraźnie wołała poezję – takie... Nie patrz wstecz, coś tam, coś tam. No, takie życiowe!

– I świetne obrazki – dodała Emma. – Takie śliczne, z serduszkami, i takie promienie, i róże, i delfiny nawet!

Wyraźnie było widać, że Facebook nie był im całkiem obcy. Hanka zastanawiała się, po co w ogóle Wierciuchowa uparła się, żeby i ona wybrała się na tę wycieczkę. Teraz coś zaczynało jej świtać. Wykłady! Miała wygłosić wykład, a przecież była zupełnie nieprzygotowana!

– No więc, kochana... – Pani Lilka należała do tych denerwujących osób, które „kochały” cały świat. – Więc powiesz im kilka słów o bezpieczeństwie i tak dalej, a potem już sami sobie poradzą. Obiad o czternastej.

Hanka zorientowała się, że kurs wyraźnie należał do tych z bardzo fachowym podejściem do sprawy, to znaczy do opłat, z pominięciem całej reszty.

Weszli do sali z kilkoma dość przedpotopowymi komputerami. Brzuchate monitory rozświetlały salę słabym światłem. Przy każdym komputerze zasiadły dwie osoby. Jak na salę komputerową, ta była bardzo, bardzo skromna.

Hanka przez chwilę zastanawiała się, jak skutecznie i szybko, przede wszystkim szybko, wprowadzić swoich uczniów w temat, jak zrobić to ciekawie i dać im choć odrobinę radości życia, której z pewnością im brakowało.

– Facebook to śmietnik! – powiedziała, stając za grupą wpatrzoną w monitory. – Tam jest wszystko i są wszyscy. Od zbrojczyków po seryjnych morderców. Wasze dzieci też. Nie podawajcie swoich adresów, numerów kart kredytowych i PESEL-u, bo was znajdą albo mordercy, albo wasze dzieci. Nie wiadomo, kto będzie gorszy. – Uśmiechnęła się zadowolona z dobrze wykonanego zadania. – No to pa.

Pisk ze strony uczniów lekko ją oszołomił, gdyż wydawał się radosny. Szybko złapała Wiołkę za rękę i wyciągnęła ją z sali.

Oglądanie pałacyku i okolic nie zajęło im wiele czasu. Była to raczej świątynia konsumpcji niż dumania. Hanka zrobiła kilka zdjęć, przyjrzała się klienteli, przejrzała foldery reklamowe i westchnęła.

– I niby właściciel tego czegoś szuka żony przez nasze biuro matrymonialne? – zapytała raczej samą siebie niż Wiołkę.

– Różnie bywa. – Wiołka, nie wiedząc, co powiedzieć, usiłowała być głęboko filozoficzna. Zazwyczaj działało. – Ludzie bywają samotni.

– Ha, ha! – odburknęła Hanka.

– No co? Przecież bywają? – Wiołka bardziej zapytała, niż stwierdziła.

– Właścicielowi czegoś takiego – Hanka powiodła wzrokiem dookoła siebie – brakuje czasu na życie rodzinne, nawet jeżeli jakieś ma, a co dopiero na szukanie nowych wrażeń. I powinnam uwierzyć, że taki ktoś szukałby żony w swoim wieku?! Dobre sobie. Dwadzieścia lat młodsza jeszcze by uszła, ale nie jakaś baba po pięćdziesiątce! Popatrz, jakie tu są pieniądze!

Obie zdawały sobie sprawę, że Kotłęcin, mimo iż dziwaczny, ogólnie kiczowaty i naćkany wszystkim jak wielkanocna babka bakaliarni, musiał przynosić niezłe dochody. Musiał też być sporo wart.

– Może chodzi o pieniądze? Facet chce Wierciuchową z powodu jej Krwiożerczego Piotrusia?

– Nie ta skala. Piotruś to przyszczy przy tym molochu. Ale masz rację – Hanka pochwaliła Wiołkę. – Coś w tym jest i z pewnością nie chodzi o pociąg do rodzinnej sielanki. Tu musi chodzić o coś innego, choć w tej chwili niewiele jeszcze wiemy.

Przeszły się po parkowych alejkach gęsto obsadzonych gipsowymi rzeźbami niczym drzewami, takimi jakie można spotkać w ogródkach przy większości niemieckich domów. Trochę dalej, w dużych skupiskach stały też gipsowe krasnale. Ich twarze, a może pyski, bo nie dało się rozróżnić, były wykrzywione koszmarnymi uśmiechami.

Dziewczyny poszły nad jeziorko. Zwiedziły plac zabaw. W głowie Hanki o uwagę walczyło kilka myśli, które chciały zostać zauważone, ale jakoś się nie przebiły do jej świadomości oglupionej wszechobecnym hałasem i przesadnym blichтром.

Nigdzie też nie zauważyły śladów panującego kilkanaście kilometrów dalej wampirycznego szaleństwa.

Obiad upłynął w podnieconej atmosferze. Nic tak nie cieszy, jak odnalezienie na Facebooku kilku dawnych koleżanek i stwierdzenie, że paskudnie się postarzały.

– A po obiedzie, moje kochane, spotkanie z ekspertem! – powiedziała pani Lilka tajemniczym tonem.

\* \* \*

– No dobra, dobra, wracaj pan! – zawołał profesor Kociólek błagalnie. Co prawda aparatura była tajna, ba, nawet bardzo tajna, ale on tajny być nie chciał. Marzył, by świat o nim usłyszał. Był też pewien, że jak tylko ten świat o nim usłyszy, to natychmiast zgodzi się z jego teorią na temat kosmitów, a od tego do Nobla już tylko kroczek.

Pracował nad nią latami i bardzo chciał zostać doceniony.

Marcel zawrócił niechętnie. W zasadzie nic innego nie miał do roboty. Krowa musiała poczekać, aż dziewczyny wrócą z wycieczki. Miasteczko wcale mu się nie podobało, a robienie reportażu o przybytkach kulinarnych wampirycznego Zagubina zostawił na potem przede wszystkim dlatego, że taki reportaż mógł najzwyczajniej nie wypalić. Bo co innego nazwać knajpę od wampira albo krwi, a co innego podawać w niej jakieś ciekawe, wampirycznie brzmiące dania. Kaszanka to jeszcze za mało.

– Ale skoro pan nie masz czipa...

– Chodź pan, chodź pan, panie dziennikarzu, to jest ciekawsze od czipa – zachęcał go profesor, idąc po krętych schodach do pomieszczenia w wieżycze.

I rzeczywiście było ciekawsze. O wiele ciekawsze. Tak ciekawe, że Marcel natychmiast chciał stamtąd uciekać, ale wołał nie ryzykować. W końcu ktoś, kto zamiast igły gramofonowej stosuje bagnet, nie może być całkiem nieszkodliwy.

– Sam to wszystko zrobiłem! – pochwalili się pan Kociólek.

– Nie wątpię – odpowiedział Marcel całkowicie szczerze. Nie wątpił.

To, co zobaczył, przyparwiłoby o zawrót głowy maniakalnego mordercę i zbieracza w jednym. Były tam trzy połączone ze sobą mikrofalówki, stary gramofon, kilka anten telewizyjnych, powyginanych w karkołomne esy-floresy, jakieś wzmacniacze, maszyna do szycia, talerz od kablówki, kilka bliżej niezidentyfikowanych urządzeń elektronicznych oraz dwie kosy, kilka tasaków i wspomniany już bagnet.

– A jak działa! – zawołał z entuzjazmem profesor, pociągając za jedną z bardzo licznych wajch.

Marcel poczuł, że cierpną mu gałki oczne, a zęby zaczynają dzwonić.

– Czuj pan?

– Zzzzo zzo ttto jeezzzzdd? – wybrzęczał, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że kości jego czaszki rezonują i za chwilę rozpadną się z brzękiem.

– To wezwanie. Właściwie nie powinienem tego teraz używać, bo...

Z dołu usłyszeli kilka głuchych, ale wyraźnych wybuchów. Puuuf! Puuuffff! Puf! Puf!

– Panie Kociólek! – dobiegł ich wściekły wrzask kucharki. – Przystanie pan natychmiast, bo jajka nam strzelają! Już sześć poszło!

– No widzi pan? – powiedział profesor, wyłączając urządzenie. – I jak tu pracować?

– Co to jest?! – Marcel tym razem zapytał w miarę wyraźnie. W sumie był zaciekawiony. Wariat, nawet bez kosmicznego czipa, może być interesujący, szczególnie kiedy wymyślił maszynę

do gotowania mózgu na miękko.

– To był sygnał wezwania dla kosmitów, którzy przebywają w tej okolicy. Powinni na to zareagować i zjawić się tu u mnie. Dlatego muszę się dobrze zabezpieczać.

Wskazał na ściany. Dopiero teraz Marcel zauważył, że ściany pomieszczenia ozdobione są... no, chyba ozdobione, ogromną liczbą krzyży, krzyżyków, rzeźbionych krucyfiksów, kołków, wianków czosnku, świętych obrazków, figurek, mniejszych i większych plastikowych buteleczek.

– Woda święcona – wyjaśnił Kociołek, widząc spojrzenie dziennikarza. – Choć tu wołałbym jej nie używać. Mogłoby dojść do niebezpiecznego spięcia.

– Zaraz! O czym my mówimy? O kosmitach czy o wampirach, bo ja już nie rozumiem.

Marcel był zaskoczony. Wariat tej klasy, co profesor, może być kopalnią artykułów, ale to jego szaleństwo trzeba jednak jakoś uporządkować. Przecież kosmita to kosmita, a wampir to wampir. Nikt nie uwierzy w kosmitę uciekającego przed wodą święconą.

Profesor Kociołek usiadł z zadowoleniem w fotelu, wskazując gościowi miejsce na zydelku pod ścianą.

– I właśnie o to chodzi. Nikt niczego nie rozumie, a przecież to takie proste. To takie oczywiste! I wie pan? Pan pierwszy będzie mógł o tym napisać, choć oczywiście, bez obrazu, artykuł muszę dostać do autoryzacji.

– O czym napisać?

– Jeszcze pan się nie domyśla?

Marcel w tej chwili snuł pewne domysły na temat zdrowia psychicznego swojego rozmówcy. Zastanawiał się nad wydolnością instalacji elektrycznej w pensjonacie i obliczał ryzyko spalenia się żywcem, nocą, we śnie, w przypadku wspomnianego niebezpiecznego spięcia, ale o tym pisać raczej nie zamierzał.

– Nieee, zupełnie nie – powiedział uspokajającym tonem, bo ucieczka z wieżyczki w dół po krętych schodach przedstawiała spore ryzyko trwałego uszczerbku na zdrowiu, zwłaszcza z szaleńcem za plecami.

– No przecież to takie proste i logiczne! Te wampiry...

– Ale co mnie obchodzą wampiry? Miał pan mówić o kosmitach! Wampiry nie istnieją.

– Ależ istnieją! To one są kosmitami – wyjął profesor. – Rozumie pan?

Teraz brakowało już tylko porządnego maniakałnego śmiechu i gromu z jasnego nieba, ponieważ jednak nie było ani jednego, ani drugiego, a w naturze nie istnieje coś takiego jak pustka, więc zamiast tych spektakularnych efektów dźwiękowych, w drzwiach wieżyczki pojawił się niemniej spektakularny efekt wizualny w postaci wścieklej Wierciuchowej.

– Obiad! Ile razy mam wołać? Turnus na wyjeździe, a połamaniec śpi jak zabity. Schodzić mi tu zaraz, bo pierogi się rozklejają, jak je trzeci raz gotować, a ja już od godziny czekam. I jeszcze ta babka spod trójki od wczoraj się nie pokazuje. Czort wie, zasłała, nie żyje czy może gdzie wyjechała.

Zeszli. Obaj byli głodni. Kociołek czuł się trochę zawiedziony, Marcel raczej szczęśliwy, choć także odrobinę rozczarowany, gdyż obawiał się, że obłąkany (z całą pewnością obłąkany) wampiryzmem ufolog Kociołek nie nadaje się na temat artykułu. Czasami na bezrybiu i rak ryba, pocieszał się w duchu.

Pierogi były obrzydliwe. Właściwie nie były to pierogi *sensu stricto*. Wizualnie już nie. Smakowo raczej też. Z wyglądu to było coś, co patolog sądowy mógł spokojnie odkryć w żołądku nieboszczyka, w smaku pewnie też, ale mało który podejmuje się próbować.

Mężczyźni otrzymali talerze sownicie posypanej siekanym czosnkiem pierogopodobnej papki dryfującej swobodnie w morzu, a może i oceanie roztopionego smalcu ze skwarkami.

– No, czego się tak gapiecie? Trzy razy gotowane! Trzeba było zejść na czas.

Siedzieli we trzech przy jednym stoliku. Jedyńm, który był dla nich nakryty. Kociołek, Marcel i Szczurek w milczeniu i bez specjalnego entuzjazmu wydłubywali z talerzy co bardziej rozpoznawalne kawałki pierogów. Właściwie nawet nie musieli tego jeść, bo właścicielka już nakrywała do kolacji.

– No szybciej. Za godzinę wraca wycieczka. Kolacja, a po kolacji, panie Kociołek, żadnych szaleństw. Ma być cisza i spokój, żeby nie było jak wczoraj!

\*\*\*

– Po co im, do cholery, ekspert od win?! – zawołała Hanka, kiedy wpakowali ostatniego, ledwie żywego pasażera do autobusu.

– Innego nie dało się znaleźć – odparła obrażona Lilka. – Chciałam zapewnić im jakieś atrakcje!

– Teraz będą mieli ich aż nadto.

– Mówił, żeby wypłukać!

– Może i mówił. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Najwyraźniej nie słuchali.

Towarzystwo było bardzo, ale to bardzo nietrzeźwe. Nie była to ta wesola nietrzeźwość, która objawia się po lampce lub dwóch porządnego koniaku, ale ta, z którą mamy do czynienia po zmieszaniu różnych gatunków win. Pochmurna, bolesna, naburmuszona i wokalno-taneczna. A że trudno tańczyć do *Rozkwitały pąki białych róż*, to obrażona na cały świat.

Hanka zdawała sobie sprawę z tego, że należy jak najszybciej dostarczyć towarzystwo do łóżek i przydzielać im miednice. Pielęgniarki też by się przydały, bo cierpienie, jakie malowało się na twarzach uczestników turnusu, nie wróżyło niczego dobrego. Byli wyczerpani, mieli zielonkawa cerę i wszyscy bez wyjątku, jęcząc, żądali plastikowych torebek.

Kiedy autobus ruszył, zrobiło się o wiele gorzej.

Już i tak byli spóźnieni o dobre dwie godziny. Nic nie zapowiadało, że droga do pensjonatu będzie krótka.

\*\*\*

Dziunia przyczyła się w krzakach około dwudziestej. Miała bardzo prosty, ale genialny plan. W reklamówce przyniosła butlę wody mineralnej, jednej z tych dobrze gazowanych, i okazałą torebkę foliową wypełnioną ciemnobrązowym proszkiem, który zakupiła za całkiem niezłą sumkę dziewięćdziesiąt złotych w sklepie mięsny.

Dziewięć złotych musiała zainwestować, mimo że trochę ją suszyło i dałaby wiele za kilka łyków wina. Jednak nie od dziś wiedziała, co to poświęcenie. Test marshmallow przeszedł bez problemu. Nie lubiła pianek. Natomiast taki sam test ze szklanką wódki przysporzyłby jej poważnych kłopotów. Na szczęście nikt takiego wódczanego testu nie wymyślił. Teraz jednak musiała się przemóc.

Mogła wymieszać wodę z krwią i polać się nią w krzakach, ale wydało jej się to obrzydliwe. Polewanie się krwią nie jest przyjemne. Bała się zresztą, że poleje się nie tak, jak trzeba, że porobią się zacieki jak z farby olejnej. Woląla polać się wodą. Nie polać, właściwie porządnie zbryzgać.

Usiadła na ziemi, wstrząsnęła butelką i szybko ją otworzyła. Woda rozbryzgnęła się na twarz i szyję, rozpryskała na ubrania, pociekła po rękach i nogach. Resztę Dziunia wylała na głowę. Było ciepło, więc mogła poczekać, choć czekanie dłużyło się jej nieco. Postanowiła wykorzystać je na tworzenie planu... Bała się jednak, że wyschnie, a wtedy wszystko poszłoby w diabły. Sucha krew wysypana na suche ubranie nie zrobi porządnego wrażenia, za to zaschła na ubraniach posoka to zupełnie co innego.

Dziunia z rozmachem rozerwała torebkę tuż nad głową, zacisnęła oczy oraz usta i wytrząsnęła zawartość na włosy, rozprowadzając tworzącą się lepka maź po ubraniu.

Rezultat był naprawdę dobry i miała farta, nie mogąc go zobaczyć.

Dwóch przechodzących w niedalekiej odległości nastolatków nie miało aż tyle szczęścia. *The Walking Dead* na ekranie telewizora wyglądają nieco lepiej niż Dziuńka w lesie. I choć żaden z nastolatków nie przyznał się do tego, co zobaczyli, to jednak miało to na nich poważny wpływ. Starszy, trzynastoletni Patryk, przestał się obżerać czekoladą i nigdy więcej nie sięgnął po chipsy. Jego młodszy brat zrezygnował ze słodyczy, na sam ich widok dostawał dreszczy. Zastanawiali się też nad tym, czy nie odstawić dopalaczy, ale stwierdzili, że coś im się przecież od życia należy, a takie odjechane wizje to tylko po cukrze.

\*\*\*

Kiedy autobus wjechał na podjazd pensjonatu, było już naprawdę późno. Uczestnicy turnusu byli wymizerowani, poszarzali i dość niepewnie trzymali się na nogach. Kilkoro trzeba było nawet trochę podtrzymywać. Nie bardzo mieli ochotę na kolację, ale z wdzięcznością przyjęli przygotowane z wczasu hektolitry gorącej herbaty z cytryną, soku pomidorowego i wody mineralnej. Musieli uzupełnić zapasy płynów.

Nie ma paskudniejszego stanu niż kac.

Pani Basia musiała koniecznie zjeść odrobinę zupy ogórkowej, której nie było. Emma potrzebowała lodów, Pit karkówki z grilla, Katarzyna soku z ogórków kiszonych, a Anna śledzi w oleju. Hanka miała wrażenie, że wszyscy uczestnicy wycieczki mają zachcianki co najmniej ciężowe.

Wszyscy też musieli iść zapalić. Emmie i Pitowi jednak zebrało się na romantyczny spacer.

\*\*\*

Dziuńka nie chciała już dłużej czekać, tym bardziej że naprawdę wysychała i zaczynała się kruszyć, a nie miała zamiaru zepsuć efektu. Najpierw zapragnęła się położyć i poczekać, ale zważywszy na zamieszanie w Krwiożerczym Piotrusiu, mogła tak leżeć do usranej śmierci albo nawet do rana, zanim ktokolwiek ją odnajdzie. Potem chciała wyskoczyć, wyjąc, ale nie miała na kogo wyć. Przecież nie mogła wyć do księżycy jak ten durnowaty Zyzol, który zachowywał się co najmniej dziwnie. Biegła dookoła, siadał, wyl, czekał i popiskiwał. To mogło Dziuńce pomóc, nawet powinno, bo ktoś powinien wyjść i zająć się psem, ale niestety nie tym razem. Przy zamieszananiu, jakie panowało w jadalni, nikt nie przejmował się Zyzolem.

Dziuńka chodziła w tę i z powrotem, nie wiedząc, co robić. Weszła trochę głębiej w las. Wtedy usłyszała, że ktoś wychodzi z budynku. To była doskonała okazja. Zawróciła i ruszyła jak taran w kierunku podjazdu. Zasapana przebiegła kilka metrów, szykując najwspanialszy z możliwie wampirzych okrzyków. Nieważne było w sumie, na kogo trafi, ważne, żeby wreszcie zaczęła realizować swój plan. Biegła na oślep, roztrzając gałęzie. Nagle padła z jękiem na ziemię.

– Łojezuuuuuu! – wrzasnęła, podnosząc się nieco sztywno, i ruszyła dalej przed siebie. Wolnym, robotycznym wręcz krokiem weszła na podjazd.

– Dziuńka? Dziuńka?! Dziuńka! Boże kochany, Dziuńka! – wyjęczała Lilka stojąca w małej grupce ludzi.

– Ale jazda! A tej co? – jęknął Szczurek.

– Wygląda, jakby kogoś zjadła – odpowiedziała spokojnie Wierciuchowa, która co prawda nie paliła, ale też miała dość rozgardiaszu w stolówce, więc wyszła na zewnątrz.

– Albo ktoś ją zjadł! – Hanka zaryzykowała.

Dziuńka była cała we krwi. Z włosów zwisały jej krwawe strąki, ubrania były tak nasiąknięte, że aż ciekło, usta miała umorusane jak dziecko dżemem, a ręce... Lepiej było nie patrzeć.

– Przecież ona to niby jest wampir! – Wierciuchowa była wyraźnie zdęgotowana. – A wygląda, jakby ją kto szlachtował. Dziuńka! No czego tak stoi?

Dziuńka stała jak skamieniała i nie reagowała nawet na dźwięk migawki aparatu fotograficznego.

– Ooooo! – powiedziała tylko, wyciągając rękę za siebie.

– Nie, no ludziom już odbija – mruknęła właścicielka pensjonatu. – Pogotowie trzeba wzywać – westchnęła. – Zaraz padnie jak betka. Przy takim krwotoku?

– Ooooo! – powtórzyła Dziunia, znów wyciągając rękę za siebie. Nie wiadomo było jednak, co chciała powiedzieć. Nie wiadomo też było, co chciała pokazać.

– Wezwijmy wreszcie tę karetkę – zaordynowała Hanka, wyjmując z kieszeni telefon.

Nagle z lasu dobiegł ich tupot i krzyk.

– Ratuunkuuu! Ratunku! Emma! O Boże, Emma! Ratunku!

– Dwie karetki! – burknęła Lilka, widząc wybiegającego z lasu Pita, wlokącego za sobą truchło Emmy.

– Weźmy od razu trzy. Po tym wysiłku to i jemu może się przydać.

– Zwłoki! – krzyknął mężczyzna i padł zemdlony.

Wszyscy pobiegli go ratować, zostawiając osłupiałą wciąż Dziunię, która co chwila powtarzała tylko swoje:

– Ooooo!

– Biedna Emma – westchnęła Hanka ze współczuciem.

– Biedna? Żartujesz? To ja jestem biedna! Nie mam ubezpieczenia od takich katastrof – warknęła Wierciuchowa. – Jeśli coś jej się stanie, zapłacę za nią odszkodowanie jak za jakieś cholerne zboże.

Emma wyglądała źle. Była cała zakrwawiona.

– Dziunia ją zżarła – stwierdziła Lilka.

– Boże kochany, i co ja teraz biedna zrobię? Trzeba było, cholera, ubezpieczyć się od tych wampirów. Trzeba było... A teraz po ptokach. Zżarła tylko ją czy jego też? – zapytała, kalkulując koszt katastrofy.

– Nie wiadomo. Oboje pokrwawieni – padła niejasna odpowiedź. – Czy ktoś zawiadomił pogotowie? Gdzie te cholerne karetki?

– Jadą już – odpowiedziała Hanka, patrząc to na Dziunię, to na Emmę.

Nagle Emma otworzyła oczy.

– Iiiiiiiiiiii... – pisnęła Lilka. – Iiiiiiiiiiii! – Upadła na ziemię.

– Nie ma w mieście tylu karettek. Mogą ich pakować piętrowo – stwierdził profesor przez okno jadalni. Wcale nie był poruszony, widząc, że Hanka znów wyciąga komórkę.

Emma usiadła. Zrobiło się strasznie nieprzyjemnie. Wszyscy poza Marcelem skamienieli, zaś on był w swoim żywiole.

– Zęby, błagam, niech pokaże zęby – jęczał, naciskając spust migawki aparatu.

– A to ona niby co? Koń?

– Wampir! – zawołał zachwycony. – Będę miał reportaż pod tytułem *Narodziny zła!* Ona powstaje! Powstaje z martwych!

Tym razem zemdlą Dziunia.

Karetki z wyciem podjechały pod pensjonat i dwie grupy ubranych na czerwono ratowników biegiem ruszyły w kierunku tego, co na pierwszy rzut oka wydało im się ofiarą katastrofy w ruchu co najmniej powietrznym, czyli nieprzytomnej Dziunki.

– Tutaj! Tutaj! – zawołała Wierciuchowa, wskazując drugie skupisko ciał, z których jedno, czyli Emma, okazywało coraz więcej oznak życia. Między innymi wymiotując.

– Co się stało? – zapytał któryś z ratowników.

– Pogryziona.

– Pies? – Wskazał na szalejącego Zyzola.



– A tam pies! Wampir! A tamta, co leży, to tylko zemdląca. On – tu wskazała na Pita – też chyba pogryziony. No i pewnie się przedzwiagał.

– Czy coś panią boli? – Ratownik poważnym i spokojnym głosem usiłował się czegoś dowiedzieć od Dziuni, która poza kolejnym „ooooo” odmawiała współpracy.

– Czuję alkohol – stwierdził niezadowolony. – Ciśnienie prawie w normie, żadnych widocznych zranień. Mnóstwo krwi...

Prawie to samo po chwili powtórzył członek drugiej ekipy.

– Zwłoki! – wydusił z siebie Pit, otwierając oczy.

– Pijany – zawyrokował ratownik z wyraźnym niezadowolaniem. – Ludzie, jak wy możecie wzywać pogotowie do takich przypadków... Wy sumienia nie macie?! Tam gdzie ludzie umierają, a tu...

– Zwłoki! W lesie – jęknęła Emma słabym głosem. – W lesie. Zwłoki...

– No pokaż te zęby! Pokaż ząbki, kochana – mruczał Marcel, wciąż pstrykając zdjęcia. Zrobił ich już całkiem sporo.

– Zwłoki – potwierdził słabo, ale zdecydowanie Pit.

Zwabione zamieszaniem skacowane towarzystwo wyległo przed pensjonat.

– Dobra! – wrzasnęła w końcu zdenerwowana Hanka, usiłując zapanować nad wciąż pogarszającą się sytuacją. – Jakie zwłoki?!

– One są w lesie – jęknęła Emma niesiona na noszach do karetki. Do drugiej wsuwano właśnie Dziunię. Ratownicy pracowicie cucili Lilkę i Pita.

– Zwłoki?! – zakrzyknęło skacowane towarzystwo i było już zbyt późno na cokolwiek. Wszyscy hurmem ruszyli w las.

– Nie, zaraz, zaczekajcie! – wołały, biegnąc za nimi, Hanka i Wiolka, za którymi kuśtykał Szczurek. W zwłoki może i nie wierzyli, ale w możliwości skacowanego towarzystwa już tak. Po tym, co ci ludzie wyczyniali w autobusie, można było się spodziewać wszystkiego. Może nawet zwłok.

W chwilę potem rozbrzmiał pierwszy mrozący krew w żyłach wrzask. Coś padło na ziemię z trzaskiem łamanych gałęzi. To musiała być pani Basia. Tylko ona była w stanie swoim ciałem złamać drzewo.

Późniejsza sekwencja wydarzeń, gdyby ktoś ją zarejestrował, brzmiałaby mniej więcej tak:

– Ooooooooo.

Łup.

– O santamadonna poratuj!

Łup!

– Jezus, Maria!

Łup.

Ucierpiała jedna brzoza i kilka krzewów.

– Słucham, ile? – powiedziała lodowatym głosem dyspozytorka pogotowia, rozpoznając głos Hanki. Miała ochotę warknąć „czego?!”, ale choć nie była osobą specjalnie ugrzeczną czy nadzwyczaj kulturalną, to jednak bała się o pracę.

– No... sześć.

– Jak to sześć?

– Sześć osób. Nie wiem, co im jest. Padły ot tak. Chyba omdlenie, ale ja się nie znam. A jeżeli to serce? Proszę jak najszybciej przyjechać! Błagam.

– Co wy tam wyrabiacie, że wam goście padają jak muchy?! Trujecie ich? Hurtowo?! – skomentowała, choć nie powinna, i natychmiast obiecała sobie, że nazajutrz zawiadomi sanepid, zaraz też zamierzała zadzwonić do jednej z swoich koleżanek. W końcu to prawie żadna tajemnica służbowa. Jutro i tak wszyscy będą wiedzieć, to dlaczego nie mają wiedzieć dzisiaj?

Kiedy już wszyscy leżeli spokojnie w krzakach, nie ruszając się, nie robiąc niepotrzebnego zamieszania, Wiolka, Hanka i Szczurek popatrzyli z uwagą na leżące nieopodal zwłoki.

– O, kurwa – jęknął Szczurek. Nie zemdlał tylko dlatego, że Hanka spojrzała na niego tak morderczym wzrokiem, że zaczął obawiać się o swój staż.

Rzeczywiście tam były. Hanka liczyła na to, że po raz kolejny chodzi o zwykłe omdlenie, że kobieta, która leży przed nimi, zaraz wstanie i otrzepie się z igliwia, że wszelkie te drobne, niepokojące szczegóły, które nadawały jej martwy wygląd, okażą się nieistotne. A jednak było coś, co sprawiało, że te nadzieje należało uznać za próżne. Choćby szkliste, szeroko otwarte oczy i woskowobiała cera. A gdyby tego było mało, pozostawała jeszcze na wpół odgryziona szyja, przez którą trudno było uwierzyć w to, iż zabił ją zawał.

Hanka zadzwoniła po policję. Zdawała sobie sprawę, że obecność zwłok skomplikuje pracę ratowników, a obecność ratowników z kolei z pewnością utrudni pracę policji, że wszyscy będą się kotłować wokół zwłok, jakby od tego zależało ich życie, i że zaraz zrobi się koszmarnie. Jednak nie miała wyjścia.

\*\*\*

Kurzydło siedział przed telewizorem nad przerażającą w smaku zupą czosnkową przygotowaną przez teściową. Gdyby nie to, że arsenowodor, silnie trujący gaz bojowy o zapachu czosnku słabo rozpuszcza się w wodzie, dałby sobie głowę uciąć, że teściowa użyła właśnie tego gazu jako składnika podstawowego do wyczarowania tej smacznej, jak zapewniała, zupy. Zrobiłby też wszystko, żeby nie musieć jej jeść, ale odmówić nie mógł. Wcale nie dlatego, że kochał teściową, takie przypadki zdarzają się rzadko i zwykle kończą tragicznie, wcale też nie dlatego, że kochał żonę, choć kochał, oczywiście kochał na swój sposób, ale tak. On po prostu nie miał ochoty na sajgon. Wystarczyło obrazić jedną z nich, nawet całkiem niewinnie, niechcący, przypadkiem, a życie w domu zaczynało przypominać pole minowe. Nagle wszystko się komplikowało, a na dodatek przez dłuższy czas nie było ani obiadu, ani czystych skarpetek, ani odrobiny pomocy, kiedy ulubiony chomik żony zapaskudził spodnie od munduru.

Podkomisarz nie liczył na żadne cuda. Nie o tej porze. Mogła zdarzyć się jakaś bójka, może kradzież, w ostateczności włamanie, ale chłopcy na komisariacie nauczeni byli radzić sobie sami w takich przypadkach, toteż aż rozpromienił się, słysząc dźwięk telefonu służbowego.

– Tak, już jadę! – zawołał z zachwytem, wstając od stołu. – Ale jak to zwłoki? Aż tyle?

– Zgłoszenie było, że jedne zupełnie pewne, ale podobno jest tego więcej. Karetki jeżdżą w tę i z powrotem, wszystkie na sygnale.

– Co tam się stało? – zastanawiał się Kurzydło, pospiesznie wciągając spodnie od munduru. Krwiozerczy Piotruś to niewielki pensjonat, skąd więc taka liczba karetki?

Rozważał jakieś zatrucie. Ale do zatrucia nie wzywa się policji. Bójka raczej też nie wchodziła w grę. Więc co? Zamach bombowy?

\*\*\*

Hanka rozdzieliła zadania jak przystało na szefową, którą chwilowo była.

– Wiolka, zajmiesz się zemdlonymi, po razie w twarz, ale nie pozwól im wstawać, dopóki nie przyjadą karetki. I niech się nie rozglądają, bo znowu zemdleją. Szczurek, ty idź czekać przy drodze na policję i prowadź ich tutaj. Gdyby ratownicy dotarli wcześniej, niech biorą się za Lilkę i Pita. Nie możemy pozwolić, żeby zdeptali ślady.

– Bo wie pani... bo wiesz – odchrząknął niepewnie Szczurek – ślady i tak szlag trafił jak nic. Tędy już przeszedł cały tabun.

– Trudno – odburknęła. – Do roboty!

Szczurek jeszcze nie zdążył się przyzwyczać do tego, że ma mówić Hance na ty. Nie chodziło o różnicę wieku, w sumie niewielką, ale jednak, no cóż, Hanka była szefową. No, kimś w rodzaju szefowej. Ona zaś propagowała teorię, że w tym zawodzie zawsze zręczniej i rozsądniej jest krzyknąć do kogoś „Uciekaj!” niż „Proszę pani, niech pani się szybko stąd oddali, jeśli łaska”.

Nadjechały karetki, a z zaraz za nimi radiowóz. Nastąpił ogólny chaos. To był ten rodzaj chaosu, który się rozprzestrzenia i generuje coraz większe zamieszanie, bo nic nie jest tak fascynujące, jak trup, a przy odrobinie szczęścia kilka trupów.

Podjazd zapelniał się gapiami, las rozświetlił policyjnymi reflektorami i czerwienią kurtek ratowników. Ci przynajmniej wiedzieli, co robić. Cała reszta – nie wyłączając nieco ozdrowiałej Lilki i zawstydzonego Pita – stała w grupce i komentowała to, co działo się dookoła.

Nagle wszyscy chcieli wiedzieć, kto, jak, gdzie, dlaczego i co to za ślady krwi na podjeździe oraz kogo tym razem pogryzły wampiry. Innej opcji nie było, a wszelkie tłumaczenia, że chodzi o zwykłe omdlenie, traktowane były z pogardliwym niedowierzaniem.

Z lasu wyprowadzano kolejne ofiary zwłok i sadzano je na ławkach. Komendant przez chwilę oceniał wszystko z daleka, potem podszedł prosto do Wierciuchowej.

– A teraz proszę mi powiedzieć, co to za zamieszanie.

– Od Dziuńki Ryckiej się zaczęło. Wyszła z lasu. A jak wyglądała! Mój Boże, jakby ją kto ze skóry obdarł. Wszędzie krew i pysk miała tak umazany, no normalnie jakby kogo żywcem zjadła. Jeszcze jej krew z pyska ciekła strumieniem. Strumieniem! Sama widziałam.

Marcel natychmiast podstawił policjantowi pod nos swój aparat.

– O, pan patrzy! Tak wyglądała! O.

Kurzydło popatrzył na zdjęcie, przekręcając głowę to w prawo, to w lewo.

– Ona stoi czy leży?

– No stoi. Widzi pan... Cała we krwi!

– W tym stanie powinna leżeć! Prawdziwa jatka! I ona jest teraz w szpitalu?! Boże, ta krew może być dowodem! Żeby jej tam zaraz nie umyli!

– A co pan?! Dziuńka nie da się umyć! – parsknęła Wierciuchowa.

Pomimo tych zapewnień Kurzydło wysłał dwóch policjantów do szpitala. Nie miał zbyt wielu ludzi, ale z doświadczenia wiedział, że martwy człowiek pozostanie martwy, a z Dziuńką nigdy nic nie wiadomo. Potem kazał ogrodzić teren, zebrać dowody, jakiegokolwiek, nawet te stratowane.

– A ci wszyscy ludzie? Co im się stało? Jakiś atak? Zatrucie? Co tu się, do diabła, działo?!

– A co miało się dziać? Byli na wycieczce, to i popili się.

– I od tego mdleli? Pani Wierciuchowa, niech pani bajek nie opowiada!

– A gdzie tam, nie od tego. Od zwłok, jak je zobaczyli. A Lilka to od wampirów. Pit z przedźwignania. No, ale pan powie, co z tymi zwłokami, bo za kilka dni Wampiriada jest przecież. Ludzie przyjadą, a tu teren ogrodzony... Nie ma gdzie spacerować. Ja muszę zarabiać!

Kurzydło popatrzył na nią z niechęcią i poszedł do lasu wezwany przez jednego z policjantów, dając wszystkim ręką znak, by w żadnym razie nie szli za nim.

Był nieco skonsternowany. Zwłoki w Zagubinie nie zdarzały się często. To znaczy zdarzały się, ale nie takie. Przecież ta kobieta wyglądała na...

– Widzi pan – zagadnął zza krzaka Marcel – ona wygląda, jakby ją coś zagryzło!

– Żadnych zdjęć! I niech się pan stąd natychmiast wynosi! – warknął policjant.

– Dobra, już dobra. Przecież nic nie robię – skłamał Marcel, bo instynkt hyeny wziął w nim górę nad przyzwoitością. Objawiał się zawsze wtedy, kiedy dziennikarz miał nóż na gardle i pustki w kieszeni, co było mniej więcej stanem permanentnym.

Kiedy późną nocą policja wywiozła obfotografowane zwłoki, przeczesała po ciemku las i wybierała wszelkie niedopałki w okolicy, wszyscy zebrali się w jadalni. Towarzystwo podzieliło się na trzy grupy. Pierwszą stanowili ci jęczący zbolalymi głosami:

– Królestwo za konia...k!

Drugą ci, którzy przysięgali na wszelkie świętości i głowy własnych dzieci, że nigdy w życiu nie wezmą do ust niczego, co choćby przypomina alkohol. Oni błagali tylko o elektrolity rozpuszczone w soku z kiszanej kapusty.

Trzecią stanowili wszyscy dotąd trzeźwi, którzy naprawdę potrzebowali czegoś mocniejszego. Do tej właśnie grupy należeli Hanka, Wiolka, Szczurek, Marcel i profesor oraz Lilka i Wierciuchowa.

Jakoś nikt nie miał ochoty iść spać. Zresztą było to trochę utrudnione. W pensjonacie urywały się telefony. Ale to nie uporczywe dzwonki przeszkadzały ludziom spać, tylko zwykła ciekawość.

Co prawda dzwoniący zadawali mnóstwo pytań, ale też przekazywali najświeższe plotki. Podobno policjanci zgarnęli Dziunię, która zagryzła jakieś zwłoki w krzakach, a potem wykapała się w sączącej się z nich krwi, bo to pomaga na zmarszczki. Kilka osób ją widziało, jak biegła z wyszczerzonymi zębami.

– Czyli rozmnożyła się – zawyrokowała Lilka, stawiając na stole butelkę czystej.

– Co pani? Dziunię? Że w ciąży? Nieee. – Kociólek aż się wzdrygnął.

– Co pan, w ciąży?! Wypluj pan te słowa, ale skoro widzieli ją na Zielonogórskiej, na Żwirowej i na Radosnej w tym samym czasie...

– Nikt jej nie widział. Siedziała w szpitalu chyba. Albo w więzieniu? Podejrzewają, że to ona zamordowała tę kobietę. Prawie odgryzła jej głowę. Stąd na niej tyle krwi.

– Nie... To znaczy, że co? Że zmienia się w wilkołaka? No bo wampiry to robią tylko dwie dziurki, a nie zaraz chaps całym pyskiem. Neeee. Przecież wampir to nie jakiś wilk! One jedzą inaczej.

– Pani Lilko! Ludzie to są naprawdę naiwni. Jakie dwie dziurki?! Przecież przez te dziurki to one tylko wampiriozę wstrzykują! Nie dałyby rady ssać, bo i jak? Przez kości czaszki? Neeee! Bzdura. Te zęby to tylko jakby kły jadowe, ale żeby porządnie się napić, to muszą ofiarę nadgryźć, a potem śrrrrluup, śrrrrluup, śrrrrluup, wychleptać ją.

Siorbanie było tak sugestywne, że aż wszyscy się wzdrygnęli.

– Proszę przestać! Proszę przestać! Ja mam tego dosyć, ja tego nie zniosę! Moje serce! – pisnęła pani Basia i usiłowała złamać krzesło, padając na nie znienacka, ale przezornie się usunęło. Pani Basia złamała podłogę.

– Szlag! – jęknęła Wierciuchowa. – Całkiem nowe panele! Cholera! Pani wstaje!

– Przepraszam – jęknęła kobieta. – Po prostu to wszystko jest ponad moje siły.

Wszyscy popatrzyli na panią Basię, którą za plecami nazywali Pudzianem w spódnicy, i na wszelki wypadek skwapliwie, ze zrozumieniem pokiwali głowami. Nikt nie odważyłby się jej powiedzieć, że ma nadwagę. Zresztą każdy wie, że kobiety z nadwagą żyją dłużej, w każdym razie dłużej od tych, którzy ośmielili się o tym wspomnieć.

– No bo te zwłoki... Przecież ta kobieta nie żyje! Rozumiecie? Ktoś ją zagryzł! Sama widziałam! Sama na własne oczy! I ten ktoś teraz może pozagryzać nas wszystkich! To straszne! Straszne! Rozumiecie? Jesteśmy w niebezpieczeństwie! – pisała cieniutkim głosikiem. – Zjadły jedną, zjedzą drugą! Zaraz znów będą głodne! – rzuciła z przerażeniem w oczach.

– Pani Basiu! Spokojnie! Przecież to bzdura, nikt nas nie zagryzie, Dziunię jest w więzieniu. Kto mógłby to zrobić?

Nagle wszyscy uświadomili sobie, że jedyną osobą, nie całkiem co prawda ludzką, ale zdolną kogoś zagryźć, jest leżący w jadalni pod jednym ze stołów Zyzol, którego trzeba było zamknąć tutaj

ze względu na dobro śledztwa. Był duży, miał całkiem porządne zębiska i ogólnie prawdopodobnie mógł kogoś zagryźć, ale jak dotąd nie miał ochoty.

Był przybłądą po przejściach i cenił sobie to miejsce. Jednakże pies do tej zbrodni zupełnie nikomu nie pasował. W każdym razie nie tu obecnym. Woleli wampira, tak było mroczniej i ogólnie ciekawiej. Pies zagryzł człowieka? Banalne. Wampir zagryzł człowieka? Genialne... Tylko jak połączyć wampira i nadgryzioną szyję? Bo nadgryziona była ponad wszelką wątpliwość.

– Psampir? – zapytała z wahaniem Lilka. – Hmmm, może i psampir. Nikt nie wie, jak one się rozmnażają i kogo jedzą. Któryś mógł pożywić się psem.

– Nie mógł! Przecież to nasze wampiry! Polskie, a nie chińskie! – obruszył się ktoś z grupy popijającej koniak. – Lodówki *made in China* rozumiem, ubrania też, ale nie wampiry!

– Poza tym wampiry się nie rozmnażają – oświadczył profesor. – Widział ktoś kiedyś wampira w ciąży? Jak by to wyglądało?

Wszyscy szybko przeszukali w głowach całą swoją, na ogół filmową, wiedzę o wampirach. Żaden nie był w ciąży, choć wszystkie uprawiały seks. Wujek Google też żadnego wampira w ciąży nie wypluł, mimo że Szczurek bardzo go o to prosił w kilku językach.

– Ja to właściwie żadnego jeszcze nie widziałam poza Dziunią... – stwierdziła Lilka.

– Dziunia się nie liczy, to stadium larwalne. Napoczęły ją i teraz ona się przemienia.

Stwierdzenie profesora wszystkich zmroziło. Larwalne? Stadium? To brzydko pachniało jakimiś karaluchami.

– Larwalne? To wampiry składają jaja? Są owadami? Fuuuu!

– Nie wiem, czym są. To nieznan na ziemi gatunek. Przybyły z kosmosu. Dziunia powoli ulega przeobrażeniu... Może już wkrótce przeobrazi się zupełnie?

– No tak, a potem trzeba ją będzie zabić! – oświadczył mocnym głosem Szczurek.

Hanka siedziała wymęczona całodzienną opieką nad seniorami i małymi lyczkami popijała wódkę z kieliszka.

– Aha! Jasne – burknęła. – Tylko jak można zabić wampira, co? Kółkiem? Podlecisz do niej i wbijesz jej kółek w biust?

– Kółek wbija się po śmierci – sprostował profesor. – Nie pomyśleliśmy, żeby w tę nadgryzioną wbić! Kółek jest tylko po to, żeby nie wróciła do świata żywych jako w pełni przemieniony wampir. Można było też obciąć jej głowę.

– A to komisarz by się ucieszył – mruknęła Hanka.

– Albo trzeba takiego obrócić twarzą w dół, żeby próbował wychodzić z grobu w niewłaściwą stronę, przysypać trumnę stosem kamieni albo położyć trupowi na szyję sierp czy kosę. Można też przebić czaszkę żelaznymi gwoździami albo zębami od brony. Ale ja nie jestem za mordowaniem tego gatunku. Z nimi trzeba się dogadać!

– A coś pan taki znawca? Co? Przecież pan podobno jest ufolog?! – znów odezwał się Szczurek. Wódka wyraźnie poprawiała jego zdolności towarzyskie, ale szkodziła na instynkt samozachowawczy.

– Bo wampiry są kosmitami – odparł Kociołek zadowolony.

– Panie profesorze, pan oszalał – sapnęła Lilka. – Wampiry to wampiry, kosmity to kosmity! Jeszcze nam tu kosmitów potrzeba!

– Potrzeba, nie potrzeba, ale są. Przyleciały. No bo patrzenie. Potrafią wstawać z martwych? Potrafią. I boją się słońca. To logiczne. Muszą być spoza ziemi, a może nawet spoza Układu Słonecznego. Pewnie żyją na jakiejś bardzo ciemnej planecie, posiadają zdolność regeneracji, i to jaką! No i mają alliumfobię oraz takie specjalne narządy pyskowe...

– Czyli, no, tego amelinum się boją, no amuluminium? – Szczurkowi zaczynał się płatać język.

– Alliumfobia to choroba poczosnkowa! To może oznaczać tylko jedno: są z innej planety! Przecież ludzie nie boją się czosnku! Nie chorują po nim. Wampiry przyjęły ludzką postać, ale mogą się

zmieniać. No i piją krew.

– Krew dziewic! Tylko czym ta krew niby się różni od, no wiecie, krwi każdej innej kobiety?

– Krew? Niczym. Nie chodzi o krew. – Profesor Kociołek był wyraźnie podпиты i coraz bardziej w swoim żywiole. – Chodzi o zasadę. Ja tam jak jem kanapkę, to wołałbym, żeby nie była wymiętolona. I lubię nowalijki.

Pani Basia pisała ostrzegawczo.

– Pan jest zbo... zboczony! Żeby tak kobietę do rzodkiewki przyrównywać?! Nie wstyd panu? Ktoś w naszym lesie zagryzł człowieka, a pan... Pan się zachowuje, jakby wcale to na panu nie robiło wrażenia!

Rzeczywiście, profesor Kociołek nie wyglądał na przejętego zbrodnią. Całkiem dobrze czuł się jako ekspert. Wreszcie mógł z kimś pogadać na interesujące go tematy i – jak nigdy – ludzie go słuchali bez rzucania kąśliwych uwag na temat stanu jego mózgu.

Kochał takie sytuacje. Niestety zdarzały się bardzo rzadko. Jego teoria odrzucana była nawet przez kolegów po fachu, którzy odmawiali wiary w wampiry latające w kosmicznych spodkach.

– I co my teraz zrobimy? – jęknęła Lilka. – Wampiriada tuż-tuż. Jutro zwolni się trójka. Babka zapłaciła za tydzień z góry i jutro się wyprowadza. Połowa pokoi stoi wolna. Jak je teraz wynajmiemy?

– Z palcem w d... hm, w bucie! – roześmiał się Marcel. – Jutro tłumy tu będą waliły, więc dostawki trzeba będzie robić. Zobaczysz pani! I telewizja przyjedzie... O szlag! – jęknął. – Muszę zdjęcia powysłać do redakcji.

\*\*\*

Policjanci zobaczyli Dziunię przed szpitalem, skąd wypisała się na własne żądanie i właśnie zdążyła do domu bardzo niepewnym krokiem. Nie była pijana. Po prostu krew na jej ubraniu zaschła i skawiała się tak bardzo, że spodnie zrobiły się sztywne.

Wyglądała paskudnie.

– Patrz tam. – Wskazał jeden z policjantów. – To może być ona!

– To musi być ona! – odpowiedział drugi. – Nie masz co nawet wyciągać broni, na wampiry tylko kołki albo srebrne kule – stwierdził, widząc, że kolega chce się jakoś zabezpieczyć.

– Przecież ona nie może być wampirem! Nie może, rozumiesz? Wampiry nie istnieją!

– Masz rację, nie istnieją – odpowiedział kolega, po czym ścis-kając w rękę główkę czosnku, poszedł w kierunku Dziuni, żeby ją aresztować. Ale kobieta zniknęła.

– Gdzie ona, do cholery, jest?! – wrzasnął jeden z policjantów. – Rozpłynęła się w powietrzu?!

– Nieee – szepnął drugi. – Nie mogła. No przecież nie mogła... Nie... O Boże jedyny! Mogła! Przecież ona jest, to znaczy była nadgryziona...

\*\*\*

W Krwiożerczym Piotrusiu cisza nocna zapadła dopiero około drugiej, kiedy wszyscy zmęczeni i oszołomieni alkoholem, lub jego brakiem, poszli spać. Wierciuchowa pozamykała wszystkie okna i drzwi. Na parapetach okien w korytarzu i jadalni poukładała dodatkowe zabezpieczenia z czosnku i poustawiała miseczki z wodą święconą.

Pod drzwiami wejściowymi usypała magiczną zaporę z czosnku granulowanego.

Noc miała być spokojna, bo aparatura profesora nie została włączona, a wszyscy dosłownie padali z nóg, jak choćby Szczurek, którego trzeba było zawlec do łóżka, bo nie był w stanie sam wdrapać się na schody. Hanka zarezerwowała dla niego kilka bardzo „ciepłych” słów na tematy zawodowe, ale wiedziała, że dziś nie dotrą do niego zupełnie.

Chciała mu przypomnieć, że detektyw to zawód z nienormowanym i często nienormalnym czasem pracy, że detektywem się jest, a nie bywa, i że można pić, czasami nawet trzeba, ale – na litość boską – nie do zgonu, i że jeżeli jeszcze choć raz zaliczy taki zjazd w jej obecności, to ona zrzuci go ze schodów na zбитy pysk!

Położyła się, ale trudno było jej zasnąć. Morderstwo, krowa, której jeszcze nie sprawdzili, zamieszanie z seniorami i wściekłość na Szczurka nie wpłynęły specjalnie dobrze na jej psychikę. No i ten cholerny pies.

Cholerny pies szczekał jak opętany.

\*\*\*

Niska postać oderwała się od któregoś z drzew na podwórzu za pensjonatem i cichutko podeszła do jednego z okien na parterze. Wyraźnie było widać, że jest to nieduża kobieta, ubrana w coś ciemnego.

– Halo, jest pani tam? – wyszeptała dość głośnym jak na okoliczności szeptem i zapukała w okno. Ze względu na nierówność terenu parter z tej strony był zdecydowanie niski, co ułatwiało zadanie.

Okno znajdowało się nie wyżej niż metr nad ziemią. W pokoju było ciemno. Ciszę, jaka panowała na zewnątrz, zakłócał tylko psi jazgot.

– Halo, jest pani tam? – powtórzyła kobieta i ponownie zapukała w szybę. Tym razem mocniej. Okno uchyliło się lekko.

Z wnętrza dobiegło jakby sapanie. Pojawiło się też jakby światło latarki. Jakby. Wszystko było „jakby”.

– No nie mam wyboru – sapnęła. – Muszę się jakoś tam dostać.

Poszła za róg budynku, skąd przyniosła plastikowe wiadro po farbie. Nie było wysokie, ale doskonale się nadawało. Oczywiście wołałaby drabinę, która stała oparta o dach z drugiej strony, ale nie dałaby rady jej przenieść.

Weszła na wiadro, pchnęła okno, z wysiłkiem wgramoliła się na parapet.

– Uff, już prawie... – powiedziała zadowolona i zaczęła zsuwać się powoli na stojący pod oknem stolik, który udało jej się wymacać w ciemności.

Stolik jęknął.

Kobieta nie była ciężka, ale umeblowanie hotelu nie składało się wyłącznie z gdańskich dębowych mebli. Prawdę powiedziano wszemu, wcale się z nich nie składało. Było przypadkową zbieraniną peerelowskich szaf, szafek i politurowanych stolików albo ta-nich niemieckich gratów wystawionych na śmietnikach w odległych landach i zebranych nocą przez co bardziej przedsiębiorczych biznesmenów z Polski. Graty te można było kupić na wystawce, czyli na tutejszym bazarku, naprawdę za grosze. Potem należało oczywiście coś tam przy nich pomajstrować, dokleić nogę, posklejać blat albo przybić to czy tamto, ale Wierciuchowa tym się nie przejmowała. Wszystkie meble w hotelu trzymały się na słowo honoru i wyglądały tak, że nikt nie chciał sprawdzać, czy wytrzymają ciężar kubka z herbatą.

Stolik zgrzytnął. Kobieta zamarła w bezruchu i to chyba nie spodobało się meblowi, bo ze stęknieniem podobnym do skargi zachwiał się, a potem zwałił z hukiem na ziemię.

– Ojji! – krzyknęła kobieta. – Niech mi pani pomoże! – zawołała w ciemność.

Ciemność paskudnie zakłępała, rzuciła coś na ziemię, obila się o drzwi łazienki, z których posypało się szkło, zakłępała jeszcze raz i jednym susem skoczyła ku oknu.

– Ujji – stęknęła kobieta, której i tak już obolałe ciało posłużyło za trampolinę.

Ciemność wyskoczyła za okno, potknęła się o plastikowe wiadro, stłukła sobie rękę o kamienie na obrzeżu trawnika, pobiegła dalej, następnie wpadła do nieczynnej, okrągłej jak nagrobny znicz kamiennej fontanny, gdzie poobijała sobie chyba coś jeszcze, bo oddalając się w kierunku lasu jęczała

niemiłosiernie. Widziało to kilka osób, ale żadna z nich nie była na tyle świadoma, by zareagować. Jedynie Szczurek, który wdychał nocne powietrze w celu uniknięcia wizyty w toalecie, popatrzył w zadumie i powiedział:

– Ninja? O kurwa, ale numer. No, ninja!

Powiedziałwszy to, padł pod oknem. Jest takie powiedzenie, że ktoś upił się świeżym powietrzem. To jednak zdecydowanie nie był ten przypadek.

Szczekanie Zyzola i wrzaski wyrwały Hanę z zamyślenia i ściągnęły na dół.

Obudziły też kilka trzeźwiejszych osób.

– Co tam się dzieje, do cholery?! Taka spokojna, cicha babka, a dziś co? Szału dostała? Pokój mi demuluje? A może kradnie?

Hanka już miała wytłumaczyć kobiecie, że ludzie tak głośno nie kradną, no, chyba żeby chcieli ukraść kafelki z łazienki, odłupując je za pomocą młota pneumatycznego i zamiast w ścianę, trafili młotem we własne kolano, ale się powstrzymała. Jeżeli ktokolwiek planowałby cokolwiek tu ukraść, musiałby być kompletnym kretyńcem. Zresztą jedynie kafelki, nawet po odłupaniu, miały tu jakąkolwiek wartość.

– Pani Kowalska! – Wierciuchowa zaczęła tłuc w drzwi. – Pani Kowalska, co pani tam wyprawia?

– Raaa... ratunkuuu – jęknęło z pokoju.

– Otworzy pani! – zarządziła Wierciuchowa głosem godnym wodza Hunów. – Natychmiast!

– Nie daaam rady – jęknęło w odpowiedzi.

– No masz ci los! Ta też pijana? – warknęła właścicielka. – Nie da rady? Ja za to jej dam.

– Kiedy może coś się stało? – zapytała Hanka, usiłując nie dać się przewrócić psu, który wyraźnie dostał ADHD i choroby świętego Wita. Skakał, kładł się, wył, szczekał, piszczał i rzucał się na drzwi.

Wierciuchowa podeszła do tablicy w recepcji i wyjęła z przegródki zapasowy klucz od trójki.

Otworzyła drzwi. Zapaliła światło w maleńkim korytarzyku.

– Co tu się dzieje? – zapytał ktoś znużonym głosem z drugiej strony okna, kierując na nich strumień ostrego światła potężnej latarki. – Jakież kłopoty? Widziałem, jak ktoś wyskakiwał przez okno, ale nie zdążyłem dobiec...

– Nie, nie – odparła osłepiona Wierciuchowa. – Nikt nie wyskakiwał, tylko Kowalska się upiła...

– Oj! – jęknęło spod okna.

Hanka zapaliła światło w pokoiku. Ogarnęła wzrokiem to, co z niego zostało, bo rzeczywiście był to jeden wielki śmietnik. Na podłodze było pełno szkła, meble powywracane, pod oknem leżała...

Hanka zamarła.

– Babcia? – wrzasnęła naprawdę przerażona. – Babcia Zosia?! Co ty tu robisz?! Na wszystkich bogów wszechświata, co ty tu robisz?!

– Nic – odparła kobieta. – Leżę – uzupełniła. – Chyba lunatykowałam – wyjaśniła po chwili, patrząc dziewczynnie prosto w oczy.

– Lunatykowałaś?

– No, zdarza mi się. Nieczęsto, ale czasem tak. Tak sobie śpię, a potem... o! Chyba widzisz! I tak sobie patrzę, a tu pokój Lenderowej. Ale ona dostała szału, przestraszyła się mnie i wyskoczyła przez okno.

– Jakiej Lenderowej? – zaciekała się Wierciuchowa. – Tu nie mieszka żadna Lenderowa. To pokój Kowalskiej!

– Kim pani jest? – padło zza okna. – I co się pani stało?!

– A skąd mam wiedzieć? Mówię, że lunatykowałam! A pan to niby kto, że tak zagląda pan przez to okno?! Hę?

– Policja.



– O mój Boże! Policja? Po co? Z powodu głupiego lunatykowania? Wy już naprawdę nie macie co robić! – obruszyła się babcia.

Nie mogła wstać. Była potluczona i obolała.

Hanka podeszła i schyliła się, by jej pomóc, kiedy nagle z okropnym szczekaniem do pomieszczenia wpadł pies i długimi susami rzucił się na okno. Podeptał Hankę i babcie, wielkim cielskiem uderzył w policjanta i z radosnym, basowym, głośnym szczekaniem rzucił się do biegu.

Zyzol należał do psów pracujących. Był duży i nie nadawał się na kanapowca, a nawet gdyby się nadawał, to jednak kanapa była dla niego za miękka i zbyt ciepła. Wołał chłodne kafelki w łazience, kamienie zimnego bruku, cień lasu i świeże powietrze.

– Stój, Zyzol! Stój! – zawołał poturbowany policjant, rzucając się w pogoń za psem. – Boże, on stratuje miejsce zbrodni. Komendant mnie zabije. Pilnować miałem!

Oddalił się, nawołując psa, jednak bez specjalnego zaangażowania. Stracił nadzieję na to, że go dogoni.

– Co tu się dzieje, babciu? Co się stało? I nie kłam, proszę. – Hanka wyprowadziła babcie do jadalni, gdzie usiadły za stołem w towarzystwie Wierciuchowej, Lilki i Marcela oraz profesora, który właśnie zszedł z góry. – Co to za jedna, ta Lenderowa?

– Oj... Ona tu mieszka. Miałam się z nią spotkać.

– Ona tu nie mieszka, mówiłam, to pokój Kowalskiej – wtrąciła się Wierciuchowa. – Jutro się wprowadza.

– No właśnie dlatego przyszedłam. Miała mi coś powiedzieć.

– Kowalska?

– Lenderowa!

– Boże kochany, babciu! Co ty kombinujesz? Powiedz, o co chodzi. Jaka Lenderowa i jaka Kowalska? Dlaczego włóczyz się po nocy i włamujesz do cudzych pokoi?! Przecież to kryminał!

Babcia rozejrzała się, jakby sprawdzała, czy ściany nie mają uszu, po czym zdecydowanym gestem założyła ręce na biust.

– Nie! – oświadczyła. – Nic nie powiem. Nie wasza sprawa. Lunatykowałam.

– Ale babciu... Ty sobie nie zdajesz sprawy z konsekwencji. Czy ci naprawdę odbiło?!

– Nic mi nie odbiło! Umówiona byłam. A zresztą lunatykowałam. Miałam prawo. To dozwolone i nic ci nie powiem. Nikomu nic nie powiem, bo to nie wasza sprawa!

Hanka trochę się przestraszyła. Poczula, że stało się coś poważnego, ale na razie nie mogła nic zrobić. Babcia zaparła się jak osioł w kapuście i nic nie wskazywało na to, że zmieni zdanie.

W tym momencie zakotłowało się przy drzwiach. Coś chrobotnęło. Do recepcji w niepohamowanym pędzie wpadł Zyzol, wyraźnie uszczęśliwiony. Był w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Zyzol wariował, tańczył, skakał, usiłował przetrącić ogonem, co tylko się dało, a jego wielkie cielsko objęło się o pomniejsze sprzęty. Tylko ściany jako tako wytrzymały ten szalony psi taniec, choć tynk nie zawsze.

Mężczyzna wyglądał na zadowolonego z tego czulego powitania. Wyraźnie też czuł się tu jak u siebie w domu.

– No jestem, ciociu! – powiedział, wchodząc. – Witaj, mamu. Opowiadajcie, co tu się stało? Co to za zbiegowisko. Podobno kogoś zamordowali? – rzucał pytaniami, przyglądając się towarzystwu. – O, profesorek też tutaj? I pani Zosia? No, no. A gdzie pani Marylka? Wy przecież chodzicie stadami, hę?

Hanka popatrzyła na chłopaka ze zdziwieniem. Wyraźnie był tutaj zadowolony.

– Marylka leży w krzakach – odpowiedziała babcia Zosia niechętnie i przeciągle westchnęła.

– Babcia Marylka?! – Hanka nie wierzyła własnym uszom. – Leży w krzakach? Nie żyje?! – krzyknęła przerażona.

– Kto leży w krzakach? Kto nie żyje? – przestraszył się policjant stojący tym razem przy drzwiach wejściowych. Najwyraźniej zdziwiło mu się pilnowanie miejsca zbrodni.

– Marylka – sapnęła babcia Zosia. – Marylka leży w krzakach, ale powinna żyć. W zasadzie...

– To dlaczego leży?! – jęknęła Hanka. – Babciu! Co to znowu za kretyństwo?

– Żadne kretyństwo. Leży, bo nie chciała stać.

– Boże jedyny! – Hanka wyobraziła sobie raczej paskudną scenę. – Jak to nie chciała stać? Była ranna? Pijana?

– A tam ranna? Pijana też nie. Nie chciała stać i już. Zostawiłam ją, żeby na mnie poczekała.

– Na leżąc?

– No, a czemu nie? Żeby się nie rzucać w oczy. Trzeba by po nią pójść. Leży tam, z prawej strony, przy lasku, ale ja się stąd nie ruszam. Wszystko mnie boli.

– Ale jak my ją przyniesiemy? – jęknęła Hanka. – Ona waży ze sto kilo!

– Ostatnio schudła – odburknęła babcia. – Poza tym jeszcze się rusza.

Hance zawirowało przed oczami. Jeszcze się rusza? Jeszcze? Czyli za chwilę przestanie? Hanką wstrząsnęła wizja ledwie żyjącej albo nawet na wpół martwej babci Marylki.

– Idziemy – pisnęła. – Natychmiast!

Nikt nie przejawiał ochoty na łażenie po krzakach, w końcu jednak poszli wszyscy. Marcel na wszelki wypadek przyszykował aparat. Babcia Zosia, aczkolwiek bardzo niechętnie, posłużyła za przewodnika. Określenie „z prawej strony, przy lasku” było dość nieprecyzyjne, zwłaszcza że większość ludzi z miasteczka ten „lasek” nazywała lasem i potrafiła się w nim zgubić.

– O, gdzieś tam. – Babcia wskazała jakąś bliżej nieokreśloną ciemność za domem.

Policjant omiótł teren światłem latarki.

– Nic nie widać.

– Bo miało nie być widać. Ubrała się na czarno. Taki kamuflaż.

– A wampiry? – zapytała lękliwie Lilka, ale idący obok niej mężczyzna, który okazał się jej synem, popukał się w czoło.

– Mamo, mam – westchnął ciężko. – Tobie też odbija? A ja cię miałem za... – Nie dokończył.

– Ćśśś – syknął policjant. – widzę coś. Rzeczywiście, leży. Oj, nie jest dobrze. Macie tu jakiegoś dodatkowego psa?

– A co? Zyzol panu nie wystarczy?

– Nie o to chodzi. Słyszycie? Coś tam warczy.

Rzeczywiście, z daleka słychać było głośnie warczenie albo może charczenie?

– Super! – mlasnął Marcel. – Nie wiedziałem, że tu znajdę aż tyle atrakcji!

– Wampiry?! – ucieszył się profesor.

– A gdzież tam! To Marylka – uspokoiła wszystkich babcia Zosia. – Strasznie chrapie – dodała gwoli wyjaśnienia.

Rzeczywiście, charkot był coraz głośniejszy i coraz bardziej przypominał warczenie rozwścieczonego wilkołaka skrzyżowanego z piłą spalinową.

– Hej, Marylka! Wstawaj! – krzyknęła babcia Zosia wściekłym głosem. – No, rusz się! Ale już!

W krzakach nastała chwilowa cisza, a potem chrapnęło jeszcze kilka razy.

– Hm? – zapytało. – Przysnęłam chyba – dodało już przytomniej. – Mrówki mnie pogryzły. Czy te cholery nie mogą w nocy spać?

Po chwili babcia Marylka wygramoliła się z trudem z krzaków, ciągnąc za sobą karimatę, termos, poduszkę i koc.

– Dała ci to? – zapytała zaspana. – Pieprzona wariatka!

– Nie wyrażaj się – jęknęła babcia Zosia.

– Przecież nie mówię o tobie – obruszyła się tamta. – O Lenderowej mó...

Zamilkła, kiedy do niej dotarło, że nie są same.

– Drogie panie, zaraz będzie świtać. Idziemy na jakieś śniadanie – zakomenderował syn Lilki i pociągnął wszystkich w kierunku pensjonatu. – Ciepła herbata dobrze nam zrobi, a wy mi wszystko opowiecie. I to bez kręcenia! – zarządził.

Kobiety popatrzyły na siebie z mieszaniną niepokoju i nieukrywanej wściekłości.

– Tylko tego brakowało – sapnęła babcia Zosia.

Hanka szła za nimi trochę jak we śnie, zastanawiając się, co robią tu jej babcie. W ogóle nie powinno ich tutaj być, a już na pewno nie nocą i nie w charakterze – co by tu dużo mówić – bardzo podejrzanym. Jedna w cudzym pokoju, druga w krzakach... Powariowały!

– No co z tą Lenderową? Mów – odezwała się babcia Marylka teatralnym szeptem.

– A co ma być? Uciekła! Przez okno kretynka uciekła, jak mnie zobaczyła. Mnie się wydaje, że cała ta sprawa to jakieś oszustwo. Nie miała żadnego zdjęcia ani ucha. To jest podejrzan. Może chciała wyłudzić pieniądze? Bo po co by uciekała?

– Ucha? – zapytała Hanka zaskoczona.

– A ucha, ucha. No co?

– Jest pani pewna, że to była ona? – zagadnął policjant.

– A jakby inaczej? Jestem pewna. To przecież jej pokój, więc musiała być ona! – odparła babcia Zosia, wzruszając ramionami.

Hanka zadrżała. Może z zimna, może z przejęcia. Dzień zapowiadał się paskudnie. Miała ochotę gryźć, kopać, wyzywać oraz kłąć. Nie było to jednak możliwe. Nie przy ludziach. Jednak gdy tylko zostanie z babciami sama, odbije sobie w dwójnasób! Da im popalić za wszystkie zdjęcia i uszy tego świata!

– Musiała? – Policjant się zamyślił. – Przez okno? Przecież mog-ła uciec przez drzwi, nie? Potem na korytarz i już. To wyskakiwanie przez okno jakoś mi nie pasuje. Ile ta kobieta ma lat?

– Młoda jest. Gdzieś tak koło sześćdziesiątki – odparła babcia Zosia.

– No to tym bardziej. Osoby w tym wieku rzadko wyskakują przez okna, szczególnie kiedy mają inną możliwość.

– Ale ona nie miała. Przecież bym za nią poszła!

– Nawet jeżeli... Strasznie to dziwne. I druga sprawa. Gdzie ona jest? No, powiedzmy, że uciekła przez okno, to gdzie teraz jest? W lesie? Przeszukałem okolice. Nikogo nie znalazłem. Poza tym o tej porze powinna chyba być w piżamie albo w czymś w tym rodzaju.

– Może po prostu gdzieś się ukryła? – zasugerowała zmęczona i zdezorientowana Hanka, zajmując miejsce przy stoliku w jadalni.

Babcie usiadły obok niej, ale nie przejawiały chęci do rozmowy. Lilka krzątała się w kuchni, naprędce szykując herbatę i śniadanie.

Jajecznica na maśle była przepyszna, bo kucharka poprzedniego dnia zużyła cały czosnek i nie było czym jej spaskudzić.

Jedli w milczeniu, a w zasadzie pożerali w upojnej ciszy ten cudowny i także niespodziewany cud sztuki kulinarnej.

– A ty to jesteś ta detektyw od Mariki? – zagadnął chłopak, przystawiając swoje krzesło bliżej Hanki. – Tylko co taki matrymonialny łapichłop może tu pomóc?

– Łapichłop?

– No dobra, łapichłop, babołap... Jak zwał, tak zwał. Przecież tym właśnie się zajmujesz? Nie wiem, po co Marika cię tu wysłała. Zaden z jej klientów chyba nie jest wampirem? – dodał złośliwie.

- A ty co? – Hanka chciała się jakoś odgryźć, ale nie wiedziała jak. – Z policji jesteś?
- Ja? No tak. Teraz jestem na urlopie, ale ogólnie pracuję w policji. Przyjechałem tu trochę posiedzieć, bo mama nie daje mi spokoju. Denerwuje się. Najpierw ta krowa, potem jakieś pogrózki, teraz zwłoki...
- I wampiry! – dodała Lilka z mocą. – Nie zapominaj o wampirach, syneczku!
- Jakżeby mógł? – westchnął słabo mężczyzna, robiąc minę spaniela.
- Pogrózki? – zaciekawił się Marcel. – No, no! Świetny temat na artykuł. Tytuł mógłby brzmieć *Wampiry grożą zmasowanym atakiem* albo *Kły precz od naszych gardel*.
- A pan to kto? – zapytał chłopak zaciekawiony i trochę zniesmaczony pomysłem.
- To dziennikarzyna, czytaj: hiena – odpowiedziała Hanka, wyręczając Marcela. – Od wczoraj tylko pstryka zdjęcia i upłynnia je w szmatławcach za grube pieniądze. Pieprzony paparazzi!
- No, tylko bez takich. Każdy pracuje, jak umie – obruszył się dziennikarz.
- A ty, Maciek, będziesz teraz pomagał w śledztwie? – zapytał policjant z dość niepewną miną, zwracając się do syna Lilki. Nie wyglądał na zachwyconego. – Tak między nami mówiąc, Kurzydło dostanie szału. Wiesz, jaki on jest zasadniczy!
- Niczego nie dostanie. Nie będę się do niczego wtrącał. Słyszałeś już, że jestem tu nieoficjalnie. Rozumiesz? Będę sobie siedział cichutko, patrzył i ani słowem się nie odezwę.
- Ha, ha, ha – mruknął policjant z kwaśną miną.
- Jak to, syneczku? – zdziwiła się Lilka. – Przecież miałaś się tym zająć...
- Mamo, proszę! – sapnął chłopak zde gustowany. – Załatwię to po swojemu, a ty się nie wtrącaj, bo wszystko zepsujesz. Czyli co z tą Lenderową, ona tutaj mieszkała czy nie?
- Według mnie mieszkała, bo raz już tu u niej byłam – burknęła babcia Zosia. – Tak z tydzień temu.
- Kiedy to nie była żadna taka. Kowalska była! Jak się wpisywała, to jako Kowalska.
- A dowód ciocia sprawdzała? – zapytał Maciek, zwracając się do Wierciuchowej.
- A ty mi tu nie wyskakuj z tymi swoimi policyjnymi zagrywkami. Sprawdzałam, nie sprawdzałam, nie twoja sprawa. Kowalska się nazywa i już.
- Czyli nie sprawdzała. W takim razie może się nazywać Lenderowa. A wy widziałyście jej dowód? – Popatrzył na obie babcie. Natychmiast się skrzywiły.
- Nie, no co ty, Maciek... Na mózg ci padło? Po co miałyśmy go oglądać? A co to, czy my z policji? Powiedziała, jak się nazywa, i już. To znaczy, nie powiedziała. Myśmy z nią tylko raz rozmawiały. Przez telefon. Ale wiedziałyśmy. Jakoś tak... wiedziałyś-my – zawahała się – bo ktoś nam powiedział. O! A ten ktoś to wie najlepiej.
- Hanka przysłuchiwała się tej rozmowie trochę zdziwiona. Babcie wyraźnie znały syna Lilki, i to pewnie od dawna. Zdziwienie dziewczyny było tym większe, że nigdy go jej nie przedstawiły. Prezentowały jej wciąż coraz to nowe ofiary losu, kandydatów do jej ręki, czyli do ręki księżniczki, ale nie jego. Były to kolejne ofiary seksualno-demograficznych zapędów, nieszczęśnicy, którzy pewnie sami tego nie wiedząc, dawali się podejść, złapać i omotać... Było ich wielu. Babciom się nawet podobali. Jej nie. Ten tutaj wyglądał całkiem rozsądnie. Do tego umiał się wysłowić i miał pracę. Dlaczego nie wzięły go pod uwagę? Może miał jakieś ukryte wady? Podstawową ukrytą wadą mogła być żona... Ech, życie, zasmuciła się Hanka.
- Ale w sumie, to po co ona wam była? – zapytała, otrząsając się z odrobinę już sennych myśli. – I to akurat teraz, w nocy, po tym, co się wczoraj stało?
- Chciałyśmy ją złapać, zanim wyjedzie. Umówiła się z nami tydzień temu, ale nie przyszła, a my wiedziałyśmy, że jutro wyjeżdża. Przeczekałyśmy te wasze wieczorne manewry i postanowiłyś-my ją dopaść.
- Po co? Na litość boską... Po co?! – krzyknęła Hanka i zaczęła sobie rwać włosy z głowy. – Po jaką cholere? Co wy znowu wymyśliłyście?!

– Uspokój się, bo profesorka obudzisz – mruknął Maciek, wskazując na śpiącego przy stoliku mężczyznę. – Zresztą, to trzeba załatwić inaczej. Otóż, drogie panie, macie poważne kłopoty – zwrócił się oficjalnie do babci Zosi. – Bardzo poważne – dodał, patrząc w oczy Marylki i zastygając z marsową miną.

– Jasne, że mamy – odburknęła. – Gdyby nie kłopoty, nie byłoby nas tutaj.

– Niestety, wasze prywatne kłopoty to przycz. Macie inne, o wiele gorsze. Teraz komendant Kurzydło, a wiem, o czym mówię, powiąże was z morderstwem. A to już nie jest zabawa. Włamanie, czajenie się w krzakach...

– Nie czaiłam się. Spałam – odburknęła babcia Marylka. – Mam prawo spać tam, gdzie chcę!

– W lasku, w którym poprzedniego wieczora popełniono morderstwo?

Babcia zbladła.

– No, w sumie nie pomyślałam. To w takim lasku nie można?

Maciek skrzywił się. Był wściekły.

– Kurzydło pomyśli, że jako morderca wróciła pani na miejsce zbrodni. Do tego włamanie. Do tego... No cóż, mogłyście załatwić i Dziunię. Wystarczy? No to teraz mówcie!

Obie babcie popatrzyły na siebie podenerwowane. Maciek obserwował je ponurym wzrokiem. Przez chwilę trwała cisza i Hanka była ciekawa, kto złamie się pierwszy.

– No, gadajcie wreszcie, bo sam pomogę komendantowi was wsadzić za kratki! – warknęła wreszcie.

Poskutkowało. Babcie zerknęły na siebie raz jeszcze. Potem westchnęły rozdzierająco.

– Chodzi o to, że Anetka zniknęła.

– Anetka? A kto to jest? – zapytał niepewnie. – To ta koza, którą trzymałyście w kurniku?

Hanka o kozie w kurniku wiedziała, bo to była rodzinna tajemnica. Ale on? Skąd on mógł o niej wiedzieć? No i koza miała na imię Marianna.

– Anetka to moja babcia – Hanka wyjaśniła niechętnie. – Trzecia babcia. Normalnie mam ich w nadmiarze. Wiecie, seks i te sprawy, rozwody i w ogóle, a babcia Anetka jest...

– Nieprawidłowa, przyszywana i w ogóle, ale normalnie zniknęła.

– Jak to możliwe?

– Zadzwoiła, że ktoś powstał z martwych i ona musi się ukryć.

– Jeśli chodzi o wampira – z zachwytem wtrącił się Marcel – to ja w to wchodzę!

– Nie mówiła nic o wampirach, tylko o jakimś niebezpieczeństwie i o czymś, co ktoś nam miał przywieźć. W końcu przyjechała Lenderowa. Zadzwoiła, że już jest tutaj, ale potem się trochę pokomplikowało.

– I dziś w nocy postanowiliście się z nią rozmówić?

– Nie. Od tygodnia siedzimy tu co noc, tylko że jej nie było. Pomyślałyśmy, że nas unika. Dzisiaj zobaczyłam światło i okno było uchylone, to co miałam robić? Weszłam.

– Włamałaś się! – warknęła Hanka. Chciała coś jeszcze dodać, ale nie zdążyła.

– Ratunku! – wrzasnęła Wierciuchowa z kuchni tak piszczącym, przerażonym głosem, że aż profesor się obudził. – To idzie! To idzie! Ratunku!

Wypadła z kuchni i rzuciła się za ladę w recepcji.

– Idzie!

– Co ci znowu idzie? – zapytała zaniepokojona Lilka. – I gdzie idzie?

– Tu idzie... To. To. To... – Gospodyni zapowietrzyła się i nie była w stanie wydusić z siebie głosu.

Po chwili na podjeździe dało się słyszeć szuranie. Coś rzeczywiście szło. W jeszcze nie do końca jasnym świetle poranka zobaczyli przez okno wielką dziwną postać. Coś jakby chochoła.

– Aaaaauuuu! – wołało to coś, co w żadnym razie nie wyglądało jak człowiek. – Aaaaauuuu.

Lilka jęknęła i się zachwiała. Żeby nie zemdleć, złapała się szafki na klucze. Mebel zadygotał.

– To się zbliża! – wrzasnęła. – Idzie!

Rzeczywiście, szło. Zdołało nawet otworzyć sobie drzwi.

– Oaaaungaa! – zajęczało. – Aaaeiiooyy.

Wszyscy patrzyli na stwora z pełnym przerażenia niedowierzaniem. Był cały pokryty trawą, liśćmi i jakimś włosiem. Miał na sobie dziwne, powiewające białe szmatki. Szedł posuwistym krokiem.

– Jezusie – pisnęła babcia Zosia. – Co to jest?! Wezwijcie policję, pogotowie, strażaków... A kysz! A kysz! Maro przekłeta...

Hanka raz po raz zerkła na Maćka. Marcel schował się pod stołem i nieprzerwanie cykał zdjęcia, jakby to mogło go ochronić.

– Przestańcie – jęknął Maciek. – To jest...

– Jeeemunka – odpowiedział stwór, krztuszając się i plując.

Profesor zbłądł i chwycił się za serce. Wierciuchowa wrzasnęła:

– Je? Co je?

– Przestańcie! – Maciek jęknął raz jeszcze, podchodząc do stwora. – To przecież jest Dziuńka.

Poprzedniego wieczora, po wyjściu ze szpitala Dziuńka nie przestawała kombinować. Wypisała się na własne żądanie i postanowiła natychmiast udać się do domu. Ale że przed szpitalem zobaczyła dwóch policjantów, musiała szybko coś wymyślić. Była pewna, że przyszli po nią. Zresztą dziwnie jej się przyglądali. Sprawa zagryzienia kobiety w krzakach zaczynała trochę Dziuńce ciążyć, bo o ile ona doskonale wiedziała, że nikogo nie zagryzła, o tyle policjanci mogli tego nie wiedzieć. I nie chodziło tylko o to, że z natury są tępi, ale i o całą tę krew, o to, że Dziuńka tam była i w ogóle. Schowała się więc w krzakach, zastanawiając się, jak i przede wszystkim gdzie przetrwać do rana. Bo rano oczywiście coś się wymyśli.

Była głodna i skacowana. Chciało się jej pić i spać. Zasnęła w parku w krzakach. Za ławką, bo na ławce się bała. Nocna rosa wcale jej nie obmyła, za to sprawiła, że przykleiło się do niej trochę starych liści i kłęby zeschniętej trawy oraz strzępy śmieci i papierów. W ustach też Dziuńce zaschło. Zresztą zaschła jej właściwie cała twarz i przywarły do niej też chusteczki higieniczne znalezione pod ławką, którymi Dziuńka usiłowała przywrócić sobie mniej więcej ludzki wygląd.

– Jezus, Maria! – krzyknęła Lilka, zwalając na siebie szafkę z kluczami. Ta z hukiem uderzyła o ladę i tym samym na szczęście nie była w stanie poturbować Lilki.

Obrona z części liści, chusteczek i trawy Dziuńka, nadal bardzo zakrwawiona, drżąca, sztywną ręką sięgnęła po szklankę herbaty i wypila ją duszkiem.

– Uciekłam im – powiedziała słabym głosem. – Gonią mnie – dodała po chwili. – Całą noc siedziałam w krzakach. Całą noc... Policjanty mnie gonią, a ja nikogo nie zagryzłam. Przecież ja zębów nawet nie mam!

Dziuńka nie miała nie tylko zębów, ale i szczęścia. Zwabiony hukiem, w pensjonacie pojawił się policjant pełniący wartę przy miejscu zbrodni.

– Wyciągnijcie mnie, bo sama nie dam rady – jęknęła Lilka spod szafki, odwracając tym samym uwagę od Dziuńki, która jednak nie chciała dać się złapać.

Rozejrzała się, szukając drogi ucieczki. Okna odpadały, schody w górę też, ale Dziuńka głupia nie była i szybko zauważyła schody w dół. Rzuciła się ku nim, licząc na to, że może z piwnicy będzie jakieś drugie wyjście na dwór.

Nie wiedziała, dokąd ma uciekać. Bała się iść do domu, park też odpadał. Kobieta liczyła na to, że może wymyśli coś po drodze. Gdyby tylko udało się jej umyć, sprawa byłaby prawie załatwiona. Dziuńka po raz pierwszy w życiu marzyła o kąpeli i bardzo ją to martwiło.

– Chyba się starzeję – stwierdziła, zbiegając na dół. Myła się, owszem, czasami się myła, ale nigdy z tym nie przesadzała.

– Dziunia! Gdzie lezie?! – wrzasnęła za nią Wierciuchowa. – Tam nie wolno. Nie można!  
– E tam, nie mooooozna – parsknęła w odpowiedzi Dziunia, po czym wrzasnęła mrozącym krew w żyłach skowytym człowieka, który zobaczył coś strasznego.

Krzyk, przerażający, potworny, rozpaczliwy, trwał kilka sekund, po czym zamarł. Zaległa taka cisza, że aż wszystkim zadzwoniło w uszach, a przed oczami duszy pojawiły się wszelkie możliwe obrazy, jakie taki wrzask mogły spowodować.

Były to przede wszystkim półciartowane zwłoki. Jednak wyobraźnia niektórych wysiliła się na kosmitów, wampiry oraz Emmę i Pita złączonych w akcie kopulacji. W końcu co innego może aż tak przerazić?

– Co wy tam macie? – Hanka oprzytomniała i zapytała słabym głosem. Jej wyobraźnia nie odpowiedziała niczego poza zwłokami.

– Lepiej zapytaj, czego tam nie mają – odparła babcia Marylka grobowym tonem.

– Czyli co? Chodzi o to, że mają tam wszystko?

– Mamy wszystko. Sloiki z konfiturami też – mruknęła Wierciuchowa. – Ale nie mamy schodów!

Dziunia została wyciągnięta oddolnie. Przez garaż. Wierciuchowa kłamała, bo schody były. Dwa od góry i trzy od dołu. Reszta czekała na fachowca, który wcale się nie spieszył. Na szczęście nie rozmontował jeszcze barierki, która prawdopodobnie uratowała Dziunę życie.

Po krótkiej, ale zaciętej walce odczepiono od niej kobietę. Potem przyniesiono ją do jadalni, mimo że wciąż zaciekle się broniła. Wreszcie wezwano radiowóz.

Dziunia nie miała jak uciec. Zresztą, zahipnotyzowana błyskami flesza i trzaskiem migawki aparatu fotograficznego Marcela, układała już w głowie odpowiedzi na pytania, które padną w trakcie wywiadu. Na ten wywiad bardzo liczyła. Co prawda sytuacja trochę się skomplikowała, więc i Dziunia przygotowywała sobie też zupełnie inne odpowiedzi na inne pytania, które z pewnością padną. Wszystkie brzmiały mniej więcej tak samo: „Ależ panie władzo, ja nikogo nie zagryzłam!”.

\*\*\*

Okolo ósmej rano niczego jeszcze nieświadoma Dziunia zyskała sławę. Co prawda nie jako Dziunia, a Zdzisława R., ale zawsze to coś. Jej zdjęcia z seksownymi czarnymi prostokącikami zasłaniającymi oczy pojawiły się we wszystkich gazetach, do których sprzedał je Marcel. W jednym z pisemek wydłużono jej komputerowo zęby, żeby wyglądała bardziej złowieszco, w innym zaś zamiast paznokci wstawiono zakrwawione szpony. Wszystkie te pisma bez wyjątku informowały o tym, że jest podejrzana o zagryzienie jakiejś kobiety.

Kurzydło wpadł w szal, kiedy zobaczywszy zdjęcia Dziunki w gazetach, jej samej nie uświadczył w celi.

– Przecież mieliście ją zwinąć ze szpitala! Albo chociaż pilnować! – wrzeszczał wściekły. – Jak mogła wam uciec? Jak? Pytam! Jak?

– Zdematerializowała się? – zasugerował jeden z funkcjonariuszy, naiwnie wierząc, że takie wytłumaczenie przypadnie komendantowi do gustu.

– Ty mi się zdematerializuj stąd, bo nie ręczę za siebie – odburknął Kurzydło, z trudem powstrzymując się od rzucenia w podwładnego książką raportów. – A ty co masz mi do powiedzenia? – zapytał drugiego. – Jak jej się udało... – Nie dokończył. Machnął ręką zrezygnowany.

Od samego rana miał kocioł. Obejrzał wszystkie zdjęcia, które dostarczył mu policyjny fotograf. Zadzwonił do laboratorium i wezwał kilka osób do pomocy. Nocne zwłoki bardzo go zdenerwowały.

– Najpierw tożsamość. Co wiemy?

– Niczego nie wiemy. W kieszeniach pusto, torebki brak, żadnych znaków szczególnych. Nic. Kobieta około sześćdziesiątki, może ciut starsza.

– Przyczyna śmierci? Dzwoniłeś?

– Dzwoniłem. Zapytałem, co z tą zagryzioną, ale lekarz dostał sza-łu. Powiedział, że za chwilę to on mnie zagryzie, jak nie przestanę robić z siebie idioty, i wybuchnął okropnym śmiechem, więc się rozłączyłem.

Wtedy do gabinetu weszła aspirant Nieróbek i powiedziała coś, co poprawiło wszystkim humor.

– Udało się złapać tę wampiryzę. Wzywają nas do Krwiozerczego Piotrusia.

\*\*\*

Wieści w małych miasteczkach roznoszą się szybciej niż zaraza, toteż zanim policja dotarła na miejsce, pod pensjonatem zdążył już zgromadzić się pokaźny tłum. To był tłum poranny. W odróżnieniu od tłumów wieczornych i nocnych przeważały w nim kobiety z siatkami, matki z małymi dziećmi, które nie dotarły jeszcze do przedszkola, bo ono nie zajęło i może poczekać, matki wózkowo-ciążowe, udające się w tym momencie do wszelkiej maści lekarzy, sklepów i parków, oraz bazarowe matrony.

Na mężczyzn było jeszcze za wcześnie. O tej porze zdecydowana większość z nich odsypiała wczorajszego kaca albo za pomocą kolejnych klinów zaczynała pracować starając się o jutrzejszego.

Ktoś by pomyślał, że ten tłum jest nieszkodliwy. W pewnych określonych sytuacjach miałby rację, ale nie w tej. Tłum poranny to forpoczta wszelkich zamieszek, bójek i burd. To praprzyczyna stosów na czarownice, linczów i samosądów. To wstęp do armagedonu, trzęsienia ziemi i zakazu używania pieprzu w barach mlecznych.

Oczywiście w tej chwili tłum był spokojny, właściwie nieuzbrojony. Ba, nawet cichy, ale wystarczy, że się rozejdzie do domów, a narobi więcej szkód niż powódź stulecia! Każda z tych pozornie niewinnych kobiet rozpuści plotkę, która potężnie podkolorowana powróci w to samo miejsce z kijami bejsbolowymi i pochodniami oraz z zapasem bardzo dobrze zaostrzonych kółków.

Kurzydło przeszedł przez tłum jak Mojżesz przez Morze Czerwone. Jego podwładni nie mieli już tyle szczęścia.

– Zabić wampira! – zawołała starsza pani z głębi, wymachując laską. – Zabić wampira!

– Rozejść się! – wrzasnęła aspirant Nieróbek piskliwym głosem wywiczonym na taką nutę w akademii policyjnej, za co została kopnięta w tyłek przez własnego siostrzeńca.

\*\*\*

Marcel obawiał się spotkania z policjantami, toteż wyjął z aparatu kartę graficzną, na której uwiecznił co ciekawsze momenty, i starannie ją schował. Zastąpił ją inną, na której było niewiele materia-łu. Bał się, że policja zechce mu skonfiskować aparat, a on nie mógł sobie na to pozwolić. W myślach już liczył pieniądze, które przyniosą mu niektóre zdjęcia, zwłaszcza że jak na razie dziennikarzy w okolicy było niewielu. Żaden kolega po fachu nie był aż tak blisko sprawy jak on. Wiedział, że to wkrótce się zmieni, więc strzelał fotki jak najęty.

Z przeprowadzenia wywiadu chwilowo miał zamiar zrezygnować, bo Dziunia jako morderczyni, krwawa morderczyni, w co nie wątpił, nie spełniała wymogów estetyki jego pisma. Potem jednak jakoś się przemógł i naprędcę rzucił jej kilka pytań, obiecując, że zapłaci. Taki wywiad zawsze da się sprzedać, jak nie tu, to tam.

– Dlaczego pani ją zagryzła? Co pani czuła, wgryzając się w szyję tej kobiety i chłepcząc ciepłą, ludzką krew? Czy zamierza pani to powtórzyć albo raczej powtarzać? Jak często będzie się pani pożywiać? Kto będzie następną ofiarą?

– Ty gnoju! – rzekła zimno wampiryzka.

O nic więcej nie zdążył zapytać. Zaprawiona w bojach Dziunia nie wytrzymała i walnęła go kubkiem po herbacie w głowę.



Kubek, mocny, ceramiczny, ładnie malowany, był nawet dość porządny, ale zakupiony w tutejszej manufakturze po cenie odpadów produkcyjnych, posiadał skazę, więc pękł na kilka ostrych części, raniąc Marcela w głowę.

\*\*\*

Kurzydło wszedł do recepcji zdecydowanym krokiem i o mało nie dostał zawału. Zawalona szafka na klucze, Dziuńka w formie krwawego totemu i Marcel zbroczony krwią. Zbroczony to mało powiedziane, raczej zalany, bo krwawił zdecydowanie obficie.

Na dodatek w jadalni było mnóstwo ludzi, w tym wciąż drzemiący na stole profesor, dwie starsze panie ubrane na czarno w legginsy i bluzy dresowe, które – opinając ich obfite ciała – kojarzyły się z lateksem. Był też Maciek. Ten przekłety Maciek Bryła, który zdradził go, zdradził Zagubin i od ponad roku pracował w komendzie policji we Wrocławiu. Kurzydło zastanawiał się, w jakim charakterze pojawił się tu ten zdrajca, prywatnie czy służbowo. Lubił chłopaka, cenił, ba, nawet szykował na swojego następcę, a ten mu uciekł do Wrocławia. Ech, ta dzisiejsza młodzież!

– Znowu jakieś kłopoty? – zapytał od progu, zastanawiając się, jak aresztować wampira, który wampirem nie jest, ale jednak jakby jest, przynajmniej dla tłumu na zewnątrz. – Pojedzie pani na posterunek – zwrócił się do Dziuńki, która posłusznie wstała i poszła za dwójką policjantów, którzy co prawda podeszli, ale starali się trzymać jak najdalej od niej.

– Zakuć ją? – zapytała policjantka, gdyż nie była pewna, co robić z tym krwawym wypłoszem.

– Zakuć, zakuć, bo zniknie jak wczoraj. Jeżeli znow się zdematerializuje, to osobiście zrobię wam krzywdę! – obiecał i usiadł zrezygnowany za stołem. Pomimo wczesnej pory był zmęczony. – Co to za zgromadzenie? Co wy tu wszyscy robicie?

– Czekamy na śniadanie – odpowiedziało kilka osób, które weszły właśnie do jadalni. Robił się tłok.

Tłum pod pensjonatem też gęstniał. Mruczał. Szumiał. Tłumy w zasadzie nigdy nie są ciche, ale rzadko kiedy mają coś sensownego do powiedzenia. Ten także nie miał. Na widok idącej pomiędzy policjantami krwawej Dziuńki, która w świetle dnia wcale nie wyglądała lepiej niż nocą, zawył. Trzeba dodać, że nie było to jakieś tam histeryczne czy nawet wrogie wycie. Było oburzone.

Kilka kobiet ostentacyjnie popukało się w czoło i z wściekłymi minami splunęło kobiecie pod nogi.

– Ty honoru nie masz! Co? – warknęła jedna z kobiet. – Za grosz! Za grosz! Żeby tak obcą babę zrzeć?

– A co, to swoich mało masz? – rzuciła druga, przepychając się do przodu.

– Co to? Może my nie takie? Niejadalne? Niedobre? Wstyd, Dziuńka! Wstyd. Po coś obcą babę żarła? Co? Wstanie taka, pojedzie do swojego miasta i cały zarobek zabierze. Gdzie ja tera kolki będę sprzedawać, co? Konkurencje ludziom robisz? A fe! Głodnaś, żryj. Ja na ten przykład gardła ci nie pożałuję.

– Ja też nie! – Kilka co odważniejszych wystawiło szyje. Dziuńka jakoś bardziej się skuliła. – Tylko jakbyś mogła, to nie całą tak od razu, bo ja nie lubię się marnować, a ty jeszcze cała żeś się umazała, zamiast wszystko porządnie zjeść! Żarciem żeś się bawiła czy jak? Na dwa obiady by starczyło, jak nic... No. Mojego chłopca też możesz se podjeść, pozwalam, on nierób taki, że...

– Hej, Maryśka, ty się przed innych nie pchaj! Kolejka jest!

Ktoś podskoczył do Dziuńki i wcisnął jej w rękę zmiętą kartkę.

– Ilu dziennie dasz radę? – krzyknęła starsza kobieta z tyłu z wyraźną nadzieją w głosie. – Bo trzech to dasz, nie?

Dziuńka kochała rozgłos, ale w tej chwili nie bardzo jej odpowiadał.

– Kiedy ja jej nie zagryzłam! – wrzasnęła piskliwie, wsiadając do radiowożu.

\*\*\*

– No i co? Wiadomo już coś? – zagadnęła Lilka, stawiając przed komendantem śniadanie.

Przyjął je z wdzięcznością. Od kilku dni głodował. Unikał spożywania piekielnej zupy czosnkowej, a teściowa z uporem maniaka wciąż ją gotowała, podawała rano na zimno do płatków kukurydzianych, na gorąco do obiadu i znów na zimno na kolację jako zamiennik herbaty, dlatego całkowicie pozbawione czosnku śniadanie w pensjonacie było dla niego cudem sztuki kulinarnej.

– Niczego nie wiadomo – odparł, patrząc z lękiem na Maćka. – To znaczy wiadomo. Kobieta nie żyje, ale nie wiemy, kim jest. Jakaś nietutejsza. Trzeba będzie po pensjonatach popytać, czy ktoś może ją widział.

Wyjął z kieszeni niezbyt wyraźnie zdjęcie, tak obrobione graficznie, żeby nie było widać na nim zbędnej makabry. Do tej pory jednak nie miał czasu nikomu go pokazać.

– Zagryziona? – zapytał Marcel z nadzieją w głosie. Zdążył już jako tako obmyć twarz, ale nadal wyglądał paskudnie, bo nie uprał brody.

– Nie, no co pan. Czy wszyscy tu powariowali? Kto niby miał ją zagryźć?

– Wampiry! – zawołała z kuchni Wierciuchowa. – Wampiry, profesor Kociołek mówi, że one mogą tak jakoś.

– Profesor Kociołek?

– Słucham? – Profesor skoczył prawie na równe nogi. Właściwie już nie spał, ale jeszcze nie całkiem się obudził.

– Jest pan nauczycielem? W liceum? Tak? – zapytał niepewnie Kurzydło. – Czego pan uczy?

– Niczego. Nie jestem nauczycielem. Jestem profesorem. Skończyłem ufologię.

– Ufologię? – zdziwił się Maciek. – Gdzie pan skończył takie чудо? Gdzieś w ogóle to wykładają?

– Wykładają, wykładają. Na Uniwersytecie Bigfoot w Sanford na Alasce! – obruszył się profesor.

– Sama widziałam dyplom – zawołała Wierciuchowa. – Piękny! – dodała po chwili. – Ma takie złote listki dookoła. I zawijasy.

– Jeździł pan studiować na Alasce? – zdziwił się Marcel, który sam raczej nie zadałby sobie aż tyle trudu w celu zdobycia wykształcenia.

– Nie. No co pan? Korespondencyjnie ukończyłem.

Kurzydło patrzył raz po raz a to na salę coraz bardziej zapełniającą się ludźmi, którzy nie wyglądali najlepiej, a to znowu na dwie starsze panie w dziwnych strojach.

– Coś się tu działo dziś w nocy?

– Awantura była – wyjaśnił policjant, który zszedł z posterunku obok miejsca zbrodni i liczył na śniadanie. – Najpierw oszalał pies, potem pani Zosia.

– Ja nie oszalałam – odezwała się babcia. – Przyszłam w odwiedziny, znaczy lunatykowałam.

– Przyszła pani w odwiedziny czy lunatykowała? Bo w odwiedziny tak na śpiąco raczej się nie chodzi, no i te pani ciuchy nie wyglądają na pizamowe...

– A co pan może wiedzieć o moich pizmach?! Jak pan śmie?! To moja prywatna sprawa, w czym spiam. Marylko, wychodzimy – powiedziała z wyższością. – Tu nas obrażają.

– Co to, to nie! – obruszył się Kurzydło. – Nigdzie panie nie pójdą dopóty, dopóki nie dowiem się wszystkiego. – Dobrze znał ten rodzaj starszych pań, które potrafiły tak wszystko zamotać, że trudno było się potem zorientować, o co chodzi. Wiedział, że będzie miał z nimi ciężką przeprawę, więc wolał załatwić to jak najszybciej i najlepiej w obecności świadków, żeby potem nie mogły za bardzo kręcić. Bo w to, że będą kręcić, nie wątpił.

– Mowy nie ma. – Hanka przyszła mu z pomocą. – Ja muszę wiedzieć, co wy tu robicie i co to za cyrki! Skąd się tu wzięłyście i po co? Dlaczego?

– A ja przypominam, że w związku z wczorajszymi wydarzeniami wszyscy mają być do mojej dyspozycji – powiedział komendant nieco spokojniej. – Pani co prawda nie brałem pod uwagę, ale teraz

już biorę. Nie mam innego wyjścia. Przyszła tu pani w nocy?!

– Przyszła i weszła do jednego z pokoi przez okno, a lokatorkę szlag trafił! – To oświadczenie policjanta trochę wszystkich przeraziło.

– Szlag ją trafił? Zmarła? To dlaczego pan nic nie mówi?

– Mówię przecież, ale ona nie zmarła, tylko uciekla! Uciekla w las przez okno. Trochę ją nawet goniliśmy, ale nie dałem rady złapać. Czynnym we mnie rzuciła.

– Czynnym?

– To były takie pazury...

– Tipy? – Hanka usiłowała sobie wyobrazić zabójczą moc tip-sów. – Wyrwała je sobie? Brrrr! Zakrwawione były?

– A nie sprawdzałem – stwierdził policjant i wyjął z reklamówki starannie zawinięty w worek foliowy podłużny przedmiot. Było to coś jak motyka, niewielka motyczka z czterema zagiętymi haczykami umieszczonymi na końcu zamiast prostokątnej blachy.

Wyglądało to na pazury, może nawet na szpony. Rzeczywiście były zakrwawione.

– Trafiła cię? – zapytał Kurzydło zaciekawiony, przyglądając się przyrządowi.

– Nie.

Komendant ostrożnie odwinął przyrząd z plastiku i przez chwilę mu się przyglądał, cmokając.

– Czyli ta krew, jeżeli to krew, nie jest twoja. To dobrze.

– Miły pan jakiś dzisiaj, komendancie – ucieszył się policjant.

Kurzydło nie był miły. Kurzydło był najedzony.

Po raz pierwszy od chwili, kiedy teściowa wprowadziła do domowego menu zupełną czosnkową, czyli od co najmniej dwóch tygodni, czuł, że jego brzuch jest przyjemnie pełny. Wiedział, że droga do lodówki kobiety biegnie wprost przez jej serce, dlatego żonę kochał i był dla niej miły, nie wziął jednak pod uwagę teściowej. Przy niej drogę do lodówki należało sobie wyrąbać siekierą.

– A po co pani tam weszła? – zagadnął Kurzydło nieco rozleniwiony. – Popelniono zbrodnię. Grasz tu jakiś morderca, a pani tak łązi po nocach? Sama? Nie bała się pani?

– Byłam z Marylką.

– Marylka się nie liczy – jęknęła Hanka. – Leżała w krzakach! Nawet by nie usłyszała, gdyby ktoś cię napadł. Zresztą nieważne. Nic mnie to nie obchodzi. Chcę wiedzieć, dlaczego musiałaś spotykać się nocą z tą kobietą. Co to za tajemnice? Co? Dlaczego nie przyszłaś tu zwyczajnie w ciągu dnia?

– Przyszłam, ale jej nie było! Nie czepiaj się – odburknęła babcia Zosia wyraźnie niezadowolona z interwencji wnuczki. – Coś ty taka zasadnicza? Przecież nic się nie stało!

– Stało się czy się nie stało, nie o to chodzi. Ja chcę wiedzieć, po co to zrobiłaś. Mów, po jaką cholere! Babciu!

– Oj... Jest takie coś. No miałam interes, a ona najpierw obiecała, a potem kretyńka uciekla. I to nie raz! Za każdym razem myk i już jej nie było! Normalnie wariatka jakaś...

Kurzydło wstał i poszedł odnieść talerze do okienka.

Babcia Zosia zobaczyła leżące na stoliku zdjęcie.

– O, to już jej szukają? – zapytała, wskazując fotografię. – No, no... Nie wróciła po bagaże? Przecież w końcu powinna wrócić... Sama widziałam, że nie zabrała walizki.

Wierciuchowa pokręciła głową z dezaprobatą.

– Nie wróciła. No i w sumie nawet mam kłopot, bo doba hotelowa mi się kończy o dziesiątej, muszę pokojówkę wpuścić, a jej rzeczy ciągle tam leżą. Ludzie są nieodpowiedzialni. Policzę jej dniówkę, jeśli się zaraz nie pojawi – dodała nieco uspokojona perspektywą zarobku.

– Może zaraz przyjdzie albo dokupi nocleg czy dwa? – uspokoiła ją Lilka. – Dobrze, że zostawiła rzeczy, bo to znaczy, że wróci, a skoro policja już jej szuka, to przecież w końcu ją znajdzie. Tylko

ciekawe, po co jej szukają?

– A kogo to znowu szuka policja? – zdziwił się Kurzydło, wracając do stolika. – Co, Dziunia znowu uciekła?

– Nie. Chodzi o tę Kowalską.

– Lenderową chyba. Zresztą jak zwał, tak zwał. Uciekła. Sama widziałam! Gnała, jakby ją co gonilo.

– Kto?

– No ona! Ta baba ze zdjęcia.

– Jest pani pewna?

– Jestem. Jasne, że jestem. Wiem, co widziałam. Nawet mnie podeptała.

– A nie miała skrzydeł?

– Pan nie robi ze mnie idiotki. Nie miała! Gdyby miała, to nie musiałyby mnie deptać.

– Tylko że ona nie żyje. Rozumie pani?

– Chce pan powiedzieć, że jest wampirem? – zapytał profesor z nadzieją w głosie.

W sali jadalnej dał się słyszeć pomruk zachwytu. Wszystkie oczy skierowały się na komendanta.

– Nie jest żadnym wampirem! Nie ma wampirów. To ta kobieta z krzaków, ta, którą znaleźniono wczoraj wieczorem. Martwą.

Zamieszanie, jakie powstało, kiedy praktycznie wszyscy rzu-cili się do stolika komendanta, żeby obejrzeć zdjęcie, spowodowało straszny bałagan, ale komendant szybko go ogarnął.

– Wy siedzicie tutaj, a ty dzwoń po techników, niech obejrzą ten pokój. Pani jest podejrzana – rzucił do babci Zosi. – Pani też. Zresztą, wszyscy jesteście podejrzani! Wszyscy! Ty, Maciek, też, nagrabileś sobie – dodał z satysfakcją.

– A my? – Wiolka i Szurek stanęli przed komendantem z niepewnymi minami, jakby znalezienie się w kręgu podejrzanych prawnie im się należało i nie zamierzali z tego rezygnować.

– Też. Cały ten cholerny Krwiozerczy Piotruś – jęknął, zdając sobie sprawę z nagłego bogactwa, jakim obdarzyła go sytuacja. Jeszcze przed chwilą nie miał ani jednego podejrzanego. – Jezu! I Dziunia! – stęknął, przypomniawszy sobie, kto i co go czeka na komendzie. Ruszył ku wyjściu, zostawiając zdjęcie na stole. – Wróć – zapowiedział, widząc zawiedzione miny zebranych.

\*\*\*

Posterunek w Zagubinie był nieduży. Gabinet komendanta, sala, a właściwie salka narad, cztery pomieszczenia biurowe i trzy cele, które zostały przerobione z pomieszczeń piwnicznych. Cele zazwyczaj stały puste, bo poważnych przestępców zawsze zawożono do Wrocławia, a mniej poważnych nie było sensu zamykać, chyba że po to, aby wytrzeźwili. Toteż miejscowi śmiali się, że miasteczko ma posterunek i izbę wytrzeźwień w jednym. Wszystkich to zresztą cieszyło, bo wiadomo, za noc w izbie wytrzeźwień słono się płaci, za noc w celi – nie.

Dziunia siedziała grzecznie w korytarzu, nieco osowiała, w towarzystwie dwóch policjantów. Ręce jej się trzęsły, oczy łzawiły. Pocięszała się, że cała ta krwawa sytuacja dobrze jej się przysłuży, a właściwie dobrze przysłuży się jej wątrobie, bo dzięki temu zamieszanemu nie piła już od co najmniej dwunastu godzin, a to oznaczało całą wieczność, więc można to było podciągnąć pod porządną detoks, a nawet i długotrwały odwyk.

Dziunia pijacką nie była. O, co to, to nie. Przynajmniej się za taką nie uważała. Była alkoholizką.

– Al-ko-ho-lo-li-czka – powtarzała, płacząc nieco sylaby. To słowo brzmiało arystokratycznie i było chorobą, a choroba zawsze jest w porządku.

Dziunia szczyliła się tym, że może i jest głupia, ale swój rozum ma. Cztery klasy szkoły podstawowej i karta biblioteczna wyrobiona przypadkiem, kiedy pomyliła filię biblioteki z oddziałem banku, to było całe jej wykształcenie. A rozum? Rozum podpowiadał jej, że będzie miała kłopoty, i to

poważne, z powodu krwi na ubraniu i obecności na miejscu zbrodni. W sumie bardziej martwiła się krwią i przeklinała moment, kiedy postanowiła ją kupić. Zastanawiała się nawet, skąd przyszedł jej do głowy taki pomysł. Po chwili wiedziała. Wiesiek! Jej własny, choć nie rodzony mąż podsunął jej pomysł z krwią. Była tego niemal pewna.

Tak. Ten bezczelny zdrajca wsadził ją do więzienia, a teraz siedzi u tej suki z drugiego piętra i zastanawia się, jak tu załatwić sobie rozwód. Jak i za co. Pewnie sprzedaje telewizor. Niedoczekanie!

Dziwczyni Wiesiek należał do niezbyt lubianej w mieście, ale bardzo skutecznej formacji Panda. „Pan da na piwo” było ich podstawowym zawołaniem i dlatego pili głównie pod sklepem.

– Przyprowadzić ją tu! – zawołał komendant z gabinetu do siedzących w korytarzu policjantów. – Próbki pobrane? Dane spisane? Przeszukana? Pani Rycka, widziała pani to?! – Podetknął jej pod nos jedno z pisemek, w którym na pierwszej stronie widniało jej zdjęcie. – No?

– No, nie widziałam – opowiedziała. – Ale to niechybnie żem jest ja.

– A to? I to? – Pokazał jej kolejne zdjęcia, coraz to bardziej wystylizowane na makabrę.

– No niby też ja – odparła Dziwka, nie bardzo wiedząc, co ma powiedzieć. – Te zęby to nie moje, ale reszta jakby ja.

– To niech mi pani powie, co pani tam robiła? Co to za makabra? Dlaczego... skąd... co ma pani wspólnego ze zwłokami?! Już!

Dziwka nie odpowiedziała od razu. Po pierwsze, pytań było za dużo, po drugie, sama nie wiedziała, co ona tam tak naprawdę robiła.

Kurzydło miał naprawdę dość. Znów nie przespał nocy.

Opowieść Dziwki nie trzymała się kupy. Kurzydło nie rozumiał, po co cokolwiek miałby oblewać się krwią. Po co miałby czaić się w krzakach. Założywszy, że to nie był czas Halloween i że ten ktoś miał więcej niż trzy lata, takie zachowanie było bez sensu.

– Poszła żem tam z tą krwią względem tego wywiadu, co ten facet nie chciał go zrobić.

– Czyli chciała pani go wystraszyć na śmierć?

– Nie, no co pan? Chciałam mu się... no, tego... Jak to się nazywa? Podłożyć?

Wyobraźnia komendanta rzadko płatała mu figle, ale z powodu ostatnich domowych wydarzeń, czyli niespodziewanej okupacji mieszkania przez teściową, odczuwał niejakie braki w zakresie zbliżeń intymnych, dlatego coraz więcej rzeczy zaczynało kojarzyć mu się z... hmm, jak by to powiedział, z tymi sprawami. Dlatego zmartwiało, przerażony wizją zakrwawionej Dziwki w kuszącej pozie w łóżku fotografa.

– Jezus, Maria! – krzyknął. – Pani przestanie! Pani przestanie natychmiast!

Pot przerażenia zrosił mu czoło.

– No co mam przestać? Chciałam mu się pokazać jako wampir, żeby zrobił wywiad.

– A ta krew?

– Kupiłam w sklepie – westchnęła na wspomnienie tak bezsensownie wydanych dziewięciu złotych. – Zapyta pan Teresy z mięs-nego. Tej takiej zezowatej.

Kurzydło zapisał Teresę z mięsnego, której nazwiska Dziwka nie pamiętała.

– I co dalej?

– I nic dalej. Poszłam tam i tak żem sobie czekała na tego dziennikarza, no tak jakby w krzakach, i tak jakby chciałam go dopaść, bo przecież nie mogłam do hotelu tak iść. I wtedy dopadła mnie ta zagryziona baba.

\*\*\*

Maciek zajął jeden z pokoi na parterze i urządził tam centrum dowodzenia. Wstawił komputer, kilka dodatkowych krzeseł i dwa złączone stoliki, które udawały biurko.

Do ścisłego dowództwa dopuścił Hankę i jej pomocników, choć patrzył na nich bardzo niechętnie. Towarzyszyły im też obie babcie, bo nie dały się pominąć, i Marcel, bo i tak nie było jak się go pozbyć. Chodził za nimi jak cień.

Maciek niby nieoficjalnie, ale przecież fachowo, usiłował wydobyć ze wszystkich informacje. Na pierwszy ogień poszła babcia Zosia.

– Włamała się pani do pokoju denatki w noc po jej śmierci, pani Zosiu. Po co?

Babcia Zosia wyraźnie nie chciała odpowiadać na tak postawione pytanie.

– Jakiej denatki? Jakiej denatki? Nie wiedziałam, że nie żyje, i okno było otwarte! Więc się nie włamałam, bo ktoś tam był. To on się włamał. I dajcie mi spokój, nic nie wiem, nic nie pamiętam, spałam i lunatykowałam. Nie było mnie i już.

– Nie w tym rzecz. Niech się pani nie denerwuje. Chcę tylko wiedzieć, po co tam pani weszła. – Usiłował udobruchać kobietę.

– Bo musiałam. To przecież logiczne. Musiałam. Ta baba miała coś dla mnie. Miała albo miała mieć. Tydzień temu zadzwoniła i pomyślałam, że to przywiozła, że się spotkamy. Kilka razy już do niej przychodziłam, ale wtedy ciągle była zajęta.

– A co to było?

– Gdybym to ja wiedziała! Podejrzewam, że może ucho. To mogło być z pewnych względów odcięte ucho.

– Jezus, Maria. Odcięte ucho?! – krzyknęła Hanka.

– No właśnie...

– Ale nie dostała pani tego... hm, ucha?

– A po jaką cholere inaczej bym tam szła? Po nocy? Cały problem polegał na tym, że miała dziś wyjechać. Z samego rana, a ja nie mogłam się z nią skontaktować. Co miałam robić? Musiałam zaryzykować.

– Ale dlaczego? Babciu? Po co ci odcięte ucho?! – wtrąciła się Hanka, która po drugiej kawie zaczynała kojarzyć fakty. Może jeszcze nie całkiem, ale o wiele lepiej niż godzinę temu.

– Wiesz, babcia Aneta zadzwoniła i powiedziała, że najlepsze kasztany są na placu Pigalle i coś tam o niebezpieczeństwie. Więc jej odpowiedziałam, że Zuzanna lubi je tylko jesienią. Ona, że ktoś przywiezie mi wiadomość. W każdym razie coś przywiezie, bo słabo było słychać.

– Babcia Aneta ma problemy psychiczne? Boże kochany! Nie wiedziałam!

– Nie wiedziałas. Jasne! Bo nie ma. Przecież to hasło! – odburknęła obrażona.

– Umówiłyście się?

– A gdzie tam, ale i tak wiadomo, że to jest hasło. I sama powiedziała, że kurier coś przywiezie, no a potem zadzwoniła ta Lenderowa.

Hanka nie była w stanie wszystkiego załapać.

– I co powiedziała?

– No, że jest w Piotrusiu pod trójką i chce rozmawiać z Żanetką.

– I co? To też było hasło?

– Musiało być, bo jak zapytałam, z jaką Żanetką i czy przywiozła ucho, powiedziała, że to pomyłka i się rozłączyła. Ale w sumie ja już wiedziałam. To ona była kurierem. Tylko może niepotrzebnie pytałam o ucho?!

Żelazna logika babci zupełnie nie przemawiała do Hanka. O ile na temat zdrowia psychicznego babci Anetki nie wiedziała nic, o tyle zaczynała martwić się o zdrowie babci Zosi, która wyraźnie przejawiała wszelkie cechy zwolennika teorii spiskowych, a teorie spiskowe to przecież krok do...

– Babciu! Jakie ucho? Jakie odcięte ucho? Wytlumacz mi wreszcie, o co chodzi! I jakie? Świńskie? Bo przecież nie mówimy o ludzkim!

– Oni zawsze przysyłają uszy! No wiesz! A ta krowa nie chciała...

– Kto przysłała uszy? – Hanka zamarła. – Jaka krowa? Ta fioletowa? Wiesz coś na temat krowy? Czy ty przypadkiem nie wysadziłaś jej w powietrze?

– Nie, ale to musiała być Żanetka. To wiem na pewno... Bo jak tylko zaglądałam do Lenderowej, jak tylko gdzieś ją spotkałam, to zaczynała uciekać i krzyczeć, że nie chce słyszeć o Żanetce i o żadnym uchu, że jestem wariatką, że ją nękam i że zadzwoni na policję.

– A kto to jest Żanetka? Ktoś ją zna? Może Wierciuchowa?

Wierciuchowa nie знаła. Lilka nie znała. Nawet internet nie znał. Znalazł co prawda kilka Żanet na Facebooku, ale żadna z nich nie mieszkała w Zagubinie, jedną „Żanetkę nimfetkę” na telefon oraz kogoś o nicku Dżanet, jednak to jakoś im nie pasowało, zwłaszcza że ten ktoś miał dwanaście lat, a trudno w tym wieku zajmować się odciętymi uszami.

Wiolka siedziała z dość tępym wyrazem twarzy wpatrzona z uwielbieniem w Marcela, który – aby dodać sobie autorytetu – raz po raz przekładał swoje aparaty fotograficzne, które robiły wrażenie. A ponieważ były naprawdę duże, bardzo wszystkim przeszkadzały na zaimprovizowanym biurku.

– Co robi dzisiaj turnus? – Hanka zagadnęła Lilkę, która dość często wpadała do nich, donosząc kawę.

– Umiera – odparła złośliwie. – Ale wykorzystałam sytuację i załatwiłam im prezentację z jedną babką z Twojej Szczęśliwej Apteki. Są w świetlicy.

– A profesor?

– Profesor poszedł do lasu. Często chodzi. Szuka lądowisk tych swoich kosmitów.

– W lesie?

– Twierdzi, że w lesie łatwiej je ukryć.

– Ale trudniej wylądować – parsknął Maciek. – Marcel, idź do lasu za profesorem, może i tobie coś skapnie – powiedział zachęcająco, ucieszony możliwością pozbycia się fotografa, który na sam dźwięk sformułowania „lądowisko kosmitów” uśmiechnął się błogo.

Szczurek siedzący dotąd nieco na uboczu wziął do ręki zdjęcie zostawione przez komendanta.

– Wiecie co? Ja ją chyba już gdzieś widziałem – powiedział niepewnie.

– No jasne, że widziałeś. Pierwszego dnia na kolacji siedziała przy tamtym stoliku obok drzwi. Miała okulary. Zwróciłam na nią uwagę, bo nie zjadła nic oprócz suchej bułki, a potem wylazła przez okno. To było wtedy, gdy oglądaliśmy resztki krowy.

– A, tak. Znow mi wtedy uciekła – westchnęła babcia Zosia.

– Nie, nie. – Szczurek przyglądał się zdjęciu. – Widziałem ją w naszych plikach – powiedział, trochę zawstydzony słowem „naszych”. – No, agencji. Przez miesiąc siedziałem w biurze na dodatkowym stażu. Robiłem poprawki do zdjęć, żeby lepiej wyglądały.

– Zaraz! U nas? Ona?

– A dlaczego nie? Może szukała męża?

Maciek, niewiele się zastanawiając, wszedł na stronę biura matrymonialnego.

– Tak to nic nie da – westchnęła Hanka. – Wejdę ze swojego laptopa. Znam hasło. W sieci są tylko podstawowe informacje.

Pracę trochę zakłócili im policjanci, którzy wreszcie wyszli z pokoju numer trzy, zabierając, co się dało, chyba tylko poza sufitem. Pobrali próbki ze wszystkich i ze wszystkiego. Również z obu babć.

– Niby komendant nie kazał, ale potem te ubrania gdzieś za-giną, a my będziemy mieli kłopoty. Na czarnym to tak bardzo krwi nie widać.

– Bo jej nie ma – warknęła babcia Zosia. Wcale nie była zachwycona zainteresowaniem.

– No i mam! – zawołała Hanka. – Jestem na jej profilu. No, no... A to dopiero. Teraz to robi się ciekawie! – powiedziała, nie wyjaśniając niczego, ale oczywiście wszyscy rzucili się ku niej jak stado

kotów czujących kocimiętkę. – Patrzcie. Ona jest w kręgu zainteresowań. A wiecie kogo? Stawickiego! Właściciela Kotłęcina! Tego samego, co... Wierciuchowa! Jesu, no to mamy przerabane! Wszyscy! Jak nie! Wierciuchowa zamordowała swoją konkurentkę.

– Może zamordować i nas. – Babcia Marylka sapnęła z nieukrywaną satysfakcją.

– Eee tam. Nas? Ona może wymordować pół miasteczka. I wcale nie Wierciuchowa, a Wierciuchówna. Marika! Rozumiecie? To mogła być ona.

– Nie mogła, bo jej tu nie było.

– Mogła przyjechać nocą. Umówić się... Ten Kotłęcin to nie lada gratka, a Stawicki jest świetną partią. Wiesz, taki ojczym to ho, ho! Może chciała się obłowić.

– W takim razie wszyscy mogliśmy. Każde z nas miało możliwość. Ale żeby ją zagryzać?

– Bo to były wampiry! – oświadczyła Lilka.

– Mamo!

– Wampiry, a najpewniej ta przekłeta Dziuńka. Zgłodniała, dopadła biedaczkę w krzakach i zjadła. Całe miasteczko o tym gada. Wszyscy to wiedzą, a wy tu będziecie mi porządnym ludzi szkolować. Marika jest, jaka jest, ale to Marika! Nie ma sensu w ogóle się nad tym zastanawiać.

– Sama prosiłaś, żebym się tym zajął.

– Prosiłam, żebyś przyjechał, tak. Żebyś wykrył, kto załatwił naszą krowę. A ty zajmujesz się jakimś wampirem! Ja nie chciałam, żebyś bawił się w policjanta.

– Mamo, ja jestem policjantem.

– Nie! Jesteś na urlopie!

– Policjantem się jest, a nie bywa – warknął nieprzyjaźnie. Dyskusja z matką nie poprawiła mu humoru. – Pokaż no mi te pliki – zwrócił się do Hanki i zaczął przyglądać się zdjęciu kobiety. To z pewnością była ona. Może nieco młodsza, podmalowana, trochę poprawiona, ale na pewno ona.

– Lenderowa! – oświadczyła babcia Zosia z mocą.

– Kowalska – mruknęła Hanka. – Ona naprawdę nazywa się Kowalska. Przynajmniej tak tu podała. Skąd, babciu, wzięłaś tę Lenderową? Skąd to dziwne nazwisko?

Babcia Zosia miała kłopot z wytłumaczeniem, skąd je wzięła.

– Babcia Anetka podała. Przez telefon.

– Trzeba do niej zadzwonić i dowiedzieć się dokładnie, jak i co.

– Nie można, bo jej nie ma. Nie ma ani jej, ani dziadka. Zniknęli, wyjechali, zapadli się pod ziemię... Nikt nie wie, gdzie się podziali. Nikt nie ma z nimi kontaktu już od dwóch tygodni. Zrozum, wiem, co mówię. Babcia została porwana albo coś w tym rodzaju.

– Babcia została porwana? Po co? Dlaczego? I co z dziadkiem?

– On też.

Hanka wiedziała, że porywanie dziadka, szczególnie tego akurat dziadka, nie było najlepszym pomysłem, bo mimo tego, że był kochany i w ogóle (do wszystkiego można się jakoś przyzwyczaić), był też człowiekiem okropnie marudnym, zarozumiałym i złośliwym. Po co ktoś miałby go porywać? Po pierwszym dniu oddałby go z dopłatą albo po prostu zabił i zakopał. Przecież dziadek z pewnością pouczałby porywaczy, jak powinni się zachowywać w czasie uprowadzenia, co robić i jak to było za jego czasów. Babcia Anetka wytrzymywała z nim jakimś cudem. Może dlatego, że była jego dokładną kopią. Razem stanowili parę, której nikt nigdy nie życzyłby sobie spotkać na swojej drodze. Było wiele osób, które może i chciały ich zamordować, jak choćby wszyscy sąsiedzi z bloku, ale porywać? Niemożliwe. Dziadek miał nawet sprawę o groźby karalne. Wywiesił kiedyś na klatce schodowej informację:

*Drodzy sąsiedzi,*

*jeżeli naprawdę nie przeszkadza wam, że wasz słonik Mateusz (lat trzy) biega z tupotem bizona po moim suficie o drugiej w nocy, to albo kupcie dywany, albo zdejmijcie mu buty, bo inaczej ja odrąbię*



*mu kopyta, a wam nogi z d... powyrywam.*

– To jakaś bzdura. Jakieś durnowate hasło, dziwaczne nazwisko i kurier. Ucho? Babcie musiały coś pomylić – Hanka podsumowała swoje przemyślenia.

– Niekoniecznie – westchnął Szczurek. – A słyszeliście o babce, która zadzwoniła po pizzę i w ten sposób wezwała pomoc? Początkowo nikt jej nie uwierzył, ale potem okazało się, że stał przy niej morderca... No. To może być właśnie tak. Nie mogła mówić, więc powiedziała cokolwiek, a to hasło jest tak rozpoznawalne, że zwraca uwagę.

Niestety, musieli przyznać mu rację.

Przez dłuższy czas przeglądali oferty biura matrymonialnego, nie wiedząc właściwie, czego szukają. Nie powinni znaleźć niczego zaskakującego. Nie powinni byli w ogóle się w to zagłębiać, bo tego typu zajęcia bywa odmóżdżające. To jakby słuchać wypowiedzi kandydatek na Miss Czegośćam. Każda kocha zwierzęta, czyta Schopenhauera i marzy o pokoju na świecie, a tak naprawdę myli Schopenhauera z Lagerfeldem, zwierzęta lubi na talerzu, a pokój wyobraża sobie w kolorze lawendy.

Tak samo z ofertami. Były doskonałe. Mężczyźni bez nałogów, kobiety bez cellulitu, a wszyscy inteligentni, romantyczni i nienawidzący obłudy.

Maciek uśmiechał się pod nosem. Zamyślony patrzył dość nieuważnie w ekran komputera, bo sprawa zabójstwa naprawdę go dręczyła, i pewnie by nie zauważył, gdyby Szczurek nie zwrócił jego uwagi na pewne zdjęcie.

– O! Ta jest nowa – powiedział, wskazując na jedną z ofert.

Maciek skamieniał.

\*\*\*

Jeszcze tego samego dnia Dziurka została dokładnie obejrzana, obfotografowana i usadzona na ławce w korytarzu, który pełnił rolę poczekalni.

Miasto wrzało. Tłum tym razem zebrał się pod posterunkiem. Nie był to groźny tłum, a raczej ciekawski i nieco bardziej popołudniowy. To znaczy składał się z młodzieży i kilku dość trzeźwych jeszcze mężczyzn. Kobiety w tym czasie zmywały naczynia albo szykowały obiady, kolacje, śniadania i wszystkie inne możliwe racje żywieniowe na dwa, trzy dni, bo zbliżała się Wampirjada, a nikt nie chciał przegapić tego, co będzie się podczas niej działo.

Miał być pochód wampirów i występ zespołu metalowego. To było pewne. Pewne było też, że miasto zostanie odpowiednio ustrojone. Reszta to sprawa drugorzędna. Owszem, powinny pojawić się stragany z jedzeniem, niekiedy nawet jadalnym, i z koszmarem plastikowymi pamiątkami, bo miasto nie nadążało ze sprzedawaniem koncesji. Powinny być warsztaty tańca w bieliźnie i happening pod tytułem „Ugrzyź mnie”. Powinni pojawić się szczudlarze i połykacze ognia oraz efekty specjalne w postaci sztucznych ogni.

I niby wszystko było okej. Niby, bo w mieście nie brakowało też przeciwników organizowania tej „jakkż niesmacznej” akcji. Byli to ludzie, którzy uważali, że picie piwa na festynach uwłacza ich godności, nawet jeżeli tylko na to patrzą, a publiczne jedzenie kielbasek jest poniżej wszelkiej krytyki. Ci na Wampirjadzie chętnie zobaczyliby Poznańskie Słowiki, a zamiast zespołu rockowego wykonanie jednej z cięższych i dłuższych oper Wagnera.

Byli i tacy, którzy zamierzali siedzieć w domach i solennie przyrzekali, że będą narzekać na wszystko, w tym na zepsucie dzieciak, rozpustę, perwersję i sytuację ekonomiczną w Gwinei Równikowej.

Do tych właśnie osób należała osobista teściowa komendanta policji. Nigdy nie zrozumiała, dlaczego jej córka wyszła za takiego mężczyznę. Co więcej, nie darowała jej tego i robiła wszystko, żeby stan ten zmienić.

Oczywiście nie zamierzała otruć swojego zięcia. Nie była aż taka głupia i nie chciała spędzić reszty życia w więzieniu. Na dodatek nie wierzyła we wnikliwość stróżów prawa i obawiała się, że ci zamiast niej, do więzienia mogą wsadzić jej córkę. Wszak wiadomo, że za zamordowanie męża zawsze odpowiedzialna jest żona. Przyjęła więc inną taktykę.

Zupa była jej częścią.

Postanowiła zniechęcić zięcia do czosnku tak bardzo, żeby przestał go używać, a wtedy... wtedy przywoła wampiry!

Z internetu, a jakże, wiedziała, jak wyglądają wampiry, i nikt, absolutnie nikt nie byłby w stanie jej przekonać, że są podobne do Dziuńki.

Wiedziała, że mają oczy, których kolor zmienia się pod wpływem emocji, dwa wydłużone kły, delikatne rysy i niezwykle gładką skórę. Jej kolor czasami określano jako blady albo nawet świetliś-cie białe. Wierzyła, że są to istoty niezwykle piękne i pociągające, no i że są drapieżcami. Wiedziała też, że ich włosy nigdy się nie przetłuszczają, co bardzo różniło je od włosów zięcia, i że delikatnie połykują, oczywiście bez nakładania tej obrzydliwej pomady.

Jako osoba inteligentna wyrobiła sobie o wampirach własne zdanie. Kto ma dziwnie kolorowe oczy, piękne włosy i kły? No kto? Dziuńka? To czupiradło?! Nie! Koty! Tylko koty! Wampiry to po prostu cudne, śnieżnobiałe koty, które może nie zawsze atakują ludzi, ale w sprzyjających warunkach z pewnością to zrobią. Dlatego właśnie karmiła koty w lesie. Miała tam swoją małą hodowlę, którą już niedługo chciała wykorzystać w walce z zięciem. Nie była to hodowla w ścisłym sensie, gdyż kobieta kotów nie rozmnażała, ale hołubiła wszelkie leśne, miejskie i podmiejskie kocie przybłądy, które zbiegały się na dobre jedzonko z bliższych i dalszych okolic. Białe koty pielęgnowała szczególnie, a kiedy uznała, że są gotowe, zabierała je i umieszczała w pewnym tajnym miejscu, żeby mieć je bliżej siebie.

Owo miejsce niestety bardzo szybko przestało być tajne dla reszty kotów.

Dużym problemem była kocia dieta. Kobieta nie mogła im kupować przecież tego strasznego kocięgo żarcia, o którym słyszała tyle złego. Nie mogła z dwóch względów.

Po pierwsze, oficjalnie w domu komendanta nie było kota, więc złośliwcy od razu zaczęliby plotkować, że karmi zięcia kocią karmą albo coś w tym rodzaju. Natomiast drugim, poważniejszym problemem były same koty, a właściwie wampiry. No bo jak? Jak można proponować takim wspaniałym istotom coś tak nieeleganckiego?

Owszem, w reklamach kocie żarcie wygląda zachęcająco. Ale tylko w reklamach. Nie gotowała im też żadnej kaszy. Wampiry nie gotują swoich ofiar! Przynosiła im najlepsze kęski wołowiny, trochę krwistej wątróbki cielęcej, za którą nie przepadały, siekane serca indyjskie... a wszystko to doprawiała krwią. Świeżą, nie suszoną. Kupowała ją prosto od rzeźnika za ciężkie pieniądze.

Już niedługo powinna uzyskać zadowalające efekty. Wtedy ludzie w miasteczku zobaczą, jak naprawdę wyglądają i działają wampiry.

Kłopot miasteczka polegał na tym, że im więcej mówiło się o wampirach, tym trudniej było sobie wyobrazić, choćby dlatego, że ostatnio rzadko widywano na ulicach mężczyzn w czarnych smokingach i pelerynach.

– Ach, co za czasy! – westchnęła kobieta. – Nawet biedne wampiry musiały się dostosować.

Co innego, gdyby miasto pozwoliło na odtworzenie na rynku którejś z oper Wagnera. Może jakiś bas albo baryton okazałby się wampirem, ale taki wyrafinowany bas nie zjadłby przecież zwykłego komendanta policji! To byłoby jeszcze straszniejsze niż kielbasa z cebulą!

\*\*\*

Turnus rzeczywiście umierał, pijaństwo z dnia poprzedniego odbiło się gigantycznym kacem, a brak snu – depresyjnymi nastrojami. Nie cieszyła ich nawet prezentacja, bo była nie taka, jak powinna.

Chcieli prezentacji garnków, bo tam można było dostać żelazko, albo prezentacji kołder, bo dawali lokówkę do włosów. Ale tabletki? Byli już w tym wieku, że tabletki ich specjalnie nie podniecały. No, chyba że te niebieskie.

Elegancka młoda osoba w różowym kostiumiku położyła na stole kilka przepięknych główek czosnku. Fioletową główkę czosnkowego giganta, szalotkę, cebulę, obowiązkowy pęczek czosnku niedźwiedziego i czosnek szklarniowy. Zaczęła przemowę.

Emma i Pit chcieli ulotnić się po cichutku w chwili, kiedy fioletowy czosnek okazał się chińskim dżajemou niechroniącym przed wampirami, szalotka zaledwie namiastką czosnku, choć niby ten sam gatunek, ale nienadająca się na odstraszacz krwio pijców, i gdy zorientowali się, że czosnek niedźwiedzi można pomylić z konwalią, a taka pomyłka w wypadku spożycia grozi śmiercią, która co prawda chroni przed ukąszeniem wampira, ale niestety trochę zbyt skutecznie. Czosnek szklarniowy allicyny wcale nie ma. Wcale a wcale. To tylko zapach chemiczny! I tak, tak, wcale nie chroni przed wampirami.

Zostali do końca.

– Bo wiecie państwo, pewnie sobie myślicie, że dobrze, ten Zagubin jest, jaki jest, ale my tu nie mieszkamy, wyjedziemy, po co nam ochrona przez wampirami? Teraz owszem, ale potem? I tu się mylicie! Mylicie się naprawdę! Amerykańscy uczeni wykryli, że wampirioza zaczęła się niebezpiecznie rozprzestrzeniać. To już nie jest sprawa samego Zagubina. To epidemia, a może i pandemia.

Wyświetliła na ścianie wielką mapę świata z różnymi kolorowymi plamami.

– Kolor niebieski to udokumentowane ugryzienia. Tak, a co to znaczy? To znaczy, że cały świat jest zagrożony! Kolor czerwony to rozprzestrzenianie się ugryzień. Wampiry muszą jeść. Kolor żółty to tereny najbardziej zagrożone. Tak, proszę państwa, widzicie? Polska! Dlaczego? Bo wampiry są wybredne. One kochają dobre jedzenie, nieskażone, porządne... Bez konserwantów. Tak, tak. Taki wampir zjadłby dziewicę, ale to teraz rzadkość, więc jeżeli nie ma wyboru, to przecież woli matkę dzieciom, a nie jakąś latawicę, prawda? Dlaczego tak jest? Amerykanie są zbyt otyli i trudno się przez nich przegryźć, Chińczycy znowu za mali, mają za małą wartość odżywczą, tak, tak... Meksykanie mają zbyt ostrą krew... A Rosjanie? Wampiry boją się wpływu alkoholu na zawartość żelaza w krwi. Natomiast my jesteśmy w sam raz, szczególnie kobiety, matki, Polki. Grozi nam więc epidemia wampiriozy, i to już w najbliższym czasie! A wszystko to, jak mówiłam, niedawno odkryli amerykańscy uczeni.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że wszystko, co odkryją amerykańscy uczeni, automatycznie staje się prawdą.

– Jednak nie bójcie się państwo! Nasza firma zadbała o wasze bezpieczeństwo.

Panienska po chwili wyłożyła na swoim stoliku kilkadziesiąt pudełeczek i powoli zaczęła je rozdawać.

– Mamy tu spray czosnkowy do pryskania wampirom w oczy, perfumy czosnkowe do skrapiania się przed snem, czosnek w rozpylaczu, doskonale utrwała nawet najwymyślniejsze fryzury i chroni przed wampirami, ale to jeszcze nie wszystko! Lakier do paznokci! Także czosnkowy. Zestaw szminek. Peeling z czosnku. Mleczko do ciała. Balsam czosnkowy... To doskonały odstraszacz wampirów i nie jest produkowany z byle jakiego czosnku, ale ze starannie dobranych główek hodowanych na naszych eksperymentalnych plantacjach! Dzisiaj rozdaję państwu próbki i po butelce wyśmienitego czosnkowego wina. A to wszystko za symboliczną kwotę...

Cena była oczywiście symboliczna, ale wiadomo, symbole bywają wielkie!

Emma chciała zostać dłużej, ale pociągnięta przez Pita, wyszła w chwili, kiedy prawie wszyscy obecni na sali ludzie rzucili się do podpisywania umów.

– No i jak? Są zadowoleni? – zapytała Wierciuchowa, zaglądając do pomieszczenia.

– Nawet bardzo – odparła Lilka ucieszona, że prezentacja się udała. – Wino czosnkowe zdecydowanie im smakuje!

Po obiedzie postanowiła zabrać seniorów na spacer po parku. Trochę ją męczyły te czynności opiekuńcze, ale biznes is biznes.

\*\*\*

Minęło zaledwie kilka godzin. Maciek siedział jak skamieniały, wpatrując się w zdjęcie. Nie wiedział, co powiedzieć. Właściwie nie chciał nic mówić, ale sprawa wyglądała, niestety, paskudnie.

– Wiecie, kto to jest? – zapytał obecnych, wskazując na odkryte przez Szczurka zdjęcie.

Nie wiedzieli.

Kobieta nie była bardzo młoda, ale też nikt z pewnością nie nazwałby jej niemłodą. Miała trochę źle ostrzyżone włosy i nie była ładna. Może nie paskudna, ale ładna jednak zdecydowanie też nie.

– Tak jakby znajoma twarz, ale nazwisko mi nic nie mówi. Prokopiec? – zastanawiała się przez chwilę babcia Marylka. – Nie.

\*\*\*

– Nie mam podstaw, by panią aresztować – mruknął rozżalony komendant. – Mógłbym, ale nie mogę. To znaczy mogę, ale nie wydaje mi się to rozsądne. Przecież ktoś musi zachować rozsądek, prawda? Skoro wszyscy powariowali, ktoś musi... Tylko niech pani nigdzie się nie oddała.

– Znaczy, że co? Na ławce mam siedzieć? Tu, ło? W korytarzu? – Dziuniąka wskazała ręką za siebie.

Komendant tylko pokręcił głową. Zamknięcie Dziuniąki było w zasadzie możliwe. Widziano ją w pobliżu denatki i paradowała zakrwawiona. Aż tyle i tylko tyle. Na miejscu zbrodni prawie nie było krwi. No, chyba że ktoś zabił tę biedaczkę po prostu na Dziunięce. Dodatkowo czas trochę się nie zgadzała. Ze wstępnych oględzin zwłok wynikało, że kobieta zmarła o wiele wcześniej. No i motyw. Po co Dziuniąka miałaby ją mordować? Tego oczywiście trzeba było się dowiedzieć, ale trzymać ją w areszcie to jakby przyznać, że... Westchnął zrezygnowany.

– Niech pani nigdzie nie wyjeżdża! Niech pani zostanie w mieście, no.

– A gdzie miałabym wyjechać?

– Gdziekolwiek. To znaczy nigdzie i niech pani wyjaśni mi, co to jest.

Pokazał jej dziwną kartkę. Wymiętą, wymęczoną, poszarpaną. Tę samą, którą ktoś wcisnął Dziunięce w rękę, kiedy wyprowadzano ją z pensjonatu.

Na kartce były jakieś bazygroły. Kilka trudnych do odczytania nazwisk.

– Co to jest? Zna pani te nazwiska? Aleksandra Mark? Eliza Gracja Dupont? Albo Dupoint? Bo niewyraźnie napisane, Mariola Tracz? Wolska Eulalia?

– A co ja wiem? Dawali, to brałam. Nie czytałam. Zresztą u mnie z czytaniem trochę nie po drodze. Nie, żeby nie umiała, ale jakoś tak odwykłam – stwierdziła, wzruszając ramionami.

Komendant skserował kartkę i odłożył ją do teczki. Podejrzewał, że może to być po prostu menu przygotowane dla Dziuniąki przez przedsiębiorczych zagubinian. Raczej przez zagubinianki. I może nie przedsiębiorcze, a złośliwe? Może to baby, które Dziuniąka ma zjeść w pierwszej kolejności? Te lepsze, które chcą się poświęcić dla dobra miasteczka, albo te, które ktoś chce poświęcić dla swojego dobra. Tyle że nie kojarzył żadnego z nazwisk. Nie było w tym niczego dziwnego. Z racji wykonywanego zawodu nie znał nazwisk ludzi całkowicie praworzędnych. Po prostu tacy nie pojawiali się w rejestrach. Wierzył jednak, że istnieją nawet tutaj. Aleksandra Mark? Eliza Gracja Dupont? Mariola Tracz? Wolska Eulalia? No cóż, po samych imionach zgadywał, że niektóre z tych pań są dość wiekowe.

A niech się zagryzają, jeśli chcą, byle nie na śmierć, westchnął, głupie baby! Kazał wyprowadzić Dziuniękę na korytarz i zadzwonić do jej męża, żeby się po nią pofatygował, bo przecież goła po mieście nie mogła chodzić.

Dziunia wymęczona długim odwykiem i przymusowym prysznicem – musieli zrobić jej zdjęcia, na wypadek gdyby miała jakieś rany – który pozbawił jej skórę bariery ochronnej hodowanej od kilku lat, drżała z zimna pod policyjnym kocem. Czekala, aż Wiesiek przyniesie jej z domu coś do ubrania, bo zabrano jej wszystkie ciuchy. Miały stanowić dowód w sprawie. Ilość krwi na ubraniach sprawiła, że technicy z laboratorium dostali szału. Żeby coś znaleźć, będą musieli przebadać wszystko centymetr po centymetrze.

Podejrzana dostała od komendanta na pocieszenie kilka gazet ze swoimi podobiznami i poważnie się zastanawiała, czy będą z tego dla niej jakieś pieniądze. Wiedziała, kto zdjęcia zrobił. Wiedziała, gdzie go znaleźć i jak do niego przemówić. Brała przy tym pod uwagę kilka czynów karalnych, ale czegoś się nie robi dla zysku.

Wiesiek się spóźnił.

Wobec niego także planowała kilka czynów karalnych, ale najpierw musiała stąd wyjść.

Wreszcie nie wytrzymała. Obawiała się, że ominie ją finansowa gratyfikacja związana z opublikowanymi zdjęciami. Dziennikarz może wyjechać? Może. Nie wolno jej było do tego dopuścić. Szczelnie owinięta w bury koc ruszyła w kierunku wyjścia. Nikt jej nie zatrzymywał.

\*\*\*

Amelia Prokopiec przyrządziła swoją magiczną zupę czosnkową oraz lekkie drugie danie. Bardzo, bardzo lekkie. Córka, choć według matki zdecydowanie urodziwa, o klasycznej urodzie, pięknych włosach i wielkich zielonych oczach, była nieco zbyt tęga, więc matka zająwszy się gotowaniem, robiła wszystko, żeby ją odchudzić. Miała w stosunku do niej poważne plany, które wymagały zrzucenia kilku kilogramów.

Przygotowała też połędwicę wołową, którą posiekała z dużą ilością lekko skrzepłej krwi. Takie dania jej podopieczni lubili najbardziej. Wzięła trochę karczku i indyczych tuszek. Ta porcja była dla kotów, które nie rokowały nadziei na zostanie wampirami, ale przecież i tak musiały jeść.

Zapakowała wszystko w plastikowe pojemniczki ze starannie wypisanymi imionami kotów.

Mrukrwisław, Krwiosława (podejrzewała, że Krwiosława jest Krwiosławą, a nie Krwiosławem, ale pewna nie była, bo koty pazurami broniły dostępu do swoich intymnych części ciała), Mordencjusz, Gryzogniew i Lubokrew. Ostatnie pudełko opisane było „Cała reszta”. Pięć białych wampirów i kilkanaście różnokolorowych kotów, które zwabione smakowitym mlaskaniem innych oraz pewnie zapachem, zbierały się w jej tajnym miejscu w lesie, miaucząc i zawadzając.

Było jeszcze przed południem, więc kobieta wyruszyła do lasu, żeby zdążyć wrócić na czas obiadu i przypilnować córki, bo ta nic sobie nie robiła z zakazów i żarła jak opętana. W ogóle nie miała samodyscypliny, a przecież liść sałaty, seler naciowy i woda mineralna to całkiem porządny posiłek.

Pogoda była paskudna. Zaczynał padać deszcz i niebo pociemniało. Amelia szła po cichutku, omijając uczęszczane ścieżki i większe skupiska ludzi, żeby za bardzo nie rzucać się w oczy. Nie mogła pozwolić sobie na to, żeby ktoś odkrył jej plan i go udaremnił.

Weszła w las i skierowała się w stronę cmentarza. Nie, sam cmentarz nie był jej specjalnie potrzebny. Po prostu chciała ominąć jak najszerszym łukiem Krwiożerczego Piotrusia i miejsce, gdzie znaleziono zwłoki, bo tam mogła spotkać swojego zięcia albo kogoś z jego ekipy, a to nie było jej potrzebne.

Kiedy dwa tygodnie temu, jeszcze u siebie w Gdańsku, czytając jedną z ogólnopolskich gazet, dowiedziała się o makabrycznym znalezisku w Zagubinie, postanowiła zrealizować swój od dawna hołubiony pomysł. Wampira, a właściwie jego szkielet, odkryto pod lasem. Było to co prawda niedaleko od cmentarza, ale jednak w niepoświęconej ziemi. Tam właśnie założyła kocią stołówkę.

Nie przy samym grobie, bo wędrowały do niego całe pielgrzymki zwiedzających, archeologów, policjantów i szaleńców.

Znalazła całkiem porządne, gęste krzaki, w których mogła spokojnie oddawać się swojej pasji, czyli obmyślaniu straszliwej śmierci dla zięcia nieudacznika.

Jako narzędzie zbrodni wybrała wampiry, ale było coś, co spędzało jej sen z powiek. Chciała, żeby był martwy. Całkiem martwy. Zupełnie martwy. W żadnym razie nie miała ochoty na zięcia, który wstałby z martwych, bo to mogłoby być niebezpieczne. Miał zostać zamordowany, zjedzony, a nie zwampirzony.

Nie do końca wiedziała, jak tego dokonać, ale że była osobą czytana i inteligentną, wkrótce doszła do pewnych, nawet interesujących wniosków.

Nie każdy wampir powstaje z martwych. To znaczy może powstać, ale nie musi. Wystarczy go odpowiednio potraktować. Choćby kolkiem, czosnkiem, krucyfiksem i święconą wodą. Kółek odpada, bo jak go pochować z kolkiem? Zresztą nawet gdyby, to co będzie, jak kiedyś kółek przegnije? Krucyfiks jest w porządku, ale się nie nadaje. Można go zdjąć, ukraść... Sam może spaść. Przypadkiem. Choćby po latach. Oprócz odrąbania głowy, bo oczywiście będzie musiała zięcia wykopać i odrąbać mu głowę, i to zaraz po pogrzebie, potrzebowała jeszcze czegoś w rodzaju zabezpieczenia. Postanowiła wytatuować mu krucyfiks na plecach. Niestety nie po śmierci, bo tatuowanie zwłok, i to na cmentarzu, w nocy, mogło wzbudzić podejrzenia. Postanowiła zrobić to w sobotę. W najbliższą sobotę. To był najlepszy moment. Upije zięcia do nieprzytomności i go wytatuuje. Zięć pił mało, więc brak mu był treningu. Odpowiednio wzmocnione drinki załatwią sprawę. A potem ona zabierze się do pracy.

Stylizowany krzyż wielkości czterdzieści na dwadzieścia centymetrów powinien załatwić sprawę. Kurzydło z pewnością się nie zorientuje, a nawet gdyby, to powie mu, że to dla ochrony przed wampirami. Może tak być, że kocie wampiry nie będą tym zachwycone, ale przecież pod koszulką i tak niczego nie będzie widać.

Zainwestowała już w maszynkę i tusz. Kupiła wszystko, co trzeba na Allegro, i właśnie czekała na przesyłkę. Wydała całkiem pokaźną sumę, ale wierzyła, że to dobrze zainwestowane pieniądze. Musiała jeszcze tylko zobaczyć, jak to działa. Nie miała innego wyjścia, zamierzała pójść do salonu i dać sobie zrobić tatuaż.

Weszła głębiej w las. Była przejęta, bo słyszała, że tatuowanie jest bolesne. Dla córki jednak zrobi wszystko. Dotarła na miejsce i starannie zaczęła rozpakowywać jedzenie. Brudne miseczki zebrała do reklamówki, a czyste zaczęła ustawiać w odpowiednich miejscach. Gdy tylko się pojawiła, z lasu zaczęły wychodzić koty.

Najpierw pojawił się Mrukrwisław i Mordencjusz. Poznała je po oczach. Potem Gryzogniew, a zaraz za nim inne, szare, bure i łaciate, a nawet jedna trikolorka.

To był zły układ. Powinna najpierw nakarmić niewampirze koty, a dopiero potem otworzyć smakołyki dla wampirzych, żeby te gorsze nie dobrały się do karmy wybrańców.

Niestety, nie udało jej się zrobić tego dostatecznie szybko.

Koty zaczęły miauczeć i płakać tak przeraźliwie, jakby ktoś je krzywdził, a właściwie jakby ktoś krzywdził maleńkie dziecko. To mogło kogoś zwabić.

Z daleka dał się słyszeć tętent. Domyśliła się, że to ten paskudny pies. Coś zahuczało. Gdzieś niedaleko uderzył piorun.

– Jest! Jest! – krzyknął ktoś podekscytowanym głosem. – Znalazłem łądowisko! Łądowisko klasy A! Hurraaa! – W tym momencie coś błysnęło, skrzypnęło i z wielkim hukiem ktoś zleciał z drzewa.

– Ratunkuuuu! – wrzasnęła Amelia Prokopiec, ale na ratunek było już za późno.

Kocie jedzenie rozlało się dookoła niej, a zwierzęta wskoczyły w nie łapami. Następnie rzuciły się na nią z wrzaskiem, a ona ledwie zdołała się podnieść.

– Ratunku! – zawołała, nie wiadomo po co i do kogo. Obwieszona kotami, ruszyła prosto przed siebie, taranując pomniejsze krzewy i objając się o pnie drzew.

– Oj, oj, ratunku – jęknęło coś na ziemi i podążyło za nią, kulejąc i klnąc.

Za nimi pędził jeszcze ktoś.

– Znalazłem ładowisko! Znalazłem ładowisko! – krzyczał, wymachując rękoma. Smagany gałęziami i deszczem gnał w kierunku światła, które z powodu pogody zapalono w pensjonacie.

Z daleka wyglądali dość niesamowicie. Z przodu, wrzeszcząc, biegło coś w zakrwawionym, wyjąłym i wijącym się futrze, po części białym. Za tym czymś, co mogło być chyba uznane za istotę nie z tego świata, biegło coś kulejącego, skulonego i wyraźnie połamanego, przypominające Igora z filmu o Frankensteinie. Za nimi zaś z dzikim i wyraźnie maniakalnym śmiechem na ustach biegł ktoś, kto wyglądał na szalonego naukowca w apogeum obłądu.

Całości dopełniała burza.

I naga Dziunia, która z wrazenia upuściła koc. Stała jak wmurowana przed Krwiozerczym Piotrusiem, w oknach którego z chwili na chwilę pojawiała się coraz więcej zaciekawionych twarzy.

Kilka osób zemdląło. Widok nagiej Dziunki to nie w kij dmuchał, może powalić każdego. Tym bardziej że Dziunia była czysta i trzeźwa.

– Zabierzcie ją stamtąd! Zabierzcie ją, zanim coś się stanie! – krzyknęła Lilka.

Wtedy zobaczyła włochatego, krwawego potwora, kulejącego pokurcza i oszalałego profesora.

– Armagedon! – krzyknęła, rzucając się do barykadowania drzwi. – Wampiry!

Nie zdążyła.

Gruchnął grzmot, Dziunia otrząsnęła się z szoku i nie patrząc na pozostawiony na ziemi koc, wbiegła do recepcji, a za nią wtargnęła, wrzeszcząc, obwieszona wciąż kotami, poraniona i zakrwawiona zjawa, ledwie żywy fotograf i profesor.

– Znalazłem ładowisko! – zawołał. Był tak szczęśliwy, że nie widział, co się dzieje dookoła. – Kosmici! Kosmici wylądowali!

Pisk, jaki rozległ się w sali jadalnej, w której szykowano się do obiadu, obudziłby umarłego.

W tej chwili otworzyły się drzwi.

– Przywiozłem wam tych dwoje – powiedział Kurzydło, wchodząc. – O, mamusia. Co mamusia tu robi? – zwrócił się do zjawy, która usiłował zrzucić z siebie koty.

– Jestem wampirem – rozpląkała się Amelia Prokopiec. – Jestem wampirem.

– O, niedoczekanie twoje! – wrzasnęła naga Dziunia i rozkwasiała Amelii i tak już porządnie podrapany nos.

Amelia padła jak długa pod nogi komendanta. Koty rozbiegły się po jadalni, skacząc, prychając, i zostawiając urocze krwawe odciski kocich łapek na obrusach i bezczelnie zwalając wszelkie możliwe szklanki z kompotem. Te bez kompotu też.

W tym momencie z dzikim krzykiem pani Basia wyciągnęła z torebki czosnek w aerozolu i psiknęła tym specyfikami w oczy Dziunki. Dziunia wypuściła z ręki swój przydługi biust, zasłoniła oczy i wrzasnęła.

Komendant rozbroił panią Basię.

W kącie przy drzwiach, trzymając się za ręce, stali Emma i Pit w kajdankach.

\*\*\*

– Czyli co?

– Czyli nic. Mamy trzecią babę zainteresowaną Stawickim – stwierdził Maciek, wzruszając ramionami. – Trzecią, ale kto wie, czy ostatnią.

– A co w tym dziwnego? Co prawda facet jak facet, specjalnie urodziwy nie jest, ale ma pieniądze. Trudno się dziwić. Kobiety lecą na kasę – odparowała Hanka.

– No właśnie, lecą na dużą kasę, ale i za mniejsze pieniądze zabijają. – Maciek miał doświadczenie w tych sprawach i choć niewiele o tym mówił, sporo wiedział. – To częsty motyw morderstwa. Możesz

mi wierzyć na słowo.

– Ale co to ma wspólnego z tą Prokopiec?

– Jezu, mam nadzieję, że nic. To dopiero byłby koszmar. Wiesz, kto to jest? Prawda? – zapytał, a widząc niepewną minę Hanki, rzucił, jakby to była oczywistość: – Przecież to żona komendanta policji! Wyobrażasz sobie coś takiego? Będzie totalny syf, gdy się komendant dowie.

– A musi? Po co ma się dowiadywać? Zresztą nazwisko nie takie...

– Może nie... To zależy od całej sprawy i od dalszego ciągu, a nazwisko wstawiła panieńskie. Może chce się rozwieść? Już się rozwodzi?

– Może trzeba z nią porozmawiać. Niech wycofa to ogłoszenie czy jak? Albo się wytłumaczy.

– Coś ty? To byłaby zbyt duża ingerencja. Ale zastanowię się nad tym. Kurzydło to porządny facet, a taki skandal wcale go nie ucieszy. Jakby co, to i sprawę mogliby mu zabrać, ale w tej chwili nic nie wskazuje na to, że którakolwiek z kobiet ma coś wspólnego z tą zamordowaną. Oczywiście poza obiektem westchnień, zagubińskim, a raczej kotłocińskim adoniszem w skarpetkach do sandałów. W drogich skarpetkach do drogich sandałów.

Hanka pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Ty to jesteś naiwny! Nic nie wskazuje na to, że którakolwiek z kobiet ma coś wspólnego z tą zamordowaną? Nic? A zazdrość? Chciwość? Typowa babska zawiść? Myślisz, że to mało? W takim razie nic nie wiesz o życiu.

– Nie, nie jestem naiwny, ale jak na razie dowodów brak, tylko domysły mamy. A domysły się nie liczą. Owszem, mogły się mordować między sobą, ale on też jest podejrzany. I dlaczego zamordowano właśnie tę kobietę? Że niby miała największe szanse? Dlaczego największe? Dlaczego akurat ona? Będą kolejne? Tfu! – Zezłościł się sam na siebie. – Trochę to dziwne... Patrz, facet nawiązuje kontakt z trzema kobietami. Możliwe, często tak bywa. Mówi im o tym? Nie. To nielogiczne. One wcale nie powinny o sobie wiedzieć! Więc kto?

– Marika mogła powiedzieć matce. Ona z pewnością wiedziała, bo ma dostęp do wszystkich plików.

– Mogła, ale i tak to dziwne. Jej matka dowiedziała się i natychmiast zamordowała jedną konkurentkę, a teraz zamierza zamordować drugą? Marika zamordowała tę babę? Ona mogła załatwić to inaczej. I dlaczego akurat tę, a nie obie? Ten Stawicki to nie jest dobry trop. Nie... Choć trzeba się temu przyjrzeć, a teraz powiedz mi, co się tam wyprawia. Co to za wrzaski?

Hanka otworzyła drzwi zaimprovizowanego biura i zaczęła nasłuchiwać.

– Znowu coś się tam dzieje. Chodźmy! – zawołała zaintrygowana przeciągłym krzykiem. – Kogoś mordują, to pewnie!

Kiedy wbiegli do jadalni, zobaczyli pobojojisko. Krwawe pobojojisko. Na podłodze wyla się Amelia Prokopiec.

– Zasłońcie to okno! Pałę się! Pałę! – krzyczała.

Hanka rozejrzawszy się, nie dostrzegła ani dymu, ani płomieni. Za oknem nadal trwała burza... Nie było sensu go zasłaniać, bo i tak panowały ciemności.

Obok Amelii wyla się Dziuńka. Pluła, charczała, tarła oczy.

– Czosnek! Ratunku! Zabiła mnie. To czosnek!

Obok stał Kurzydło. Stał spokojnie, co nie znaczy, że był spokojny. Wyglądał, jakby miał zaraz eksplodować, ale chyba się wstydił, bo jego twarz przybrała kolor czerwony jak dżem... truskawkowy z domieszką cegły.

– Mamusiu, mamusia wstanie! – Próbował podnieść swoją teściową. Robił to delikatnie, ale wyraźnie wymagało to od niego ogromnego samozaparcia, bo minę miał taką, jakby chciał ją zamordować. Po stołach szalały koty.

Profesor śmiał się i biegał od okna do okna.



– Co tu się dzieje? Mamo?! – Maciek zwrócił się do jedynej mniej więcej opanowanej osoby, która przyglądała się wszystkiemu z przerażeniem na twarzy, ale bez krzyku na ustach.

– Nie wiem. Chyba wylądowali kosmici – odpowiedziała martwym głosem i wycofała się do kuchni, żeby tam wybuchnąć szlochem. – Jeszcze kosmici? Ja już z wampirami nie daję rady, a tu jeszcze kosmici... Chyba oszaleję. To wina Kociołka! To wszystko wina Kociołka, on ich sprowadził!

Burza rozszała się na dobre, zalała świat potokami wody i uspokoiła nieco całe towarzystwo. Amelia Prokopiec oblepiona plastrami, z zimnym kompresem na nosie, siedziała przy stoliku w kącie. Obok niej, owinięta starym obrusem, tkwiła Dziurka.

Komendant pousadzał towarzystwo przy stołach, gdy tylko Lilka, Maciek i Wierciuchowa uprzętnęli pobojuwisko.

– A co z nimi? – zapytała Hanka, wskazując głową na wciąż zakutych w kajdanki Emmę i Pita.

– A nic – westchnął komendant. – Nic, zupełnie nic. Ale czy nie moglibyście jakoś lepiej ich pilnować? – zapytał z wyrzutem. – Przecież są pod waszą opieką! Musiałem ich zatrzymać, bo dzwonili z ratusza...

– Zatrzymać? Za co? – zdziwiła się Hanka.

Uważnie przyjrzała się kobiecie i stojącemu obok niej mężczyźnie. Nie wyglądali groźnie. Nie byli nawet pokrawieni, żadne z nich nie miało w ręku siekiery, piły ani innego ostrego narzędzia.

– Obrazę moralności.

Wyobraźnia Hanki zadziałała natychmiast.

– Uprawiali seks? Może w miejscu publicznym? – zapytała lekko przerażona.

– Jeszcze tego brakowało! Zadzwoiła do mnie jedna radna z awanturą, bo całowali się w parku! W parku na ławce! W ich wieku?! Przecież dzieci mogły to zobaczyć! Poza tym oni prze-jawiają poważne skłonności samobójcze!

– Jezus, Maria! Jeszcze tego brakowało!

– A tak, tak. Kiedy podjechaliśmy, usiłowali zwrócić uwagę pijanym wyrostkom, że nie pluje się na trotuar. Dobrze, że zanim tamci się zorientowali, co to jest trotuar, udało nam się ich zapuszkować.

– Tych wyrostków?

– Wyrostków? A za co? Przecież jeszcze nie zdążyli ich pobić! Zresztą to nieistotne. Ważne jest co innego. Chodźmy porozmawiać gdzieś indziej – zaproponował, poważniejąc, a potem spojrział na swoją teściową twardym wzrokiem. – Mamusia tu siedzi i czeka! – powiedział ostro. – Musimy sobie kilka rzeczy wyjaśnić!

Maciek dyskretnie zamknął laptopa Hanki, żeby w oczy komendanta nie rzuciło się zdjęcie wiarołomnej małżonki.

– Wiemy już trochę więcej – powiedział komendant, starannie zamykając drzwi. – Kobieta nazywała się Romualda Kowalska i, jak sądzimy, przyjechała z Francji. Została zamordowana wczoraj około godziny szesnastej.

– Komendancie, komendancie!

Do biura wparowały babcia Zosia wraz z nieodłączną babcią Marylką, którym udało się pójść do siebie do domu, ale niestety nie udało się im w nim usiedzieć. Wróciły więc do Krwiożerczego Piotrusia przebrane, uczesane i umalowane. W pewnym sensie wyglądały nawet gorzej niż rano, bo różowy nie wyszczupła, tapir przestał być modny już jakiś czas temu, a makijaż chyba nakładały szpachelką.

– O co chodzi? – rzucił policjant, zły, że znów ktoś mu przerywa.

– Nie znalazł pan przy niej ucha?

– Znalazłem. Nawet dwoje uszu.

– Obcięli jej oba? To fatalnie! Widzisz? – Marylka zwróciła się do babci Zosi. – Oba.

– Może jedno z nich było męskie? – zapytała babcia Zosia z zaciekawiona.

– Nie były obcięte. Były normalnie przyrośnięte. Co panie z tymi uszami? Opętało was coś?

– Nie, nic nas nie opętywało, wcale a wcale. A w jej rzeczach? Nie było obciętego ucha? Albo powiedzmy... palca? Bo w su-mie nie wiadomo. Nie? Jak porwali babcie Anetkę, to teraz muszą wysłać ucho albo palec, żebyśmy zapłacili okup, nie? Tak zawsze robią porywacze, wie pan, tacy bardziej profesjonalni, a jak powiedziała o tych kasztanach, to od razu zorientowałam się, że...

– Nie, nie było! Niczego takiego nie było. Ani ucha, ani palca, ani śledziony!

– Śledziony też nie? To akurat chyba dobrze. Bo wolałabym, żeby ją oddali w całości, a nie w częściach. Chyba ją oddadzą, prawda?

– Co pani znów wymyśla? Ja tu prowadzę poważne śledztwo, a wy mi przeszkadzacie... – Zreflektował się nagle. – Boże! Niech pani mówi, kogo znów porwali, kto porwał i dlaczego!

– Babcia Anetka to moja... hm, trzecia babcia – wyjaśniła niechętnie Hanka. – Podobno ktoś ją porwał, ale proszę tego nie brać na poważnie. Z całą pewnością znajdzie się cała i zdrowa. One coś wymyśliły.

– Ale... – jęknęła babcia Zosia.

– Dość tego. Niech panie usiądą w jadalni. – Odesłał babcie. – My musimy popracować – dodał, kiedy zniesmaczone bardzo niechętnie opuściły pomieszczenie. – Ta zabita przyjechała z Francji.

– Nie zabita, tylko zagryziona – poprawiła go Lilka, wchodząc niby tylko po to, żeby zapytać, czy będą jeść w biurze, czy w jadalni.

– No nie, pani Lilko – westchnął komendant. – Ona nie była zagryziona. Została uduszona.

– Że niby jak? Zębami? Uduszona? A to się tak da? Nie myślałam, że...

– Nie zębami. Zwyczajnie. Rękami!

– Aaa. I to te pazury zrobiły? Te szpony? O to chodzi? Bo przecież cała poszarpana była!

– No nie cała, tylko trochę. I to już było po śmierci.

Pani Lilka zbladła. Złapała się za serce.

– Coś ją zjadło po śmierci? Profesorze Kociólek! – Wybiegła do jadalni dość niepewnym truchtem. – Profesorze Kociólek, a te kosmity to trupy jedzą? No?

– Trupy? No jasne, że tak. Przecież są jak ludzie. Wszyscy jesteście-my padlinożercami! Choć takie porządne wampiry wolą żywych. Trupy gorzej się wysysa – obruszył się wyraźnie dotknięty.

Kurzydło dopiero teraz przypomniał sobie o Kociółku i jego ładowisku.

– Coś paskudnego dzieje się w tym mieście – powiedział do Hanki. – Wiarę w wampiry do pewnego stopnia rozumiem z powodu tego pochówku, ale cała reszta to czyste szaleństwo. Ludzie powariowali. Pani Lilko! Panie Kociólek! – zawołał. – Chodźcie no tu oboje i nie straszcie ludzi! Co to za ładowisko? Może mi pan wytłumaczyć, o co chodzi z tymi pańskimi kosmitami?

Profesor przybiegł wesolutki jak skowronek, a za nim przywłócił się kulejący Marcel.

– Do usług, komendancie. Mogę wszystko panu wytłumaczyć! Wszystko! Oni wylądowali! Tutaj, w lesie, rozumie pan?

– Nie – warknął Kurzydło. – Nie rozumiem i właśnie dlatego proszę o wyjaśnienia!

Hanka skrzywiła się nieco na widok Marcela i wtedy dopiero zdała sobie sprawę z tego, że kogoś jej brakuje.

– A Wiolka gdzie? – zapytała zaniepokojona. – W jadalni jej nie widziałam.

– Szła za mną do lasu – jęknął Marcel. – Ale potem ją zgubiłem.

– O Boże, a Szczurek?! Jego też nie ma!

– Kosmici ich porwali – pisnęła Lilka. – Na pewno!

– O Jezusie, Maryjo... – zawtórowała Wierciuchowa zza drzwi. – Żeby tylko nic im się nie stało, bo Marika mnie zabije.

– Jeśli kosmici ich porwali, to może ich oddadzą. Tylko czipa im w głowę wsadzą albo wytną im jakieś narządy czy co – obwieściła Lilka, siadając. – Bo kosmici zawsze tak robią i krowy porywają! O Boże... Krowa! Krowę wybuchnęli kosmici! Przecież to logiczne. Myśleli, że jest żywa.

– To musieliby być ślepi.

– No bo są. Przecież to nietoperze! Światło ich oślepia, więc wybuchnęli krowę, bo nie wiedzieli, że gipsowa!

– A na dotyk? Też nie zauważyli?

– Na dotyk? Skrzydłami? Ty, Maciek, naprawdę przesadzasz – obruszyła się Lilka. – I to oni porwali twoją babcie! – dodała po chwili z satysfakcją. – Na pewno! I chemtrailsy też dziś rano robili. Bo to przecież nie rząd. Rząd jest na to za głupi, to oni...

– Przestańcie natychmiast! – zawołał wściekły Kurzydło. – Kociołek, niech pan mówi. A ci dwoje się znajdują. Pewnie siedzą gdzieś i czekają, aż przestanie padać.

Uspokojono się co nieco dopiero po dostawieniu jeszcze jednego stolika, na którym profesor rozłożył jakieś skomplikowane mapy czy plany i kilka zdjęć, przyniesione z pokoju w tajemniczej czarnej rurze.

– To jest ten teren. – Pokazał kawałek nieciekawej gmatwaniny kresek. – A tu jest lądowisko – powiedział, jakby to, miało wystarczyć, było jasne, proste i wyjaśniało wszystko na temat kosmitów.

– Niczego tu nie widzę – stwierdził Kurzydło niepewnie. Coś tam na temat planów i map wiedział, ale chyba niewystarczająco dużo. – Te plany są jakieś nie takie!

– Ha! – zawołał uradowany Kociołek. – Właśnie! Są zaszyfrowane! Widzi pan o te znaczki tutaj? Ha! Nikt tego nie odczyta! – zawołał zachwycony, czym wywołał grymas niesmaku na twarzy Maćka. – Nikt! Są tajne! W ten sposób zaznaczam lądowiska.

– No i? – Kurzydło brakowało już pomysłu na to, co ma zrobić, żeby w końcu dowiedzieć się czegośkolwiek. – Panie, mów pan w końcu, co dalej!

– No nic. Ostatnio znalazłem tylko trzy lądowiska, ale słabej klasy. F, chyba nawet G... Za to dzisiaj prawdziwe lądowisko klasy A.

Kurzydło spojrział na niego z taką miną, jakby chciał go rozerwać na strzępy, więc profesor – świadom zagrożenia – pośpiesznie podsunął mu kilka zdjęć. Zdjęcia te, choć kolorowe, wydrukowane były na zwykłym papierze, matowe i bardzo kiepskiej jakości. Przedstawiały zarysy krzewów, drzew i właściwie nic więcej.

– Nie rozumiem – stwierdził komendant. – Gdzie tu jest jakieś cholerne lądowisko, a gdzie kosmici? Niech pan wreszcie coś wyjaśni, bo chyba oszaleję. Nie widzę tu zresztą miejsca na jakiegokolwiek lądowanie.

– Start pionowy coś panu mówi?

– Start pionowy z krzaków? Oszalał pan? A śmigła?

– Przecież to kosmici. Nie mają śmigieł. Oni mają antygravitację. Nie widzi pan? Proszę się przyjrzeć tym białym plamom. Tak, tutaj dookoła... To przecież czarci krąg!

– Jezu... Albo ktoś tu już zwariował, albo zaraz zwariuję ja! To jeszcze i diabły wchodzą w grę!

– Nie, nie, to kosmici. To znaczy wampiry! – oznajmił podniecony Kociołek. – I ich żołnierze. Cała masa robotów. Biobotów. No.

Teoria profesora brzmiała kosmicznie, czemu trudno się dziwić, wszak dotyczyła kosmitów. Naukowiec pośpiesznie wszystko tłumaczył:

– Nie wszyscy kosmici są wampirami i nie wszystkie wampiry są kosmitami. Są albo nie. Często trudno powiedzieć. W zasadzie niektóre tak, niektóre nie, ale któreś na pewno. Wystarczy tylko je spytać. Dlatego ja tak ciężko pracuję po nocach, żeby je przywołać. Wampirami są tylko kosmici lądujący w czarcich kręgach, a kosmitami są wampiry, które przyleciały, a nie te, które zostały ukąszone i zarażone wampiriozą, to oczywiście. Ona, ta wampirioza jest jak czip. Ziemskie półwampiry

to taka dziesiąta woda po kisielu. Są kontrolowane za pomocą specjalnych biobotów, których przebywają już na Ziemi miliardy. Nie wolno ich zjadać.

Kurzydło nie chciał zjadać ani wody po kisielu, ani ziemskich wampirów, ani tym bardziej specjalnych biobotów, które z pewnością muszą chrzęścić żelastwem w zębach. Nie wiedział też, jak się zachować. To zdarzało się wszystkim, którzy doznali olśnienia w czasie wykładu profesora Kociołka, ale nie mieli pewności, w jakim stopniu jest niebezpieczny, i bali się to sprawdzać na własnej skórze. Komendant przelknął ślinę, wybałuszył oczy, przetarł dłonią spocone czoło.

– Hmm. Bioboty... Hmm.

– No tak! Wysyłają je w tych chemtrailsach na ziemię. Są ich całe masy. Są wszędzie... Niektóre skolonizowały nawet ludzi i...

– Boże kochany! – Babcia Zosia złapała się za serce. – W chemtrailsach? Boże jedyny! Boże jedyny... Ratunku – jęknęła słabo.

W tym momencie do biura weszła kelnerka.

– Proszę państwa, obiad na stole – powiedziała i wyszła.

Kurzydło z zachwytem w oczach i maniackalnym uśmiechem na twarzy ruszył do jadalni, w duchu dziękując Bogu, że obiad uratował go od konfrontacji z wariatem. Za nim trochę niechętnie poszły babcie i Lilka. Kociołek zawiedziony wyszedł chwilę potem.

– Hej, Hanka – powiedział cicho Maciek, który dotąd niewiele się odzywał. – Zostań na sekundę.

Hanka nie miała nic przeciwko temu, zwłaszcza że Maciek wyglądał zdecydowanie interesująco i nie miała na palcu ani śladu po obrączce, co oczywiście o niczym jeszcze nie świadczyło, ale zawsze dawało jakąś nadzieję.

– Chodź, pojedziemy na obiad do pałacyku w Kotłęcinie – zaproponował. – W tym wariatkowie nie da się pogadać, a głodny jestem jak wilk. Ciotka dziś zaordynowała grzyby z kaszą gryczaną, a ja mam ochotę na coś konkretniejszego. No to jak?

– Okej – odpowiedziała Hanka, trochę się czerwiejąc.

Pomysł był niezły i nader obiecujący. Może potem zostaną tam na noc? Rozmarzyła się lekko, po czym skamieniała. Majtki w słoniki! Boże, włożyłam dziś majtki w słoniki... Co za pech. Cholera jasna, nie ogoliłam nóg! Jęknęła w myślach, oczami duszy widząc długie, zaplecione w warkocze czarne loki wijące się na jej łydkach.

W chwilę potem siedziała w samochodzie Maćka nieprzeczuwającego, jaki dramat rozgrywa się w duszy pasażerki, a był to dramat wielki jak Kilimandżaro.

\*\*\*

Bazar właśnie się związał. Jak zwykle o tej porze. Burza i ulewa przyspieszyły odrobinę ten fakt. Istnieje wiele rodzajów targowisk, ale to było szczególne. Rzadko pojawiali się tu rolnicy ze swoimi produktami, za to było wielu działkowców. Stały tu również stragany z warzywami z giełdy, budy z AGD, jedyny w mieście sklep rybny i stoiska z niemiecką chemią. Były też wiejskie przekupki z jajkami i serem, ale stan ich paznokci nie zachęcał do jego kupna, zwłaszcza gdy mówiły, że same go robią.

Nie brakowało zwyczajnych straganów z chińszczyzną w postaci plastikowych piżam, burchów majtek i biustonoszy wielkości spadochronów oraz obrusików okolicznościowych w maniackalnie uśmiechnięte renifery zimą i obłąkańczo wesołe kurczaczki wiosną. Jednak nie to stanowiło o niezwykłości bazaru. Najważniejsza była tak zwana wystawka. Na obrzeżach targowiska, pod płotami, z dala od regularnych bud i straganów, na kocach i plandekach rozkładanych prosto na ziemi sprzedawcy prezentowali swój towar specjalny, czyli wszystko, co dało się znaleźć na zamożnych niemieckich śmietnikach. Amerykańscy naukowcy odkryli, że śmietniki też mogą być zasobne i świadczą o dobrobycie śmieciorobów. Na wystawce były więc niemieckie płyty winylowe i zżarte

przez mole zabawki, stare buty, lekko połamane meble, zasikane przez psy dywany, elektronika, ubrania zwalone na kupy i sprzedawa-ne po dwa złote za sztukę. Były garnki, peruki, zużyte maszyny do golenia, świeczniki, sztuczne szczęki i silikonowe biusty, czyli co tylko można sobie wyobrazić, a nawet to, czego nie można.

Istniała teoria, że na tym bazarze można znaleźć absolutnie wszystko, i legendy o tym, że ktoś kiedyś kupił tam nawet coś markowego. Poza tym targowisko przypominało strych u babci, patologicznej zbieraczki.

Ludzie przechadzali się alejkami pomiędzy towarami, wprawnym okiem wylauiając co porządniejsze graty.

Wiesiek Rycki nie kradł w sklepach. Był na to zbyt leniwy. Nie okradał też ludzi, nie był w stanie się zbliżyć do nich na tyle, żeby sięgnąć do ich kieszeni. Przeszkadzał w tym nie tylko jego wygląd, ale przede wszystkim zapach. Kradł na bazarze, bo taka kradzież była łatwa i poza ewentualnym łomotem nic za nią nie groziło. Choćby dlatego, że zazwyczaj nawet sprzedający nie do końca się orientowali w tym, co posiadają, poza tym nie mieli żadnych spisów, więc zniknięcie tego czy owego wliczane było w ryzyko zawodowe. No, chyba że było to coś dużego. Wiesiek czekał zawsze na chwilę, kiedy sprzedawcy się pakowali i odnosili swój towar do stojących na niezbyt odległym, ale jednak trochę oddalonym parkingu. Wtedy brał, co mu się podobało, i powoli, niespiesznym krokiem wychodził za bramę targowiska. Czasami ukradł jakiś obity emaliowany garnek, czasami odcięty kabel, co się trafiło. Zdobyć przynosił do domu albo odsprzedawał, w zależności od możliwości. Dziś upatrzył sobie coś specjalnego.

Bazar w każdym miasteczku jest czymś w rodzaju żywego organizmu i natychmiast reaguje na zapotrzebowanie mieszkańców. Handlarze jakimś sobie tylko znanym zmysłem w ciągu jednego czy dwóch dni potrafią dostosować asortyment do sytuacji, a teraz sytuacja była szczególna, bo zbliżała się Wampiriada. Powyciągali więc z siebie tylko znanych zakamarków wszystko, co mogło się sprzedać właśnie teraz. Ozdoby halloweenowe z zeszłego sezonu świeciły trumfy i rozchodziły się jak ciepłe bułeczki. Szmaciane nietoperze, włóczkowe pająki czy plastikowe dynie to było to, czego ludzie pragnęli w tej chwili najbardziej. W końcu trzeba jakoś zaznaczyć swój udział w paradzie i ozdobić okna, domy oraz ogródki.

Sprzedawcy nie poprzestali jednak na tej drobnicy, szybko i z wrodzonym sobie talentem uzdatniali wszystko, co można było uzdatnić i spieniężyć. Na bazarze roiło się więc od przemalowanych na czarno kociołków, krasnali z kwietników, a nawet czarnych pisanek i ubranych na czarno Mikołajów z workami prezentów w postaci krucyfików, kołków i toporków.

Było w czym wybierać. Wiesiek także znalazł coś dla siebie. Co prawda duże i nieporęczne, ale po uważnym obejrzeniu okazało się w sumie lekkie, bo wykonane z plastiku o fakturze tektury albo z tektury oblanej jakimś plastikiem.

Postanowił, że musi to zdobyć. Miał co prawda dwadzieścia złotych, a mało co na bazarze kosztowało więcej, ale nie zamierzał płacić. Dwadzieścia złotych to kupa szmalu i porządny pochłaj, jeżeli dobrze się wybierze trunki.

Nad głową trzymał reklamówkę z Biedronki, w której niósł ubrania Dziuni, osłaniając się tym samym przed deszczem.

Czekał na moment, kiedy właściciel towaru, obładowany kraciastymi torbami, pogna w deszczu do furgonetki, a inni będą zbyt zajęci pakowaniem i ratowaniem dobytku przed zamknięciem, żeby zwracać na niego uwagę.

Nie trwało to długo.

Po chwili Wiesiek z trumną pod pachą leniwym, choć zdecydowanym krokiem zmierzał do bramy targowiska.

Teraz wystarczyło przejść przez ulicę i ukryć się w krzakach. Potem trzeba było pójść obok szpitala, znów przez ulicę i powoli laskiem ruszyć dalej. Nie był pewien, gdzie dokładnie ma się udać, aby

znaleźć żonę, ale to go specjalnie nie martwiło. Jego żona miała tę wadę, że zawsze w końcu się znajdowała.

Trumna, choć jak na trumnę zdecydowanie zbyt lekka i nieduża, jedna z tych charakterystycznych, jakie widuje się na filmach o wampirach, trochę jednak mu ciążyła i była nieporęczna. Miała wyraźnie trumnowaty kształt. Z jednej strony była szersza, z drugiej węższa i nieco za krótka jak na pełnowymiarową trumnę, ale Wiesiek nie zaprzętał sobie tym głowy. Sprzeda ją komuś do ogródka albo da Dziunię w prezencie. Powinna się ucieszyć, w końcu porządny wampir powinien mieć własną trumnę.

\* \* \*

Dziunia siedziała przy stoliku obok Amelii Prokopiec i zastanawiała się nad sytuacją. Dotychczas nikt nie kwestionował jej pozycji miasteczkowego wampira. Była pierwszą, najważniejszą wampirzycą i tak miało pozostać. Każdy wie, że co za dużo, to się znudzi. Jeszcze tego brakowało, żeby co druga baba była wampirem... Tylko że ta tutaj była teściową komendanta policji, co oznaczało, że ma o wiele lepszą pozycję, i to się Dziunię nie podobało. Wiedziała jednak, że jeżeli czegoś nie da się pokonać, należy się do tego przylączyć.

– Pogadajmy jak wampir z wampirem, pani Emalio – zagadnęła, ale tamta tylko wybuchła płaczem. Dziunia nie wiedziała, co ma zrobić, więc spokojnie do niej przemówiła: – Pani Emalio, no... Pani nie płacze...

– O Jezu! – jęknęła Amelia Prokopiec. – Jezu! Przecież ja się go brzydzę! On ma włosy w uszach! Nie ugryzę go nigdy! I moje koty! Moje kochane wampiry... Zostały skażone! – zawyla, widząc, jak cztery białe koty wyjadają z podanych im misek resztki wczorajszej duszonej wieprzowiny z... czosnkiem!

– Pani Emalio, no... Pani nie płacze... – prosiła Dziunia pojednawczo. – Nie chce pani gryźć, niech pani nie gryzie. I kogo niby? Po co? Bo jakby pani chciała, to ja go mogę tego jakiegoś...

Amelią wstrząsnął jeszcze głośniejszy szloch.

– Zię... zięęęęcia – odpowiedziała, łkając. – Ale całkiem. Do imentu.

– Eeee. Tego, ło? – Dziunia wskazała głową w stronę korytarza, za którym znajdowało się biuro, a w nim prawdopodobnie przeznaczony do zjedzenia komendant policji. – Do imentu? A ten iment to co? Kość? Że niby do żywej kości mam go gryźć?

Amelia pokiwała głową.

– Eeee. Nie to, że nie, ale obcego chłopca? Tak, o? Policjanta? Nie, nie, nie, to niepodobna. Policjantów i księży nie tykam – oznajmiła Dziunia zdecydowanie, wywołując jeszcze większe rozżalenie siedzącej obok kobiety. – Są nie tego... Niejadalne! – dodała po chwili. – I po co to pani? Od tego się można rozchorować.

\* \* \*

– Co sądzisz o tym całym zamieszaniu? – zapytał Maciek wcale nie romantycznie, kiedy ruszyli z podjazdu.

– Nic nie sądzę. Jedynym pewnikiem jest ta zamordowana kobieta. Reszta to jakieś głupoty.

– A ucho?

Hanka popatrzyła na niego ze złością.

– To, że moje babcie zaczytują się w kryminałach, nie znaczy jeszcze, że są normalne! Wymyśliły coś. Możesz mi wierzyć. Nikt nikogo nie porwał. Nikt nikomu nie obcinał uszu, nikt nikogo...

– Tylko że widzisz...

– Co widzę? Co widzę? Jezusie, zatrzymaj się, natychmiast!

– Ej, nie świruj. To było niewinne pytanie! – odparł zaskoczony. – Przecież wcale nie twierdzą...

– Zatrzymaj się! – wrzasnęła histerycznie.

Dopiero teraz rzucił okiem na pobocze i zahamował z piskiem opon. To, co spowodowało taką reakcję, nie należało do kategorii „wypadek” ani do kategorii „katastrofa”, ale niebezpiecznie zbliżało się do pojęcia horroru. Zniknięcie gówniarzerii, bo tak nazywał w myślach Wiolkę i Szczurka, wcale mu nie przeszkadzało, bo zacieśnienie znajomości sam na sam z taką dziewczyną, jak Hanka, bardzo mu odpowiadało. Była rzadko spotykanym, przynajmniej w jego otoczeniu, gatunkiem kobiety, która rozumie, że praca policjanta nie polega na siedzeniu w domu ani na uganianiu się za panienkami, choć czasami też. Nieraz te panienki nie są ani specjalnie ładne, ani specjalnie żywe, ale kto zrozumie płęć przeciwną? Jego poprzednia partnerka potrafiła być zazdrosna nawet o zwłoki, to znaczy o zdjęcia, które znalazła w jego papierach, i nie dawało jej się wytłumaczyć, że dziewczyna, owszem, ładna, ale martwa, a on wcale nie przygląda się jej z pożądaniem, a z zainteresowaniem, ale zupełnie nie takim, o jakie go podejrzewała.

Hanka wyglądała na normalną i zachowywała się normalnie, choć w tej chwili patrzyła ze zgrozą na horror rozgrywający się na poboczu.

– Co oni odwalają? – zasugerował, nie wiedząc, co powiedzieć. – Tańczy?

– Z trumną na głowie? Oszalałeś? – zapytała takim głosem, że ścierpła mu skóra, co jeszcze raz potwierdziło jego przypuszczenia. Była zdecydowanie normalna!

\*\*\*

Obiad w Krwiożerczym Piotrusiu pewnie odbyłby się w przyjaznej atmosferze, gdyby nie zdecydowany sprzeciw profesora Kociolka.

– O, co to, to nie! Tak panią prosiłem, żeby nie zabijać kosmitów – powiedział i prawie się rozplakał. – Nie wolno! To niegodne. One nie są niczemu winne... A na dodatek żeby je jeszcze kroić i gotować?!

Uczestnicy turnusu zamarli z widelcami w drodze do ust i wszyscy natychmiast zaczęli przegrzebywać talerze w poszukiwaniu kosmicznych szczątków. Pani Basia zymiotowała. Pomimo postury była bardzo wrażliwa. To się zdarza. Po prostu miała wielkie serce i jeszcze większą wyobraźnię. Jej kuzynka, drobniotka, siwa kobieta, zadławiła się tak spektakularnie, że Pit rzucił się zrobić jej chwyt Heimlicha.

Złapał ją w pasie, objął rękoma i mocno ścisnął.

– Auuu! – wrzasnęła, plując i krztusząc się. – Moje żebra!

Z jej ust wyleciało coś brązowego i, przeleciawszy ze świstem przez salę, z obrzydliwym mlaskiem uderzyło w twarz babci Zosi.

– Fuj! – jęknęła kobieta. – Co za obrzydlistwo! Czego pani tu dodała?! Nietoperzy?! Boże jedyny!

Reszta turnusu zbladła. Potrawka z nietoperzy zadziałała na wyobraźnię, choć pachniała grzybami. Kilka osób z krzykiem ruszyło do łazienki, rozdeptując się nawzajem.

– A gdzie tam! Jakie nietoperze?! Pan się zamknij, profesorze Kociółek! Pan się zamknij i przestanie głupoty opowiadać! To grzyby. Normalne grzyby!

– Ale grzyby to kosmiczne bioboty! One właśnie tworzą łądowiska dla kosmitów! Nie wolno ich zjadać! To może spowodować katastrofę nuklearną!

Wszyscy, którzy jeszcze siedzieli przy stołach, z impetem zaczęli odsuwać od siebie talerze i w pośpiechu wstawać z krzesel. Wizja katastrofy nuklearnej na własnym talerzu zniechęciła ludzi do obiadu. Wresztą nie tylko ona. Przebywając już kilka dni w Krwiożerczym Piotrusiu, uczestnicy turnusu nauczyli się czegoś o jego właścicielce. Należała do osób, których nie można było nazwać oszczędnyimi, nie można było nazwać też skąpyimi. Dla niej należało wymyślić odrębną kategorię.

– Drodzy państwo! – odezwał się w końcu komendant. – Siadajcie. Nie ma żadnych kosmitów, żadnych biobotów, żadnych wampirów! Za to ja mam do państwa kilka pytań, więc proszę się nie

rozchodzić.

Wszyscy wrócili na miejsca i siedzieli, patrząc, jak komendant zjada ze smakiem nuklearne danie Wierciuchowej. Wpatrywali się w niego w nerwowym wyczekiwaniu, jakby za chwilę miał zacząć świecić.

Kuzynka pani Basi także nerwowo przyglądała się podkomisarzowi Kurzydło.

– A jak mu te kosmity brzuchem wyjdą, tak jak w tym filmie? – zapytała siedzącą obok panią Basię.

– Nie, kochana Saro, nic mu brzuchem nie powinno wyjść. On chyba tylko wybuchnie, tak jądrowo – uspokoiła ją krewna.

Wszyscy mężczyźni w sali jak jeden mąż z wyrazem najwyższej grozy na twarzach chwycili się za klejnoty.

Dziunia i Amelia w jako takiej zgodzie siedziały przy stoliku, odmówiwszy skażonego czosnkiem jedzenia.

– O! – Amelia wskazała głową zięcia. – O!

– Ale dlaczego? Chłop jak chłop... I przecież nie własny, pani Emalio, to czego się go pani czepia? – Dziunia kulturalnie podtrzymywała rozmowę. Chciała się jakoś wymigać z wcześniejszej deklaracji, ale musiała zachować twarz. Nie miała ochoty gryźć komendanta. Co to, to nie.

\* \* \*

Kiedy wszyscy inni mieli już szykować się do obiadu, Szczurek z Wiolką wykorzystali deszcz oraz moment nieuwagi Hanka i wyrwali się na porządne piwo.

– Należy nam się – zdecydowali. – A poza tym nie jesteśmy dziećmi! – dodawali sobie otuchy, wchodząc do pierwszej lepszej knajpy.

Bar pod, mogłoby się здаwać, zabawną nazwą Mordercze Truchło był zwykłą mordownią, ale jak to bywa z przyjezdnymi, po prostu tego nie wiedzieli. Wydawało się, że są całkowicie bezpieczni, bo towarzyszył im Zyzol, a pies to przecież zawsze jakaś obrona. Usiedli przy czymś w rodzaju wygasłego od dawna kominka i zamówili po piwie. Miało być wzmocnione, nie pytali nawet czym. Poprosili też o pizzę.

Byli głodni, żądni piwa i wrażeń. Zyzol również był głodny, bo natychmiast zakradł się do kuchni. Buszował tam przez jakiś czas. Usłyszeli mlaskanie, wrzask, huk i brzęk.

– Mój sos! – wrzasnął ktoś za ścianą. – Całe dziesięć litrów...

Nastąpiła chwila dzikiego chaosu, który nie dotarł ani do Szczurka, ani do Wiolki. Druga kolejka wzmocnionego piwa tak ich odstresowała, że niczym nie mieli zamiaru się przejmować.

Po chwili z kuchni wypadł Zyzol z wielkim białym kłębem ciasta w pysku, goniony przez umazanego sosem pomidorowym kucharza.

– Zabiję cię, bydlaku! – wrzeszczał kucharz, ślizgając się na sphywającym obficie z fartucha sosie. – Zabiję! – zawołał, wymachując tasakiem, jakby naprawdę miał zamiar kogoś zabić, po czym runął na podłogę.

Zyzol wlaź pod stół. Po chwili beknął z zadowoleniem.

Kucharz załamał się na dobre i, pojękując, bezskutecznie usiłował podnieść się ze śliskiej od sosu podłogi.

– Pan da na piwo – usłyszeli zaczepkę faceta, który oparłszy trumnę o ścianę, przysiadł się do nich bez ceregieli. Szczurek gestem zamówił dla wszystkich po jeszcze jednym piwie.

Dopiero kiedy chciał wstać, by skorzystać z toalety, zdał sobie sprawę, że ściany knajpy lekko się chyboczą, podłoga wiruje, a jego nogi wybiły się na niepodległość i właśnie zakładają dwie różne partie polityczne.

– O kurwa! Hanka nas zabije – powiedział odkrywco.



Wiolka czknęła i weszła do kominka.

– Ddrzrzwwiiii nam zamurowali – obwieściła, obmacując czarne od sadzy wnętrze. Albo ośleplam. Czy myśmy, tego, denaturat... tego? – zapytała i zaczęła się śmiać tak histerycznie, że aż usiadła na palenisku.

Szczurek pelzył do niej, ale najpierw musiał pokonać przeszkodę w postaci wciąż leżącego i okropnie klnącego kucharza.

– Odwał się pan ode mnie – zawył kucharz, czując gramolącego się na niego chłopaka. – Ja mam żonę, zbroczeniuc jeden!

Wiesiek patrzył na to z filozoficznym spokojem kogoś zaprawionego w bojach.

– Jak dzieci. – Pokręcił głową. – No kurwa, jak dzieci!

Ściągnął Szczurka z kucharza, podniósł go i postawił pod ścianą. Potem wyciągnął wciąż chichoczącą Wiolkę z paleniska. Kiedy i ją stawiał, pojawił się problem, bo Szczurek właśnie zjechał po ścianie i usiadł na podłodze.

– Trzymać to – nakazał Wiesiek, podając im trumnę. – Idziemy!

Nie musiał ich ratować z opresji, ale swój honor miał. Miał też plan. Zamierzał zaprowadzić ich do innej knajpy, zanim w tej ktoś zacznie żądać wyjaśnień, bo cierpliwość personelu wyraźnie się kończyła. Poza tym Szczurek wyglądał na takiego, który ma nieco grosza przy duszy. Szkoda było marnować taką okazję.

Wyszli z Morderczego Truchła w deszcz i pod osłoną trumny kierowali się do Podchmielonego Nietoperza. Pies szedł za nimi, choć on także zachowywał się dziwnie, kiedy tuż obok nich z piskiem opon zahamował samochód.

Hanka patrzyła przerażona na ten makabryczny pochód.

Szczurek lekko się zataczał, nie tylko dlatego, że wciąż kulał. Chociaż rozjeżdżały mu się nogi, podtrzymywał ślanającą się Wiolkę, którą od czasu do czasu wstrząsało coś na kształt gargantuicznej czkawki. Za nimi odrobinę skulony człapał jakiś obdartus z reklamówką w ręku. Nieco dalej, podskakując i padając na przemian, szedł, a właściwie lepiej powiedzieć – przemieszczał się – pies.

Ów osobliwy pochód wyglądałby szalenie malowniczo i ciekawie, gdyby nie trumna.

Hanka jeszcze raz przetrzała oczy. Trumna była zdecydowanie klasyczna, taka mniej więcej jak z filmów o wampirach.

– Jezus, Maria. Co oni zrobili temu psu? – westchnął Maciek. – Zyzol! Zyzolek! – zawołał i natychmiast tego pożałował.

Padalo. Pies też padał, dlatego cały był pokryty błockiem, które w chwilę potem znalazło się na dżinsach i koszulce Maćka.

Hanka, oczyma duszy widząc oddalającą się wizję wycieczki w towarzystwie Maćka, a tym bardziej romantycznego *tête-à-tête* w Kotłęcinie, z tym większą agresją dopadła do Szczurka i Wiolki.

– Co wy wyprawiacie?! – warknęła, ale szybko zorientowała się, że nie ma sensu z nimi rozmawiać. Ledwie stali na nogach. – Skąd macie tę trumnę?

– Parasol? – zapytał Szczurek bełkotliwie. – Trumnasol – zrymował i roześmiał się, jakby powiedział coś naprawdę zabawnego.

Wiolka czknęła i się zachwiała. Trumna wyraźnie nie była ciężka, bo tylko zachybotwała się nad ich głowami.

Zyzol zatoczył się i padł po raz kolejny.

– Złodziej – warknęła idący za nimi obdartus. – Surowe ciasto na pizzę zeżał i mu się porobiło.

Pies beknął zacierem.

– Boże, piesku! – jęknął i tak już utyłany Maciek, biorąc Zyzola na ręce. – Trzeba do weterynarza! – W chwilę potem stękał pod ciężarem psiska.

– Nie rozczulaj się nad nim! Bierzymy tych idiotów do pensjonatu. Tylko co zrobić z trumną?  
– No trumny nie dam! Moja jest – odparł obdartus. – Baba kazała se przynieść coś odpowiedniego, a co innego wynajdę dla wampira? Po całym mieście z nią łążę!

– Z trumną?

– A jak? Na policji baby nie było, to se pomyślałem, że w knajpie jest. Też nie było. Pewno poszła do Wierciuchowej! A my tu sobie tupu-tupu...

– Z trumną?

– Moja jest, to mogę z nią robić, co chcę – odparł mężczyzna, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

Hanka załadowała do samochodu swoich podopiecznych i usiadła z nimi z tyłu. Nie pachnieły zbyt dobrze, ale ułożony na przednim siedzeniu, czkający zacierem, mokry pies wydzielal o wiele gorszą woń. Zawrócili.

Na drodze zostawili ciągnącego trumnę mężczyznę.

– Okropnie to wygląda – jęknęła Hanka.

– Paskudnie – odparł Maciek. – Pies może się poważnie pochorować.

– Chodzi mi o trumnę, nie o psa! – Wskazała ręką na scenę jak z Drakuli, w której w ponurej deszczowej scenerii łysy pokurcz, jakby przyżyty do ziemi wampir, ciągnie za sobą trumnę, w drugiej ręce dzierżąc reklamówkę z Biedronki.

\*\*\*

Po niefortunnym obiedzie komendant usiłował znów wrócić do przesłuchań.

– A teraz powiedzcie mi państwo: czy którekolwiek z was zauważyło ostatnio coś dziwnego? – zapytał komendant i natychmiast pożałował tego, co powiedział. – Nie licząc kosmitów i ładowisk – dodał pospiesznie. – I wampirów! A mamusia – zwrócił się do teściowej, do której zawsze odzywał się w ten sposób, bo inaczej nie umiał – niech mamusia wreszcie powie, co mamusia tu robi.

– Nic nie robię – odparła pooblepiana plastrami kobieta. – Siedzę. Czekam, sam mi kazałeś! Czekam, a w domu obiad...

Zamilkła z tak zdecydowaną miną, że wszyscy zrozumieli, że nie ma zamiaru powiedzieć niczego więcej.

– Ja coś widziałam – odezwała się pani Basia.

– Tak?

– To było dziwne. Widziałam wtedy w nocy, jak poszłam na spacer. Wasz ogrodnik, taki przystojny, plewił klomb i przesadzał krzewy.

– No, no, ja też widziałam – szepnęła kuzynka Sara. – Coś plewił – dodała po chwili. Siedziały przy jednym stoliku, jedna wielka i rozłożysta jak dąb, druga siwa i drobna jak osika. Uzupełniały się i było widać, że są ze sobą żyte.

– No cóż, ogrodnik chyba jest od tego, nie? – skwitował komendant niepewnie.

– No tak, ale robił to w nocy! – wyjaśniła zaafierowana pani Basia. – W nocy!

– Pewnie dlatego, że w dzień było za ciepło, Basiu – skarciła ją grzecznie Emma. – A ty się przecież, kochana, za bardzo na ogrodach nie znasz.

– No nie znam się, ale on kopał, tak kopał i kopał... Pomyślałam sobie, że mu w nocy ciemno bez latarki, więc poszłam do niego z herbatą i wtedy...

– A ja widziałam wampira! Z trumną! – wrzasnęła Wierciuchowa, wpadając do jadalni. – Z trumną! Słyszycie?! Wampira z trumną!

– Żadnych wampirów, pani Wierciuchowa! Lepiej pani się uspokoi. I co z tym ogrodnikiem, pani Basiu? – zapytał komendant, nie licząc na jakąkolwiek sensowną odpowiedź.

– A bo ja wiem? Chyba nie chciał mojej herbaty, bo zaraz sobie poszedł.

Kurzydło stracił resztkę nadziei na jakiegokolwiek pozytywne rozwiązanie całej sprawy, przynajmniej przy pomocy świadków, tych konkretnych. Był to ten typ ludzi, którzy widząc sąsiada z odrąbaną głową, najpierw zainteresują się, kiedy im odda siekiere, bo jest po dziadku, a dopiero potem zawiadomią policję.

– A ten ogrodnik, pani Basiu, to jak wyglądał?

– Przystojny był – odpowiedziała pani Basia, rumieniąc się.

Wszyscy się tego spodziewali. Ogródnik zawsze jest przystojny, a w każdym razie powinien być. Z drugiej strony pani Basi, osoby wielce romantycznej, wszyscy mężczyźni wydawali się przystojni. Ta cecha wynikała z samego faktu, że byli mężczyznami.

\*\*\*

Pozostawiając Zyzola w samochodzie, zaprowadzili Wiołkę oraz Szczurka na górę i ułożyli każde w swoim pokoju, zapewniając im po butelce wody mineralnej i miednicy na wszelki wypadek. Hanka bardzo nalegała na to, by akcję przeprowadzić cicho i bez świadków, choć było to bardzo trudne, bo i Szczurek, i Wiołka zaczęły wpadać w śpiewny nastrój. Jedno nuciło: „Szeżyyyyy to sam, szszszszyyyyy tooo sam”, a drugie, czkając, usiłowało zaintonować *Marsyliankę*. Hanka była o krok od uduszenia ich gołymi rękami.

– Przecież Marika mi łeb urwie, jeśli się dowie, że nie upilnowałam ich i że w takim stanie taczali się po pensjonacie na oczach klientów! Na dodatek jest dopiero czternasta! Powinni pracować, a nie chlać!

– Co ty się tak przejmujesz Mariką? Jak znam życie, po całej sprawie z morderstwem i tak ten wasz matrymonialny interes szlag trafi! Przecież ludzie będą się bali.

– Nie wiadomo, czy to ma coś wspólnego z naszym biurem. Przystań mnie straszyc – warknęła, schodząc do jadalni.

Maciek poszedł się przebrać i zadzwonił do weterynarza, a Hanka nie wiedziała, co ma robić. Szybko zmieniła bieliznę i wrzuciła do torebki superelegancką, cieniutką piżamkę. Golenie nóg niestety odpadało. Po chwili zza drzwi pokoju Maćka dobiegło ją pytanie:

– Ty, Hanka, a Zyzol to ile tak może ważyć? Ze czterdzieści?

– Czterdzieści to on ważył, jak był oseskiem. Jak nic waży z sześćdziesiąt!

\*\*\*

Aspirant Nieróbek nienawidziła swojego nazwiska i kochała swoją pracę, szczególnie kiedy mogła pracować spokojnie. Teraz, gdy miała chwilę, przeglądała wszystkie faksy, raporty i skargi. A było ich bardzo wiele. Jedna zwróciła jej uwagę, bo była dość zaskakująca.

\*\*\*

– Dziwiłka jest? – zawołał pokurcz od progu, ładując się z trumną do recepcji.

Jego pojawienie się wywołało popłoch wśród tych, którzy zostawiając obiad, wylegli z sali jadalnej, by zobaczyć coś, co wydawało im się tak fascynujące, że warto było nawet od tego dostać pomniejszego zawału.

– Jestem. Czego? – odkrzyknęła kobieta. – Co ty tam targasz?

– No żem ci ubranie przyniósł...

– Jasne, sosnową jesionkę – skomentowała babcia Zosia.

– A tam jesionkę, trumnę żem ci kupił! Patrz, jaka szykowna – odparł zadowolony z siebie mężczyzna. – Będiesz miała gdzie spać...

Dziunia mogłaby spać w tej trumnie tylko w kawałkach, bo cała z pewnością by się tam nie zmieściła, ale Wiesiek chciał uprzędzić awanturę o spóźnienie. Zaskoczona tak niebyszą hojnością męża kobieta początkowo zamarła z wrażeń i nie wiedziała, co powiedzieć. Nie była jednak w ciemni bita. Przez ostatnie lata małżeństwa nie zdarzyło się jeszcze, żeby Wiesiek, jeżeli posiadał jakiegokolwiek pieniądze, kupił coś, co nie było w płynie. Trumna, owszem, wydała jej się nawet gustowna i dobrze pasowała do jej nowego wcielenia, ale nie bardzo do Wieśka. Musiała maczać w tym palce ta suka z drugiego piętra, która z pewnością chciały zobaczyć ją w trumnie, i to nie w przenośnym sensie. Mogłaby wtedy zagarnąć jej prawowitego małżonka dla siebie. Dziunia była wyczulona na własność prywatną.

– Kupiłeś? – Podbiegła do męża i walnęła go z całej siły w twarz. – Kupiłeś? Za czyje pieniądze?! Telewizor sprzedałeś? Gadaj! Czy ta suka ci dała?!

I tak już skurczony mężczyzna skulił się jeszcze bardziej i zaczął się cofać, zasłaniając twarz reklamówką z Biedronki.

– Przestań, Dziunia! No przestań... – jęczał.

– Gadaj! – Rozwścieczona żona rzuciła się na niego i nikt nie miał ochoty jej powstrzymać, tym bardziej że niezbyt dobrze uwiązany obrus znów się z niej zsunął i teraz wyglądała jak grecka bogini zniszczenia po przejściach. Jedno z tych przejść musiało prowadzić przez garnek z sosem grzybowym i salaterkę z buraczkami.

Wiesiek się cofnął i usiadł na trumnie.

– No dobra, nie kupiłem! Lepiej?! Stała sobie, to wziąłem. Niczyja była – wyjaśnił, widząc minę komendanta. – Niczyja! Niczyjusienka! O drzewo stała sobie oparta!

Dziunia się trochę uspokoiła, podciągnęła obrus i pokiwała głową z wyraźną aprobatą.

– No. To trzeba było tak od razu – stwierdziła.

W tym momencie coś trachnęło, ale nikogo to nie zaskoczyło, bo o ile pokurcz nie wyglądał na ciężkiego ani silnego, trumna też nie wydawała się specjalnie solidna, więc po prostu rozpadła się z trzaskiem.

– Oj! – wrzasnął pokurcz.

Poderwał się z trumny z szybkością, o jaką nikt by go nie podejrzewał.

\*\*\*

Sprawa pijanego Zyzola została załatwiona bardzo szybko, bo weterynarz mieszkał dwie ulice dalej. Orzekł, że psu nic nie będzie. Dał mu jakiś specyfik i obiecał zajrzeć wieczorem.

Zyzoł wyraźnie wstawiony, po raz pierwszy w życiu, cierpiał katusze. Bekął, potykał się o własne łapy i usiłował zaprzysiężać się z szalejącymi dookoła kotami. Kotom się to nie za bardzo podobało.

Hanka i Maciek znów wsiedli do samochodu. Tym razem wybrali pojazd Hanki, bo tapicerka w aucie Maćka musiała wyschnąć. Ruszyli do Kotłęcina.

– Nie uważasz, że to wszystko jest jakieś porąbane? – zagadnęła Hanka, która może i potrafiła milczeć w towarzystwie mężczyzny, ale postanowiła nie korzystać z tej możliwości, ponieważ chciała się czegoś dowiedzieć. W pensjonacie mieli niewielkie szanse na rozmowę na osobności.

– Cała ta sprawa z wampirami to zagrywka komercyjna i w tym sensie wcale mnie to nie szokuje, ale te zwłoki już tak. To znaczy, nie o to chodzi, że mnie szokują. Po prostu mnie martwią. Ktoś chciał, żeby wyglądały na zagryzione.

– Że niby wampiry?

– Wampiry, wilkołaki. Cokolwiek. Ktoś chciał, żeby było wokół nich dużo szumu, żeby każdy o nich wiedział.

– I tak każdy by wiedział.

– Możliwe. Ale to wyglądało tak, jakby ktoś się bardzo postarał, żeby wszyscy, absolutnie wszyscy o tym mówili, komentowali... Normalnie zwłoki się ukrywa, a nie zostawia przed hotelem z przegrzyzionym gardłem!

– Nie miała przegrzyzonego gardła.

– Oj, jasne! Nie miała. Ale ludzie wierzą, że miała. Poza tym tam było za mało krwi.

– Nie powiesz mi, że wierzysz w wampiry! Chcesz powiedzieć, że ktoś ją wypił?

– Nie. Chcę powiedzieć, że ktoś przeniósł ciało.

– Hmm – Hanka lekko się zasepiła – mówisz, że było za mało krwi? W ogóle nie powinno być, skoro została uduszona, nie? Bo ta szyja... Skoro po śmierci, to wiesz, po śmierci człowiek nie krwawi, w każdym razie nie za bardzo.

– Tyle że zanim ją uduszono, dostała czymś w głowę, a rany głowy krwawią. I to obficie. Zamordowano ją gdzieś indziej. Dlatego jedziemy do tego cholernego Kotłęcina i mam nadzieję, że jakoś tam dotrzemy. Wreszcie.

Hanka westchnęła, zawiedziona. Nie uważała, że żąda zbyt wiele. Chciała tylko być atrakcyjniejsza od zwłok, ale życie jak zwykle rzuciło jej kłody pod nogi.

– To musi być jakoś ze sobą związane. Ten Stawicki, biuro matrymonialne... Nie ma wyjścia.

– Nie masz racji. Wcale nie musi. Ta kobieta mogła zostać napadnięta przypadkiem.

– I przypadkiem uduszona? No co ty? Przypadkiem to się dostaje kosę pod zebro, w łeb baseballlem, cegłówką... Duszenie jest zdecydowanie mniej przypadkowe. Do tego trzeba więcej emocji. W końcu trzeba być na kogoś choć trochę wściekłym, żeby patrzeć mu w twarz i go dusić. To musiało być też chyba zaplanowane. Najpierw w łeb, a potem reszta...

– Teoria! W praktyce wszystko jest możliwe. Ktoś się wściekł, bo nie chciała mu oddać torebki, telefonu... czegokolwiek! O, właśnie. Czy ona miała okulary? Bo w pensjonacie przy kolacji siedziała w okularach, więc musiały być jej potrzebne, a potem przy zwłokach ich nie było. Znaleźli je?

– Nie wiem, muszę zapytać.

Jechali wpatrzeni w zewnętrzne oznaki szaleństwa, które coraz bardziej zalewało okolicę. Szykowano już stragany na Wampiriadę. Tu i ówdzie widać więc było mroczne, zasłonięte czarnymi kotarami stoiska, na których później sprzedawane będą plastikowe pamiątki, małe wampirki, miniaturowe kolki osinowe i breloczki z trumienkami. Obok budowano rustykalne kramiki z brzozy, nie wiadomo dlaczego ozdobione dyniami i oczywiście wiadomo dlaczego obwieszone czosnkiem. Cała droga do Kotłęcina wyglądała podobnie, a to znaczyło, że władzom miejskim skończyły się miejsca w rynku, więc zaczęły sprzedawać koncesje na punkty handlowe przy drodze. Zapowiadał się niezły zarobek dla ratusza.

Widać też było zwykle straganowe „szczęki”, prawdopodobnie z plastikową biżuterią i mechanicznymi pieskami, oraz jakieś przyczepy, które za kilka dni zamienią się w przydrożne restauracyjki, tak samo romantyczne, jak pobliskie toi-toie, i będą serwować bardzo podejrzane kiełbaski w musztardą, która – choć przeterminowana – w odróżnieniu od kiełbasek jest zazwyczaj jadalna.

– Masz trochę racji – Maciek wrócił do przerwanej wątku – ale mimo wszystko będę obstawał przy swoim. To nie była przypadkowa śmierć. A co powiesz o twojej zaginionej babci?

– A co mam powiedzieć? Nie jest zaginiona, a ponadto przecież nie ma z tym nic wspólnego. Nie może mieć!

– Mylisz się. Może. Trochę pogrzebałem w papierach i wiesz, co odkryłem? Tak samo Kowalska, jak i twoja babcia mieszkały tu, w Zagubinie.

– Jezus! Chyba w zamierzchłych czasach!

– Jakież dwadzieścia, trzydzieści lat temu. To fakt. Ale mieszkały. Obie. Mogły się znać!

– Mogły się też nie znać! Przesadzasz. Znajomość z moją babcią stanowi zagrożenie jedynie dla zdrowia psychicznego. Zresztą nawet jeżeli się znały, to co z tego?

– Na razie nic, ale powiązanie jest.

– Bzdurzysz – wyjaśniła mu grzecznie, wjeżdżając w parkowe alejki przed pałacykiem.

Park był pełen ludzi spacerujących pośród paskudnych krasnali i innych gipsowych potworków. Wszyscy wyraźnie należeli do tak zwanego lepszego towarzystwa, choć męska część miała na sobie dresy, ale nie były to dresy typu „szelest”, a markowe ciuchy z wyższej półki. Nowe. Nie takie wygrzebane w ciucharniach. Damska część zgromadzenia miała wyraźne braki w posiadaniu czegokolwiek na sobie. Poza tym wszystko było złote, różowe i świecące.

Maciek pociągnął Hankę do pałacowej restauracji.

– Boże, jak tu złotowieszczo! – powiedziała dziewczyna, przyglądając się uważnie wystrojowi.

– Złowieszczo? – zdziwił się chłopak.

– Złowieszczo. Za dużo tu tych zdobień, złocien i amorków. Czysta, żywa przesada. Straszny kicz. Jakby właściciela takiego przybytku nie było stać na porządnego dekoratora.

– Masz rację, tu wszystko jest przesłodzone. Ale nie po to cię tu przywiozłem, żeby ci pokazać ten plastikowy barok.

– Więc po co? Choć właściwie to ja cię przywiozłam. – Hanka jeszcze nie liczyła na romantyczne wyznania. Byłoby na nie zbyt wcześnie. Jednak miała ochotę na choćby maleńki wstęp do wstępu do wyznań. Przeliczyła się.

– No wiesz, to chyba oczywiste. Do pracy! Popatrz tam. To nasz kotłęciński adonis. On ciebie przecież też interesuje. W sensie zawodowym!

Z daleka zobaczyli mężczyznę średniego wzrostu. Miał siwe włosy, był opalony i dość dobrze ubrany. Stał w pozycji Napoleona, z jedną ręką wciśniętą w rozpięcie koszuli, drugą zawzięcie gestykulował.

– Interesuje. – Hanka wzruszyła ramionami. – A właściwie interesował, bo teraz to sama nie wiem, jak wybrnąć z sytuacji. Marika chciała, żebym go sprawdziła, prawda? Że niby czy jest wiarygodny, a sama musiała widzieć, że startuje do trzech bab. Tak? Przez samo to należy go uznać za niewiarygodnego, a do jego finansów dostęp nie jest aż taki łatwy. Istnieje przecież tajemnica bankowa. Taki detektyw jak ja może sprawdzić, czy facet rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje, czy nie ma żony, szóstki dzieci i czy ewentualnie jego pałac przypomina domek jednorodzinny, a nie przyczepę kempingową. Reszta to nie moja działka.

– Może te baby zabiegały o niego, a nie on o nie? Tak czy siak, mamy trzy kobiety i jednego faceta. To samo w sobie jest niebezpieczne. Facet jest bogaty, niestety. – Maciek ściszył głos. Po chwili powrócił do przerwanej myśli: – A to jeszcze bardziej komplikuje sprawę. O wiele bardziej. Nie widzę innej możliwości, tylko taką, że jedna baba zabiła drugą, a potem przytaszczyła zwłoki pod... Nie. To musiała być Wierciuchowa. Miała motyw, okazję, wszystko odbyło się na jej terenie. To ona!

– A ta Prokopiec? Też mogła.

– Daj spokój! Żona komendanta? Co ty, nie znasz jej. Zresztą zjedźmy coś. Jedyne, co mi się tu podoba, to brak wampirów, więc wyżywienie może będzie odrobinę bardziej zjadliwe niż w Piotrusiu.

Nie było. Od razu się przekonali, że wampirzy sceptycyzm jest dość powierzchowny, tak jakby właściciel nie wierzył, ale nie był w stanie do tej niewiary przekonać kucharza.

– Ty, wejźdź no jeszcze raz w te wasze pliki! – poprosił Maciek, kiedy czekali na kawę. – Coś mi przyszło do głowy.

Hanka niechętnie wróciła do samochodu po laptopa, a po chwili łączyła się już z hotelowym wi-fi i wklepywała hasło dostępu.

– No i? – zapytała, czekając na wyjaśnienia. – Czego szukamy?

– Przejrzyj dokładnie jego profil... Chodzi mi o to, czy nie ma więcej kobiet, którymi się interesował.

– Albo które nim się interesowały? Wejdę w statystyki. Marika zrobiła sobie specjalną apkę do sprawdzania, kto z kim i tak dalej, żeby nie grzebać ciągle w profilach.

– No dobra, dawaj, co masz.

Hanka aż zakrztusiła się kawą z lodami. Przez chwilę patrzyła w ekran, jakby ukazała się na nim potworna dziewczynka z horroru.

– Siedem – powiedziała, nie wierząc własnym oczom. – Ma siedem kobiet w zainteresowaniach.

– Wiesz, nie jest to może mało, ale też nie tak znowu...

– Twoją mamę też!

\*\*\*

Tego samego popołudnia na komisariacie sprzątaczką, stara Wiejakowa, siedziała nad kartką i nie bardzo wiedziała, w którą stronę ją odwrócić. Były na niej rysunki. W zasadzie w ogóle nie powinna była jej dotykać, ale sprzątanie to sprzątanie, więc sprzątała. Wiejakowa umiała czytać. Rzuciła okiem na to, co wypęzło z faksu, i zbladła.

Nie rozumiała takich słów, jak „bezwzględny”, „kość krzyżowa” czy nawet „zwyrodnienie” oraz „wyrostek sutkowy”. Elementy chrześciane skojarzyła z chrzcinami, a szwy czaszkowe z łysiną, ale resztę zrozumiwała dokładnie.

Facet był „bezwzględny”, czyli paskudny i stary. Poza tym miał wielkie cycki i był zwyrodniałcem. Odłożyła kartkę na biurko i natychmiast zadzwoniła do swojej siostry.

– Maryśka – powiedziała grobowym tonem. – Twojego Józka żem znalazła!

\*\*\*

Aspirant Nieróbek także przeczytała raport i nie była zadowolona. Co prawda zrozumiwała go nieco inaczej, ale to, co zroszyła, wcale jej się nie spodobało.

Wampir był o wiele młodszy, niż przypuszczano, a właściwie nie wampir, lecz cały pochówek, bo wcale nie pochodził sprzed trzystu, a najwyżej sprzed dwudziestu lat. To nie była dobra wiadomość.

Istniała obawa, że miasteczko oszaleje jeszcze bardziej, bo wampir sprzed dwustu, trzystu lat jest w sumie bezpieczniejszy niż taki sprzed dwudziestu.

Wiedziała, że ta wiadomość z pewnością jakoś dotrze do miasteczkowych plotkarzy. Nie wiedziała tylko jak. Komendant? Niemożliwe. Ale może powie żonie? Żona fryzjerce? Nie, to mało prawdopodobne. Komendant był poza wszelkim podejrzeniem. Co innego jej koledzy z posterunku. Ci pewnie kłapali ozorami jak popadnie i gdzie popadnie. Niestety, dowodów nie było. Nie można było nikomu niczego zarzucić.

Wampir sprzed dwudziestu lat... To niezbyt dobry układ, bo ktoś mógł go znać. Ktoś nawet powinien go znać i pamiętać.

Ktoś mógł i powinien pamiętać jego pochówek. Trudno takie coś nazwać pogrzebem. Jednak pogrzeb mógł być całkiem zwyczajny, na cmentarzu. Potem ktoś na przykład po prostu wykradł zwłoki, obciął im głowę i zakopał gdzie popadnie. Zresztą może coś się pozmieniało w planach cmentarza?

Bo po co ktoś chowałby wampira w niepoświęconej ziemi? To by było nierozsądne...

Przyszedł też raport dotyczący kobiety znalezionej w krzakach koło Krwiożerczego Piotrusia. Tu nie było właściwie niespodzianek. Chociaż patolog stwierdził, że zmarła nieco wcześniej, niż się spodziewano na podstawie wstępnych oględzin, oraz że przed śmiercią prawie nic nie jadła.

\*\*\*

Trumna trumną nie była, jak się szybko okazało, choć jej trumniany kształt przeczył oczywistości. Z zewnątrz mroczna, połyskliwa i niepokojąca, wewnątrz ukazała kilka powyginanych kształtów i jakieś zbędne kieszonki.

Powyginane kształty nadzwyczaj dobrze pasowały do gitary.

– Co to jest? – jęknęła Sara. – Co to jest, to makabryczne coś? Trumna dla gitary? Ludziom tu naprawdę odbija! U nas we Francji...

– Daj spokój – mruknęła pani Basia. – U was we Francji, u was we Francji... – prychnęła niezadowolona.

– Ale trumna dla gitary? To szaleństwo.

– Drogie panie, uspokójcie się! – przerwał im Kurzydło. – To nie jest trumna dla gitary, ale zwyczajny futerał. – Zastanowił się przez chwilę. – No, może nie zwyczajny, ale jednak futerał. O, tu jest jakiś znak. – Wskazał na pokryte miękką tkaniną dno futerału. – Tu jest napisane „Deathocultica”. I są jakieś nuty. Takie skompilowane jak chińskie robaczki na grillu.

– A co to za nazwa?

– Nie wiem, ale za dobrze to nie wygląda. W każdym razie coś związanego ze śmiercią – odparł profesor.

– A, to ten zespół, co będzie grał na Wampiriadzie – wyjaśniła Wierciuchowa. – Zakwaterowali się w Kotłęcinie. Wiem, bo tak tam narozrabiali, że trzy osoby stamtąd przeniosły się do konkurencji. Nie dają ludziom spać po nocach, ale podobno dobrze płacą i grają dla gości.

– Gitara w trumnie... Panie Rycki, sam im pan to oddasz!

– Ale połamane...

– A to już mnie g... obchodzi – warknął komendant.

– O, a to co? – zawołała pani Basia, podnosząc szary pakunek i podając go komendantowi, który spojrział na nią groźnie.

Była to jakaś szmatka, a w niej dwa zdjęcia. Jedno przedstawiało ucho, chyba męskie, choć z uszami to zawsze trudno powiedzieć. Drugie palec. Palec też był męski i nie było w nim nic ciekawego. Żadnego sygnetu, żadnych znaków szczególnych. Chyba że trochę zniekształcony paznokieć mógł być interesujący.

Wszyscy tłoczyli się przy komendancie, licząc na coś o wiele ciekawszego niż ucho czy palec. Ludzie spodziewali się pakietu zdjęć zespołu z autografami, bo takie zdobycze można by potem jakoś przyzwoicie opchnąć, podarować lub nawet stworzyć do nich legendę.

– Dla każdego po jednym! – krzyknął profesor, który w tworzeniu legend był naprawdę dobry i już wiedział, co zrobi z takim artefaktem. Zespół nie był co prawda specjalnie sławny, ale za jakiś czas mógł być.

Babcie stały wpatrzone w zdjęcia jak zamurowane.

– Czyli pokroili Mirka – stwierdziła babcia Zosia.

– Albo mają zamiar – zawtórowała jej babcia Marylka. – Ty wiedziałaś! Przewidziałaś to – westchnęła. – A pan, komendancie, nie chciał wierzyć.

– W co niby?

– W porwanie! – obraziła się babcia Zosia. – Przecież mówiłam, że przysłał ucho albo palec... I przysłali.

Komendant popukał się w czoło. Owszem, zbieg okoliczności wydał mu się nawet interesujący, ale nie zamierzał brać go sobie specjalnie do serca. Każdy, absolutnie każdy ma prawo robić zdjęcia uszu, palców, brzuchów, a nawet innych części ciała, przechowywać je w futerałach, szufladach, szafach czy kieszeniach, pokazywać, palić albo wyrzucać w zależności od własnej woli.

– Idźcie już panie do domu i przestańcie opowiadać bzdury! Wracam do pracy, a pani, pani Lilko, niech ma oko na to towarzystwo, żeby znowu nie odstawiali w parku nieprzyzwoitych scen. Mamusia



idzie ze mną! Odstawię mamusię do domu i tam się policzymy!

– Policzymy? – warknęła teściowa, której zadrapania i plastry nie przydawały urody, a właściwie sprawiały, że wyglądała jak pitbull po przejściach.

– To znaczy porozmawiamy – odpowiedział pospiesznie. – Porozmawiamy!

Kurzydło nie bał się matki swojej żony, bo żaden mężczyzna przecież nigdy nie boi się teściowej. On tylko traktował ją jak wirusa ebola. W rękawiczkach, maseczce i na odległość. Gdyby to nie wystarczyło – ostatecznie pomagało upozorowanie pilnego wezwania do pracy.

\*\*\*

Maciek usiadł z wrażenia.

– Jak to moją mamę? Przecież ona nigdy... Ona nie zamierza... nigdy nie chciała...

– Nie jękać się tak. Nie możesz wiedzieć. Może chciała, tylko nigdy ci o tym nie mówiła? A może ma dość takiego życia i pragnęła coś zmienić? Ma prawo! – Hanka nie do końca wierzyła w to, co mówi, ale chciała się postawić w jak najlepszym świetle, pokazać, że jest tolerancyjna i wyrozumiała. Wiedziała, że kłamstwo miewa krótkie nogi, ale ona właściwie nie kłamała, tylko trochę ubarwiała rzeczywistość.

Maciek nie mógł wyjść z oszołomienia.

– Kurczę, ale moja mama? Nie do pomyslenia, nie-do-po-my-śle-nia – powtarzał. Po chwili jakoś się opanował. – No dobra, trudno. Kto jeszcze?

– Wierciuchowa, Irena Prokopiec, Liliana Bryła, Romualda Kowalska. To ta zamordowana. Emilia Więcka i Barbara Parzybroda. Tych dwóch ostatnich nie kojarzę. Są zdjęcia, ale nic mi nie mówią. Zaraz... Barbara Parzybroda? Czy to nie pani Basia?

– Pokaż. – Maciek przyjrzał się zdjęciom wszystkich kobiet bardzo dokładnie. – Możliwe, że to ona, ale zdjęcie jest sprzed dwudziestu kilo. No to się porobiło. Siedem kobiet i on jeden... Czy da się sprawdzić, kto o kogo zabiegał?

– Jasne. On wystartował do Wierciuchowej i twojej mamy, reszta do niego, ale zaakceptował te propozycje. Czyli mamy coraz więcej podejrzanych.

– Chyba nie podejrzewasz mojej mamy? Oszalałaś?

– Nie, nie, no coś ty – odpowiedziała szybko z nieco złośliwym uśmiechem. – Ale tak czy siak...

Siedzieli wpatrzeni w ekran laptopa, nie wiedząc, co dalej zrobić.

– Patrz na naszego adonisa – Maciek przerwał milczenie. – Za Napoleona robi... Może podejźmy się przywitać?

Pomysł Hance się nie spodobał, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, sam Stawicki, jak wilk wywołany z lasu, pomachał do nich.

– Hej, cześć Maciek! – zawołał. – Smakowało?

Hanka ze zdziwieniem popatrzyła na Maćka.

– No co tak patrzysz? Tu wszyscy się znają... Mniej więcej wszyscy i mniej więcej znają. – Uśmiechnął się trochę złośliwie. – Jasne, świetne było! – odrzyknął, zwracając się do gospodarza. – A co u ciebie?

– Stara bieda – odparł Stawicki, podchodząc do nich. Mówił tonem człowieka, który właśnie zjadł na obiad ostatnie sznurówki. – Ale u was, słyszałem, całkiem sporo się dzieje. Ktoś kogoś zagryzł podobno...

– Podobno. – Maciek cierpko się uśmiechnął. – Poznaj moją hm... koleżankę.

Hm koleżanka przedstawiła się grzecznie, podając mu rękę. Stawicki był dość przystojny, a przede wszystkim nie miał brzucha ani łysiny, co odróżniało go od większości mężczyzn w jego wieku.

– Hej, proszę pana! – zawołał ktoś od stolika przy drzwiach, pstrykając palcami.

Stawicki uśmiechnął się przepraszająco i ruszył w tamtą stronę.

Nagle od strony stolika przy oknie dobiegł wrzask. Hanka wiedziała, że w Warszawie istnieją restauracje, w których są „strefy wolne od dzieci”, ale tu tego nie praktykowano. A szkoda, bo dziecko darło się jak opętane.

– Chcem wampira! – krzyknęło zdecydowanie. Był to głośny, wściekły ryk jednego z tych wychowywanych bezstresowo dzieciaków.

– Zjedz lody, kochanie – odpowiedziała spokojnie kobieta, w której głosie pobrzmiwała zmęczona matkopolskość. – I nie przeszkadzaj, my rozmawiamy!

Dzieciak nie zamierzał jej słuchać. Chyba nie był do tego przyzwyczajony.

– Nie chcem lodów, chcem wampira! Obiecaliście! – wrzasnęło coś, co mimo długich włosów musiało być chłopcem w wieku około pięciu, sześciu lat.

– Idź się pobawić na plac zabaw – jęknął ojciec. – No idź już, idź!

Dziecko zaczęło tupać, wrzeszczeć i tłuc pięściami w stolik. Talerze i filiżanki brzęczały.

– Nie chcem!

– Kochanie! Zachowuj się! – zareagowała matka z łagodnym uśmiechem osoby uduchowionej. – Słyszysz?

– Nie będę się zachowywać! Wcale! Chcem wampira, wampira, wampira! – krzyczało dziecko, tupiąc i biegając po sali. – Wam-pi-ra – skandowało na cały głos, jakby w takt dochodzącej z parku muzyki.

– Kochanie, idź i zobacz, bo może na placu zabaw jest wampir – zaproponował ojciec tak samo bezradny jak matka.

Dziecko wybiegło przed budynek, wciąż wrzeszcząc.

– Wzzzzuuuum! Wampiry, zajebię was. Chodźcie tutaj! Wzuuum!

– Jezus! Skąd on zna takie słowa?! Przecież nie chodzi do przedszkola! – jęknęła matka. – Będę musiała porozmawiać z nianią.

– Tak, musisz z nią porozmawiać i zjebać ją jak burego kota. Przecież ona zniszczy przyszłość biednego Mariuszka.

Biedny Mariuszek biegiem dotarł do placu zabaw i takim samym biegiem powrócił, drąc się wniebogłosy.

– Nie ma wampira! Chcem wampira! Obiecaliście! Tato, obiecałeś! Powiedziałeś, że będą wampiry, a tu nie ma... Chcem wampira! Chcem wampira! Chcem wampira!

– I widzisz, kurwa, nie trzeba było mu obiecywać – warknęła matka. – Ale ty zawsze coś pierdolniesz i Mariuszek się denerwuje. To może mu zaszkodzić. Sam wiesz, co mówił lekarz. Jest bardzo delikatny. Żeby tylko nie dostał czkawki!

– A ty to co? Lepsza? Wezwij no tego szefa... Zresztą nie, zawołam go sam. Panie starszy! – ojciec krzyknął protekcyjnie, z wyczuwalną pogardą, do Stawickiego. – Podejdzie pan tutaj.

– Słucham? O co chodzi? – Stawicki podszedł do stolika, zachowując kamienną twarz.

Maciek i Hanka ze wstydem patrzyli na ten spektakl.

– Załatw pan jakiegos wampira małemu, bo szlag mnie trafi! Zapłacę ekstra. W końcu macie ich tu na pęczki.

– Nie mamy. Bardzo przepraszam, ale nie mamy wampirów...

– To jak wy się staracie?! Wszyscy mają, a wy nie?! Mariuszkule, proszę, przestań kopać pana. Mariuszkule! Jest bardzo żywiołowy – wyjaśnił przepaszająco. – Mariuszkule! Idź nad staw. Może tam są wampiry? Jak pan sądzi? – Puścił oko do Stawickiego. – Są tam, prawda?

Właściciel albo nie zrozumiał aluzji, albo nie chciał brać udziału w tej farsie.

– Nie chcę iść nad durny staw. Chcem wampira! Chcem go zajebać! O tak! – Mały zaczął wymachiwać plastikowym mieczem, strącił solniczkę i uderzył Stawickiego w ramię. – Wzzzzuuuum!

– Mariuszkule – ojciec pogroził palcem – uważaj, bo zrobisz sobie krzywdę!

Hanka i Maciek siedzieli wpatrzni w to, co rozgrywało się przy sąsiednim stoliku, i nie zauważyły nawet, jak za oknem robiło się coraz ciemniej. Zaczynał padać deszcz.

– Widzisz, kochanie, wampiry kontrolują pogodę. Pewnie zaraz przylecą. – Matka pogłaskała rozwścieczone dziecko po głowie. – No idź i zobacz. Tylko się nie przezięb.

– A właśnie, że się przeziębię! – Dziecko jeszcze raz kopnęło Stawickiego i z wrzaskiem wybiegło na zewnątrz.

Z daleka nadal było słycać muzykę, a właściwie jazgot. Był to zaplanowany, muzyczny jazgot.

Grzmiało.

Rodzice Mariuszka wyraźnie się uspokoili. Zamówili butelkę wina i wrócili do omawiania swoich spraw wreszcie nieco odprężeni.

Burza, która dotąd krążyła gdzieś nad Zagubinem, właśnie dotarła do Kotłęcina, ale po drodze musiała doznać jakichś przykrości, bo była odrobinę wkurzona. Może spowodował to korek w meteorologicznym ruchu powietrznym, a może trudności z odnalezieniem drogi. W każdym razie huczała grzmotami i siekła deszczem jak wściekła.

Pisk i krzyk spacerujących par, uciekających teraz w popłochu do zaparkowanych na podjeździe samochodów, wzmógł się jeszcze, kiedy z nieba posypały się białe zimne kuleczki, kulki, a potem kule. Uderzały we wszystko, uruchamiając alarmy w autach, tłukąc szyby w oknach i nabijając guzy uciekinierom, którzy nie zdolali dotrzeć jeszcze do swoich pojazdów.

Najmniejsze kuleczki wyglądały jak niewinne tik-taki. Największe osiągały rozmiary orzechów włoskich. Niektórzy potem twierdzili, że grad był wielkości kurzych jaj klasy S, a może nawet M, w każdym razie tłukł co i kogo popadnie.

Rodzice Mariuszka cieszyli się chwilą zasłużonego spokoju i nie przejmowali się niczym. Chyba nawet nie zauważyli gradu aż do chwili, kiedy z daleka dało się słyszeć głośny jęk i huk.

Coś wybuchło.

Rodzice natychmiast poderwali się do biegu, zastanawiając się, co się wydarzyło. Czy to wybuchł Mariuszek? Czy może coś wybuchło przez Mariuszka? Nieraz już się to zdarzało.

Nie dobiegli jeszcze do drzwi, kiedy zgasły wszystkie światła. Przerażliwy pisk obwieścił koniec beztróskiego dzieciństwa i duży rachunek od psychologa.

– Łaaa! – wrzeszczał przerażony Mariuszek, stojąc w deszczu jak wmurowany, co zrobiło na wszystkich duże wrażenie. – Łaaaaaaa! Maaaamooooo! Ratunkuuuuu!

Wszyscy, którzy wylegli przed pałacyk, widzieli dokładnie, co się stało. Zresztą w zasadzie może nikt nie widział, co się stało, ale wszyscy widzieli czerwoną lunę, trzy czarne demony i Mariuszka.

Mariuszek widział chyba tylko demony. Stał i wrzeszczał.

– Aaamm ammmpiry aaam piry! – krzyczał, zanosząc się od płaczu.

Hanka i Maciek, nie zważając na deszcz i grad, ruszyli w kierunku dziecka, ale nie zamierzali go ratować. Biegli do luny. Za nimi gnali rodzice Mariuszka, kelnerzy, ochrona i Stawicki. Dalej dzielnie truchtali wszyscy goście restauracji. W końcu rzadko się zdarza być w samym centrum wydarzeń.

– Coś tam wybuchło! – zawołała Hanka. – Od drugiej strony, bo tu nas stratują!

Z daleka zobaczyli trzy wielkie, czarne demony.

Włosy im sterczały, twarze ociekały czernią i bielą, z ust ciekła krew. W każdym razie coś, co naprawdę wyglądało na krew.

– O ja pierdolę – jęknął ojciec Mariuszka. – I masz to swoje bezstresowe wychowanie! Ja go dzisiaj tak zleję, że na dupie nie usiądzie. Egzorcystę trzeba wezwać, mówiłem ci, że on jest opętany! Patrz, co wywołał.

– Ależ kochanie! – krzyczała za nim żona. – Jesteśmy ateistami, nie wierzymy w demony! – strofowała go, jakby tę kwestię już przedyskutowali.

– Ja wierzę! – wrzasnęła. – Myślisz, że chcą go sobie zabrać? – zapytał nie bez nadziei w głosie.

Żona dzieliła go pięścią i dobiegła do wrosłego w ziemię dziecka.

Demony szły, szeleszcząc. Z daleka słychać było kolejne huki. Matka dopadła do chłopca, powaliła go na ziemię i zaczęła wlec w kierunku pałacu.

– Coś ty, do cholery, wywołał, głupku jeden?! – wołała poprzez deszcz. – To może nas dopaść!

Dziecko nie poczuło się uspokojone tą perspektywą.

– Dopaść? Aaaaaaaa! – zawyło.

– I pożyć – dodała uspokajająco matka.

Chłopiec dostał czkawki.

Jeden z demonów podniósł ręce i wykrzywił w grymasie zadowolenia swoje krwistoczerwone usta ociekające rozmazanym makijażem.

Chłopiec się posikał.

Matka zemdląła.

– Widzisz! Jednak nas tu znają, a ty mówisz, że na tym zadupiu nikt nie słucha death metalu! – powiedział jeden z demonów, składając na koszulce leżącej kobiety zamaszysty autograf. Zawsze nosił przy sobie porządny marker. – A niech ma! – Uśmiechnął się, odchodząc.

Chłopiec jeszcze przez jakiś czas po tym wydarzeniu wierzył, że jego matka została własnością demona, skoro ten ją podpisał, i że na pewno go zje.

Czkawka minęła mu dopiero w wieku dwunastu lat, a gdy miał czternaście, przestał się moczyć. Jako czterdziestolatek dał sobie odebrać nóż, z którym dotąd się nie rozstawał. Od tego czasu spał z siekierą pod poduszką.

\*\*\*

Hanka dobiegła pierwsza do podestu, od którego biła luna. Kule gradu waliły w talerze perkusji i niezabezpieczone bębny. Zresztą nie było czego zabezpieczać, bo albo jakieś wyładowanie elektryczne, albo dobrze wymierzony okruh gradu spowodował spięcie i wszystko płonęło, że aż miło. Los bywa okrutny i często ma oko snajpera.

– Trzeba odciąć prąd! – krzyknęła Hanka.

– Jest już odcięty – odparł Maciek. – Zadziałały zabezpieczenia. Chyba w pałacu wywaliło korki. Ale to i tak nic nie zmienia, trzeba wezwać straż pożarną.

– I Stawickiego – stwierdziła Hanka. – Chyba jest ubezpieczony? Bo jeśli nie, to się nie wypłaci... Patrz, jaki sprzęt.

Rzeczywiście, płonący sprzęt był kosztowny. W tej chwili już raczej bezużyteczny, ale nadal wysoce profesjonalny.

– Boszsz! Jaka piękna demolka – zawołał ktoś z coraz bardziej gęstniejącego tłumu. – Normalnie super! Koncert musiał być niesamowity, a ja przegapiłem.

Tłum gapiów składający się z gości pałacyku i mieszkających w pobliżu ludzi zbierał się wokół płonącej sceny jak wokół ogniska. Brakowało tylko kiełbasek i pianek na patykach. Maciek ze zdziwieniem zobaczył pośród zebranych kilka osób z Krwiożerczego Piotrusia.

– Pani Basia? Sara? A co one tu robią?

– A co cię to obchodzi? – warknęła Hanka. – Straż wezwałeś?

– Stawicki pewnie wezwał – skwitował Maciek. – Poczekajmy. Trzeba przypilnować, żeby nikt się tu nie kręcił, bo wiesz, jak jest. Rozkradną, co się da.

Tłum rósł, pożar się rozprzestrzenił, a strażacy przyjechali dopiero po kilkunastu minutach. Chaos, jaki zapanował wokół pałacu, można było przyrównać do inwazji obcych. Zresztą była to właśnie inwazja obcych, tyle że obcy byli ludzie. Kotlowali się, przepychali, wrzeszczeli, wyzywali, gubili i po

jakimś czasie odnajdowali, jakby udział w pożarze, bo przecież nie można tego nazwać udziałem w gaszeniu pożaru, był jedną z najprzyjemniejszych rzeczy, jakie im się w życiu trafiły.

Prym wiedli mieszkańcy Kotłęcina. Nie byli tak zamożni, jak odwiedzający pałac turyści, więc z radością przyjęli ten darmowy spektakl. Stawili się wraz z rodzinami i chętnie pozowali na tle płonącej sceny. Z żalem kręcili głowami, kiedy zorientowali się, że pożar w żadnym razie nie przeniesie się na pałac, co byłoby jeszcze bardziej interesujące.

Jak na razie zadowalali się zadeptywaniem co ciekawszych roślin i nie całkiem przypadkowym tłuczeniem krasnali, które przetrwały grad.

– No mówię wam, wielkości piłek tenisowych! – zaferowani tłumaczyli przez telefony rodzinie ze Stanów, której zdążyli już wysłać zdjęcia na tle płomieni i zgliszcz.

Maciek wiedział, że nazajutrz z pewnością grad rozrośnie się do rozmiaru arbuźów, pożar strawi kilkadziesiąt hektarów, a okoliczni rolnicy zaczną zapadać na dziwne choroby i zgłoszą sprawę do prokuratury w związku z promieniowaniem radioaktywnym. Teraz robili tylko zdjęcia, by dobrze udokumentować późniejsze donosy.

Turyści też robili sobie zdjęcia. Pożar uplasował się wysoko w rankingu imprez okolicznościowych i wakacyjnych atrakcji.

– Wiesz, to nawet lepsze niż zoo w Libercu, a tam trzeba było płacić!

Cała impreza trwała cztery godziny, aż do ostatniego gapia, którego z podjazdu wyprosiła policja. Pałac zamknęto dla obcych, ale nie dla gości, dlatego Hanka i Maciek szybko wynajęli ostatni wolny pokój, pod wieloma względami przypominające sławną komórkę pod schodami, w której dorastał pewien młody czarodziej. Hanka tę decyzję zinterpretowała w konkretny i dość logiczny sposób. W końcu mogli wrócić do pensjonatu, bo to było tylko kilkanaście kilometrów drogi, ale mimo niewielkiej odległości wynajęli pokój, czyli co? Przecież to jasne, nie?

Niestety, natychmiast się okazało, że chcieli (taaaak, chcieli) jeszcze trochę się tutaj rozejrzeć i przede wszystkim porozmawiać ze Stawickim.

– Trzeba z nim pogadać. Podpytać o te jego plany matrymonialne – tłumaczył Maciek dziewczynie.

– Ale... – Hanka usiłowała go od tego odwieść, nie odwołując go jednak od wspólnej nocy. – Po co?

– Bo trzeba! Rozumiesz? Trzeba. Czegoś przecież musimy się dowiedzieć. Komendantowi na razie nie chcę mówić ze względu na jego żonę. Na razie. I tak będzie musiał się dowiedzieć, ale wolalbyśmy zebrać trochę konkretnych.

Maciek upierał się przy tym jak osioł, a Hanka nie miała ochoty mu się przeciwstawiać. Ona załatwiłaby to inaczej.

Majtki w słoniki co prawda zostały wymienione na koronkowe stringi jeszcze w Krwiożerczym Piotrusiu, ale cała Hanka nie prezentowała się specjalnie dobrze. Włosy miała w strąkach, ubranie umazane sadzą, a makijaż już jakiś czas temu zdezerterował, zostawiając po sobie smugi i plamy. Wyglądała jak wyciągnięta z pożaru prostytutka na dopalaczach.

Na szczęście nie widziała się w lustrze.

Maciek, jak to w życiu bywa, wyglądał dokładnie tak samo, co sprawiało, że przywodził na myśl bohaterańskiego, twardego faceta o miękkim sercu, który wyniósł z pożaru kocięta. Los nie jest sprawiedliwy.

Zresztą pozostali goście wyglądali podobnie. Na kolację musieli się zadowolić daniami na zimno. Nikt nie był w stanie znaleźć szefa kuchni. Kolacja, jak wszystko wokół, pachniała czosnkiem. Wszędzie też czuć było spalenizną. Niestety nie był to zapach ogniska, ale palonego plastiku.

Mariuszek wraz z rodzicami jadł posiłek w pokoju, z którego z regularnością metronomu co jakiś czas słychać było wrzask.

Nie wiadomo dlaczego następował w chwilę po tym, gdy padała nieśmiała prośba matki:

– Chodź, kochanie, mamusia pocałuje cię na dobranoc.

\*\*\*

Mniej więcej w tym samym czasie w domu komendanta także panował chaos.

– Mamusiu, niech mamusia nie wydziwia. Jakim wampirem? – denerwował się Kurzydło za każdym razem, kiedy jego teściowa odmawiała współpracy, powołując się na swoją nową tożsamość.

Nie chciała wyjść na światło dzienne, mimo że było nadzwyczaj pochmurno, nie pozwalała się wziąć pod rękę, nie chciała jeść, pić ani rozmawiać. Kilka razy sprawdzała, czy może przemienić się w nietoperza. Kończyło się to drobnymi potłuczeniami. Przetrawiała swoją klęskę, usiłując dopasować swój morderczy plan do nowej sytuacji.

Zięcia musiała się pozbyć, i to szybko, jak najszybciej. Tego wymagał jej genialny pomysł osadzenia córki w kotłecińskim pałacu. Będzie matką pani na Kotłęczynie. Jakże pięknie to brzmiało.

\*\*\*

Dziunia nie mogła znaleźć sobie miejsca w domu. Gorzej, w parku też nie mogła. Niby wszystko było jak należy, a jednak nie było. Jej ławkę zajęto. JEJ ławkę! Nikt nie zareagował przyjaznym „wow” na wino marki wino w liczbie dwóch butelek, które wyjęła z torby.

– Czerwone – mruknął Genio „Zwis” Kozłowski. – Jakby do krwi podobne... Dziwnie pić.

– No co ty! Wino prima sort! – obruszyła się Dziunia. – Nie chcesz, nie pij. Będzie więcej dla reszty.

Reszta także jednak nie wyraziła chęci napicia się Dziuńkowego wina. Coś było nie tak.

– Jakiś odwyk odwalacie? Grupowy? – zapytała, nie wierząc własnym oczom i uszom. – Czy coś wam zaszkodziło?

– A wypluj te słowa. Odwyk? Gdzie odwyk! Ale ono jakieś takie rzeczywiście na krew pahoże – odparł Zygzak.

– Mogę wymienić na takie żółte, co je robią z zielonych jabłek. Ale czerwone na serce dobre – zachęcała Dziunia.

– A jasne, na serce. A potem ciach, ząbek, szyjka i zegnaj, świecie! My z wampirami nie pijem! – odezwała się Dżasta, która wyraźnie zajęła należne Dziuńce, przywódczce miejsce.

Dziuńki o mało szlag nie trafił. Za to całkiem celnie trafił Dżastę, objawiając się w postaci lewego sierpowego. Nie był to najlepszy cios, jaki Dziunia była w stanie zadać, gdyż była praworęczna, ale prawa ręka chroniła dobra pitne.

Zrozumiała, jak okrutny potrafi być świat, kiedy nikt nie poszedł za jej przykładem, a wszyscy rzucili się z pomocą Dżaście. Zrozumiała, że została zdradzona.

Wściekle klnąc, poszła do domu. Wredne, małe sukinsyny zazdroszczą mi, pomyślała z rozpaczą, a ja dla nich... Ja im... Ja wszystko bym dla nich... Tak to jest, kiedy coś osiągniesz. To bzdura, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Nie. Poznaje się ich wtedy, kiedy osiągnie się sukces! Tak to jest, gdy z zawiści wszyscy cię odtrącają. Chamy, bydlaki niemyte! Wzgardzona Dziunia chciała się napić, ale jeszcze tak nisko nie upadła, żeby pić sama. Co prawda piła kiedyś z chomikiem, ale tylko jeden raz i – co tu dużo mówić – chomik strasznie się wtedy rozchorował. Teraz postanowiła odnaleźć Wieska, ale ten jakby przepadł bez wieści.

Wiesiek nie był przykładowym mężem. Ot, drobna chwila nieuwagi i przypadkowa iskra obficie podlanej winem namiętności zamieniła się w ognisko domowe, którego nie chciał podsycać. Dlatego zniknął, kiedy tylko mógł.

Dziunia nie wiedziała, co robić. Schowała wino do reklamówki i poszła obadać sprawę do Krwiozerczego Piotrusia. Może tam znajdzie się ktoś chętny? Jako wytrawna obserwatorka zauważyła manewry Hanki i Maćka, kiedy przemycali na górę dwoje kompletnie pijanych dzieciaków. A gdzie jest pijaństwo, tam jest i kac. A tam, gdzie kac, jest pragnienie, dedukowała.

Istniała co prawda szansa na to, że ktoś ją stamtąd pogoni, ale tym razem nie była zbyt duża. Zaraz po obiedzie Wierciuchowa i cała reszta wsiedli do autobusu i gdzieś wyjechali.

Zresztą, co Dziunię szkodzi zajrzeć? Zajrzała.

\* \* \*

Szczurek obudził się pierwszy. Coś wyło za oknem. Zresztą nie, najpierw przysnił mu się zielony helikopter, na którego pokładzie w trzech wypełnionych mazią pojemnikach przewożono kosmitów, którzy wylili. A może to pilot wylł?

Dopiero potem wycie ze snu przedarło się do jawy.

Szczurek czuł się źle. Bardzo źle. Głowa wołała o imadło, język o pumeks, a ręce: „O Boże, szklanki nie utrzymam!”.

Wiolka też obudziła się z powodu wycia. Ona również nie czuła się dobrze, bo rzadko kiedy ktoś czuje się dobrze po wzmocnionym piwie z Morderczego Truchła.

Mniej więcej w tym samym czasie postanowili zejść na dół. Przemierzali niekończące się schody, trzymając się poręczy i nawzajem dodając sobie otuchy.

– Ty, ale ja nie gwałciłem żadnego faceta? Prawda? – dopytywał się Szczurek lękliwie.

– Chyba nie. Ja tylko jakiś pogrzeb kojarzę. Więcej nic. Ale wiesz, to był wesoły pogrzeb.

W jadalni siedział Marcel ze skrzywioną miną.

– Kolacji nie ma, zjedzcie sobie szwedzki stół z resztek, bo Wierciuchowa nie zarządziła nic innego. Są dwa serki topione.

– Ja wezmę. – Profesor wyprzedził wszystkich.

– I możecie sobie usmażyć ten schab z lodówki. Nawet dobry. Trochę tylko śmierdzi od kości, ale to od burzy, nie ze starości. Takie kości to się podczas burzy psują, że ho, ho. No i jest jeszcze ten sos, ale skisł. Też od burzy.

– A chleb jest? – zapytała Wiolka.

– Trochę spleśniał, ale jest.

Postanowili się przegłodzić. Tylko profesor wepchnął sobie do ust oba serki naraz, zaklejając się na chwilę. Wolał nie sprawdzać daty ważności.

– Boszszz, jak mnie wszystko cholernie boli – jęczał Marcel. – A głupia pinda w pogotowiu powiedziała, że nie ma złamań. To co jest? Co mnie tak napierdziela, że ledwie chodzę?

– Może podświadomość – odparł profesor uczenie. – Niech pan się postara zapomnieć, wtedy przejdzie – wyjaśniał z miną znawcy.

Kiedy Szczurek i Wiolka przysiedli się do nich i łączywie wypijali resztki kompotu z dzbanka, w drzwiach jadalni pojawiła się Dziunięka.

– O, widzę, że macie kacyka! – zawołała zadowolona. – Mam tu lekarstwo – stwierdziła tryumfalnie i postawiła na stole wino.

Na jego widok Szczurek zerwał się z krzesła i – objając się o ściany – pobiegł do łazienki.

– A, taaaaki gips – westchnęła Dziunięka zawiedziona. – Truchło żeście pili? – zapytała z miną eksperta. – Dłuuugo tarmosi! A może pan, profesorze? – zachęcała, jak mogła.

Profesor spiorunował ją wzrokiem, za to Marcel wyciągnął ku niej szklankę.

– Ja się napiję. Strasznie mnie połamalo! – Wypił, otrząsnął się jak pies z gnojówki i popatrzył na profesora nieco pogodniejszym wzrokiem. – Na dzień się pan przeflancował?

– Że niby co? – Profesor nie zrozumiał pytania.

– Ta maszynieria... No, coś wyje. Znaczy tę swoją maszynierię kosmiczną pan włączyłeś na dzień?

– A gdzie tam. W ogóle jej nie włączałem ani wczoraj, ani dziś, bo mi się transmutocyklotronion zagubił.

– Transmuto co?

– Oj, bagnet... Bagnet mi gdzieś się zapodział, a bez niego nic nie działa.

– To co tak wyje?

Wycie dotarło do świadomości wszystkich ze zdwojoną siłą.

– To ten pies – mruknął Szczurek, powróciwszy z toalety. – Jeżeli dobrze pamiętam, rano narozrabiał. Upił się czy co? Może dlatego wyje?

Uspokajająca teoria Szczurka nie spodobała się profesorowi. Uspokajające teorie są nudne i działają tylko na ludzi bez wyobraźni.

– Tam coś się stało – obwieścił profesor strasznym głosem. – Słyszę to w wyciu. Ta modulacja, to cierpienie... Tam... Tam stało się coś potwornego!

Obwieszczenie mogło dotyczyć wszystkiego, od końca świata i kosmitów po atak pcheł, ale profesor oczywiście wolał koniec świata.

– Musimy tam iść! Natychmiast! Szybko! – wołał podekscytowany. – Ktoś może być w niebezpieczeństwie!

\*\*\*

Hanka miała dość kluczenia od sali do sali, od pokoiku do pokoiku, od biura do biura w poszukiwaniu Stawickiego. Było późno, a faceta wciął dokumentnie. Recepcja nie wiedziała nic konkretnego i odesłała ich do managera, który tylko wzruszył ramionami.

– Jak zwykle się włóczy gdzieś za babami – powiedział mężczyzna niezadowolonym tonem. – A tu tyle roboty! Faktury na jutro trzeba podpisać i kucharz nam się zwolnił, pokojówka dziś nie przyszła do pracy, więc trzeba ją odprawić i przyjąć nową. I jeszcze ten pożar. Ja oszaleję.

– No, ale... – Maciek nie wiedział, jak zareagować na ten potok słów.

– Stawicki się znajdzie! Jutro, pojutrze, ale się znajdzie.

Musieli zrezygnować.

Wrócili do pokoju. Nie było późno. Maciek wyszedł jeszcze na chwilę rozejrzeć się po terenie, a Hanka, która przezornie zabrała ze sobą super hiper koronkową piżamkę w stylu *pin-up girl*, postanowiła się przebrać i oczywiście umyć. Piżamka była tak delikatna i cieniutka, że bez problemu zmieściła się w torebce. Składała się z koronek, falbanek, kokardek i koralików, czyli ze wszystkiego, co jest konieczne, żeby zrobić z dorosłej kobiety lolitkę. Hance się podobała, bo była czerwona, a czerwony to bardzo zmysłowy kolor.

Przysnic był. Niestety, nie było suszarki do włosów. Nie było też niczego do demakijażu. Szczoteczki do zębów także nie miała.

Po jakimś czasie, jako tako doprowadzona do porządku i przebrana, przygasiła światła i położyła się na łóżku, przybierając seksowną pozycję.

Seksowne pozycje w zasadzie były jej obce, ale dużo czytała na ten temat. Bardzo żałowała, że nie wzięła szpilek, bo kobiety w takich najseksowniejszych pozycjach mają na sobie buty. Niestety jej traperki się nie nadawały... Chociaż? Spróbowała włożyć buty i stwierdziła, że ta stylizacja wygląda ciekawie. Znow położyła się na łóżku.

Zasnęła.

\*\*\*

Babcia Zosia nie miała pomysłu, jak wrócić do domu. Obie z Marylką przyjechały do Kotłęcina autobusem podmiejskim, ale te przestawały kursować od dwudziestej, a było już trochę po dwudziestej



pierwszej. Władze miejskie oszczędzały na późnych kursach. W końcu Kotłęcin jest dla bogaczy, więc niech jeżdżą taksówkami. Zresztą wszyscy wiedzieli, że właściciel korporacji taksówkowej jest kuzynem żony wnuka od strony siostry, ciotki męża tego faceta, co ma układy w urzędzie, więc to na pewno spisek.

Ani babcia Marylka, ani tym bardziej babcia Zosia bogaczkami nie były. Były za to dość pomysłowe.

– Ukradniemy motor – zaproponowała babcia Zosia. – Kiedyś jeździłam na komarku, a to podobno to samo.

– Nie ukradniemy motoru, bo nie mamy gdzie go trzymać – odparowała ostro babcia Marylka, która czasami bywała zdecydowanie praktyczniejsza. – W kurniku się nie da. Zaraz go te bestie obsrają.

– No, a on całkiem ładniusi – stwierdziła Zosia, wskazując na srebrnego harleya. – Fakt, obsrają go. To co robimy? Ukradniemy jakiś rower i ja cię na ramie przewiozę?

– Nie bądź naiwna. Nie istnieje rower, który by nas obie utrzymał. Idziemy piechotą?

– Rozum postradałaś? Ja? Piechotą? Co by ludzie powiedzieli?!

– To choć może jakiś samochód? Mam gdzieś w domu prawo jazdy z sześćdziesiątego siódmego. Potem samochód trzeba będzie oddać, bo co my z nim zrobimy?

– A chociaż wiesz, jak się kradnie samochody?

– Trzeba coś włożyć do zamka, o tak. – Włożyła do pierwszego lepszego zamka w pierwszym lepszym samochodzie spinkę do włosów.

Alarm ogłuszył pół osiedla.

– Uciekajmy! – krzyknęła babcia Zosia i wpadła wprost na parkingowego.

– Znowu jacyś cholerni gówniarze – zaklął. – Widziały panie kogoś?

– Nie – odpowiedziała szybko babcia Marylka. – To znaczy tak, bo my szukałyśmy samochodu wnuczki i wtedy ktoś podbiegł, taki wielki, czarny, normalnie jak jakiś demon.

– O Boże! Znowu demon? Lepiej zaprowadź panie do recepcji, to wam powiedzą, gdzie wnuczka ma pokój.

– Nie. Nie ma potrzeby – jęknęła Marylka. Wiedziała, że Hanka nie mogła się tu zatrzymać, bo i po co?

Alarm zwabił właściciela samochodu oraz – na szczęście – Maćka.

– O, jak miło panie widzieć – powiedział, jakby naprawdę się ucieszył. – Hanka jest w dziewiątce. Idźcie tam, a ja zaraz dołączę.

Poszły. Hanka właściwie nie była im potrzebna, za to jej samochód bardzo.

– Dziwna ona jakaś. – Marylka pokiwała głową. – Pokój ma w Piotrusiu, a nocuje tutaj za ciężkie pieniądze. W głowie jej się poprzewracało!

Otworzyły drzwi i oniemiały. Na łóżku leżało pół kobiety w butach. Miało nogi, coś, co przypominało majtki z anoreksją, i czerwoną, wielką, gigantyczną wręcz głowę.

– Jezus, Maria! – krzyknęła Marylka. – Zjadło ją! Zjadło ją! Zjadło!

– Boże kochany! Całą ją zeżarło! Maciek! Maciek, chodź szybko, bo coś nam Hankę zeżarło!

Maciek przybiegł z końca korytarza i wpadł do pokoju, by ratować koleżankę, która obudziła się i usiadła.

– Aaaaaaa! – wrzasnęła Marylka.

– Iiiiiiii! – pisnęła Zosia, łapiąc się za serce. Po chwili jednak się opanowała. – Nie całkiem ją zjadło. Chyba ją wypluło! Patrzenie...

Na łóżku siedziała właściwie cała Hanka. Twarz miała wymazaną czymś czarnym, usta czymś czerwonym, ręce i policzki też. Czoło i ramiona, ledwie co osłonięty biust oraz część włosów także miały kolor galaretki truskawkowej.

– Czy ona żyje? – zapytała Zosia z niedowierzaniem.

– Chyba nie... Może być na wpół strawiona.

– Co wy tu robicie i co wy wyprawiacie?! Co to za głupie gadanie?! – wrzasnęła Hanka, naprawdę nie wiedząc, co się dzieje.

– A, jednak żyje – ucieszyła się Marylka.

Maciek ze zmarszczonym czołem przyglądał się Hance, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu. Owszem, była do rzeczy, ale w tym momencie nie była podobna do ludzi.

– Wiem. Rozumiem – zaczął dyplomatycznie. – Te no, zabiegi i takie tam, ale coś ty z siebie zrobiła?!

– Co ci się nie podoba? Moja koszulka? Przecież jest śliczna! Ech, facetom po prostu nie da się dogodzić – westchnęła rozdzierająco.

– Nooo, wiem coś o tym – poparła ją babcia Zosia. – Chociaż ja nie przebierałam się za grillowanego arbuza. A to były inne czasy.

– Wiesz, ona to raczej się przebrała za tę, no... wiesz. Są takie małpy. Makaki się nazywają. One też są czerwone na pyskach! Może to teraz seksy?

Hanka aż sapnęła z wściekłości.

– Co one wygadują? Maciek! – Chłopak, trochę zestresowany, nie wiedział, co powiedzieć. – No?!

– Mnie to raczej wygląda na indyka. I to z obciążoną głową. Spójrz na poduszkę...

Na poduszce kwitła wielka czerwona plama. Niewiele się zastanawiając, Hanka obciągnęła falbanki piżamy i w pośpiechu wybiegła do łazienki.

– Jezus, Maria! – krzyknęła, stając przed lustrem.

Jej prześliczna pin-upka okazała się chińską podróbą, która w kontakcie z mokrymi włosami po prostu zaczęła farbować.

Niestety, farbowanie doskonale jej się udało. Czarne kokardki zostały plamy na twarzy i rękach, a czerwona tkanina piżamki zabarwiła całą resztę.

Babcie nie zamierzały się nad nią litować.

– Dlaczego jesteś goła i co zrobiłaś z naszą Hanką? – zawołała babcia Zosia złośliwie, tak żeby było ją słychać poprzez szum wody w łazience.

– Jestem goła, bo... Nie jestem goła. Przecież jestem w piżamie! A wy co tutaj robicie?

– Maciek nas zaprosił – odpowiedziała babcia Marylka. – No co? Nie podoba ci się?

Maciek spoglądał na Hankę z mieszaniną rozbawienia i zakłopotania.

– Nie mają jak wrócić do domu, bo im ostatni autobus uciekł. Odwiozę je – zaproponował.

Hanka westchnęła ciężko jak ktoś, kto został okrutnie doświadczony przez los. Taka piękna piżamka z Alledrogo. Taka wspaniała okazja... Cholerny los, żaliła się w duchu.

– Dobrze – powiedziała przytomnie. Jedziemy wszyscy – stwierdziła. – Mam już dość tego Kotłęcina, a poza tym muszę jakoś zmyć z siebie to świństwo, a samą wodą się nie da.

– Weź pumeks – zaproponowała Marylka, czym bardzo się Hance naraziła.

Maciek był w zasadzie zadowolony. Nie to, że nie miał na nią ochoty, bo miał. Seks zawsze go interesował, ale w pracy zbyt często widywał efekty szybkich randek i wiedział, że połowa z nich doprowadza do katastrof. Jeżeli katastrofą było dziecko, to pół biedy, gorzej, kiedy sprawy zahaczały o noże, siekiery i nożyce do drutu.

Maciek miał świadomość, że zawiedzione kobiety potrafią być niebezpieczne. Sam się o tym przekonał, gdy jego była dziewczyna, ba, niedoszła żona, zdenerwowała się, widząc na jego biurku zdjęcie bardzo ładnej kobiety. Co prawda martwej kobiety, ale jednak kobiety. Podpaliła wtedy mieszkanie sąsiadów. Wbiła im siekiere w drzwi i zrobiła kupę na wycieracze.

Upiła się i rozżalona postanowiła zrobić mu kawał. Była tak pijana, że pomyliła mieszkania.

Najczęściej tak bywa, że kawały robione po pijanemu są śmieszne, ale tylko... po pijanemu. Ponieważ pomyliła adresata swych żartów, sąsiad, który rozprowadzał dopalacze, tak się przejął, że sam się

zgłosił na policję i zaproponował, by go aresztowano, bo boi się o swoje życie.

Niby wszystko dobrze się skończyło, ale Maciek jakoś nie miał już serca do narzeczonej. Co prawda zarzekała się, że kupa była psia, siekiera jej się tylko wysnęła, a podpalenie to taki niewinny żarcik, ale jak tu nie stracić zaufania, kiedy za każdym razem, kiedy się do kogoś przytula, w głowie pojawia się obraz i – niestety – zapach kupy na wycieraczkę?

Hanka zadowolona nie była, bo podejrzewała, że okrutny los zrobił jej to specjalnie, żeby została już na zawsze zgryźliwą starą panną. A przecież niewiele brakowało. Zastanawiała się też, co by zrobiła temu losowi, gdyby był choć w przybliżeniu antropomorficzny i gdyby go dopadła. Jedną z opcji była siekiera. Drugą była duża ilość papryczek chili tak ostrych, że po ich zjedzeniu i język, i tyłek cierpią na zespół stresu pourazowego. Papryczki były ogólnie lepszą opcją, bo za to nie idzie się do więzienia.

\*\*\*

Szli powoli. Inaczej nie byli w stanie. Przed nimi kroczył profesor. Kierował się w miejsce, z którego dobiegało wycie psa.

– To gdzieś w okolicy czarciego kręgu. Tego, co go ostatnio znalazłem – wyjaśnił. – Może wyładowali i pies się ich przestraszył?

– Jasne, tylko dlaczego nie ucieka?

– Może go zamrozili promieniem? – podpowiedziała Dziunia.

– Niczym go nie zamrażali. Pani się nie zna. Może on tak jakoś z nimi rozmawia?

– Tak uuu? Uuuuu? – zawyla przeraźliwie.

Pies chyba spanikował i zawył jeszcze głośniej.

– Pani przestanie wydawać ten odgłos paszczowy! – warknął profesor. – Tam mogą się odbywać jakieś rozmowy, a pani się wtrąca i jeszcze nawet nie wiadomo, co pani mówi.

Wiolka jęknęła.

Przedzierali się przez krzaki w dość ciemnym i ponurym miejscu. Z daleka zobaczyli psa. Siedział i wyl. Nie był zamrożony, choć jego wytarzana w trawie sierść miała gdzieś lekko zielonkawy odcień.

– On chyba chce nam coś powiedzieć – zauważył Szczurek.

– Ta, jasne. Po truchle to i ściany do człowieka gadają, sama tak miałam – odburknęła wściekła Dziunia i przedarła się odważnie za profesorem przez ostatni bastion krzewów na niewielką polankę.

– Boże! Moje lądowisko... – jęknął profesor, bo rzeczywiście to, co zobaczyli najpierw, to była cała masa rozdeptanych grzybów, zaś to, co zobaczyli potem, a było to coś, czego nie chcieli zobaczyć, leżało w kręgu tego grzybowego nieszczęścia i nie wyglądało najlepiej.

– Mam omamy? – zapytała Wiolka z nadzieją w głosie. W tej chwili naprawdę by się z nich ucieszyła, gdyż to, co ujrzała, trochę ją zaniepokoiło.

Leżąca na ziemi góra czegoś była człękoksztaltna i krwistoczerwona.

– To pewnie truchło! – pocieszył ją Szczurek, jakby liczył na cud. – Ono tak działa, prawda? – dopytywał pełen nadziei, ale i wątpliwości. – Pani mówiła, że trzepie...

– Gdzie tam truchło. Przecież to ta suka z drugiego piętra! – wykrzywiła się Dziunia z pogardą. – Też sobie miejsce na spanie znalazła, pinda jedna.

– Ale ona ma mój bagnet – zauważył profesor.

– I jeszcze złodziejka! Trza go jej odebrać! A do tego pewnie pijana jak bela.

– Ale ona ma mój bagnet w szyi! – Profesor się zachwiał i rzucił do ucieczki. – Ktoś ją zadźgał! Nas też zadźgają! Dopadną! Ratunku! Ratunku, mordercy! Mordercy! Ratunkuuu!

Reszta poszła, a raczej pobiegła za jego przykładem. Jedynie Marcel, kulejąc i jęcząc, został, aby obfotografować znalezisko.

No dobra, też się przestraszył, ale biznes is biznes, a nic tak dobrze się nie sprzedaje, jak zwłoki! Podniósł aparat, żeby zrobić zdjęcie z góry. Coś zaszeleściło w krzakach, jakby chrząknęło groźnie. Pies zawył tak strasznie, że Marcel cały zeszytniał i nie patrząc za siebie, rzucił się do ucieczki.

Kiedy dopadli do Krwiożerczego Piotrusia, na podjazd wjechał samochód Hanki i wytoczyły się z niego obie babcie.

\* \* \*

– Strasznie to dziwne – stwierdził Kurzydło wezwany mimo późnej pory do pensjonatu. Nerwowo chodził od okna do okna. – Dwa trupy i oba na waszym terenie – zwrócił się do Maćka. – Jakby to miało coś wspólnego z tym pensjonatem. Przecież ta kobieta tu nie mieszkała. Po co tu przyszła? Nikt z was jej nie zna, prawda?

– Ja ją znam – pospieszyła z wyjaśnieniem Dziuniąka.

– Pani się nie liczy. Pani tu nie mieszka – westchnął zmęczony komendant. – A pojutrze jeszcze zaczyna się Wampiriada... Wszystkich policjantów muszę oddelegować do pilnowania porządku. A kto się zajmie sprawą?

– I co z moim bagnetem? Ja muszę pracować! – jęknął profesor.

Kurzydło na razie puścił tę uwagę mimo uszu. Owszem, brał pod uwagę bezpośredni udział profesora w tym zabójstwie, może nawet w obu, ale nie chciał uprzedzać faktów. Bagnet trzeba najpierw zbadać, pobrać odciski palców i tak dalej. Profesor był oryginałem, co wcale nie powinno mu przeszkadzać w byciu także mordercą. Wręcz przeciwnie, mogło nawet pomóc. Miał sposobność zarówno w pierwszym, jak i w drugim wypadku. Co do motywu, no cóż... Wybór był duży. Może ktoś zażartował z jego dyplomu?

Kurzydło dokładnie sprawdził ten uniwersytet. Jakże on się nazywał? Uniwersytet Bigfoot w Sanford na Alasce. Poszedł do tłumacza przysięgłego i dowiedział się, że Bigfoot to Wielka Stopa. Uniwersytet Wielkiej Stopy nie brzmiał wiarygodnie. Jeszcze gorzej było z jego siedzibą, bo o ile w całych Stanach istniało kilka miasteczek o nazwie Sanford, o tyle jedno z nich było w Teksasie, inne w Karolinie Północnej czy Kolorado, a na Alasce był tylko wulkan o nazwie Sanford. Wulkan tarczowy, cokolwiek to znaczyło. Czyli profesor miał dyplom Uniwersytetu Wielkiej Stopy mieszającego się w wulkanie? I sądził, że ktoś w ten dyplom uwierzy? Był głupi czy naiwny?

A może to tylko zasłona dymna?

Bo po co ktoś kradłby mu bagnet? Kiedy i jak? Cała reszta też oczywiście mogła zadźgać te kobiety. W zasadzie każdy z nich z osobna. Chociaż nieobecność członków turnusu prawdopodobnie wyklucza większość osób. Ważne były wyniki badań patologa. Będzie musiał ustalić godzinę śmierci. Dziuniąka także...

– Zaraz! – zawołał komendant w przyplwywie inspiracji. – A pani dlaczego nazywa ją suką z drugiego piętra? Co? – zapytał. – Tożsamość kobiety jeszcze nie została ustalona.

– No bo ta suka mieszka na drugim piętrze!

– Zna ją pani?

– Jak zły szeszlong!

– Chyba szeląg? – wtrącił się Szczurek, ale został natychmiast spiorunowany wzrokiem.

– Jak mówię, że szeszlong, to szeszlong! – burknęła. – Bo ona ma taką jakby otomanę i tam się gzi z moim Wieskiem!

– Gzi?

– To jest Żanetka-nimfetka. Wie pan, taka nastojaszczą...

– Żanetka? – krzyknęła babcia Marylka, łapiąc się za usta. – Żanetka? Naprawdę?

– No jakżeby nie, Żaneta Kupść się nazywa.

Kurzydło znów się zamyślił. Zaraz, zaraz. Jakaś babcia Anetka miała coś z Kowalską, tą zabita, a Kowalska z jakąś Żanetką...

– A wy, panie, miałyście kontakt z tą kobietą, co niby została porwana?

– Nie, nic... Tylko jakaś dziwna paczka przyszła. Stoi na ganku, bo nie wiadomo, co tam jest. Na jutro miałyśmy wezwać saperów. To może być bomba.

– Jezus, Maria! – Kurzydło złapał się za głowę. – Bomba?! Dlaczego nic nie mówicie?

– No przecież mówimy!

Komendant zadzwonił na posterunek i poprosił o przekazanie wiadomości oraz o to, żeby zabezpieczono teren i postawiono kogoś na straży. Saperzy nie przyjadą tak szybko.

– Czyli jeszcze raz. Ta Żaneta Kupść pracowała jako prostytutka?

Dziuinika wzruszyła ramionami.

– Ona pracowała jako pokojówka, a prostytutką się dla pieniędzy, bo Stawicki marnie płaci.

– Stawicki? – Maciek natychmiast podchwycił temat. – Jak to?

– No bo ona w tym pałacu w Kotłęcinie...

Kurzydło nie był świadom, jeszcze nie w tej chwili, tego, co z tych informacji zrozumiał Maciek. Wszystko jakoś kręciło się wokół Stawickiego. Chociaż może nie wszystko... Nie. Że obie go znały? To jest małe miasto...

Kurzydło natomiast nadal robił przegląd podejrzanych.

Dziuinika? Oczywiście, że była podejrzana. Już przy pierwszym zabójstwie. Wyniki miał dostać jutro, ale już teraz wiedział, że udział Dziuiniki był jak najbardziej możliwy. Tę drugą mogła zabić z zazdrości. Jej mąż? Też mógł. Wierciuchowa? A i owszem. Lilka? Ojoj? Dlaczego nie? Dziennikarska hiena? Jasne, że tak. Mógł ukrąść bagnet. Przecież był tu w czasie pierwszego i drugiego morderstwa. Łaził po lesie...

Maciek? Tego komendant wołał nie brać pod uwagę, jednak musiał. On też mógł to zrobić. Tylko po co? Dlaczego? Nie wiadomo, ale miał możliwość. Wszyscy cholerni mieszkańcy tego pieprzonego przybytku mogli zamordować każdego! Wszyscy... Nawet ta Hanka i tych dwoje niedorobionych detektywów.

Jego teściowa też...

Uśmiechnął się jak dziecko do cukierka, kiedy przed oczyma duszy ujrzął tę zmorę, swoją teściową, za kratkami. Cóż to byłoby za święto! Fakt, miałby trochę kłopotów, ale kłopoty to przyczyną wobec świętego spokoju, jaki by zapanował w domu. Kiedy kilka lat temu w kościele wypowiadała pamiętne słowa „dopóki śmierć nas nie rozłączy...”, nie zdawał sobie sprawy z tego, że wraz z żoną w pakiecie bierze teściową. Prawdę powiedziawszy, nikt nie zdaje sobie z tego sprawy. Faceci są naiwni. Dziś te słowa brzmiały nieco inaczej. Szczególnie późną nocą, gdy Kurzydło nie mógł zasnąć, wodziły go na pokuszenie.

\*\*\*

Następnego dnia wszystko układało się całkiem dobrze. Prawie całkiem.

– Gdzie obiad? – krzyknęła Amelia, wpadając do domu komendanta jak burza. – I dlaczego masz kołtun na głowie?!

Żona komendanta, kobieta bardzo ugodowa, cicha i spokojna, szybko przelknęła kolejny kęs chleba ze smalcem i kotлетem, którym pogryzała lekki obiad przygotowany przez matkę. Składał się z sałaty, jogurtu i jajka na twardo.

– No już zjadłam – odpowiedziała, chowając za plecami chleb z zakazanymi dodatkami. – Był bardzo smaczny, mamusiu – dodała grzecznie.

– Całą miskę sałaty zjadłaś? No wiesz co? Przecież ty się zatuczysz na śmierć! Całą miskę!

Irena Kurzydło, z domu Prokopiec, o swoją wagę walczyła od lat. Usiłowała nie dać się zagłodzić mamusi, która uważała, że jej córka jest zwyczajną grubaską. Irena zaś była zdania, że pięćdziesiąt sześć kilogramów przy wzroście metr siedemdziesiąt pięć to wcale nie otyłość. Według mamy nie miała racji.

Rodzicielka cierpiała na coś takiego, jak syndrom anoreksji zastępczej, coś jak zastępczy zespół Münchhausena, ale zamiast prowadzić córkę po lekarzach, chciała ją jedynie zagłodzić na śmierć w imię jej dobra, a właściwie piękna.

Na dodatek córka nie chciała ani się przefarbować na platynowy blond, ani dać wyciąć sobie dwóch żeber, ani nawet powiększyć biustu do rozmiaru FF, co mama proponowała jej od lat. Wszystko po to, by uczynić z niej piękność. Irena czuła się dobrze w swojej skórze i nie potrzebowała być piękną. W każdym razie nie taką po przejściu przez taśmę produkcyjną tuzina chirurgów plastycznych.

Pani Amelia nie mogła zrozumieć takiej postawy. Przecież to ona chciała za wszystko płacić. Chciała inwestować w córkę. Chciała jej dobra, a ta ani myślała to docenić.

Szybko wyrwała córce resztkę kotleta i wyrzuciła do śmietnika.

– Ty... – sapnęła. – Ty ambicji nie masz! I gdzie jest chomik? Jego też zjadłaś?

Choć takie zagrywki były na porządku dziennym, Irena obrażona wyszła do łazienki. Nie przejmowała się gadaniem matki, ale nie było to dla niej przyjemne.

Pani Amelia z kolei nie przejęła się chomikiem. Chciała tylko dokuczyć córce. Od zdrady swojego wrednego męża, który pewnego dnia opróżnił wszystkie konta i zniknął w siennej dali z jakąś dzirą, wszelkie swoje ambicje i nadzieje wiązała z córką, a ta niewdzięcznica wyszła za policjanta! Amelia z roztargnieniem spojrzała na chomika wesoło podgryzającego sznurki wielkiej paczki stojącej na podłodze obok drzwi i na muchy krążące pod sufitem.

– Boże, ile tu much! Trzeba je będzie wytłuc! I co to za paczka? – zawołała, choć oczywiście miała pewien pomysł co do pochodzenia pakunku. To pewnie zamówiona przez nią to urządzenie. W najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, że maszynka do tatuażu może być wielkości średniej lodówki, ale przecież się na tym nie znała. Takiej wielkości paczki nie mogła ukryć przed zięciem. Musi więc iść w zaparte i twierdzić, że to jakaś pomyłka.

– Przyszła godzinę temu. Kurier przyniósł! – odrzyknęła córka z łazienki.

W tym momencie coś chrupnęło, syknęło, a potem gruchnęło. Chomik pisnął przeraźliwie i pchnięty odrzutem, poszybował w krzaki za oknem. Amelia, nieco masywniejsza niż to małe zwierzątko, przyjęła na siebie cały pęd wybuchu i runęła na ścianę, obrywając całkiem spory kawał nieco i tak wybrzuszzonego tynku. Po chwili kolejne pomniejsze wybuchy wytłukły, co się dało, i wypełniły pomieszczenie gryzącym dymem.

– Mamo, przestań – jęknęła Irena z łazienki. – Zabijasz te muchy siekierą? Łapka jest w kredensie!

– Kre... densu nie ma – jęknęła kobieta, podnosząc się z ziemi. Może nie cała i zdrowa, ale z pewnością żywa.

Irena wyszła z łazienki dokładnie w momencie, w którym ostatni niewielki wybuch zrobił tssss pac! Stanęła jak oniemiała.

– Mamo? – zapytała. – Jak to nie ma kredensu? A gdzie jest?

– W sypialni – odparła Amelia. Przeprowadzka kredensu do sypialni przez dziurę w ścianie była bardzo spektakularna.

– Coś ty wymyśliła?! – krzyknęła córka ostatkiem sił.

Od dwóch tygodni robiła wszystko, żeby się z matką nie pokłócić. Od dwóch tygodni ustępowała jej we wszystkim, ale zdemolowanie domu? Na to nie mogła się zgodzić!

– Coś ty zrobiła?! – wrzasnęła wściekła. – Co tu się stało?!

Ściany były umazane sadzą, talerze potłuczone, lekko nadpalone książki udawały motyle na meblach i żyrandolu, a duża smocza dracena tkwiła wbita w oparcie kanapy.

– To nie ja. To chomik – odparła matka.

– Mam! Ja wiem, że jesteś nieco ekscentryczna, ale nie uwierzę w chomika rzucającego kredensem! Matka zachwiała się i padła na kanapę.

– Mów, co to było!

– Ale nie powiesz mu?

Irena rozejrzała się z zaciekawieniem po pokoju. Owszem, mogła mu, czyli mężowi, nie powiedzieć. Problem w tym, że nie był ślepy!

– Nie powiem. Mów, co to!

– Maszynka do tatuażu... Ja nie wiedziałam... – Amelia rozplakała się. – Nie wiedziałam, że one wybuchają!

Irena też nie słyszała o wybuchających maszynkach do tatuażu. Na wszelki wypadek zadzwoniła do męża.

– Kochanie, przyjeżdż – powiedziała spokojnym głosem. – Mama wybuchła nam mieszkanie. Tak. Wybuchła. Nie, nie ma jej na ścianach, jest na kanapie. Jak to? Po co? Nie, nie, nie muszę jej z niczego zeszkrobywać! Przestań!

Kurzydło pojechał do domu radiowozem na sygnale. Gdyby miał odrobinę przyzwoitości, sam by sobie wypisał mandat za przekroczenie prędkości. Wpadł do środka i oniemiał na widok wciąż dymiących zgliszcz.

– Mamusia to zrobiła? – zapytał głosem zimnym jak Spitsbergen. Powiódł po ścianach wzrokiem szaleńca. – Czym? – zapytał przez zęby.

– Chomikiem – szepnęła teściowa, wskazując na przyniesionego z krzaków, nieco otumanionego, ale zdrowego winowajcę.

– Boże! Mam! – jęknęła niezadowolona Irena. – Proszę, nie kombinuj! Jakim chomikiem?!

– Właśnie! Jakim?! Przecież to bzdura. To wygląda na fajerwerki. Czy mamusia wie, że w domu nie odpala się fajerwerków?!

– Podobno to była maszynka do tatuażu. – Irena zdradziła matkę. – Przyszła w paczce. Takiej dużej. I wybuchła.

– Bo ją chomik pogryzł!

Komendant musiał na chwilę usiąść. Owszem, szok to poważna sprawa, ludzie przeżywający go nie zachowują się normalnie. Ba, są nawet zwyczajnie dziwacznicy. Spotkał wielu ludzi w szoku, ale nikt jeszcze nie opowiadał mu o chomikach podkładających bomby zrobione z maszynek do tatuażu. Cała ta gadka wcale nie wyglądała mu na szok, ale na nagły atak ostrego szaleństwa.

Amelia trwała przy swoim jeszcze tylko przez chwilę, a potem nagle jej twarz rozjaśniła się światłem zrozumienia.

– To nie była maszynka. Nie. Ani chomik. Tak – powiedziała, czym ucieszyła zięcia. – To byłem ja! – dodała po chwili tonem tak grobowym, że aż zadrżał. – To moje wampirze moce! Przecież muszę jakieś mieć!

Wizja teściowej w kaftanie bezpieczeństwa zaczęła nabierać coraz wyraźniejszych kształtów.

\*\*\*

Wierciuchowa doskonale знаła się na interesach, dlatego zapakowanie całego towarzystwa do autobusu i wywiezienie w siną dal wydało jej się w tym momencie całkiem dobrym pomysłem. Po pierwsze, w ruinach zamku, który stał zaledwie kilkadziesiąt kilometrów dalej, nie płaciło się za bilety wstępu, po drugie, suchy prowiant był tańszy od kolacji, po trzecie, w programie turnusu znajdowała się wycieczka, a programu gospodyni musiała się trzymać, bo choć teraz obłożenie miała całkiem niezłe, to jednak należy myśleć przyszłościowo.

Po Wampiriadzie turyści znikną jak złoty sen, a żyć trzeba. Natomiast żeby żyć, trzeba mieć klientów. Już teraz planowała kolejny turnus, tym razem jesienny. Musiała zrobić wszystko, żeby jej goście wyjechali stąd zadowoleni, wpisali kilka pozytywnych komentarzy na jej stronie internetowej i opowiedzieli innym, że było super. W ten sposób, nie wydając pieniędzy, wszak marketing szeptany jest najtańszy na świecie, mogła zapewnić sobie przyływ kolejnych gości z gotówką.

Zamek był w takiej ruinie, że można go było nazwać jedynie albo zawalonym, albo romantycznym.

– Drodzy państwo, teraz spożyjemy podwieczorek w romantycznych ruinach zamku – powiedziała, wyjmując z bagażnika koce i ciasteczka, które trzeba było zjeść, bo za dwa dni mijała data ich przydatności do spożycia. – Za około godzinę pójdziemy na dół, gdzie jest wspaniały labirynt z kukurydzy. Jak znam życie, wszyscy się natychmiast w nim pogubicie – dodała cicho. Nie miała nic przeciwko takiemu obrotowi sprawy. Labirynty z kukurydzy są bezpieczne, a jaka to wspaniała przygoda! Jest o czym potem opowiadać znajomym. – Będą to zajęcia tematyczne pod tytułem „Jak nie zgubić wnuka w labiryntach uliczek miasta”.

Towarzystwo rozlało się po gruzowisku, pogryzając drewniane ciasteczka.

Słoneczko świeciło upojnie. Pierwsza dwójka zgubiła się już po piętnastu minutach, choć oczywiście ruiny nie były do tego przeznaczone.

– Gdzie są Emma i Pit? – zapytała Lilka, która wiedziała, że dopóki wszystko jest dobrze, dopóty jest to zaśługa Wierciuchowej, kiedy jednak coś idzie źle, natychmiast wina spada na nią.

– Poszli się gzić gdzieś za basztę – skwitowała pani Basia. – Ja ich szukać nie będę. Mam za słabe serce i nie lubię pornografii!

– Emma! Eeeeeemaaa! – zaczęto nawoływać, ale nikt nie odpowiadał. Za to echo odbijało krzyki w taki sposób, że nie było wiadomo, kto woła i gdzie jest.

– Widzisz! – Wierciuchowa podjęła kroki naprawcze. – To wszystko twoja wina! Szukaj ich! Przecież coś mogło im się stać. Tu na pewno są jakieś lochy.

Lilka grzecznie potruchtała do baszty, za którą mieli schować się Emma i Pit. Za basztą nie znalazła nikogo, pod basztą nikogo, w jej resztkach także było pusto.

\*\*\*

Hanka zwołała naradę roboczą, w której uczestniczyli poza nią tylko Wiolka, Szczurek i Maciek. Miała niejasne wrażenie, że wszystko im się jakoś rozlaży w szwach, że nie robią nic z tego, co powinni zrobić, a trudno było liczyć na to, że złączą od jutra realizować jakiś niesprecyzowany plan, skoro jutro startowała Wampiriada.

– A teraz od początku. Co mamy?

– Wszystko się liczy? Kac też? – Szczurek próbował zażartować, ale wypadł blado, a u Hanki wywołał grymas agresji. – Przepraszam! – dodał pospiesznie.

– Mamy zwłoki tej Kowalskiej i tej Kupść. Nie ma jej na liście matrymonialnej, ale pracowała u Stawickiego.

– Mamy krowę.

– Liczy się?

– Nie wiem – westchnęła Hanka – ale Wierciuchowa wspominała, że dostawała pogroźki w sprawie krowy i że krowa wędrowała nocą z miejsca na miejsce, zanim wybuchła. Pogroźek nie brałabym serio. Jeżeli komuś przeszkadza krowa, całkowicie gipsowa i idealnie niema, a nie przeszkadza maszyna profesora, to normalny nie jest.

– Jeżeli krowa, to i wampiry – stwierdziła niepewnie Wiolka. – W miasteczku pojawiły się wampiry.

– Nie pojawiły się.

– Chodzi mi o całe to zamieszanie. Najpierw były wampiry, potem krowa.



– Czy sądzicie, że to może mieć ze sobą coś wspólnego? – Maciek wyduł wargi. – Wampiry to wygłup, a zwłoki są realne. Mnie bardziej interesują powiązania między nimi.

– Kowalska przyjeżdża do Zagubina i dzwoni...

– Do twojej babci – podsunął usłużnie Szczurek, czym znowu się naraził. Zaczynał wierzyć, że ktoś rzucił na niego klątwę, bo od kilku dni nic mu nie wychodziło.

– Nie! Dzwoni do Żanetki. Mówiła, że chce rozmawiać z Żanetką, więc raczej nie dzwoniła do niej do domu. Ta Kupść mieszkała sama, więc Kowalska musiała zatelefonować do jej miejsca pra-cy, skoro prosiła o Żanetkę.

– Albo na numer z ogłoszenia. Może ta Kowalska miała szczególne preferencje seksualne.

– No co ty? – Szczurek aż pisnął. – W jej wieku? Najlepiej sprawdzić numery...

Sprawdzili, rzeczywiście wszystkie numery recepcji w Kotłęcinnie różniły się tylko jedną cyfrą, choć każdy inną, od numeru stacjonarnego domu babć. Znaleziony w internecie numer Żanetki-nimfetki był zupełnie inny.

– Czyli to była pomyłka. Jednak one chyba się znały.

– I obie miały coś wspólnego ze Stawickim. Z pewnych źródeł wiem – mruknął Maciek – że ta pierwsza została zaduszona, a dopiero potem „pogryziona”, to znaczy podejrzewają, że po prostu ktoś ją podziabiał pazurkami ogrodniczymi.

– Żeby wyglądała na ofiarę wampira? Czyli jednak wampiry mają z tym coś wspólnego...

Siedzieli w zaimprovizowanym biurze i usiłowali uporządkować swoją marną wiedzę na temat morderstw.

– Może ona też była w kręgu zainteresowań Stawickiego i dlatego ktoś ją załatwił. Miała z nim romans albo co?

– Nie kombinuj! Stawicki? Pan na Kotłęcinnie i pokojówka? I to taka, która pracuje u niego? To się nie trzyma kupy.

I pewnie by na tym skończyli, gdyby nie telefon.

– Bomba w mieszkaniu komendanta – powiedział zmartwiały Maciek. – Wybuchła – dodał wyjaśniająco. – Jadą do domu twoich babć, bo tam w kartonie może być druga. Nie, jakimś cudem wszyscy żyją – odpowiedział na niezadane pytanie. Czasami jedno spojrzenie wystarczy.

– Czyli jednak...

– Niekoniecznie. Może ktoś miał coś do Kurzydły? Adres na przesyłce szlag trafił. Nie da się go odczytać, ale prawda jest taka, że to może być ten sam morderca. Chciał zabić żonę komendanta, a to znaczy, że...

– To znaczy, że jakaś baba oszalała z miłości i jak nic wymorduje pół miasteczka. Pamiętajsz, co mówił ten manager?

– Że kucharz się zwolnił...

– Nie, że Stawicki wciąż lata za babami! Trzeba go odwiedzić, dopaść, ściągnąć tu, nie wiem sama, co jeszcze, i delikatnie wypytać, z kim on... No wiesz. A potem zrobić listę jego kochanek!

– I co zrobimy z tą listą? Damy obstawę połowie bab w miasteczku? Skąd weźmiemy tylu policjantów? To nierealne. Ale masz rację, może uda się czemuś zapobiec.

– Ha, ha. Szczególnie na Wampiriadzie! Wariatka może wymordować wszystkich jedną bombą.

– Albo wariat – podsunęła Wiolka. – Przecież to może być facet.

– No, nie ma przeciwwskazań, ale zaraz... Babcie nie mają z nim nic wspólnego, więc skąd u nich bomba?

Wszyscy ruszyli na poszukiwania Emmy i Pita, nawet pani Basia, mimo zastrzeżeń natury moralno-antypornograficznej.

– Jezu, ja się powieszę! – jęknęła Wierciuchowa. – Ja z nimi nie wytrzymam. Rozumiem, że... Nie! Nie rozumiem! Oni są rozpasani! Rozpasani, rozbuchani, porąbani i nieprzyzwoici!

– To twoja wina. To przez ten ZUS. Gdyby normalnie zgili się w nocy w pensjonacie, to by nie szukali okazji w miejscach publicznych.

– O, niedoczekanie! Niedoczekanie! W moim pensjonacie ludzie zachowują się porządnie!

Godzinne poszukiwania nic nie dały.

Zeszli na drózkę do labiryntu. Był dość wyłysiały i pożółkły. Gdzieś tam był też powygryzany, prawdopodobnie przez kozy, poza tym kukurydza nie rosła dokładnie tak, jak chciał właściciel, toteż tu i tam poustawił bele lekko zgniłej słomy. Ostatecznie całość miała być gigantycznym portretem żony właściciela, ale albo żona była paskudna, albo artysta ślepy, bo obraz przedstawiał żeńską wersję Ksenomorfa z *Obcego*, tyle że w okularach. Wszystko to dokładnie było widać ze wzgórza, na którym stały ruiny. Było też widać Emmę i Pita w mocno romantycznym nastroju. Początkowo tylko się przytulali i uprawiali coś w rodzaju zapasów, potem nagle zerwali się i zaczęli przed czymś uciekać. Ona kulą i miała podartą bluzkę, on był w czymś utyłany.

Za nimi w podskokach podążała koza. Była nieduża, biegła dość dziwnie, przystając, podskakując, wiercąc się i podjadając coś czerwonego, co memlała w pysku. Wyglądało na to, że bardzo jej smakuje.

– Ratunku! – usłyszeli z daleka. Niespodziewanie, z zupełnie innej strony.

– Dziwnie się w tym miejscu głos się rozchodzi – powiedziała Sara. – Oni krzyczą tam, a ja słyszę tu. – Wskazała za siebie i usiadła z wrażenia.

W niewielkiej odległości za nimi szła, ledwie dysząc, a właściwie raczkowała pani Basia. Głowę miała zalaną krwią.

– Ratunku! – krzyczała. – Ktoś na mnie napadł!

Raczkowanie po kamieniach nie jest wygodne, zwłaszcza jeżeli ma się brzuch, który ociera się o podłoże, dlatego zanim do niej dobiegli, pozostawiając Emmę i Pita na łasce krwiozerczej kozy, pani Basia padła ze stękiem na podłoże, podbijając sobie oko pechowo umiejscowionym korzeniem czy kamieniem.

Nie byli w stanie jej podnieść. Przeturlali wystraszoną kobietę na plecy i chcieli wezwać karetkę, w której byłyby przecież nosze i silni ratownicy, ale nikt nie miał zasięgu.

– Napadł mnie. Ktoś mnie napadł i kamieniem rzucił. Rzucił w moją głowę... O Boże, on chciał mnie zatłuc, ukamienować na śmierć! To mógł być terrorysta, oni kamieniają! Na śmierć... – łkała Basia, jakby istniała możliwość zatłuczenia kogoś i równocześnie zostawienia go przy życiu.

Żaden terrorysta chyba nie pomyślał o ukamienowaniu pani Basi, bo potrzebowałby większego stosu kamieni niż zazwyczaj. Na dodatek już od stuleci istnieją skuteczniejsze metody zabijania niż rzucanie kamieniami w coś, od czego się odbijają.

Kobieta rzeczywiście była zakrwawiona i poobijana.

Emma i Pit wspomagani przez kozę dobiegli do nich ostatkiem sił. Kozą miała o wiele więcej wprawy, nawet się nie zasapała. Stała i zaczęła złowrogo skubać trawę.

Sara prawie zemdląca.

– U nas we Francji... – zaczęła, chcąc prawdopodobnie powiedzieć, że kozy są grzeczniejsze, a trawa zieleńsza, ale w porę zrezygnowała.

– Dlaczego przyciągnęliście to zwierzę aż tutaj? – zapytała Lilka. – Przecież to kradzież! I po co wam koza?

– Go... niła nas! My le... że... – sapiała Emma.

– Liśmy... leżeliśmy... A ona przyszła i zaczęła... – kontynuował Pit.

– I zjadła mi blu... – Emma się rozszlochała. – Zjadła moją jedwabną bluzeczkę...

– I wtedy uciekliśmy, a ona popędziła za nami.

– Jasne. A co miała robić?! – Lilka popukała się w głowę. – Przecież jest na sznurku!

Wtedy dopiero wszyscy zobaczyli, że Emma jest w pasie owinięta sznurkiem... od kozy.

– Uj... – jęknęła Wierciuchowa czerwona na twarzy z zawstydy. – Wyście wcale nie leżeli. Wyście się tarmosili na jakimś sianie! Tarzaliście się! Dobrze wam tak!

Odkąd skończyła pięćdziesiątkę, porzucił ją mąż i nie było widoków na następnego, przyłączyła się do tych bardzo tradycjonalistycznych osób, dla których seks i dobra zabawa to zbrodnie przeciwko ludzkości. Tępiła wszelkie ich przejawy w zarodku.

Zarządziła odwrót. Pit wraz z przyprowadzonym przez Lilkę kierowcą wturlali ranną panią Basię na koc i usiłowali ją podnieść.

Nie dali rady. Pit stęknął, zgiął się w pół i trzeba go było odginać ręcznie. Kierowca zaklął i stwierdził, że nie chce się nabawić przepukliny. Dopiero właściciel kozy zwiózł ją na dół traktorem, za którym ciągnął wóz do siana. Wturlali ją na niego po prowizorycznych najazdach ze znalezionych w pobliżu desek.

W autobusie położono ją na tylnych siedzeniach i zawieziono do najbliższego szpitala, gdzie spędzili resztę nocy. Nad ranem, wraz z panią Basią, która wyrzekała na niekompetencję konowałów, wrócili do pensjonatu.

– Jak to nic? Jak to nic mi nie jest? – jęczała mimo tego, że na obserwacji zostać nie chciała. – Przecież prawie mnie zabił!

– Ale gdzie on się podział i skąd się wziął? – zapytała Sara bardzo niespokojna o los kuzynki. – I dlaczego zaatakował akurat ciebie?!

– Nie wiem. Może dlatego, że szłam ostatnia?

– Czyli co? Było mu wszystko jedno, kogo zabija?

– Może chciał zabić wszystkich? Wyszedł z takiej dziury, jakby z lochu, a potem uciekł, gdy zaczęłam krzyczeć...

– Boże kochany... – rozszlochała się Sara. – To takie straszne! To takie okrutne! U nas we Francji... – zamilkła, widząc wściekłą minę na zbolalej twarzy kuzynki.

\*\*\*

Bomba z ganku została ostrożnie przetransportowana na pakę samochodu i zabrana na posterunek, gdzie mieli się nią zająć saperzy. Pudło, dość duże, było mokre od wczorajszych opadów, a adres – oczywiście – już nieczytelny. Zwrotnego nie było. Wszystko zamazały potoki deszczu.

W jakiś czas potem została prześwietlona, obwąchana przez psa i zakwalifikowana jako nadzwyczaj niebezpieczna, bo było z nią coś nie tak. Na dodatek śmierdziała, z czego wynikło przypuszczenie, że nawet jeżeli nie jest to bomba, to zawiera coś niepożądanego, co się rozkłada, a może nawet już rozłożyło. Niestety zwłoki nie były wykluczone. Co prawda całe w paczce by się nie zmieściły, ale kilka porządnych kawalków – owszem.

Mogło tam być owo osławione ucho i wyczekiwany palec, o których wspominały babcie, ale natężenie smrodu było tak gigantyczne, że wszyscy w pobliżu organoleptycznie zdawali sobie sprawę, że jedno niewielkie ucho i jeden palec nie byłyby w stanie, nawet gdyby się bardzo starały, zaśmierdzić się aż tak strasznie. Odór wskazywał raczej na dwa tuziny uszu i kilkadziesiąt palców. Ale podobno porwano tylko dwie osoby, a nie autobus z pielgrzymką do Lichenia.

Evakuowano pół posterunku, zanim zamknięto paczkę w jedynej wolnej celi. Pozostałe były tymczasowo zajęte przez dwóch nieprzytomnych z przepicia obywateli, którzy koniecznie potrzebowali izby wytrzeźwień.

Paczka podzialała na nich jak sole trzeźwiące i środek wymiotny w jednym.

\*\*\*

– Jezu, Maciek – jęknął Kurzydło, kiedy blady i niewyspany przyszedł do Piotrusia zaraz następnego dnia, zawiadomiony o napadzie na panią Basię. – To zaczyna być naprawdę okropne... Nasz maleńki Zagubin zaczyna aspirować do światowej stolicy zbrodni czy co? I do tego jeszcze ta cholerna wampiryczna parada. Wezwałem policjantów z całego powiatu, ale jeśli ktoś zechce coś zrobić, to nie upilnujemy... Nikt nie upilnuje! I ta bomba. Ktoś chciał zamordować... Miejsmy nadzieję, że moją teściową, a nie mnie i żonę.

– Ja takiej nadziei niestety nie mam – przerwał mu Maciek zdecydowanie. – Niech pan patrzy tutaj. – Wskazał na stojący na stoliku laptop.

Kurzydło usiadł przed ekranem, niczego się nie domyślając. Przez chwilę wpatrywał się w zdjęcie, potem obrzucił Maćka spojrzeniem bez wyrazu.

– Stara szantrapa! – warknął.

– O. Nie wiedziałem, że macie jakieś problemy – grzecznie zagał Maciek. Problemy małżeńskie to sprawa delikatna, ale jeżeli dotyczą komendanta policji, są jak bomba włożona w gnojówkę. Nie minie chwila, a wszystko zaczyna cuchnąć.

– Kiedy my nie mamy żadnych problemów! – odparł komendant. – Mówiłem o mojej teściowej! To jej sprawa. Irena by tego nie zrobiła! A jej mamunia od dnia ślubu kopie pode mną dołki, wtrąca się, manipuluje... To potwór! I co ja mam teraz z nią zrobić? Aresztować nie ma za co, zatłuc nie wolno... Mówię ci, Maciek, ożeń się z sierotą. Dobrze ci radzę.

– Jesteś sierotą? – zapytał Maciek, mrugając do Hanki.

– Dzięki Bogu, nie – odparła buńczucznie. – Ale ja tu nic nie mam do rzeczy. Jest problem. Poza Żanatką dwie osoby z tej listy zostały zaatakowane, a na dodatek jedna nie żyje.

– I wszystko naprawdę kręci się wokół Stawickiego.

– A panie Zosia i Marylka? One też dostały bombę – przypomniała Wioletka, która wcale nie chciała uczestniczyć w naradzie, gdyż Marcel nie został na nią wpuszczony. Po prostu nie miała wyjścia. Staż to staż.

– Bomba? Babcie i bomba? Jesteście pewni?

– No właściwie nie – stwierdził komendant. – Ale może być. Śmierdzi, psy się nią interesują, może są tam jakieś materiały wybuchowe. Na prześwietleniu wyszło bardzo dużo małych, organicznych i chyba okrągłych przedmiotów, ale nie mamy dobrego sprzętu, a strach wysłać to dalej. Zresztą jak to zrobić? Ten smród mógłby przeżreć kasę pancerną.

\*\*\*

Przygotowania do Wampiriady sprawiły, że w mieście wrzało jak w ulu. Wrzało też w Krwiozerczym Piotrusiu. Wszyscy albo się przebierali, albo szukali przebrań, albo narzekali, że nie mają się w co przebrać.

W mieście na trasie parady otwierano wszelkie możliwe stragany. Po obu stronach każdej z ulic było ich zatrzęsienie. Z powodu Wampiriady były mroczne, obwieszane czarnymi i fioletowymi wstęgami, zasłonkami i falbanami. Wyglądały jak stacjonarne karawany. Z dobrym gustem miały bardzo niewiele wspólnego. Sprzedawane na nich plastikowe pamiątki: czarownice, wampirki, kolki osinowe i breloczki z trumienkami także były czarne. Tak samo, jak nadmuchiwane pająki, pluszowe szczury i świecące w ciemności nietoperze. Obok drogi, którą miała przejść parada, ustawiano rustykalne kramiki z brzozy, punkty krwiodawstwa i oczywiście kramy z paskudnym jedzeniem, pośród którego królował czosnek. Stare pieczywo czosnkowe, zjełczałe masło czosnkowe, kaszanka szesnastej

świeżości, salceson, który przed spożyciem należało ogolić, sałatka czosnkowa i grillowane główki czosnku.

Nie sprzedawano dobrego jedzenia, bo to byłoby marnotrawstwo. Na takich spędach turyści zjadą wszystko, a potem, gdy przyjdzie co do czego, i tak nikt nie pamięta, gdzie się zatrul. Był to więc doskonały sposób na pozbycie się wszystkiego, co od jakiegoś czasu zalegało w lodówkach, a ów „jakiś czas” to pojęcie względne i nawet Einstein nie byłby w stanie dokładnie go określić, oczywiście gdyby przeżył.

Cała droga prowadząca od placu Ratuszowego aż do sceny ustawionej w lesie, jakiś kilometr od pensjonatu, obok ruin starej dzwonnicy, obstawiona była wszelkiego rodzaju świątyniami bezguścia i czkawki komercji. Obok sceny, na której miał grać zespół Deathcultica, rozłożono namiot z punktem mierzenia ciśnienia, drugi z pomiarem tkanki tłuszczowej oraz trzeci – pijalnię piwa.

Były też zwykłe stoiska z biżuterią leczniczą, stanowisko wróżki, chiromanty, tasseomanty oraz faceta wróżącego z jabłek, co było sprzeciwem wobec polityki Putina. Był wielki namiot z wydawnictwami ezoterycznymi. W minibudach serwowano bardzo podejrzane kiełbaski z musztardą, pajdy chleba ze smalcem i ogórkiem oraz nadziewane marmoladą pączki w kształcie trumienek, bo pączki w kształcie nietoperzy trochę nie wyszły.

Ludzie też starali się wyglądać jak najbardziej złowieszcy. Był więc czarny lakier do paznokci, czarna szminka, czarna kredka do oczu. Wszyscy prezentowali się zdecydowanie mrocznie i wampirzo, tylko pani Basia przypominała Kung Fu Pandę.

Parada ruszyła z placu Ratuszowego. Powiewające na wietrze wampiry w formie chorągwi i chorągiewek górowały nad głowami uczestników. Była też grupa taneczna przebrana za szkielety i grupa slendermenów na szczudłach. Wszystkiemu towarzyszył tłum mniej lub bardziej pijanych wampirów i czarownic. Były transparenty niesione przez przedstawicieli lokalnych elit. Krwiożerczy Piotruś szedł zaraz za Morderczym Truchłem, a za nimi paradowała szkoła tańca Kostnica. Wszystkie domy przy drodze były ozdobione dyniami, szkieletami i zwłokami, a także wielkimi na dwa metry płamami sztucznej krwi, którą można było nakleić na ściany budynków. Specjalna komisja wybierała najpiękniej ustrojone domy, aby przyznać nagrody ich właścicielom.

Gdzieniegdzie szli zamaskowani młodzieńcy z kijami bejsbolowymi i racami w barwach narodowych, wykrzykując hasła klubów piłkarskich oraz nieśmiertelne „Polacy, nic się nie stało”. Połowa ludzi jednak nie potrafiła ich zrozumieć, bo byli za bardzo pijani, a poza tym zagłuszała sami siebie.

Kiedy już wszyscy dotarli pod scenę, rozpoczął swój występ zespół Mały Zagubin, który tańczył w takt piosenek o Janku, majteczkach i braku zezwolenia na wizyty nocą.

Komendant już tu był. Dwoił się i troił. Wraz ze swoimi ludźmi sprawdzał dokładnie każde sztuczne zwłoki w obawie, że mogą nie posiadać odpowiedniego certyfikatu sztuczności. Niczego niepokojącego jednak nie znalazł i nawet się z tego ucieszył. Wszystkie zwłoki były *made in China*, co sprawiło, że smutno pokiwał głową nad stanem rodzimej wytwórczości.

W chwilę potem tego pożałował, bo kilku młodzieńców chciało ów stan poprawić kijami bejsbolowymi.

Tak pani Basia, jak i cały Krwiożerczy Piotruś kręcili się pod sceną z kubkami piwa w dłoniach. Maciek i Hanka uwijali się dookoła, starając się zapewnić wszystkim bezpieczeństwo.

– Dzisiejsza parada to dopiero początek – stwierdziła Wierciuchowa ze znawstwem. – Jutro dopiero będzie się działo! Będą warsztaty kulinarne, konkurs tańca na rurze i happening „Ugrzyź mnie”.

Wiolka chodziła za Marcelem krok w krok, a on – jak zwykle – pstrykał zdjęcia.

Profesor miał własny namiotek z wielkim napisem „Ufologia regina omnium scientiarum”, w którym opowiadał o ufowampirach i sprzedawał wydruk komputerowy swojego dzieła pod tytułem *Zaufaj ufo*.

Szczurek, widząc zainteresowanie Wiolki Marcelem, coraz bardziej interesował się piwem.

– Patrzcie, nawet Stawicki się zjawił – ucieszyła się Hanka. – Będzie można z nim pogadać.

Zaprosili Stawickiego do stolika, częstując piwem, bo nikt nie chciał sprzedawać kawy ani herbaty.

– A co to, przepraszam, że tak powiem, was obchodzi?! – prawie krzyknął, kiedy Maciek „ogródkiem” zadał mu dość osobiste pytanie.

– Nie, no nic, ale...

– Te wszystkie dane w burze matrymonialnym, to przecież miało być poufne, prawda? I nie, nie znałem żadnej Kowalskiej! To znaczy owszem, pewnie nawet kilka, bo to popularne nazwis-ko, ale tej z pewnością nie. Natomiast Kupść tak, pracowała u mnie.

– Miał pan z nią romans?

– Oszałał pan? Z pokojówką? Z pokojówką to się ma stosunek. Stosunek pracy, a nie romans! Nie będę opowiadał, z kim sypiam.

– Bo widzi pan, te dwa morderstwa jakoś są powiązane z panem – wtrącił się Kurzydło.

– Bzdura! – odparł Stawicki, przeczesując dłonią włosy.

Komendant zauważył, że jeden z paznokci jego prawej dłoni jest jakby zdeformowany.

– Co się panu stało w rękę? – zapytał, wskazując na lewą dłoń wciąż tkwiącą w rozpięciu koszuli, po napoleońsku.

– Nic takiego – odparł Stawicki. – Upadłem. To zwykle zwichnięcie. Jest już coraz lepiej. A te morderstwa... No cóż, ja nie mam z nimi nic wspólnego. Owszem, założyłem konto na portalu matrymonialnym, ale to nie jest zakazane...

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Kobieta w stroju bawarskiego cycatego wampira przyszła zebrać puste kufle i opróżnić popielniczki.

– Chodzi o to, że jedna była panem zainteresowana, a druga...

– Przesadza pan, naprawdę. Zatrudniam trzydzieści dwie pokojówki. Te sprawy z portalem to taka głupotka. Z żadną się nawet nie umówiłem. Owszem, chciałem, ale za jakiś czas i z całą pewnością nie z tą zamordowaną.

– Lilka, Emma i Pit znowu zniknęli! – zawołała Wierciuchowa z oddali.

Lilka podbiegła do Maćka.

– Panią Basię gdzieś wywiało, Sara jej szuka już od godziny!

– Panie Maćku – Sara podeszła do stolika – boję się, że Basieńce po tym wstrząsie mogło się pogorszyć. Nigdzie nie mogę jej znaleźć.

Maciek wstał z westchnieniem. Pani Basia mogła być w niebezpieczeństwie. W zasadzie sama mogła stanowić niebezpieczeństwo dla większości istot żywych w jej otoczeniu. Gdyby na przykład zasłabła w tłumie, ktoś mógłby ucierpieć, albo gdyby nagle zachciało się jej do toalety, wtedy mogłaby po prostu kogoś nieopatrznie rozdeptać. Maciek nie miał mniejszej ochoty na kolejne zwłoki. Poszedł więc jej szukać. Stawicki wstał pośpiesznie i wykorzystując okazję, odszedł od stolika. Kurzydło wiedział, że będzie musiał go oficjalnie przesłuchać na posterunku, i liczył, że w służbowym otoczeniu wszystko jakoś lepiej pójdzie.

Sara usiadła przy stoliku, żeby napić się piwa, bo zaschło jej w gardle.

– Ten Stawicki wcale mi się nie podoba – stwierdziła Hanka. – I w ogóle cały ten Kotlęcina też nie.

– Stawicki? – zapytała Sara zdziwiona. – Mówi pani o tym facecie, co tu siedział przed chwilą?

– Tak, to właściciel Kotlęcina. Arnold Stawicki.

– Ależ nie! Pomyliła się pani! To nie jest Arnold Stawicki – powiedziała Sara zdecydowanym tonem.

– Pani Saro, to jest Stawicki. Naprawdę. – Hanka mocno zaakcentowała słowo „jest”.

– U nas we Francji...

– Wiem, wiem, u was we Francji... – warknęła Wierciuchowa, która akurat podeszła do rozmawiających kobiet. – Jasne...

– Ale ja wiem, co mówię! I nie musi być pani tak opryskliwa! To nie jest Stawicki i już.

– Nawet jeżeli zna pani innego Stawickiego, to przecież nazwiska się powtarzają. Imiona też – westchnął Kurzydło. Co jak co, ale tożsamość Stawickiego była nie do podważenia. Może nie znali się prywatnie, ale widywali od lat. W końcu właściciel takiego pałacu, to ktoś z wyższej półki, elita było nie, było.

– Pan mnie nie rozumie. Nie o to chodzi. Ten pan nie może się nazywać Stawicki. U nas we Francji...

– Co, do cholery, znowu u was we Francji? – wściekła się Wierciuchowa.

– U nas we Francji to on nazywał się Robert Klap. Jestem pewna. Znałam go...

– Robert Klap? Musi się pani mylić! Przecież on jest stąd. Mieszka tu od wieków. Jest pani pewna?

– Jasne, że jestem. Przecież to mój zięć.

Hanka nie wierzyła własnym uszom, ale nie przejmowała się tym zbyt. Po pierwsze, ludzie zmieniają nazwiska. Jeżeli robią to legalnie, nie ma w tym nic niebywałego. Po drugie, kobiety w pewnym wieku mają swoje szajby, czasami poważne. Po trzecie, teściowe to odrębny rodzaj kobiet, więc Sara – jakkolwiek wyglądała na niegroźną – wcale nie musiała być normalna.

– Zaraz, zaraz... Jak to pani zięć?

– No, normalnie. Niedoszły.

Aha! Hanka natychmiast zrozumiała, o co chodzi. Sara to wariatka albo morderczyni. Raczej wariatka. Jedna z tych opętanych sprawiedliwością matek, które pójdą na kraniec świata, byle tylko pomścić złamane serce córeczki.

Stawicki Klapem nie mógł być, bo Stawicki mieszkał tu, a ona przecież we Francji. Na dodatek on był na wskroś tutejszy. Co prawda pałac kupił kilkadziesiąt lat wcześniej, ale Zagubin łatwo asymilował przyjezdnych, szczególnie tych zamożnych. Wystarczyło dwadzieścia lat i człowiek był już prawie całkiem swój.

– No i jak? – zapytała pani Basia, podtaczając się w swojej pandziej formie do stolika, do którego przyprowadził ją Maciek. – Widziałaś go?

– Jasne. To on – stwierdziła Sara konspiracyjnie. – Te oczy... Choć nie, oczy nie, ale ucho i palec tak.

– Jakie ucho? Jaki palec? – warknęła Kurzydło, nie rozumiejąc, o co właściwie chodzi. – Obcięte? Jakies obcięte ucho?

– Bo on miał takie dziwne, ząbkowane ucho i taki jakby zmiażdżony palec. Zupełnie jak na tych zdjęciach.

– One były wasze?

– No. Specjalnie je wycięliśmy i powiększyliśmy komputerowo. Na zajęciach z informatyki! – pochwalila się pani Basia.

I dlatego były takie niewyraźne, pomyślał Kurzydło. Ludzie to mają pomysły! Nie, nie ludzie, westchnął. Baby! Teściowe. Obecne, byłe i niedoszłe.

– Ale dlaczego? Po co?

– Bo on uciek! – warknęła Sara takim tonem, że Kurzydło przestał mu się nawet dziwić. – Uciek! od mojej córki trzydzieści lat temu! Uwiódł, obiecał małżeństwo i uciek!

– Trzydzieści lat temu? Po takim czasie to nawet morderstwo się przedawnia. – Maciek usiłował ją uspokoić. – Cóż dopiero obietnica małżeństwa... Na dodatek on musiał się przecież zmienić od tamtego czasu, prawda?

Jej odpowiedź zagłuszył ryk tłumów. Kurzydło specjalnie te-go nie żałował, bo i tak będzie musiał ją przesłuchać, a przesłuchanie na wampirycznym festynie, gdzie piwo leje się strumieniami, do zbyt mainstreamowych nie należy.

Tłum wrzeszczał z wściekłości i zadowolenia zarazem.

– Dethocultrica nie wystąpi dzisiaj ze względu na problemy ze sprzętem, ale mamy dla was inną grupę – ogłosił ktoś ze sceny i szybko się schował.

Tym innym zespołem był naprędce znaleziony band o dźwięcznej nazwie Death Macabra. W jego skład wchodziło kilku dość młodych ludzi, którzy właśnie wchodzili na scenę, w sensie dosłownym i przenośnym. Nikt im jednak nie wytłumaczył, że muzyka metalowa to coś więcej niż zgrzyt basów, pisk gitary i łomot perkusji. Nie chodzi tu też o skowyt solisty. A ten darł się jak zarzynany, rzucając się po scenie i raz po raz waląc głową w ustawione na niej sprzęty. Widać nie opanował jeszcze rzucania herami i wyglądało na to, że póki co to hery nim rzucają.

Zapałał wieczór. Ludzie, nieco starsi od grających, niewiele wiedzieli o heavy metalu, toteż jazgot ze sceny przyjmowali ze spokojną zgrozą.

Młodzieńcy na scenie generowali dźwięki z piekła rodem, bardziej podobne do skrzypienia wszechświata niż do jakiegokolwiek muzyki. Rozchodziły się w wieczornym powietrzu, drgały kompulsywnie w głowach i ciałach słuchających, niczym rasowe brzmienia techno, i podzwaniały w ruinach starej dzwonnicy tak, że aż tynk leciał ze ścian. Chociaż w zasadzie nie było to nic nadzwyczajnego, bo leciał także, kiedy przejeżdżały tędy ciężarówki.

Nagle ponad głowami zebranych dał się słyszeć łopot skrzydeł i pewnie nikt by się nim nie przejął, gdyby nie straszne wrzaski dochodzące gdzieś z otchłani tłumy, bo tłum był gęsty, rozkojarzony i nastawiony na wszelkie atrakcje.

– Wampiry! – wrzasnął ktoś piskliwym głosem, uruchamiając lawinę strachu.

Niby nikt się nie bał. Wszyscy przyszli tu z własnej woli, jednak nie po to, żeby dać się zeżreć. Owszem, dreszczyk emocji był okej. Dreszczyk emocji, ale nie dreszcz zgrozy!

Zgroza rozprzestrzeniała się jak kręgi na wodzie. Ludzie, słysząc łopot, zaczęli machać rękami, jakby oganiali się od komarów. Nietoperze latały otumanione ponad tłumem, wcale się nim nie interesując. Jednak tłum interesował się nimi.

– Wampiry! Wampiry! – wrzeszczały rozhisteryzowane kobiety, rzucając się do ucieczki.

Tłum ruszył bezładnie. Przede wszystkim nie dbając o kierunek i o przeszkody na drodze. Po chwili duża część przeszkód leżała podeptana na trawie i skulona. Jęcząc i krzycząc, usiłowała chronić co wrażliwsze części ciała przede wszystkim przed damskimi szpilkami.

Tłum jak rozwścieczony byk szarżował na scenę, powalając po drodze parasole, namioty i krzesła oraz oczywiście wszystkich ludzi, których dopadł, a którzy nie byli dość szybci, by uciec.

Policjanci usiłowali zapobiec masakrze. Jak zwykle byli przygotowani na wszystko, ale nie na to. Tłum rozdeptał, co się dało, zanim do akcji ruszyli panowie w chustkach na twarzach. Na ogół byli napakowani, mocno pijani, ogoleni na zero i nienawidzili policji, ale tym razem zmienili obiekt nienawiści i usiłowali pałkami atakować nietoperze. Potem trzeba było ich wynieść z pola walki i położyć na chodniku, opatrując guzy na łysych czaszkach.

Pomimo stratowania muzyków i ogródków piwnych ludzie nadal wrzeszczeli. Panika sięła zniszczenie. Niedobitki uciekały, gdzie popadnie, ale oczywiście nie do domów. Po co tracić tak wspaniałą zabawę?

Turnus rozpierzchnął się we wszystkie strony, co było do przewidzenia. Lilka i Wierciuchowa usiłowały wylapać i odstawić do pensjonatu, kogo się dało, ale nie było to łatwe z powodu przebrań i nastrojów. Udało się znaleźć Sarę, która mimo iż nie zgłosiła się do konkursu tańca na rurze, teraz z największym wysiłkiem, piszcząc, usiłowała się na nią wspierać, co było nielogiczne z wielu względów. Pod nią, jako podstawa, leżała pani Basia.

– Jezu, ale masakra – mruknęła Wiolka, kręcąc głową w niemym zachwycie. – Patrz. – Wskazała ręką na scenę.

– Zajebista – mruknął Marcel.

Robił zdjęcia komu się dało, gdzie się dało i jak się dało. Kilka fotek pstryknął nawet rozpadającej się dzwonnicy. Towarzyszyła mu Wiolka usiłująca upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Pierwsze,



co zamierzała, to znaleźć się na którymś z lepszych zdjęć. Śniła sen wielu młodych pasjonatek filmu i wierzyła, że ktoś opublikuje to zdjęcie, ktoś inny je zobaczy i się zachwyci, a potem ją odkryje dla Hollywood albo chociaż dla Rozmów w toku. Drugim celem było zainteresowanie sobą Marcela, bo wariantem numer dwa jej kariery był modeling albo choć małżeństwo, a własny fotograf w takim fachu może się przydać. Ostatni wariant, rezerwowo, to ukończenie stażu. Była to opcja najmniej kusząca i wcale nie nazbyt realistyczna.

Krajobraz po bitwie dopiero rano ukazał swe zastraszające oblicze, ale zanim to nastąpiło, zabrano i odwieziono na posterunek wszystkich skrajnie pijanych, do szpitala tych bardziej poturbowanych, a do Morderczego Truchła – pogryzionych przez wampiry. Nie było w tym nic zaskakującego. Po prostu tam było najbliżej i właściwie wszyscy turyści, którzy deklarowali tego rodzaju obrażenia, odczuwali też nadzwyczajne pragnienie. Już po chwili nie byli pewni, czy pogryzły ich wampiry.

\*\*\*

Maciek i Hanka nie uczestniczyli w zjściach. W każdym razie nie całkiem.

Najpierw co prawda wypili piwo pod sceną, ale potem poszli rozejrzeć się dokładnie w miejscu ostatniej zbrodni.

– I ten teren, gdzie była krowa, również musimy zobaczyć – powiedział Maciek zamyślony. – Ale czy nie powinnaś wziąć ze sobą dzieciaków?

– Może i powinnam, ale jakoś nie mam ochoty – odparła szybko, licząc na miłe sam na sam z Mackiem.

Nie była to jedyna przyczyna. Młodzi zaczęli jej grać na nerwach. W ogóle nie przejmowali się stażem. Wiolka wyraźnie szukała męża, a Szczurek okazji do zalania się w trupa. Zresztą Wiolka już znalazła kandydata, tylko on o tym chyba jeszcze nie wiedział.

– Jakby się poważnie zastanović, to wszystko łączy się z Krwiożerczym Piotrusiem – zagał Maciek.

– I ze Stawickim – dodała Hanka.

– No, nie do końca. Patrz. Oba trupy znalezione w pobliżu pensjonatu, krowa też tu wybuchła. Kowalska tutaj mieszkała. I te bomby, pośrednio, ale jednak się wiążą z tym miejscem. Ze Stawickim tylko zwłoki i może bomba, ale to nic pewnego.

– Tak, może to miałyby sens, gdyby się łączyło, ale krowa nie musi mieć nic wspólnego z morderstwami.

– Nie, nie musi, ale raczej ma. Dlaczego wędrowała?

– Ktoś ją przestawiał. Nie?

– No właśnie. Ktoś ją przestawiał. Czyli?

– To miejsce, na którym stała, mogło mieć znaczenie. One tam zasypały jakiś dół. Może coś było w tym dole?

– I tego nie zauważyły?

– Nie wiedziały, że mają coś zauważyć. Zaraz... Czy pani Basia nie wypominała coś o ogrodniku? Gdzie on jest? Ma urlop? – Hanka była podekscytowana, jakby właśnie na coś wpadła.

– A gdzie tam! Wierciuchowa i ogrodnik? Przecież trzeba byłoby mu płacić! Tu nie pracuje żaden ogrodnik. Odkąd pamiętam, nigdy nie pracował!

– Ale pani Basia...

– Albo miała przywidzenia, albo kłamała, albo... rzeczywiście widziała kogoś, kto grzebał w ziemi nocą. Tylko po co?

– Może po to samo, po co rozwalili tę biedną krowę?

– Tyle że grzebanie w ziemi tymi grackami nic by nie dało! Żeby dotrzeć do tego dołu, trzeba koparki.

– Czyli nie chodziło o dół, a o ziemię. O tę wyspaną do dołu ziemię – stwierdziła Hanka, czym zyskała kilka punktów u Maćka.

– A ten ktoś w pokoju?

– Moja babcia?

– Nie. Ten, kogo przestraszyła. Przecież to nie mogła być Kowalska, bo już wtedy nie żyła, więc? Chyba ktoś, kto chciał przeszukać jej pokój.

– Moje babcie mówiły, że miała coś przywieźć, ale ja bym im nie wierzyła. To nie znaczy, że kłamią, ale mają wybujałe wyobraźnie. W tym, co opowiadały, coś jest, ale nikt nie odgadnie, co...

– Twierdzą, że kogoś porwano.

– No właśnie. Babcia Anetka i dziadek Mirek to ostatnie osoby na świecie, które ktoś chciałby porwać. Po pierwsze, nie są zamożni. Nasza rodzina może nie głoduje, ale też nie jest bogata, więc po co porwać emeryta, za którego nikt nie zapłaci?

– Bo coś wie? – zasugerował Maciek.

– Chodzi ci o to, że ta Kowalska i babcia Anetka mogły się znać?

– Chociażby!

– Mogły, ale to nic nie znaczy. Znały się dwadzieścia czy trzydzieści lat temu! O ile w ogóle. Co to może mieć wspólnego... Zaraz!

– Właśnie! Sara i ten jej cały Klap! Może to ma coś wspólnego z Klapem?

– Czyli Stawickim.

– Nie. To nierealne. Klap to może być Stawicki, Stawicki może być Klapem albo też to są dwie różne osoby.

Niestety nic z tego nie wynikało, bo porzucenie przyszłej żony to straszna, ale niestety nie karana śmiercią zbrodnia. A zmiana nazwiska? Klap i Stawicki? Jednak nazwisko Stawicki brzmi bardziej seksi. Trudno się dziwić.

– Czy nie uważasz, że tu musi chodzić o coś poważniejszego? Jakies pieniądze... czy ja wiem? Przecież nikt nikogo nie zabija za niedotrzymanie obietnicy małżeństwa, prawda? – westchnęła Hanka.

Maciek usiadł obok niej na murku przed pensjonatem i otoczył ją ramieniem. Było już ciemno, z dala słyszeli coś, co z trudem można było nazwać muzyką.

– U nas zerwanie zaręczyn nie ma konsekwencji prawnych, ale w innych krajach może mieć – powiedział, rozważając wszelkie za i przeciw.

Hanka zamarła.

– Może o to chodzi? Ktoś zorientował się, że Klap to Stawicki, a Stawicki jest bogaty. Porzucił kiedyś babę. Teraz baba chce uszczknąć trochę jego fortuny? – powiedziała, licząc, że to może jest wyjaśnienie tej sytuacji.

Nagły poryw namietności wcisnął Hankę w ramiona Maćka i trwała tak przez krótką chwilę bardzo szczęśliwa. Mogłaby spędzić w jego ramionach całą wieczność, gdyby nie dziwne uczucie, że coś usiłuje ją od niego oderwać. Coś tłucze ją po plecach!

– Ueeeh! Uehhh! Unnn... – zajęczało płaczliwie, jakby zostało skrzywdzone.

– Zyzol, przestań być zazdrosny! – skarcił go Maciek nie mniej skrzywdzonym tonem. – Ciebie, piesku, też kocham – dodał po chwili i choć kontekst wydał się Hance nieco zaskakujący, to doceniła wyznanie.

Nie zdążyła jednak nic powiedzieć, bo Zyzol znów się odezwał, tym razem zaszczekał dość grubym psim głosem, jakby chciał ich o czymś powiadomić.

W tym momencie muzyka i wrzaski dochodzące od strony sceny zyskały na sile i na wyrazistości. Nie mieli wyjścia, musieli się tam udać. Po drodze mijali niedobitki. Ludzi, którzy mieli trochę

rozsądku, by uciekać z, a nie do miejsca zagrożenia, jakim podobno były watahy wampirów mózgojadów. Zważywszy zresztą na te kilka lekko ogluszonych muzyką nietoperzy i kilkunastu wymachujących pałkami łysoli, to wampiry mózgojady umarłyby z głodu, gdyby uparły się pożywić akurat tymi osobnikami.

Było już mniej więcej po wszystkim, kiedy Hanka i Maciek dotarli na miejsce. Trzeba było tylko pomóc Wierciuchowej oderwać Sarę od rury, podnieść panią Basię, odnaleźć Emmę i Pita, którzy – jak wszyscy podejrzewali – konsumowali swoją nieokiełznaną chuch albo w krzakach, albo w pensjonacie.

Kilka innych pań odnalazło się bez problemu. Lilka i Wierciuchowa chodziły między nimi i liczyły swoje, poturbowane trzeba powiedzieć, ale szczęśliwe stadko.

Nawet Anna i Katarzyna, którym córki zabroniły kursu komputerowego, bo w internecie oglądały pornografię, były zadowolone i rozchichotane. Zrozumiały, że w realu też można co nieco zobaczyć. W krzakach wiele się działo.

Profesor zwinął swój podarty namiot, zebrał zdeptane wydruki wiekopomnego dzieła i porzucone na ziemi żelastwo. Z nadwyreżonym dobytkiem na plecach ruszył do pensjonatu. Po drodze znalazł kilka porzuconych noży sprężynowych, jakiś bardzo obiecujący kastet i obsyte różowym futerkiem kajdanki, które mogły się przydać przy odtwarzaniu transmutocyklotronionu. Nie mógł sobie pozwolić na dłuższą przerwę w pracy.

– Jutro niedziela – westchnęła Wierciuchowa w zamyśleniu. – Trzeba zrobić lepszy obiad. Będą czarcie żebra z czarcim kęsem.

– Co to za czarcie żarcie? – zrymowała niechęć Hanka, wykrzywiając się z obrzydzeniem.

– Zielsko na sałatkę – roześmiał się Maciek. – Nawet da się zjeść. Najważniejsze, że darmowe, bo z ogródka. Wiesz, jaka ona jest skąpa!

Hanka ze zrozumieniem pokiwała głową.

– No i będę musiała upiec kreta – dodała półgłosem właścicielka pensjonatu.

– Czy ona nie przesadza z tą oszczędnością? – zapytała zaniepokojona Hanka.

– To deser – odpowiedziała Lilka tak pewnie, jakby jedzenie kretów było w Krwiozerczym Piotrusiu na porządku dziennym, przynajmniej w niedziele.

– Fuuuj! Mięso na słodko?

– Nie mięso... To jest ciasto, wariatko – uspokoił ją Maciek. – Krety są pod ochroną!

– Strach pomyśleć, co by było, gdyby nie były! – mruknęła Hanka, postanawiając na wszelki wypadek wykręcić się od obiadu. Wierciuchowa jest bardzo oszczędna, a istnieje dość duża liczba małych zwierzątek, które nie są objęte ochroną.

\*\*\*

Dziunia zrezygnowała z ponownego polania się krwią, choć ją kusilo. Zrezygnowała też z uczestnictwa w paradzie. Postanowiła pogрузić się w rozpacz. W płynnej rozpacz.

Skloniła ją do tego suka z drugiego piętra, martwa suka z drugiego piętra. Dziunia wychodziła z założenia, że lepszy wredny wróg niż fałszywy przyjaciel, a przecież ostatnio okazało się, że tylko takich miała. Okrutne życie pozbawiło ją więc i przyjaciół, i wroga. Została sama. Z rozczuleniem gaskała swoje podobizny w gazetach. Wiesiek się do niej nie odzywał.

\*\*\*

Profesor miał problem z odtworzeniem transmutocyklotronionu, bo nie mógł do tego użyć noża kuchennego. Podświadomie wyczuwał, że nie byłoby to godne rozwiązanie i mogło nawet wywołać konflikt międzygalaktyczny. Noże sprężynowe, które znalazł pod sceną, były lepsze, ale jakoś nie umiał ich ustabilizować. Dopiero zaklęczenie sześciu trzonków za pomocą kajdanek dało oczekiwany,

stabilny efekt i – co nie pozostawało bez znaczenia – sprawiło, że zamiast jednej klingi wibracje wywoływało aż sześć.

Dopiero po pierwszej w nocy włączył urządzenie. Najciszej, jak umiał.

Najpierw wybuchły okna na parterze, a dopiero potem dwadzieścia trzy jajka na jutrzejszego kreta. Po chwili szesnaście piw, osiem butelek wina musującego oraz panika.

Profesor dopóty nie zdawał sobie sprawy z zamieszania, dopóki nie dopadła go Wierciuchowa i nie ściągnęła na dół z wrzaskiem oraz z wyziskami. W tym czasie Maciek spacerował pod oknami nieco rozkojarzony swoimi uczuciami do Hanki, które nie dawały mu spać.

\* \* \*

Płynna rozpacz to nie może być piwo, stwierdziła Dziuńka. To nie może być nawet wino. Jest za słabe i za wolno działa. To musi być coś, co po kilku łykach telepie tak, że film się urywa w pół sceny, świat rozpada się na kawałki, a wnętrzności dezertują. Potrzebowała mieszańca. Zlała do garnka wszystko, co znalazła w domu, i przelała do butelki po nalewce cytrynowej. Połowę wypiła w domowym zaciszu, a następnie poszła docić resztę w parku. Samotnie.

Ta samotność rozrzewniła ją okrutnie. Noc doprowadziła ją do łez. Szła więc tak, płacząc i popijając obrzydliwy w smaku lek na swą wampirzą, zdradzoną duszę. Łkając i zanosząc się, bo alkohol wyrwał z duszy straszny żal, a z oczu potoki łez, szła wzdłuż drogi, siadając to tu, to tam, na ławkach.

– No i co? – zapytał ktoś tuż za nią.

– Niiic – odpowiedziała przez łzy. – Niiic.

– Trzeba to jakoś załatwić – rzucił ktoś w ciemności, nieco innym głosem.

– Jaaak? Ja się pytam, jaaak? Dżasta, ta piepszszsza dziwka ukradła moje szycie! O! Całe moje szycie.

Nagle jej szloch urwał się w pół jęku.

– Głosy! Słyszę głosy! – wrzasnęła i poderwała się z ławki.

Dziuńka biegła przerażona głosami i własną reakcją. Wpadła w krzaki, które w przyplwywie delirycznej inspiracji okazały się wielonogim pajakiem ślepiojadem, który już swoje szczęki ku jej oczom kierował. Po chwili pojawiło się przeciągłe wycie, trzask łamanych odnóży, na szczęście pajęczych, bo właśnie Dziuńka potknęła się w swoim nieco chaotycznym biegu i wyrznęła paszczą w chodnik. Podniosła się i zaczęła miotać, waląc rękoma jak cepami w co popadło, tak bardzo podniosła jej ciśnienie arachnokrzak.

– Spalić – powiedział głos.

Zrozumiała. Powinna spalić pajaka. Żałowała, że nie ma czym. Nie miała nawet już czego się napić, bo butelka, która potoczyła się w krzaki, choć ocalała, dostała się we władanie pajaka.

– Spalić! – wrzasnęła Dziuńka i w amoku pobiegła przed siebie w las.

\* \* \*

Hanka też nie spała. Ze zdziwieniem patrzyła na dym wydobywający się z pokoju numer trzy oraz z pokoi numer pięć i numer dwanaście, które znajdowały się na parterze i wychodziły na ogród.

Coś musiało się tam palić. Może mieszkający w dwunastce Marcel zapalił jakieś cuchnące cygaro? Podbiegła do drzwi pokoju i zapukała w nie, nie siląc się na galanterię. Po prostu waliła pięścią i krzyczała:

– Marcel! Otwieraj! Wylaż stamtąd, bo coś się pali!

Musiąła powtórzyć to kilka razy, zanim z zadymionego, bardzo zadymionego pokoju wyszła Wiolka. Kasłała, chwiała się, przecierała oczy i ogólnie była naga.

Za nią jak cień wyrzał Marcel, również nagi. Tylko odrobinę bardziej świadomy tego, co się dzieje. Widząc dym wokół siebie, w przeblasku świadomości pomyślał o instalacji elektrycznej i o możliwości spalania się żywcem z powodu jakiegoś spięcia, które – jak mgliście podejrzewał – wywołała maszyna profesora.

Pokój numer trzy hajcował się już porządnie. W piątce połowa tapety stała w płomieniach, ale na szczęście nikt tam nie mieszkał.

Interwencja straży zbiegła się z wizytą pielęgniarki dyżurnej ze szpitala obok.

– Profesorze Kociołek, profesorze Kociołek! Niech pan natychmiast wyłączy to świństwo! Łóżek na porodówce brakuje! – zawołała od progu.

– A co mają łóżka...

– Nic nie mają! Łóżka nic nie mają, tylko baby zaczynają nam rodzić na potęgę. To pewnie z powodu tego świństwa i wycia.

– Coś wam wyje?

– Wszystko nam wyje! Szyby w oknach, sterylizatory, lampy... Wszystko! No i kobiety... też tak jakby! Nie da się nad tym zapanować. To jakiś porodowy armagedon! O, słyszycie? Karetka wiezie następną.

– Ja naprawdę nie rozumiem – mruknął profesor wściekły. – Tu zupełnie nie da się pracować! Przecież ja płacę! W dzień nie wolno, bo na bazarze mleko kiśnie, w nocy nie można, bo coś im wyje. Wy naprawdę przesadzacie. Jestem naukowcem! Na-u-kow-cem – podkreślił z mocą. – Ja muszę pracować!

– Ja zaraz panu dam naukowca! – warknęła Wierciuchowa. – Jajka na kreta poszły i wino wybuchło! Mało? Same straty! I jeszcze się pali!

– Pali się! – wrzasnął Szczurek, który dopiero co zszedł z góry i nie zdążył zauważyć strażaków. – Pali się!

– Zamknijcie się, bo turnus obudzicie – jęknęła Lilka. – Ubierzcie się! – Wskazała na Wiołkę i Marcela. – Natychmiast!

– Instalacja? – zapytał zamroczony Marcel, przeczesując brodę, czym zwrócił na siebie uwagę.

– A więc to tak? Wyście seks? Uprawiali? Tu? Pod moim dachem? – szeptała złowrogo Wierciuchowa, jakby seks był o wiele bardziej nielegalny niż konopie indyjskie, choć nieco łatwiejszy w uprawie. Już, już miała wprowadzić w czyn swoje święte oburzenie, w czyn chyba nie całkiem praworządny, ale została odciągnięta przez strażaków.

Maciek wrócił do środka, kiedy zobaczył całe to zamieszanie. Nawet przy jego stanie umysłu nie mógł przegapić straży pożarnej.

– Hm – powiedział do Hanki. – Hmm...

– Co tak chrząkasz?

– Dałbym sobie głowę uciąć, że kogoś widziałem. Naprawdę. W lasku. Tu z tyłu.

– Jezu, jeżeli to babcie, to je powieszę!

– Może to nie one?

– One, one – powiedziały obie babcie, wtaczając się do korytarza. – Ale my też kogoś widziałyśmy – stwierdziły.

– Tylko co wy tu znowu robicie?

– Nic. Nie spałyśmy, a coś zaczęło wyć. Pomyślałyśmy, że to u was, no i jesteście! Martwiłyśmy się o ciebie! A tu się pali! Czy to nie dziwne?

– Nie dziwne. To zwarcie instalacji! Profesor Kociołek znów coś narozrabiał.

Strażacy za pomocą gaśnic opanowywali po trochu płomień, biegali tam i z powrotem, rozstawiali wszystkich po kątach.

– A gdzie tam, zwarcie instalacji?! Przecież tu nie ma żadnej instalacji! Nie w tym miejscu. – Strażak wskazał na jedną ze ścian. – To zaproszenie ognia albo podpalenie. Chociaż jak na podpalenie, to jakieś takie nieudolne. Może coś wybuchło? Są tu jakieś plastikowe szczątki i kabelki. No nie wiem, jeszcze nie wiem – dodał po chwili.

Babcie, tym razem w piżamach i szlafrokach przewiązanych pod biustem jakimiś szalikami, rozsiadły się w jadalni, jakby na coś czekały.

– Widziałyśmy coś, to znaczy kogoś. Biegł i krzyczał – powiedziała Marylka.

– Krzyczał, że będzie palić. Normalnie, że ogniem i mieczem. Ruiny i zgłiszcza! Tak, sama słyszałam, „Spaaaalić” – krzyczał. No, albo krzyczała. A teraz strażacy mówią, że to podpalenie, ho, ho. Wierciuchowa coś komuś złego zrobiła jak nic, bo krowy jej wybuchają, gości mordują, podpalają... No, no.

– Ty! – Hanka nagle popatrzyła na Maćka z zaskoczeniem. – A może chodzi o Wierciuchową? Wiesz, o jakieś przejęcie? Zniszczenie reputacji i takie rzeczy...

Maciek westchnął i popukał się dyskretnie w czoło.

– Żartujesz, prawda? Jeżeli ktoś chciałby zniszczyć reputację Wierciuchowej, to w ogóle jej nie zna. Ona nie ma reputacji, a w każdym razie dobrej! Pensjonat zapuściła, oszczędza na wszystkim. Gości traktuje jak bezgłowe kurczaki. No co ty! Nawet mają jej uciek! A córeczka...

– No, ale wszystko...

– Tak, to może tak wyglądać, ale to jakaś zasłona dymna – przerwał jej zniechęcony. – Niemożliwe! Chodź, lepiej rozejrzemy się w lesie. Już robi się jasno.

Nie rozejrzeli się, bo po prostu nie zdążyli. Do pensjonatu weszła Dziuńka. Drżąca, brudna i spragniona.

– Klemensa żem złapała! Dajcie coś się napić.

Klemensa nie było widać, choć wszyscy go wypatrywali. Nie widzieli nic Klemensopodobnego.

– A co to za Klemens?

– No to on. Ten, co kazał mi pająka podpalać. Ten, no Delirium Klemens czy jakoś tak się nazywa. Głosy żem słyszała.

– No właśnie, ja też słyszałam. – Babcia Zosia ziewnęła na potwierdzenie Dziuńkowych rewelacji.

– Moje głosy żeś pani słyszała? – zdziwiła się kobieta, oburącz trzymając w drżących rękach kubek z herbacą, jak skarb największy.

– Nie twoje. Swoje – odparła zgodnie z logiką babcia Zosia.

– Nie miałam pojęcia, że pani też alko-ho-lo-liczka! Gdzie pani pije? Bo w parku nie widziałam.

– Zaraz, zaraz, babciu Zosiu, słyszałaś głosy?

– A co miałam słyszeć?! Jasne, że głosy! Mówiły o podpalaniu!

– To były moje głosy! – westchnęła Dziuńka.

– Czyli jednak ktoś chciał podpalić Piotrusia. – Hanka zastanawiała się na głos. – Najbardziej ucierpiała trójka. U Marcela tylko trochę dymu było, a pokój numer pięć...

– Albo ktoś chciał zatrzeć ślady, albo zabić Marcela.

– A po co ktoś chciałby go zabijać?

Hanka zdawała sobie sprawę, że było kilka powodów. Szczurek miał żal o Wiołkę, Dziuńka o wywiad. Poza tym Marceł wywoływał dość skrajne emocje, bo o ile dziennikarz brzmi dumnie, fotograf to artysta, nikt nie zaprzecza takim oczywistościom, to jednak dziennikarz w szmatławcu już dumnie nie brzmi, a fotograf, który zamiast światłocienia woli mroki średniowiecza, często wzbudza agresję. Szczególnie u tych, których fotografuje. Więc Dziuńka? Znów Dziuńka?

Tyle że on mógł coś mieć! Na przykład zdjęcie. Jakąś fotografię, która wyraźnie wskazywałaby na mordercę, to znaczy mordercy wyraźnie wskazywała, bo innym jakoś nie, ale bycie mordercą

to niełatwe zadanie i zazwyczaj sprowadza się do powiedzenia „uderz w stół, a nożyce się odezwą”. Często te do żywoplotu.

– Nikt nikogo raczej nie chciał podpalać – stwierdził autorytatywnie jeden ze strażaków, którzy kręcili się jeszcze tu i tam, sprawdzając, jak doszło do pożaru. – To coś. – Wskazał na wielki plastikowy kłab czegoś, co zapaliło się, stopiło i skręciło tak, że trudno było to rozpoznać, widać było tylko, że jest na baterie, bo tkwiły w tym kłębie różne, między innymi cienkie paluszki, grube paluszki i jeszcze jakieś kwadratowe. Było ich kilkanaście.

– Moja ładowarka! – jęknęła Wierciuchowa. – To moja ładowarka! Dałam za nią ponad dwie stówy! Tyle jest w domu rozładowanych baterii, więc chciałam je podładować. Podładować i zaoszczędzić! Czy to nie logiczne?!

– Nie, nielogiczne!

– Za to marnotrawienie wszystkiego jest logiczne?

– No, właściwie nie, ale zwykłych baterii się nie ładuje. Do tego potrzebne są inne, takie akumulatorki. Nic dziwnego, że się to zapaliło.

Było już całkiem jasno, kiedy wszyscy – potwornie zmęczeni – postanowi się wcale nie kłaść. Lilka, kucharka i Wierciuchowa szykowały śniadanie dla gości, pamiętając, że ci zaraz potem szli na festyn, gdzie będzie mnóstwo niezdrowego jedzenia, na które wszyscy się rzucają. Po co było więc niepotrzebnie napychać im żołądki?

Bułęczka, pół paszteciku, plasterek ogórka.

Hanka zastanawiała się, jakim cudem udało się Wierciuchowej wymyślić śniadanie jeszcze gorsze niż to, które dają młodym matkom w tutejszym szpitalu. Wierzyła, że właścicielka Krwiożerczego Piotrusia niedługo osiągnie taki poziom, że szpitalni dietetycy będą się u niej uczyć.

Maciek przegrzebywał internet z jakąś kartką w dłoni, zupełnie się nie odzywając do Hanki, która pisała raport. To znaczy udawała, że go pisze. Właściwie to wystukiwała na klawiaturze maila do Mariki. Nie wspominała w nim o łóżkowych ekscesach Wiolki, choć raz po raz, groźnie na nią spoglądając, dawała jej do zrozumienia, że tak właśnie jest.

Wiolka początkowo trochę się przejmowała, ale że staż był opcją numer trzy, a małżeństwo opcją numer dwa, trzymała się dzielnie. Fakt, istniał dość poważny problem, który mógł bardzo utrudnić opcję numer dwa. A było to podejście Marcela do stałego związku. Niechętne podejście. Chłopak uważał, że małżeństwo wymyślił jakiś psychol, a podpisywanie cyrografu jest nie dla niego. Wiolka oczywiście mogła zastosować kilka metod nacisku. Metoda „na głoda” była tylko połowicznie skuteczna, bo ukochany mógł swój seksualny głód zaspokoić gdzie indziej, zaś metoda „na zgagę” też działała kiepsko, bo kto lubi zgagę, a tym bardziej dziewczynę do niej podobną? Najlepsza była metoda „na wnuczka”, choć wnuczek pojawiał się dopiero w następnym pokoleniu.

W tej chwili Wiolka miała więc naprawdę gdzieś to, co pisze Hanka. Inaczej było ze Szczurkiem, który do policji się nie nadawał, był zbyt cherlawy, do straży miejskiej iść nie chciał, straż pożarna go nie pociągała, a pracować niestety musiał. Szczurek nie miał żadnego planu „b”, więc zaliczenie stażu w jego wypadku było konieczne.

Zastanawiał się, ile narozrabiał po pijaku i jak bardzo wkurzył Hankę. Z powodu urwanego dość gwałtownie i kilkukrotnie filmu nie wiedział, ale też nie odważył się zapytać. Szczurek stosował metodę „na strupa”, czyli wierzył, że wszystko zawsze w końcu przyschnie.

Marcel szykował swoje aparaty. Festyny wcale go nie podniecały. Było w nich coś zwyczajnego, zabawnego, wręcz radosnego, a spieniężyć radości się po prostu nie da, bo jak tu zarobić na uśmiechających się ludziach? No chyba jedynie wtedy, kiedy wyrwie im się siekierę i pobiera odrąbane nogi.

Babcie ziewały, opierając się o stolik. Usiłowały nie zasnąć i za żadną cenę nie dać się wyrzucić do domu, gdzie co prawda miałyby okazję się przebrać i zdrzemnąć na chwilę, ale przecież tutaj mogło się coś zdarzyć. Znowu!

– Wy też będziecie jadły? – wyzłościła się Hanka, patrząc, jak babcie z zaciekawieniem spoglądają na talerze ze śniadaniem.

– Nie, no co ty! Jesteśmy na diecie!

Dziunia siedziała w kącie i usiłowała sobie przypomnieć, jak i co podpałiła. Czuła się winna w tym sensie, że z winą na karku mogła liczyć na zainteresowanie. W innym wypadku tylko na jego całkowity brak.

Profesor poszedł do lasu szukać łądowisk. O tej porze mógł odnieść sukces. Niedziela nie była dla niego najlepszym dniem z powodu grzybiarzy, którzy bez ceregieli niszczyli, rozdeptywali albo po prostu zbierali jego czarcie kręgi. Jednak dziś był festyn, który miał trwać od samego rana, więc ludzie raczej nie wybierali się do lasu. Dziś miał szansę coś znaleźć i chciał z niej skorzystać.

\* \* \*

Amelia Prokopiec ubrała się na czarno. Postanowiła nosić żałobę po sobie samej, bo córki nie mogła do tego namówić. A przecież, jak to jej wyjaśniła Dziunia Rycka, jedyna znana jej dotąd współwampirka, Amelia była martwa.

Jej zięć niestety nie, choć o mało nie dostał apopleksji, kiedy wyjaśniła mu, że skoro kocha jej córkę, tak jak mówi, powinien się z nią rozwieść dla ich wspólnego dobra.

– Mamo! – Irena też była wściekła z powodu kredensu i trochę z powodu anonsu matrymonialnego. – Jak mogłaś zrobić coś tak nierozsądnego?!

– Ty mnie będziesz uczyć rozsądku? Ty? Osoba, która wyszła za policjanta wbrew woli matki? Osoba, która zaprzepaściła takie szanse? Osoba...

– Która dzięki mamusi o mało nie została zamordowana?! – warknął Kurzydło.

– Oj tam, oj tam! Gdyby wyszła za Stawickiego, byłaby kimś! Miałyby pieniądze! Stawicki ma forsy jak lodu!

– Jasne, chyba na Saharze – odburknął Kurzydło, co trochę zmroziło Amelię.

Kurzydło nie zamierzało dyskutować z teściową. Nie miało to najmniejszego sensu. Nie tylko dlatego, że od chwili, w której została wampirem, uważała się za o wiele mądrzejszą od niego, choć to także go wkurzało. Nie chciał z nią dyskutować, bo sprawa zaczynała być jeszcze bardziej skomplikowana. Udało mu się nie oddać dochodzenia tylko dlatego, że wymusił na Maćku odwieszenie urlopu i pobyt służbowy, ale i tak zyskał jedynie kilka dni. Jak na razie udało mu się też nie połączyć prywatnego wybuchu z morderstwami, co było bardzo trudne i nieprofesjonalne, ale nie mógł sobie pozwolić na odsunięcie od śledztwa. Póki co.

Zresztą gdyby mordercą miała się okazać jego teściowa, z pewnością by jej nie oszczędzał. Tylko jak? Sama sobie wysłała bombę? Głupie. Chciała zabić jego żonę? Nieprawdopodobne. Mogła chcieć zabić jego. Gdyby tak było, to przecież wiedziała dokładnie, kiedy jest w domu, kiedy w pracy, kiedy wstaje, o której wychodzi, więc nie było szans na pomyłkę.

Chyba że na bombie było jego nazwisko i to on miał otworzyć paczkę, a został uratowany przez chomika. Maleństwo zasługiwało na medal z marchewki.

Nie, też nierealne.

To była jakaś głupia bomba. Z jednej strony rzuciła chomikiem i teściową, pchnęła kredens, ale nikogo nie zabiła... Niedopracowana była, dedukował.

To akurat doskonale pasowałyby do teściowej.

Z Maćkiem i Hanką spotkali się na festynie. Choć Kurzydło nie chciał w to wszystko wtajemniczać dziewczyny, to Maciek twierdził, że z pewnością tak będzie lepiej.

– Robert Klap – przeczytał Kurzydło z pognicionej karteczki. – Zapisalem to nazwisko wczoraj. Coś wiemy?



– Nic nie wiemy. Nie mogę niczego znaleźć. Jest jeden Robert Klap, ale to chyba Szwed i zdecydowanie za młody... Jest jeden Azjata, też Klap, Bobby Klap, ale to wszystko. Żadnych innych nie znalazłem.

– A pisownia? Czy jest odpowiednia? Bo jeżeli to Francuz, to może powinno się pisać Klappe albo Clappe? Choć raczej Clappe.

– Na Facebooku nikogo takiego nie ma.

– I nie powinno być! Przecież facet nazywał się tak jakieś dwadzieścia lat temu. Teraz to jest Stawicki. Jeżeli to ta sama osoba...

– Ta sama. Sprawdziłem zdjęcia, które znalazłem w trumnie. To znaczy w tym futerale trumiennym. Rzeczywiście to jego palec i ucho też podobne, choć całkowitej pewności nie ma.

– A jak nazywa się ta Sara? No ta kuzynka pani Basi?

Maciek zadzwonił do matki.

– Sara Diupą.

– Strasznie dziwne nazwisko! Diupą?

– Tak kazała to czytać, ale pisze się Dupont.

W tym momencie Kurzydło przypomniał sobie wampiryczne menu przygotowane dla Dziunińki. Była tam jakaś Dupont. Myślał, że to kolacja.

Kurzydło miał trzy notesy. Pierwszy był ważny, drugi taki sobie, trzeci dość śmietnikowy. W nim zapisywał wszelkie bezsensowne brednie, które jednak zapisać musiał, jak choćby nazwiska osób, które miały służyć Dziunińce za wampirze pożywienie. Wyjął więc notes, ten, w którym notował rzeczy zupełnie bez znaczenia, i przeczytał.

– Mam. Jest tu jakaś Eliza Gracja Dupont! Eliza Gracja, jakie to pretensjonalne! I co sądzicie? To jakaś rodzina tej Sary? Czy to ma coś wspólnego z tym Klapem? Trzeba przeszukać internet... I przesłuchać tę kobietę.

Przesłuchanie na festynie nie wchodziło w grę, zresztą nie było to po prostu możliwe. Właśnie zaczynały się wyścigi z jajkiem nietoperza.

Organizatorzy nie wpadli na to, że nietoperze są żyworodne, ale nikt na to nie zwracał uwagi. Zamiast jajek były baloniki z czarną farbą, które należało przenieść na łyżce trzymanej w dłoni, dla utrudnienia mając drugą rękę i nogę przywiązane do kija od miotły.

Był też bieg w workach oraz konkurs tańca na rurze, do którego zapisało się kilka całkiem interesujących dziewcząt i Dziunińka. Następnie planowano konkurs picia piwa na czas, do którego zapisało się bardzo wielu mężczyzn i Dziunińka, oraz zawody w jedzeniu golonki, do których zapisał się cały turnus, bo Wierciuchowa zagroziła, że na obiad poda ruchanki z fjutem, co bardzo wszystkich przestraszyło. Wierzyła święcie, że im dziwniejsze są nazwy dań, tym bardziej przyciągają gości. Wyszukiwała je w internecie, a potem kazała się z nimi męczyć kucharce. Były więc paluszki narzeczonej, pijany karp, a ostatnio właśnie ruchanki z fjutem.

Wszyscy byli pewni, że danie było aluzją do Marcela i Wiolki, a nie mieli ochoty na taką makabrę.

– Też kombinuje – westchnęła Hanka. – Musi ludzi straszyć? Ruchanki? Fjut? Zwariowała?!

– Masz rację! Racuchy z syropem z buraków cukrowych na obiad? Zgroza – roześmiał się Maciek. – Ale całkiem smaczna zgroza.

Pogoda była paskudna. Choć nie padało, to jednak było pochmurno i wiał wiatr, co bardzo wszystko komplikowało, bo wszędzie szeleściły wampiryczne ozdoby, powiewały nietoperze, kołysały się czarownicę na miotłach. Chwiały się markizy bud, łopotały flagi i transparenty, a o dachy uderzały z łomotem mniejsze i większe gałązki.

Dla kogoś, kto jak Kurzydło przewidywał najgorsze, czyli jak zawsze morderstwa, masakry, kradzieże i wypadki, co było u niego zбочeniem zawodowym, to był istny koszmar.

Nie był w stanie się skupić.

– Czyli mówicie, że te nazwiska to nie jest menu? To dlaczego ktoś dał to Dziunię?  
– Przez przypadek? Chciał dać tej policjantce i się pomylił?  
– Nie, no co ty. Dziunią była zbyt utytłana, żeby ją z kimkolwiek pomylić. Może ktoś to jej dał, bo miała założone kajdanki, czyli było pewne, że zostanie przeszukana.  
– Czyli chciał pokazać listę policji, żeby przyjrzała się tym na-zwiskom.  
– Tylko kto?  
– Moim zdaniem ta Sara.  
– Głupota. Tam jest jej nazwisko, więc mogła ją nam dać sama, wprost, nie musiała się ukrywać. Co wiemy o tej Gracji, jak jej tam, Elizie nie-Orzeszkowej?

– Nic. Muszę przegrzebać bazy internetowe, może coś jeszcze, ale... martwi mnie jedno. To są nazwiska kobiet. Jeżeli sprawa jest sprzed lat, a wszystko na to wskazuje, mogły je zmienić.

Krzyk, jaki się podniósł od strony sceny, nie wróżył niczego dobrego. Był to krzyk przerażenia, skrajnego przerażenia. Ponieważ tym razem nikt nikogo nie traktował, przerażenie było, groza też, ale jakieś takie nieinwazyjne. Stacjonarne. Inaczej ludzie zaczęliby uciekać.

Po chwili wszyscy zrozumieli, o co chodziło.

Dziunią usiłowała tańczyć na murze.

– Zabierzcie stąd dzieci! Natychmiast! – wrzasnęła histerycznie jakaś kobieta, widząc ekstremalne wygibasy Dziuni, która na szczęście była całkowicie ubrana.

Była niestety też całkiem pijana, dlatego nikt nie próbował odwieść jej od tanecznych pomysłów. Protesty nie miały sensu. I tak by to nic nie dało, a Dziunią przy murze wytrzymała ledwie kilka minut.

– Czyli ktoś chciał zwrócić naszą uwagę na Sarę i na Stawickiego?

– Nie, bo nic nie wiedzieliśmy... Chociaż... Słuchajcie, a jeżeli... – Hanka zamarła w pół zdania. Nagle zrozumiała, co to wszystko mogło znaczyć. Zamknęła oczy, skupiła się, uspokoiła myśli i zrozumiała. – Seryjny morderca.

– Bo? I kto? – Maciek był zaciekawiony jej nagłą odmianą.

– Pomyślmy. Jeżeli tych kobiet nie ma, to może wcale nie wyszły za mąż, ale zostały zamordowane. Rozumiecie? Zamordowane. Tak jak te tutaj, ta Kowalska i ta Zanetka. Kto wie, która jeszcze. Może było więcej takich spraw? Może nawet tutaj?

Kurzydło popatrzył na Hankę z podziwem. To mogło mieć jakiś sens.

– Morderca grasuje gdzieś tam, potem zmienia nazwisko, miejsce zamieszkania i ukrywa się. – Zaryzykował uogólnienie.

– On za bardzo się nie ukrywa. Jest na widoku.

– Czasami na widoku widać najmniej. Szanowany obywatel, zamożny właściciel pałacyku, ktoś z elity... Tego rodzaju ludzie są na ogół poza podejrzeniami.

Maciek także zastanawiał się nad taką możliwością.

– I ktoś o tym wie. Ktoś to odkrył i chciał dać nam znak, podrzucając nazwiska. Kto to mógłby być?

– Może jakaś matka? Matka którejś z ofiar? Ofiary miewają matki.

– Tak, ale dlaczego...

– Chodzi ci o to, że ten ktoś, ta matka była sprytniejsza od policji? Nie była. Po prostu miała dane, których my nie mieliśmy.

– Zaraz, zaraz, nie podniecajmy się – mruknął Maciek. – To jeszcze nic pewnego.

Konkurs picia piwa na czas nie wypadł. Nie znaleziono odpowiedniej formuły. Najpierw chciano mierzyć czas potrzebny do wypicia jednego kufła piwa, co spotkało się z wrogim pomrukiem tłumów.

– A parametry zmienne? – warknął Wiesiek, który doskonale się przygotował. – Jak sprawdzimy, kto jak bardzo jest spragniony, jakie piwo komu szybciej wchodzi? No i kac? Kac to ciężka sprawa, ja jak mam kaca, to mi wraca, a inni wtedy piją szybciej. Tu trzeba czegoś innego.

Ustalono, że konkurs zostanie nieco zmodyfikowany. Otóż, wszyscy uczestnicy będą pić piwo przez godzinę. Zwycięży ten, kto wypije najwięcej i będzie w stanie wstać. Nikt nie był.

Kiedy już wyniesiono wszystkich uczestników, przystąpiono do konkursu golonkowego. Wygrała pani Basia. Zjadła trzy golonki w piętnaście minut i marudziła, że ma za mało chrzanu.

– Czyli potencjalnie mamy raz, dwa, trzy, cztery. – Kurzydło liczył nazwiska z notesu. – Cztery plus Kowalska, plus Zanetka... To by było sześć ofiar. I być może jeszcze jedna. Nieznana.

– Co pan ma na myśli?

– Szkielet. Ten, od którego zaczęło się to wampirze szaleństwo. Nie czytałem jeszcze raportu, ale aspirant Nieróbek twierdzi, że szczątki pochodzą sprzed około dwudziestu lat.

– Dwudziestu? Nie dwustu? – zdziwił się Maciek. – Myślałem, że szkielet jest starszy.

– Wszyscy tak myśleli, ale jeżeli to rzeczywiście dwadzieścia lat, to kto wie?

– Czyli Stawicki.

– Najprawdopodobniej. Mógł uwodzić kobiety, a potem je po cichu mordować.

– Ale po co?

– Kto to wie? Taki seryjny morderca nie jest normalny. Uwodzi, morduje, porzuca zwłoki i już, a kiedy grunt zaczyna mu się palić pod nogami, zmienia nazwisko i znika... Musimy przesłuchać tę Sarę.

– No właśnie, a pani Basia? Przecież ona i Sara to kuzynki. Może i ona coś wie? Przecież kombinowała przy tej trumnie i to ona znalazła zdjęcia. Mogła je podrzucić.

Hance pomysł się nie podobał. Podrzucić kartkę, podrzucić zdjęcia... Po co? Może ktoś jeszcze mógłby podrzucić zwłoki, bo jakoś to dziwnie wyglądało.

– Masz jakieś dane, to je oddajesz policji, a nie podrzucasz – stwierdziła bez entuzjazmu.

– Jesteś idealistką. – Maciek objął ją ramieniem.

– Chciałeś powiedzieć: naiwniaczką?

Odeszli w kierunku lasu, z którego dało się słyszeć pojękiwania.

Kurzydło został przy scenie. Nie miał ochoty wracać do wampirzej teściowej. Wolał popracować.

– Nie, chciałem powiedzieć to, co powiedziałem. Idealistką. Jak sobie to wyobrażasz? Ktoś przynosi mi kartkę z nazwiskami, żebym je sprawdzał? Jeden, drugi, piąty? Wiesz, co by to było? Horror. Nikt by tego nie wziął na poważnie, w każdym razie nie natychmiast. Co innego, gdy kartkę się znajdzie u kogoś podejrzanego. To już jest dowód, a dowody to inna sprawa.

\*\*\*

Profesor niewiele znalazł. Ludzie mówili, że za sucho na grzyby, ale on wiedział swoje. Wilgoć czy jej brak niewiele miały do rzeczy. Tu chodziło o kosmitów. Przecież to takie proste! Jednak ten głupi tłum nie był w stanie tego zrozumieć. Chorągiewki, dynie, czarownice... Bzdury! Zawsze się tym denerwował, zawsze cierpliwie tłumaczył, ale to nie działało, a wystarczyło tylko pomyśleć.

– No i co z tymi kosmitami? – zapytał go Marcel, który, aby uniknąć planów matrymonialnych Wiolki i jej maślanego oczu, pobiegł w las za profesorem.

– Kosmici przylecieli tu setki lat temu, najprawdopodobniej do Transylwanii, a Transylwania to teren niebezpiecznie górzysty. Pewnie zepsuł się im statek, a żeby przetrwać, musieli coś jeść. Co mieli jeść? Kapustę?! – tłumaczył Kociótek tonem wykładawcy. – Przecież niechybnie by od tego umarli!

Profesor miał ogólne pojęcie o ideach wyższych, a idee wyższe były, no... wyższe.

– Weźmy taką księżniczkę. Księżniczka nie powinna jeść na przykład kaszanki.

– Ale dlaczego? – Marcel właściwie nie słuchał, ale podtrzymywał rozmowę. To dość powszechna zdolność wśród dziennikarzy, dlatego tak często w nieautoryzowanych wywiadach można znaleźć

dziwne informacje, które czytelnikom jeżą włos na głowie i dają całkiem porządne utrzymanie prawnikom.

– Bo po prostu nie wypada! To o niej świadczy! Zamiast kazać jej spać na grochu, wystarczyłoby podać kaszanke. Jeżeli zje, wynocha! Musi być z gospólstwa! Albo takie kotlety mielone.

– Ale co do tego mają...

– Tak samo musiało być z wampirami, tymi pierwszymi, tymi, którzy się rozbili na tej obcej, nieprzyjaznej planecie. Na pewno dlatego jedli dziewice... Młode, czyste, może nawet umyte? A potem musieli czekać na statek ratunkowy. Nie mogli nadać sygnału, bo niby jak? Za pomocą jakiej technologii?! Musieli więc dotrzeć do dnia dzisiejszego, dlatego tak trochę żyli, trochę umierali, a potem się odradzali. A teraz ja im pomogę!

– Pan im pomoże? – Marcel powtórzył z udawaną ciekawością.

– Oddam im swoją technologię!

Technologię, którą widział Marcel, można było oddać najwyżej na złomowisko, a i to za dopłatą, ale nie zamierzał uświadamiać profesora. Las nie był najlepszym miejscem na samotną konfrontację z wariatem, choć owa konfrontacja była lepszą opcją niż maślane oczy Wiolki.

Owszem, seks był w porządku, seks zawsze jest w porządku, ale żeby zaraz ślub? Wiolka wyraźnie miała poprzestawiane w głowie.

Odeszli dość daleko i powoli przedzierali się przez niskie poszycie. Profesor dokumentował dokładnie na małym dyktafonie to, co zauważał pod drodze.

– Jedenasta trzydzieści dwie, dwa muchomory. Rozdeptane. Prawdopodobnie człowiek. Jedenasta czterdzieści, zagłębienie pod drzewem. Stanowisko opieńki. Nie formują kręgu. Nieco dalej gąski.

– A te łądowniska to co?

– To łądowniska! Przecież kosmici muszą gdzieś wylądować.

– No ale zepsuł im się statek?

– Niczego pan nie zrozumiał – obruszył się profesor. – Owszem, zepsuł się, ale mieli ich więcej.

– To po co to wszystko?

Profesor natychmiast musiał dostosować swoją teorię do słuchacza. To była wielka trudność. Miał niewiele okazji do wygłaszania wykładów, dlatego często ludzie usiłowali go łapać na niedorzecznościach. Jednak on potrafił się z tym uporać.

– Widzi pan? O tam? Jedenasta czterdzieści pięć. Czarczi krąg.

Marcel zrobił kilka zdjęć tego mykologicznego zjawiska kosmicznego. Nie liczył na to, że takie ujęcia mu się przydadzą, ale jeżeli dopisze do tego jakąś makabryczną historię, zawsze może spróbować na tym zarobić.

– Czarczi? Dlaczego czarczi?

– Tak to ludzie nazwali. Wiedzieli, że to specjalne, magiczne, to znaczy kosmiczne miejsce, dlatego uważali, że w takich kręgach tańczą diabły. No, albo czarownice.

– A to były wampiry?

Coś zajęczało i zaszeleściło. Może to był tylko wiatr, a może wyobraźnia, ale Marcelowi dreszcz przebiegł po plecach. Był hieną, owszem, nie wierzył w duchy, drugie owszem, ale miał zdecydowanie słaby charakter. Często ulegał wpływom. Z zasady tym złym. Uleganie dobrym wpływom nie zalicza się do słabości charakteru.

\*\*\*

Sprzątaczką Wiejakową widziała komendantka pod sceną, ale nie wiedziała, jak do niego podejść. Przecież nie mogła się tak po prostu przyznać, że grzebała w papierach na posterunku.

Obie z siostrą długo nocą debatowały nad całą sprawą.

– Jak to żeś mówiła, że co tam pisało? – raz po raz pytała siostra.  
– No, że lisy. Że mu szramy na łbie widać. Te od zastawy ślubnej, co żeś mu na łbie rozbiła.  
– Toby był on.  
– I cycki wielgie miał.  
– No, tyż on. Wielgie miał.  
– I że zwyrodnialec.  
– Zwyrodnialec!  
– No bo tam pisało, że on był jakiś zwyrodnialec stawowy.  
– Stawowy! Jasne, co niedziela na ryby chodził. Co niedziela, a i w soboty czasem tyż. Zwyrodnialec. Czyli Józek jak nic. Nie to, że go z powrotem chcę, ale jak go już znaleźli, to choć mu mordę obiję.  
– Żesz tam, zaraz obijesz... Nie ludź się, będą go pilnowali. Tylko ciekawe, gdzie go znaleźli, bo od doniesienia, to już minęło, że ho, ho...  
Fakt faktem, od doniesienia o zaginięciu Józka minęło dobre kilka lat.  
– A i kość miał jakąś skrzyżowaną, jakby takie od trucizny? Albo kościany krzyż? Twój Józek miał?  
– Od trucizny to nie wiem, ale krzyżyk to mógł mieć.  
– Kościany?  
– A bo ja wiem? Może mu jaka jego flądra dała? Mógł, czego miał nie móc. Zakazu ni ma. Siostra Wiekowej, Maryśka Norek, aż rwała się do konfrontacji.  
– To idziem do tego policjanta?  
– Kiedy nie bardzo możemy. O pracę mnie chodzi. To trzeba jakoś inaczej. A jakby tak do Lilki Bryłowej?

\*\*\*

Maciek i Hanka poszli w las. Może nie jak ogary, ale jednak poszli. Niby mieli coś sprawdzać, ale w sumie mieli też ochotę porozmawiać sam na sam.

– A ty dlaczego stąd odszedłeś? – zagadnęła Hanka, licząc na bardziej prywatne zwierzenia. Od czegoś trzeba było zacząć. – Żle ci tu było czy kariery ci się zachciało?

– Ani jedno, ani drugie – roześmiał się chłopak. – Było w porządku, ale trudno być policjantem w takim małym miasteczku, gdzie każdy cię zna od oseska, no i matka się ciągle wtrąca: a załatw to, a zrób tamto, a pomóż temu... Wszyscy do niej jak na komisariat leźli, bo komendanta się bali, a ja miałem przechlapane. A ty? Jak się dostałaś we władanie poganiaczki niewolników?

No tak, Marikę rzeczywiście można było nazwać poganiaczką niewolników. Traktowała pracownika jak swoją własność, a jego pensję jak przykrą konieczność. Ale praca to praca. Hanka nie odpowiedziała, nie chciała narzekać.

Szli dróżką pośród drzew, romantycznie przytuleni. Nie miała ochoty akurat teraz rozmawiać o swojej szefowej.

– No i wiesz, moja dziewczyna trochę źle się tu czuła.

Tego Hanka nie przewidziała. Natychmiast odsunęła się od Maćka. Cholera jasna! Cholera jasna, pomyślała zła na siebie, na niego i oczywiście jak zwykle na los.

– Hej, nie mówiłem...

Hanka nie słuchała. Miała ochotę się rozplakać, a płacz przy ludziach nie wchodził w grę. Co to, to nie! Miała ogromne poczucie własnej wartości i nie zamierzała mazać się przez faceta. To znaczy zamierzała, ale na litość boską, nie przy nim! Nie patrząc na gąszcz krzaków, ruszyła do przodu.

– Chodźmy lepiej zobaczyć to miejsce pod krową – warknęła, prąc do przodu jak taran. – Nie ma co się tak włóczyć po lesie bez sensu. My tu gadu-gadu, a czas leci. Przecież nie będę siedzieć

w nieskończoność w tej zapadłej dziurze!

– Ale zaczekaj... – Maciek oczywiście zorientował się, że coś jest nie tak, ale nie do końca wiedział co. Czy Hance poszło o jego lenistwo, czy o byłą dziewczynę? No przecież wyraźnie powiedział, że była... Albo nie powiedział?

Ruszył za Hanką w stronę pensjonatu. Las co prawda nie był gęsty, ale i tak było się przez co przedzierać.

\*\*\*

Coś zajęczało i zaszeleściło. Marcel wzdrygnął się na myśl o pomysłach profesora. Ten facet zdecydowanie przesadzał. Najpierw nietoperze wampiry, potem kosmici, a teraz jeszcze diabły i czarownice.

– No a pan jakiegoś już spotkał? – zagadnął, żeby trochę się uspokoić.

– Nie, no co pan. Oczywiście, że nie, ale jak spotkam, to wiem, co zrobić!

– Uciekać? – zapytał z udawanym rozbawieniem, co wywołało wyraz oburzenia na twarzy Kociołka.

– A po co? Gdyby chcieli, to i tak by pana dopadli. Nawet na drzewo nie ma sensu uciekać, bo przecież latają.

– No to można by udawać martwego.

– To nic nie da, wyczuwają bicie serca.

– O szlag! – jęknął Marcel blady jak ściana. – To po co pan ich tu przywołuje?!

– Dla dobra nauki – odparł profesor, dumnie wypinając pierś.

W oddali usłyszeli kilka trzasków i głośne przekleństwa. Dał się słyszeć jakiś chłopot. Z drugiej strony strzelały łamane gałęzie.

– Widzi pan – oburzył się profesor. – Turyści wszystko niszczą, łamią, wyzywają i nic! A mnie pracować to się nie pozwala. Wie pan, co by było, gdyby odpowiedzieli na moje wezwanie?

– Wymordowaliby pół miasteczka – mruknął Marcel, ale niezbyt głośno. – No, hmm, nie wiem – dodał dla świętego spokoju.

– Ja bym im powiedział, o tak. – Profesor napuszył się, wyjął z kieszeni karteczkę, którą wyraźnie miał przygotowaną na tę właśnie okazję, i zaczął recytować: – Drodzy kosmici! Przybywamy w pokoju!

– Przecież to oni przybywają?

– Niech pan nie przerywa! Drodzy kosmici! Przybywamy w pokoju! O cholera, o ja pierdziele, o Jezus, Maria!

– Dość niekonwencjonalnie – stwierdził zdziwiony Marcel. Wracali już do pensjonatu i wiedział, że za chwilę uwolni się od wariata. – W sumie można i tak – uznał, po czym potknął się i wpadł do dołu wypełnionego wodą.

– O szlag – jęknął. Spojrzał dookoła siebie i zobaczył dwa diabły, może dwie diabły? W każdym razie dość paskudne, czarne postacie. Były wielkie, grube i groźne. Wyglądały jak nietoperze XXL. Oblepione swoimi skrzydłami, wyciągały do niego szpony. – Drodzy kosmici! Przybywamy w pokoju! Przybywamy w pokoju! – wrzasnął w panice. – Przybywamy w pokoju!

– Hanka, uważaj! – zawołał Maciek, podbiegając. – Uważaj!

Hance nawet nie chcieli się odpowiadać.

– Odpieprz się – warknęła wściekle i stanęła jak wryta, niestety zbyt późno.

– Uważajcie! – krzyknął piskliwym głosem jeden z wielkich nietoperzy.

– Przybywamy w pokoju! – rozdarł się Marcel.

– Kto to tak rozkopał? – westchnął Kociołek.

Obok nich pojawił się nie mniej czarny, umazany błotem i bardzo szczęśliwy winowajca.

– Zyzol! – jęknął Maciek. – Coś ty narobił?!

Szczęśliwy pies zaszczekał, merdając ogonem i otrzepując się z błota typowym psim sposobem, czyli wywołując wokół siebie błotną trąbę powietrzną.

– Pani Wiejakowa! – Maciek poznał jedną z postaci. – Co tu się stało?

– A do twojej matki żeśmy szły w sprawie Józka, co go znaleźli, i żeśmy tu wpadły. Że ta Wierciuchowa pod domem takie dziury kopie! Niepodobna. Wszędzie pełno skorup, to się pośliznęłam.

Maciek dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wykopana przez Zyzola wielka dziura coraz bardziej napełniała się wodą.

Hanka wściekla wygramoliła się z błota. Marcel trochę jeszcze się potapał, bo przywalony Hanką, zapadł się nieco głębiej. Po chwili i on wydobył się z błotnej pułapki. W rękę ścisnął kawałek plastikowej rury.

– Zyzol! Coś ty narobił! – jęknął Maciek. – Wierciuchowa cię zabije!

Maciek wziął rurę od Marcela.

– Zabije jak nic.

Wtedy Hanka pochyliła się nad wodną pułapką i wygrzebała coś patykiem.

– Patrz. – Podała znalezisko Maćkowi. – Co to może być?

Wszyscy patrzyli na dość duży, srebrny krzyżyk. Stary, może nawet zabytkowy, prawdopodobnie cenny.

– Józkowy? – zapytała Wiejakowa.

– A bo ja wiem? Pojęcia nie mam, ale raczej nie Józkowy. To jest srebrne, a on ma jakąś kość krzyżkową. To pewnie jaki kościany krucyfiks.

– Kość krzyżową? Chodzi wam o kość krzyżową? – zapytał Maciek, nie bardzo nawet zastanawiając się po co.

– O, o! Tak tam stało. Krzyżową, krzyżkową, jeden pies.

– No nie, to nie krucyfiks, tylko kość ludzka... Kość krzyżowa jest w miednicy.

– Jak to w miednicy? Jak to w miednicy? Józka żeście poćwiartowali?! – wrzasnęła i o mało nie zemdląła.

Kiedy udało się ją docucić, wszyscy ruszyli do Piotrusia. Wiejakowa i jej siostra nie chciały słyszeć o powrocie do domu, zanim nie porozmawiają z Lilką. Hanka szła wściekła obok Maćka, rzucając mu nienawistne spojrzenia. Profesor szukał zaginionej kartki z przemową do kosmitów, a Marcel wypatrywał zagrożenia w postaci Wiolki.

– No co? – zagadnął w końcu Maciek. – Co ja znowu takiego powiedziałem? Zrobiłem coś nie tak? Normalnie jest okej, wszystko gra, a tu nagle ciach i nie można się do ciebie odzywać, bo warczysz.

– Ja warczę? Ja warczę?! – warknęła Hanka. – Ja jestem spokojna i rzeczowa. Ja tylko usiłuję rozwiązać jakoś tę sprawę, nie to, co inni.

– Tak, oczywiście, spokojna. Rozwiązać, wiem, jasne, ale co ja ci zrobiłem?

Naprawdę się starał zrozumieć cokolwiek z tej sytuacji.

– Ty? Mnie? A co ty mógłbyś mi zrobić? – prychnęła, ostentacyjnie wzruszając ramionami.

– Nie, no nic, ale wygląda, jakby... – Płatał się jak dzieciak.

– Jakby co?! – wrzasnęła Hanka. – Jakby co?!

– Jakby nic, ale chodzi o to, że coś tak jakby było między nami, a teraz...

– No, mój panie! – Hanka rzekła to wyniośle i głośno, aż wszyscy się odwrócili. Zresztą i tak już byli na podjeździe Piotrusia, gdzie zaczęli wzbudzać zainteresowanie zbierających się na obiad, bardzo nielicznych mieszkańców pensjonatu. – Mnie w to nie mieszasz!

– Ale w co?

– W te twoje baby! – odwarknęła. – Może twoja dziewczyna ci na to pozwala, ale ja nie lubię cudzych facetów!

– Że ja jestem cudzy? – zdziwił się niepomieranie.

– No, cudzy – odparła. – Zajmij się lepiej tą swoją dziewczyną, a nie pieprz głupot.

– Ale jaką dziewczyną?

– Jaką? Jaką? Sam mówiłeś jaką. Tą, która się źle czuła w Zagubinie!

– A, tą – ucieszył się Maciek. – Ale ona... Tego...

– Co tego?

– No, ona sama się sobą zajmuje. Od dawna. To moja była dziewczyna. Była! Nie rozumiem, o co ci chodzi. Jesteś zazdrosna?

Hanka odetchnęła z ulgą.

– No co ty?! Zazdrosna? Głupoty opowiadasz! – odpowiedziała spokojnie. – Lepiej zajmijmy się sprawą – dodała, udając obojętność, ale po chwili pocałowała go w policzek.

Jednak błotna trąba powietrzna w postaci Zyzola była zazdrosna, i to bardzo. Skończyło się na kolejnych strugach błota i awanturze z Wierciuchową, która musiała wzywać pomoc, na dodatek w niedzielę, a to przecież kosztuje. Mogła też pozostać bez wody...

\* \* \*

Siedzieli w gabinecie. Komendant, Maciek i Norkowa, która przyszła się awanturować o swojego chłopca. Miała zwyczaj awanturować się dwa razy do roku, przed Bożym Narodzeniem i przed Wielkanocą, kiedy napadały ją uczucia małżeńskie. Tego dnia awanturowała się ponad plan.

– Pani Norkowa, już pani mówiłem, że Józek jest pełnoletni – jak zwykle spokojnie tłumaczył jej komendant i jak zwykle wiedział, że wywoła to wybuch niekontrolowanej, agresywnej zgrozy.

– No wiem, ma już koło sześćdziesiątki, to co? Pełnoletni, też coś, a głupi! I tak macie go znaleźć. Znaleźć i przyprowadzić do mnie, prawowitej małżonki. Bo ja prawowita jestem. Pra-wo-wi-ta! Słyszysz mnie pan?! Ja!

– Słyszę, słyszę. Znaleźć, to już go znaleźliśmy. Przecież z panią o tym rozmawiałem. Dziesięć lat temu.

– To gdzie on jest? To gdzie on? No? Bo ja go nie widzę!

– I nie zobaczy go pani, dopóki sam tego nie zechce. Ma prawo!

– Jakie prawo? Jakie prawo? Przecież on mój jest! Mój. To gdzie się podziewa?

– Nie mogę pani powiedzieć. Nie życzy sobie. Jest, żyje, ale nie chce wracać, a ma do tego prawo!

– Gówno ma, nie prawo! Jestem jego prawowitą... A to, co żeście tam ostatnio, no, że ma cycki i szramy na głowie i zwyrodnialec jest stawowy? Ha! Niech mnie pan nie czaruje, ja swoje wiem! Coś z nim jest nie tak!

– Wiejakowa, ja panią zabiję – wrzasnęła komendant na korytarz. – Znów żeście w papierach grzebała!

– No i co? Sprzątała. Józka mnie znalazła!

– Nikogo nie znalazła, to nie on. To skiecie! Pani przestanie i da spokój temu biednemu chłopu!

Wszyscy w miasteczku wiedzieli, że Józek Norek nie ożenił się zbyt szczęśliwie. Niby nic nie mówił, nie skarżył się, bo i jak? Facetowi nie wypada, ale aż strach było patrzeć, jak chodzi z podbitymi oczami, cały posiniaczony, ze szramami na głowie.

Norkowa w młodości podobno była całkiem ładna, ale ciężką rękę miała. Biła swojego chłopca, że aż drzazgi leciały, a on nad wyraz spokojny i grzeczny był. Ręki na żonę nie podniósł, zresztą pewnie by mu ją odrąbała, więc po prostu uciekł.



– Biednemu chłopu? – rozsierdziła się Norkowa. – Biednemu? Ja mu dam, biednemu, jak tylko go dopadnę! Chcę zobaczyć ten papier, co o Józku pisze! Który to?

– Żaden.

– Pan pokaże! Sama zdecyduję! Pokaże pan!

– Nie mam zamiaru – wściekł się komendant.

Nie wiedział, jak się pozbyć Norkowej, która za pośrednictwem matki Maćka poprosiła go o rozmowę, a teraz siedziała i czepiała się go jak rzep psiego ogona. Na ławce w korytarzu czekały już pani Basia i jej kuzynka Sara, które przywiózł Maciek z Krwiożerczego Piotrusia.

Nagle usłyszeli podejrzany zgrzyt.

– A co to jest, do cholery?! – wrzasnęła Wiejakowa z daleka.

Do jej wrzasków jakoś się wszyscy przyzwyczaili. Musieli. Po pierwsze, miała umowę i trudno byłoby ją zwolnić, po drugie, założyła Związek Zawodowy Sprzątaczek Policyjnych (ZZSP), była jego jedynym członkiem i przewodniczącą, a po trzecie, trzeba powiedzieć, że pracowała uczciwie, co bardzo się liczyło, i gdyby nie jej wścibstwo, gadulstwo, plotkarstwo i niewyparzony język, byłaby ideałem. Komendant wiedział, że ideały nie istnieją. Wiejakowa za to istniała, czasami nawet za bardzo.

– A toto. Cholerstwo jakie. Przyklejone tu takie... Jakem wczoraj podłogę myła, to dało się przesunąć, a dziś nie daje.

Zapadła cisza, w której wszyscy pokładali nadzieję. Wielką, ogromną, żarliwą nadzieję, że to, o czym pomyśleli, nie może być prawdą. Po chwili usłyszeli jęk, stęk, jakieś szumnięcie, dziwne odgłosy i kilka choler.

– No co jest, no! To cholerne pudło się rozpieprzyło na cacy i coś z niego strasznie wali. Ło Boże, jaki smród! I coś wycieka, jakieś takie z pianą i maziste...

Nadzieja odbiegła szybkim sprintem, aby się gdzieś ukryć, tak jak i pozostali. Teraz już wiedzieli. Zresztą w chwili później usłyszeli wrzask.

– Panie komendancie! – wołała aspirant Nieróbek. – Ewakuować się trzeba! Natychmiast! Wiejakowa bombę rozwalila.

– Co zrobiła?!

– Rozwaliła bombę, co żeśmy z piwnicy na korytarz wynieśli, bo cele były potrzebne, i teraz się z niej coś wylewa...

– Z Wiejakowej?

– Z bomby!

– Kiedy, panie komendancie, to nie ja! Sama się rozwaliła, gdy ją chciałam przestawić. Zamiatałam. Bomba bombą, a czysto być musi! To się do podłogi przykleiło i wyciekło, co miałam zrobić?

– Kretynka!

– Komendancie! Ja sobie wypraszam! W związku jestem! Mnie pan nie będziesz wyzywał.

Smród, który zaczął się wydobywać z korytarza, powoli, ale zdecydowanie opanowywał biura i salkę konferencyjną. Była to woń zepsucia i zgnilizny, potu, starych skarpet, moczu, wymiocin, gnojówki, zepsutego mięsa i niemytego chłopca.

– Gaz! Gaz! – wrzasnął ktoś i wszyscy zaczęli zasłaniać usta oraz nosy czym się da.

Petenci prysnęli na zewnątrz, co nawet ucieszyło komendanta.

Poczuł amoniak.

– Amoniak?! Zagazują nas!

– Zagazują? Wszyscy przed budynek! Natychmiast! – rozkazał komendant i w ten sposób wywołał katastrofę w ruchu korytarzowym, bo wejście było tylko jedno, i to dość wąskie, a spóźniona pani Basia miała swoje rozmiary.

Wezwano saperów. Tym razem przyjechali natychmiast z pobliskiego poligonu, gdzie utylizowali sześć niewypałów znalezionych w piwnicy domu młodocianego grzybiarza, który metodą prób i błędów robił z nich darmowe fajerwerki. Metoda była nawet skuteczna, jeżeli chodzi o błędy. W tej właśnie chwili lekarze zastanawiali się poważnie, czy to, co znaleźli na suficie, da się jeszcze jakoś przyszyć.

Bombę wyniesiono przed budynek.

Kleista maź wydobywająca się wulkanicznie z rozerwań pudła robiła paskudne wrażenie. Była żółta, ciepła, agresywnie zachłanna i chyba żywa. W każdym razie miała tendencję do pożerania mniejszych przedmiotów.

– Broń chemiczna – zawyrokował jeden z policjantów ze zgrozą.

Sara wstała ze schodków i z daleka z zaciekawieniem zaczęła węszyć jak rasowy pies posokowiec. Miała rozanieloną minę znawcy.

– Och, Époisses? Vieux Boulogne... Takie wspaniałe francuskie sery! Jak pięknie pachną! Tyle dobra... U nas we Francji...

– Sery? Ta pačka, która bulgocze, jakby chciała kogoś pożreć, to ser?

Dopiero wtedy okazało się, że bomba zawiera produkty żywnościowe. Poważnie zepsute i zamienione w wulkaniczną lawę sery, kasztany, zgniłe owoce i szesnaście potłuczonych słoików pastetuzi z gęsich wątróbek.

– Jezu! – jęknął komendant. – Te dwie wariatki twierdziły, że to bomba.

Hanka, która także przyszła na posterunek wraz z Maćkiem, wzruszyła ramionami.

– Mówiłam, że są rąbnięte.

– Ta rozumiem, ale tamta? – Wrócili do gabinetu, gdzie leżały równiutko poukładane strony faksów. – Tamta, która wybuchła u mnie w domu, to były jakieś fajerwerki. I zapalnik. Czyli ktoś chciał zabić moją żonę. Boże, co za świr chciałby zabić moją żonę!?

– Stawicki! – stwierdziła Hanka. – Stawicki morduje kobiety, które się nim interesują. Może je gwałci...

– Pani się zamknie, pani Hanko! – warknął komendant. – Nie gwałci.

– No dobra, ale wiemy już coś konkretnego. Morduje. Morduje kobiety. Licząc od początku, trzy teraz, cztery wcześniej i ta piąta, to będzie siedem, choć pana żona jeszcze żyje.

– Jeszcze? – mruknął lodowatym tonem Kurzydło. – Sądzi pani, że... No...

– No, jeszcze. Przecież nie wiadomo.

– Ale dlaczego wyliczyła pani siedem? Mnie to wygląda na pięć plus Irenka, to sześć, a która siódma?

– Ta szkieletowa! Pewnie zabił ją dwadzieścia lat temu... Może trzydzieści. Zakopał i w ogóle jakoś mu się udało. Mógł liczyć na to, że się nie wyda.

– Nie mógł.

– Mógł! – uparła się dziewczyna. – Mógł! Przecież się nie wydało, prawda?

– No tak, ale to był facet!

Komendant pokazał im faks od patologa.

– Wszystko wskazuje na to, że to był mężczyzna. Choćby kość krzyżowa, wyrostki sutkowate, o, i jeszcze jest pęknięta kość ogonowa, choć to akurat...

Wiekajowa zajrzała do gabinetu przez wciąż, z powodu smrodu, otwarte drzwi. Okno trzeba było zamknąć, bo teraz smród dostawał się właśnie przez nie, więc zostawiono drzwi otwarte.

– Sprzątać chcę, bo mi podłogę tą bombą zafajdali! – wrzasnęła. – Wdeptali toto w wykładzinę – stwierdziła ze znawstwem. – Ogonowa? Czyli jednak wampir! Oni mają ogony!

– Pani stąd idzie! – wrzasnął komendant. – Nie wampir!

Poszła. Uzbrojona w nieodłączną komórkę, poszła szerzyć plotkarską zarazę.

– Maryśka – zagadnęła siostrę. – A Józek to ogon miał? Nie, nie o ten mi chodzi. Taki normalny, bo kość ogonową znaleźli... Nietoperze? Znaczy wampiry? No to jesteśmy w domu!

Plotka znów zaczęła szaleć po mieście i sobie tylko znanymi sposobami zawiadomiła większość mieszkańców, że mieli rację.

– Znaczy ten kościotrup był wampirzy, co go znaleźli. I ogon miał. Kościotrup ogon miał. Znaczy nie człowiek. Ludzie nie mają ogonów.

\*\*\*

Wiejakowa wyjęła kartkę i przeczytała, sylabizując:

„Chłopa przywracanie do własności”.

Nie rozumiała siostry, nie wiedziała, po co ta uparła się na tego Józka, który tyle lat temu uciekł, ale musiała jej pomóc. W końcu siostra to siostra.

„Chłopa należy przestraszyć i do opamiętania przywieść...”

Trzeba odprawić kilka rytuałów i chłopa zacząć nękać w jego snach, aby mu zaszkodzić, zniszczyć albo zrujnować”.

Wiejakowa wraz z siostrą chciały wszystkiego naraz oraz tego chłopa z powrotem.

„Wszyscy wiedzą, że rytuały z trupią wodą i ziemią cmentarną są najlepsze i mają śmiertelne działanie. Takie rzeczy robi się na całym świecie, a osoba, chłop, nie musi być nawet w pobliżu, wystarczy, że ma się jej imię lub cokolwiek, co do niej należało”.

Norkowa miała wszystko, co do jej chłopa należało, oprócz samego chłopa.

„Można też rzucić kłutwę wampirzą, ale do niej trzeba jakiejsi części tegoż stworzenia, jak szpon, skrzydło albo ogon, który ciemną nocą spalić należy, z ziemią cmentarną i trupią wodą wymamlać i imię człowieka napisać na białej ścianie”.

I tyle. Ziemię cmentarną miały, wodę, może nie trupią, ale też, teraz trzeba było kawałka wampira, jedynym, jakiego znały, była Dziuńka, a więc potrzebowały kawałka Dziuńki, a właściwie nie kawałka, tylko ogona.

Akcja rozpoczęła się w dwie godziny później. Wiejakowa była już po pracy, Norkowa wydelegowała syna, który był mocno zakręcony, ale za to silny, i został właśnie wypuszczony ze szpitala po tym, jak zjadł pięćdziesiąt sześć opakowań witaminy C, bo chciał zobaczyć, jak to na niego zadziała.

Był zdecydowanie typem maniakałnym i Norkowa często go gdzieś wysyłała, żeby mieć trochę spokoju. Fascynował się wszelkimi nowinkami technicznymi zalezionymi w sieci. Wszystkie wypróbował namiętnie w domu, co wyraźnie zmniejszało jego szanse na przeżycie, bo miłość miłością, ale jego matka naprawdę miała ochotę czasem go zabić. O mało nie zatłukła go miotłą, kiedy dodał gipsu do sernika. Chciała urwać mu łeb, kiedy obrał ziemniaki szczotką do mycia toalet, niestety używaną. Podbiła mu oko, gdy wsadził arbuza do mikrofalówki. Właściwie to mikrofalówka podbiła mu oko, matka tylko poprawiła.

Ostatnio też trochę przedawkował pornografię i matka zaczynała się naprawdę o niego martwić. Dlatego pomysł siostry przyjęła z zachwytem.

– Dobra! – powiedziała. – Niby Remuś ma tylko dwadzieścia siedem lat, ale do tego się nada. Tatusia kocha!

Tak więc Wiejakowa, Remuś i kolega Remusia, Romuś, rozpoczęli akcję ogonową.

Była to akcja ogonowa, bo szponów się bali, skrzydła nie wchodziły w grę, a ogon... No cóż.

Dziuńka szła powoli, lekko się zataczając. Nie była pijana, to po prostu był poniedziałek, a ona zdążyła przed siebie, zupełnie nie wiedząc, dokąd ma się udać. Do Piotrusia jej nie ciągnęło, w parku nie chciała się pokazywać, na truchło nie miała funduszy. Liczyła na jakiś cud. Czasami się zdarzają.

Tuż za sobą usłyszała dziwne szemranie.

- Że niby co?
- No nic, dopaść.
- Spódnicę zadrzeć.
- I zgwałcić! – powiedział ktoś, kto chyba był niespełna rozumu, bo Wiejakowa jęknęła.
- Zwariowałeś, Remuś?!
- Tylko dopaść – skwitował kolega. – Może choć przetrząść?
- I zgwałcić!
- Dziwnkę? Życie ci niemiłe?! Zabierz stąd tego idiotę.
- Ale sam nie dam rady – zachnął się Romuś. – Niby ona nieduża, ale jak wampir, to będzie się bronić. Kołki zabrałem i młotek!
- Zwariowałeś? Będziesz ją dźgać?
- I gwałcić! – ucieszył się Remuś.
- A może trzeba do profesora? – Wiejakowa spanikowała.
- I zgwałcić?
- Remuś, a po co ty profesora będziesz gwałcić? – westchnęła Wiejakowa, która jako szef operacji zrozumiała nagle, że będzie miała kłopoty z opanowaniem sytuacji, w której rozbudzona pornografką chuć Remusia zaczynała odgrywać niebagatelną rolę.
- Powoli, kryjąc się po krzakach, śledzili Dziwnkę, która wcale im nie uciekała, ale nie było sensu jej napadać ot tak, na ulicy.
- Niech wejdzie w las! Tam będzie można...
- Ją zgwałcić! – dokończył Remuś. Nikt tego nie skomentował.
- Ale po co obrywać ten jej ogon? – zapytał kolega Remusia. – Jak ma, to niech ma, nie?
- To dla mamusi i tatusia – oświadczyła Wiejakowa.
- I będzie można...
- Remuś! – warknęła ostrzegawczo.

\* \* \*

Komendantowi w ogóle nie podobał się pomysł seryjnego zabójcy w Zagubinie.

- Pani Saro, kto to jest Eliza Gracja Dupont? – zwrócił się do siedzącej w korytarzu kuzynki pani Basi.

- Nikt... Eliza Gracja? Nie, no chyba że Liza, bo Liza Dupont to, hm, była moja córka. Liza, nie Eliza. No i nie Gracja, w żadnym wypadku nie.

- Nie żyje?

- Dlaczego miałyby nie żyć? Żyje, tylko zmieniła nazwisko. Wyszła za mąż...

- A cała ta sprawa z Klapem?

- Nie było żadnej sprawy. Kręcił się koło mojej córki, ale to było dawno temu.

- Czyli nie zamordował jej? – z żalem w głosie stwierdziła Hanka, co wywołało zgrozę na obliczu komendanta.

- A te pozostałe? Aleksandra Mark? Mariola Tracz? Wolska Eulalia?

- Nie znam – odparła Sara dość niepewnie.

Hanka westchnęła z rezygnacją.

- Czyli Stawicki zamordował faceta, a teraz te kobiety. Tylko o co chodzi z tymi nazwiskami. Pani Saro?

– Nie wiem! Wiem tylko, że jakiś czas temu ten facet nazywał się Klap i mieszkał we Francji oraz że chciał się żenić. Fakt, naciągnął córkę na kilkanaście tysięcy franków, bo to dawno było... Miał niby samochód kupować czy coś takiego, a potem zniknął.

Dłgie poszukiwania pozostałych nazwisk w internecie niewiele dały, bo Mariola Tracz pojawiła się w wyszukiwarce siedemset dwadzieścia trzy razy, Aleksandra Mark pięćset dziewięćdziesiąt sześć, a Eulalii Wolskiej nie było wcale. Należało poszukać w bazach policyjnych, ale na to trzeba trochę czasu i zachodu.

Zresztą same imiona i nazwiska niewiele mówiły, bo mogły być nieaktualne, nie podawały wieku, nie wiadomo było nawet, w jakim języku szukać.

Na dodatek nie musiały mieć żadnego znaczenia. To przecież mogła być lista osób umówionych do kosmetyczki, no może nie, bo nie było dat ani nawet godzin, ale na przykład lista zapisów na jakąś książkę. Spis dawnych kochanek? Zapisy na małego fiata albo jakaś stara lista kolejkowa...

– Czyli naszą teorię szlag trafił? – jęknęła Hanka.

– Niekoniecznie. Mógł zabić faceta i te kobiety... I chce zabić moją Irenkę...

– Ale skąd wiadomo, że faceta ktoś zabił?

– A jak sobie to pani wyobraża? Facet sam sobie głowę obciął i sam się pochował? Trochę to nielogiczne.

– Mógł umrzeć zwyczajnie, a ktoś inny go porąbał... No tak, tylko po co by mu głowę obcinał?

– Bo to wampir był! – zawołała pani Basia. – To trzeba mu było głowę obciąć. A kolka jakiego tam nie znaleźliście?

– Niech pani przestanie – uspokoił ją Kurzydło. – Ale fakt, niczego nie znaleźliśmy, choć, o tu widać, część kości gdzieś zaginęła.

– Zaraz! Dziura! – zawołała Hanka. – Przecież to tam Wierciuchowa wyspała ziemię z pagórka. Może tam są te kości?

– I ktoś to potem rozgrzebywał.

– Zyzol – jęknął Maciek.

– Nie, Zyzol to potem, ale wcześniej ktoś kopał, przecież pani Basia mówiła, że ogrodnik jakiś tam był. Tylko po co komuś te kości? Pani Basiu, pozwoli pani do nas!

Kobieta z ciężkim westchnieniem weszła do biura.

– A ten ogrodnik to może Stawicki? Nie wie pani?

– Nie, no co pan, przecież ja wiem, jak wygląda Stawicki. – Zaczerwieniała się zawstydzona. – W tym biurze matrymonialnym widziałam jego zdjęcie, no i wczoraj... Nie, ten ogrodnik to ktoś inny jakby był.

– Jakby?

– No jakby. Bo ja go dokładnie nie widziałam.

– Ale...

– Noc, ciemno choć oko wykol! Tak jakby z tyłu go widziałam, ale przystojny był!

– Skąd pani wie, że przystojny, skoro go pani nie widziała?

– Z tyłu przystojny był! Z tyłu!

– A teraz wszystko zostało zalane.

Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że szkielet, wampiryczny czy nie, ten, który wywołał tyle kontrowersji w miasteczku, nie był jakimś tam dawnym, historycznym pochówkiem wampirycznym, ale całkiem niedawną ofiarą zbrodni. Odcięcie głowy mogło zmylić, ale już ślady ostrza na kościach żeber nie pozostawiały złudzeń. Ktoś go zamordował.

Ktoś kogoś zamordował. Tak powinno się chyba powiedzieć, bo ani mordercy, ani ofiary nie dało się w tej chwili zidentyfikować. Wiadomo było tylko, że zamordowany był mężczyzną około czterdziestki. Może nieco starszym. Nic więcej. Wszystko inne było średnie. Średnia budowa ciała, średni wzrost...

Żadnych znaków szczególnych i żadnych innych danych. Kilka zbutwiałych skrawków ubrań nie odkryło jeszcze swoich tajemnic. Komendant liczył, że uda mu się wysłać prośbę do specjalisty, żeby choć ogólnie określić wygląd tego kogoś, ale było to prawie nierealne.

– Czyli mamy zabitego dwadzieścia lat temu mężczyznę. Zabite teraz dwie kobiety. Stawickiego, z którym to się łączy, oraz świra od bomby, bo tej bomby nie robił nikt normalny.

– I wampiry... – dodała pani Basia, jakby były w tej sprawie najważniejsze.

– Ech...

– A badania genetyczne? – zasugerowała Hanka, ale komendant tylko pokręcił głową.

– Robią się, ale i tak nie będziemy wiedzieli, z kim je porównać! Przecież to może być każdy.

– No i nie wiadomo, czy wampiry mają DNA – wtrąciła trzy grosze pani Basia. – Profesor mówi, że są z innej planety. Oni tam mogą to całkiem inaczej załatwiać.

– Na litość boską, co, pani Basiu? Morderstwa? – jęknęła Hanka, której już zupełnie nie chciało się siedzieć na posterunku, ale nie bardzo wiedziała, jak się wyrwać.

– No to właściwie nie jest takie całkiem głupie. Może zabił go inny wampir?

– I odciął mu głowę?

– No. Zawiść, zazdrość, niedobór w dziedzinie dziewic, instynkt terytorialny i takie rzeczy?

Tu Hankę dopadło olśnienie.

– Maciek! Profesor!

– Co profesor?

– Przecież on dziś zabiera turnus do lasu! Robi zajęcia z poszukiwania czarcich kręgów! Musimy tam iść. Przecież może dojść do katastrofy!

Katastrofa, jakkolwiek pięknie się zapowiadała, musiała poczekać, bo przyszły badania próbek z Dziuni.

– Krew zwierzęca – oznajmił komendant naprawdę bardzo zawiedziony. – Ani grama ludzkiej. Czyli nie ma dowodów na to, że Dziunia miała coś wspólnego ze śmiercią Kowalskiej.

\*\*\*

Babcie wezwano na posterunek w związku z zawartością ich bomby żywnościowej i kazano im natychmiast zabrać sprzed budynku to, co z niej zostało.

Widząc je z taczka i szuflą, Hanka uciekła najszybciej, jak się dało, ciągnąc za sobą Maćka.

– Wiesz, one są w porządku, ale czasami mam ich dosyć – westchnęła. – Albo nie, zawsze mam ich dosyć, to znaczy zawsze, gdy są w pobliżu. Tak normalnie, z daleka mogą być.

– Nie pamiętam, żebyś tu przyjeżdżała, gdy byłem młodszy.

– Bo babcie mieszkają tu od niedawna. Najpierw mieszkają we Wrocławiu, potem jakoś się dogadały i kupiły ten dom w Zagubinie. No wiesz, tu jest zdecydowanie taniej, a we Wrocławiu nie byłoby ich stać na więcej niż dwa pokoje. Tutaj mają ładny domek, mieszkają razem, ale nie wchodzą sobie w drogę, jeśli nie chcą. A ty jak znosisz ciotkę?

– Wiesz, Wierciuchowa to potwór, ale mama jakoś się z nią dogaduje.

– No właśnie, i cała ta sprawa z biurem.

– Marika jest łasa na pieniądze. Zresztą one obie „jaja spod suki by zjadły”, jeżeli wiesz, o czym mówię. Pieniądze są najważniejsze. Zobacz, jak wygląda pensjonat...

– Fakt, jest zaniedbany.

– Zaniedbany? Mało powiedziane. To jedna wielka prowizorka. Wszystko tu trzyma się na cholerne słowo honoru i gdyby nie wampiry, nikt by tu nie przyjechał. Ale wampiry robią swoje i miejś noclegowych brakuje, więc i Piotruś korzysta. Sama widziałaś, jak ona ludzi karmi.

– No, masz rację. A ten profesor?

– Profesor to wariat, ale raczej nieszkodliwy. Przyjeżdża tu od dawna, ale tylko dlatego, że jest wieszyczka, rozumiesz? No i kto inny wynająłby mu pokój? Przecież ta jego maszyneria to istny koszmarnik!

– Przyjeżdża od dawna? Przecież wampiry ledwie od kilku tygodni tu są. To on przyjeżdżał, zanim jeszcze się pojawiły?

– A wiesz, masz rację. W sumie to ciekawe. Może przypadek?

– Pewnie tak – westchnęła. – A ty?

– Co ja? Chodzi ci o wampiry?

– Nie, no ogólnie...

Maciek wyczuł, że pytanie, które zadała Hanka, nie jest takie niewinne, na jakie wygląda.

– Pracuję we Wrocławiu, ale chętnie bym tu wrócił. Niby przeszkadza to, że wszyscy cię znają, że każdy menel mówi ci po imieniu, ale w sumie tu jest spokój.

Z daleka zobaczyli Dziuńkę idącą wolnym krokiem, a po drugiej stronie ulicy jakieś dziwne zamieszanie w krzakach.

\*\*\*

Wiesiek trumny nie oddał. Nie zamierzał się w to bawić. Niestety nie udało mu się jej także spieniężyć. Wymiana na dobra płynne też jakoś się nie udała i biedak musiał z trumną coś zrobić. Miał pewien plan dalekosiężnie finansowy, w który wtajemniczył kogo trzeba. Ciągnął więc teraz za sobą dość ciężką trumnę, stękając z wysiłku, ale i z zadowolenia. Przeczuwał całkiem dobry interes.

\*\*\*

– Oddaj kotleta! – wrzasnęła Amelia Prokopiec, wpadając do kuchni, w której jej córka szykowała śniadanie.

Irena jak zwykle uciekła do łazienki, gdzie skonsumowała kotleta, o mało się nie dławiąc.

– Maa przeanie... Je mi e aje! A ja głodaa – mówiła z pełnymi ustami.

Amelia zaszlochała nad swoją dolą i nad niewdzięcznością wyrodnej córki, która ani myślała wyhodzić z łazienki, z której dało się słyszeć szczękanie sztućców.

– Co ty tam robisz?

– Nic!

Amelia zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby się dostać do łazienki i uchronić córkę przed obzarstwem. Zastanawiała się też nad odgłosem sztućców i słoików. Spizarnia? Irenka w tajemnicy przed nią urządziła sobie tajną spizarnię w łazience?

Matka postanowiła użyć swoich wampirzych mocy, które – jak sądziła – wciąż posiadała. Niestety, w tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi frontowych, więc musiała zrezygnować z pomysłu.

Przed drzwiami stał nieduży mężczyzna z paczką w ręku.

\*\*\*

– Wiesz, jeżeli oddzielić sprawę szkieletu od sprawy tych kobiet, to wszystko można całkiem dobrze wytłumaczyć. Przecież nic nie wskazuje na to, że ten szkielet ma z nimi coś wspólnego. To mogą być dwie zupełnie różne sprawy i dlatego nie możemy ruszyć z miejsca.

– No dobra, a krowa?

– Co do krowy, trudno mi powiedzieć, ale to mógł być tylko przypadek. No w sumie, nie bardzo. Zazdrość? Może ta krowa był piękna?

– A tam.

– No więc Kowalska ucieka oknem przed moją babcią, która ją nachodzi i...

– Nie. Zacznijmy od początku. Stawicki...

– Albo Klap?

– Albo Sara po prostu kłamie? Stawicki wstawia swoją ofertę matrymonialną. Od razu zaczyna interesować się Wierciuchową.

– I moją mamą. To akurat dziwne, ale...

– Wystawia ofertę i interesuje się Wierciuchową i twoją mamą, nie żebym miała coś przeciw twojej mamie, ale one obie nie są przesadnie piękne, więc co?

– Pieniądze?

– Coś w tym musi być, ale zostawmy to na razie. Potem zgłaszają się jeszcze inne kobiety. Kowalska, pani Basia, żona komendanta... – wyciągnął notes – i jakaś Emilia Więcka. Tu też może chodzić o pieniądze.

– Ktoś zabija Kowalską na terenie pensjonatu. A wiesz, to dziwne, ale oprócz tej Więckiej wszystkie są jakoś związane z Piotrusiem.

– To prawda, ale ta Żaneta już nie. Za to związana jest z Kotłęcinem i Stawickim. Czyli gdyby wziąć pod uwagę tylko to, okazałoby się, że jednak ktoś zabija z powodu Stawickiego, bo ten szkielet jakoś tu nie pasuje. Albo Stawicki zabija, ale to nie ma sensu.

Usiedli na ławce. Miłość ma to do siebie, że strasznie trudno się o niej mówi, ale zawsze można się przytulić.

– Ech, wiesz, czasami mam już dość tego niewolnictwa u Mariki – szepnęła Hanka. – Pomieszkałabym w domu, pożyła jak człowiek, a nie włóczyła się za jakimiś dupkami po całej Polsce.

Maciek rozumiał, co Hanka ma na myśli. Nie to, że chciał się całkiem ustatkować, na to jeszcze było trochę za wcześnie, ale może odrobina życia rodzinnego wcale by mu nie zaszkodziła? Jakieś mieszkanie, swoje, a nie wynajmowane? Może domek z białym płotkiem, z dala od Krwiozerczego Piotrusia, w którym mieszkał z matką od lat? Hanka w negliżu i Zyzol w ogródku – w tej chwili tak mniej więcej wyobrażał sobie szczęście.

– A ten kawałek do kłatwy to jak zdobędziemy? – usłyszeli za ławką i z niechęcią odsunęli się od siebie.

– Trzeba będzie obciąć. Siekierę macie?

– Nie, ale nóż mamy, to na ogon wystarczy, nie?

– Może nie wystarczy, ale jest młotek. Ty będziesz...

– Ja będę, no tego... gwałcił, a Romuś obetnie ogon.

Głosy zaczęły się oddalać, ale słyszeć było, że wartka wymiana zdań trwa w najlepsze.

– Nie wiem, co to za świry, Maciek, ale ktoś najwyraźniej chce zgwałcić Zyzola, a potem odciąć mu ogon! – wrzasnęła przerażona Hanka.

Nie wiedzieli, która z tych opcji brzmi makabryczniej, ale romantyczny nastrój szlag trafił.

– Szybko! Do pensjonatu – rozkazał Maciek, chcąc ratować ukochanego psa.

Hanka pobiegła za nim, zdecydowanie mniej niespokojna. Zyzol nie mógł być w niebezpieczeństwie, za to te świry tak. Chętnie by zobaczyła, co im robi, bo mimo łagodnej, nawet radosnej natury, Zyzol był wielkim psem, miał swój charakter i zdecydowane preferencje seksualne.

\*\*\*

Amelia podpisała podsuniętą jej przez kuriera kartkę, potem delikatnie, bardzo, bardzo delikatnie wzięła paczkę i jeszcze delikatniej odłożyła ją na stolik w przedpokoju. Paczka nie była specjalnie duża, nie tykała, nie wyglądała groźnie, ale Amelia i tak nie miała zamiaru jej otwierać.



Nie zamierzała też jej się za bardzo przyglądać. Wierzyła w swoje wampirze zdolności.

Paczka nie interesowała jej specjalnie. Tym razem to naprawdę powinna być maszyna do tatuażu, która zupełnie już nie była jej potrzebna, a i tłumaczenie zięciowi, po co jej taki akurat sprzęt, się Amelii nie uśmiechało. Ostatnim razem wędrujący kredens trochę przesłonił problem maszyny, ale Amelia wiedziała, że tyle szczęścia teraz mieć nie będzie.

Zabrała z domu wszystko, co wyglądało na jadalne, oczywiście prócz warzyw, i postanowiła nakarmić koty. Co prawda plan nie wypalił, ale dobrze się czuła w ich towarzystwie. Poza tym koty mają zdolności osvajania ludzi, których potem zamieniają w swoich niewolników na wieczność.

– Uważaj, bo spaszysz się jak świnia – rzuciła do wciąż zamkniętych drzwi łazienki, zza których dobiegało smakowite mlaskanie.

Poszła znów przez las, niosąc kocie smakołyki, ale tym razem nie towarzyszył jej nastrój milego podniecenia, tylko gorzyc porażki. Koty nie spełnią już swojego zadania, to wiedziała na pewno. Córka zawiodła ją sromotnie, zięć nie chciał się rozwieść. Amelia przeżyła całe swoje życie.

Tak bardzo się starała zapewnić córce przyszłość. Przyszłość, a nie nędzną rośliną żony policyjnego wyrobnika na państwowej pensji. Zresztą nawet nie o pensję tu chodziło, a choćby o włosy w uszach. Koszmar.

Las też dziś nie był specjalnie uroczy. Po wczorajszej imprezie wszędzie walały się papiery, śmieci, puszki po piwie i pewne organiczne pozostałości po niektórych ludziach, którzy nie wiedzą, do czego służą toi-toie.

Stapała ostrożnie, wpatrując się w ziemię, żeby nie wdepnąć w nic podobnego. Z daleka dostrzegła Wieśka ciągnącego trumnę i zapłakała rzewnie.

W sumie zazdrościła Dziuńce, współwampirce w niedoli. Ona przynajmniej miała kogoś, kto ją rozumiał. Kogoś, kto ukradł dla niej trumnę, kto akceptował jej stan, a ona tylko niewdzięczną córkę w formie pulpeta, a na dokładkę głupiego zięcia.

Cios w głowę sprawił, że oprzytomniała. Drugi wręcz przeciwnie, posłał ją w otchłań nieświadomości, ale zanim to zrobił, zdołała krzyknąć:

– Jezus, Maria! Dlaczego?!

Odpowiedzi oczywiście nie zdołała usłyszeć. Coś pociągnęło ją za nogi.

\*\*\*

Obiad w Krwiożerczym Piotrusiu został zjedzony pośpiesznie w atmosferze szalonego podniecenia. Jakimś cudem wszyscy zjawili się na czas, wszyscy byli głodni i nikt nie narzekał na menu. Działo się tak za sprawą profesora i jego ładowisk. Niby nikt nie wierzył w te bzdury, ale każdy chciał się przekonać na własne oczy, jak bardzo nie wierzy.

Bo jak tu nie fascynować się kosmitami i wampirami? Zwyczajny świat składa się jedynie z polityki, ekonomii i chamstwa, więc wampiry są ciekawsze i bezpieczniejsze. Rozmowa o polityce może skończyć się ciosem w szczękę, o kosmitach jedynie popukaniem się w czoło.

Dodatkowo wiara profesora była, jak każde porządne szaleństwo, zakaźna.

Zebrawi się więc wszyscy. Marcel ze znów przyrośniętą do niego Wiolką, Szczurek, lekko wczorajszy, ale też lekko dzisiejszy, smętnie czkający w kącie nad talerzem kartoflanki, oraz cały turnus, nie wyłączając pani Basi i Sary, które wróciły z komisariatu niezbyt zadowolone.

W ostatniej chwili dołączyli do nich Maciek i Hanka oraz Zyzol. Pies, cały i zdrowy, nie niósł w pysku żadnych krwawych szczątków, co bardzo ich ucieszyło. Wyraźnie albo zagryzł gwałciciela na miejscu, albo miał to jeszcze przed sobą.

– Drodzy państwo – zaczął profesor uroczystym tonem. – Dziś jest szczególnie dzień. Będziemy szukać ładowisk kosmitów, czyli miejsc zwanych w dawnych czasach „czarcimi kręgami”. Tak, tak,

czarciami. Dlaczego? Bo głupi ludzie wszystko, czego nie rozumieją, przypisują diabłom, czartom, czarownicom i tym podobnym nieprawdziwym istotom magicznym.

– O ja pierdzielę – jęknęła Wiolka. – Niech kończy ten wykład.

– Cicho tam – syknęła pani Basia. – To ważne!

– Magia nie istnieje! – oświadczył profesor mocnym głosem.

– A wampiry?

– Wampiry nie są magiczne ani mityczne! Są prawdziwe! Kosmiczne. Mają takie cechy... No... Patrząc, na ich planecie te cechy są zwykłe, tylko u nas wydają się dziwne. Przylatują tu czasami, często nawet, ale trudno je zobaczyć, bo się kryją. Słyszeliście o kręgach w zbożu?

– Oczywiście – odpowiedział mu chór.

– O, widzicie? Gdzieniedzie są kręgi zbożowe, a gdzieś tam grzybne. O wiele częściej, ale są bardziej ukryte.

– No dobra, idźmy już! – zaproponowała Wiolka, wieszając się na Marcelu.

– Zaraz, zaraz! Muszę jeszcze was uwrażliwić na różne rodzaje kręgów i anomalii, które mogą się w nich pojawiać.

– A co to za anomalie? – zapytał ktoś z grupy z zaciekawieniem.

– To mogą być światła.

– Ha, ha. Światła. Światła to mogą być wszędzie – mruknęła Emma, jak zwykle siedząca obok Pita.

– No, ale te są inne, bardziej kosmiczne – odparł niezrażony profesor. – Takie, jakby... hm. I dźwięki. Takie jakby nie z tej ziemi. Mogą się też pojawić miraże. Takie jakby fatamorgany. Że niby coś jest, ale tego nie ma. Te zjawiska są skrajnie rzadkie i krótkotrwałe, zresztą może ich w ogóle nie być.

Rozdał kartki ze zdjęciami możliwych czarcich kręgów.

– Najszlachetniejsze to te z muchomorów.

– Nie z prawdziwków? Przecież prawdziwki...

– Droga pani, nie możemy stosować naszych przyziemnych zasad do spraw związanych z kosmosem.

– Ale prawdziwki są lepsze.

– Może i tak, ale czarcich kręgów się nie je! – warknął profesor niezadowolony, widząc jakies poruszenie.

Czuł się doskonale w roli prelegenta. Poza tym musiał trochę jeszcze poczekać. W końcu nie mógł liczyć tylko i wyłącznie na przypadek.

Marcel wykorzystał sytuację, kiedy Wiolka wyszła do łazienki, i szybko wybiegł z pensjonatu. Musiał się jej pozbyć, bo przyrosła do niego niczym jakiś grzyb pasożytniczy i nie dawała mu chwili spokoju. Biegł przed siebie, nie wiedząc, gdzie się udać. Nie potrzebował chwilowej wolności, potrzebował czegoś ostatecznego. Ratunku, czegoś, co na zawsze pozwoliłoby mu uwolnić się od tej dziewczuchy.

Niestety wiedział też, że nie będzie to proste.

\*\*\*

Amelia otworzyła oczy. Nie wiedziała, gdzie jest. Nie wiedziała nawet, kim jest. Słyszała tylko straszne zawodzenie. Przez chwilę wydawało jej się, że widzi nad sobą płataninę węży i siekiere.

\*\*\*

Ubezpieczani przez Maćka i Hankę oraz częściowo przez Szczurka, który co prawda szedł z nimi, ale duchem był zupełnie gdzieś indziej, ruszyli do lasu dość ściśłą tyralierą. Oczywiście luźna tyraliera byłaby skuteczniejsza w wyszukiwaniu kręgów, ale o wiele mniej bezpieczna w razie ich znalezienia.

Przedziwne dźwięki, które usłyszeli niedługo po opuszczeniu terenu posesji, zostały zignorowane przez wszystkich. Nikt, ale to absolutnie nikt nie słyszał ani zawodzenia, ani modulowanego jęku, ani nawet pisków i rozdzierających krzyków.

W końcu mogły być jedną z tych anomalii, o których opowiadał profesor.

Nie słyszeli ich nawet Hanka i Maciek, ale oni po prostu byli zajęci. Szli z tyłu i bezczelnie się całowali, a wiadomo, to przytępia słuch i różne inne czynności życiowe.

– Anomalie? – zapytała pani Basia Sarę, ale kuzynka tylko pokręciła głową.

To nie mogły być żadne anomalie, bo musiałyby świadczyć o obecności kosmitów czy wampirów, a nikt przecież nie chciał zostać uznany za wariata.

Jeden wariat w postaci profesora w zupełności wystarczał.

\* \* \*

– No i co teraz? – zapytał Remuś niepocieszony. – Przecież tu się nie da!

– Za jasno.

– Bigos zostawiłam w piekarniku – jęknęła Wiejakowa. – Niechby Dziunia się zdecydowała i poszła w ten cholerny las, a nie siedziała na ławce jak dupek!

Dziunia siedziała na ławce jak przymurowana. Nie mogła się zdecydować, gdzie ma pójść. Nie miała większego wyboru. Po prostu siedziała.

Słyszała też głosy.

– To jak? Poczekajcie tutaj, przypilnujcie jej, ja pobiegnę, bigos wyłączę i wracam. Może do tej pory coś postanowi.

Głosy jej nie przeszkadzały, dopóki nie kazały jej niczego podpalać, zresztą każdy wie, że głosy po pijaku to nie to samo co głosy na trzeźwo, a głosy na kacu to już zupełnie inna historia. Ktoś ją śledził, to pewnie. Dlaczego? Tego mogła się tylko domyślać.

Z daleka zobaczyła dziennikarza, który szedł szybkim krokiem. Dalej, o wiele dalej za nim szła młoda dziewczucha, Wiolka. Wyraźnie przyspieszała.

– Boże – powiedział zrezygnowany Marcel, siadając obok Dziunki na ławce. – Ja pierdzielę, ona w życiu mi nie da spokoju! I co ja mam teraz zrobić?! Przecież się z nią, do cholery, nie ożenię...

Dziunia popatrzyła na Marcela pogardliwym wzrokiem.

– A wywiad pan zrobisz ze mną?

– Da mi pani spokój! Mnie się życie pierdoli, a pani tylko wywiad i wywiad.

– Mogę pomóc, ale wywiad pan ze mną zrobisz? – Dziunia uśmiechnęła się przebiegle.

– Jak może pani pomóc? No jak?

– Oj, mogę.

Wiolka zbliżała się drobnym truchtem, biegnąc tak, jak zazwyczaj biegną lekko otepiałe panienki, kręcąc kuperkami i podrygując cyckami. Tych ostatnich Wiolka prawie nie miała, więc jej trucht wyglądał na podrygi niezbyt dobrze ubranego stracha na wróble. W jej oczach, uśmiechu i ogólnie w całej postawie Marcel dostrzegł bezgraniczną miłość i to przeraziło go jeszcze bardziej.

– Dobra. Niech pani robi, co pani chce, bo ja mam dosyć.

Dziunia nie zrobiła nic. Poczekwała tylko, aż Wiolka podejdzie nieco bliżej, po czym trzasnęła Marcela w twarz.

– O! – wrzasnęła. – O! Żadnych wywiadów! Mam gdzieś pana wywiad w tym szmatławym „Paracetamolu”! Mnie prosili już z „Nacjonaledżeografika”! Bo jestem elementem! Elementem na skalę światowej, a teraz to mnie dwa dziennikarze śledzą, prawdziwi. Jeden z „Życia na Gorąco”, a drugi to z „Glamura”. Z „Glamura”. Słyszysz pan?!

Wiolka zwolniła, choć zbliżała się nadal.

Marcel zastygł w bezruchu jak zamurowany. Miał minę nieszczęśliwego psa. Niewiele rozumiał. Nie bardzo wiedział, za co dostał w pysk i czy w końcu ma robić ten wywiad, czy ma go nie robić.

– Z czego?

– Z „Glamura”. A tam to płacą i mają prawdziwych dziennikarzy, a nie takich dupków! I fotografów mają prawdziwych, i aparaty porządne, a nie takie szmatławie gówna. I śledzą mnie, w krzakach siedzą od rana! Oni za mną chodzą, prosić ich nie muszę, bo wiedzą, co to jest dziennikarska robota, ty gnido wszawa!

Marcel już chciał odgryźć się Dziunięce, choćby za wszawą gnidę, kiedy zobaczył, jak Wiolka zwalnia kroku, ale nie zatrzymuje się obok nich. Idzie dalej! Idzie dalej wpatrzona w krzaki za ławką, w których naprawdę kotuje się jakichś dwóch dziwnych facetów.

Remuś i Romuś zostali schwytani w pułapkę własnej legendy. Przecież nie powiedzą dziewczynie, że nie są dziennikarzami... Tylko idiota by się przyznał do tego, że miał ochotę dopaść Dziuniękę, trochę ją rozczłonkować i do tego zgwałcić.

Wiolka nawet nie spojrzała w stronę Marcela, kiedy ten wraz z Dziunią oddalali się w stronę pensjonatu. Nie był jej już potrzebny. Teraz musiała tylko ustalić, który z dziennikarzy pisze dla „Glamura”, a który dla „Życia”.

\*\*\*

Tyraliera posuwała się ledwie, ledwie. Wszyscy szli małymi kroczkami wpatrzni, w ziemię. Z daleka słychać było jęki, wycie, piski i dzikie wrzaski, które zdecydowanie ignorowali.

Doszli jednak po jakimś czasie do miejsca, skąd słychać je było niestety głośno i wyraźnie.

Coś zauważyli.

Przede wszystkim był tam wielki czarci krąg. Profesor specjalnie patrzył w inną stronę, żeby ktoś z jego podopiecznych mógł krąg odnaleźć. To było o wiele lepsze i bardziej pedagogiczne. Oczywiście on wiedział, że tam krąg jest. Wczorajszego wieczora zapłacił Wieśkowi, żeby przyszedł tu z rana i spreparował odpowiednie zjawisko. Miał je ułożyć z kupionych na targu pieczarek.

Niestety, Wiesiek poszedł nieco dalej.

– Hm... – chrząknął ktoś ze stojących pod drzewem ludzi. – Coś tu jest.

– Jakaś anomalia...

– Krąg jest...

– Czarci? – zapytał profesor. – Bo żeby był czarci, to musi być zamknięty i z jednego rodzaju grzybów.

– To chyba on nie czarci – odparła pani Basia. – Biedronkowy jest.

Profesor jęknął i przedarł się przez krzaki.

Zobaczył czarci krąg z czerwonych grzybów. Wyglądały jak niewielkie muchomorki, ale miały kropki. Czarne kropki.

Pośrodku leżała Amelia Prokopiec, po której hasało stado kotów, a obok niej, z siekierą w ręku, siedział Stawicki!

– Morderca! – wrzasnęła Sara. – Morderca!

– Morderca – powtórzył tłum.

Stawicki się nie poruszył.

Wszystko wyglądało nadzwyczaj malowniczo i oczywiście makabrycznie. Amelia była cała we krwi. Dziwnie wyglądała ze skaczącymi po niej kotami, a Stawicki w oczach miał obłęd. Był to ten rodzaj obłędu, który nie każe wrzeszczeć i biegać, ale taki spokojny, jaki uzyskuje się po dużej dawce środków uspokajających albo po porządnym uderzeniu w głowę. W sumie to na jedno wychodzi.

– Jezus, Maria, co za masakra! – jęknęła Hanka. – Znowu morderstwo?!

– Nie, chyba oboje żyją – odparł rzeczowo Maciek. – Chociaż nie wiem, jak długo to jeszcze potrwa.

Straszliwy pisk wyrwał się z gardeł stojących dookoła ludzi, którzy musieli przestać wierzyć, że to, co widzą, jest fatamorganą, a wcale nie mieli na to ochoty.

– Ratunku! Trzeba coś zrobić! Trzeba ich ratować! Ratunku, trzeba coś zrobić! – krzyczeli jedno przez drugie, nie robiąc nic. Nawet nie usiłowali mdleć.

Hanka wezwała pogotowie. Maciek policję.

Koty wiły się i tańczyły na ciele kobiety, która od czasu do czasu wydawała z siebie chrapliwe jęki. Wsparty o siekiereę Stawicki spał. Chyba spał z otwartymi oczyma albo wypoczywał. Wiadomo, że ataki szalu bywają męczące.

\*\*\*

Remuś wpatrywał się w Wiołkę jak w tort czekoladowy z dziurką. Na każde pytanie odpowiadał:

– No właściwie to, eee, tak... To znaczy, eee, nie, że tego, ale owszem, jakby tak, no...

To jej wystarczyło. Romuś patrzył na dziewczynę jak na kosmitkę. Po raz pierwszy widział kobietę z tak bliska, kobietę, która nie tylko na niego patrzyła, ale nawet odzywała się do niego.

Na jej pytania dotyczące pracy odpowiadał podobnie jak Remuś.

– Że w życiu? Co ja robię w życiu? Eee, no, pracuję... Ha, ha... I się rozwijam, tak – poparł sam siebie. – Bardzo...

Wiolka wybrała Remusia, bo musiał być z „Glamura”. Musiał, nie miał wyjścia, bo ten drugi pracował w „Życiu”, sam powiedział.

Przyrośnięcie do Remusia. To nie było trudne, bo zemdlął.

– On tak... z wyczerpania – wyjaśnił zazdrośnie Romuś. – Właś-nie. Bo tak już chodzimy, chodzimy i tego... No...

– Właśnie.

Kiedy Remuś się obudził, stwierdził, że ma dziewczynę. Był z siebie bardzo dumny. Dotychczas miał tylko przyszcze.

Wiolka nie знаła pojęcia nadmiaru. Potrzebny był jej jeden dziennikarz, ale kiedy trafiło się dwóch, też się tym nie przejęła. Opcje numer jeden i dwa słodko rozkwitły w połączeniu z „Glamurem” i sprawiły, że Wiolka już czuła się znaną modelką. Jeszcze chwila, a zostanie celebrytką, a od tego do zagrania w filmie tylko moment. Nie, zresztą nie, w filmie w sumie nie chciała. Nie, wolała serial, bo długi, dobrze płacą i ludzie to oglądają, a przecież wcale nie zależało jej, żeby oglądały ją jakieś snoby chodzące do kina na ambitne filmy. Ona nie chciała być artystką, chciała być po prostu kimś!

Postanowiła jak najszybciej zerwać z Marcelem. Esemes powinien całkowicie wystarczyć.

„Hełoł, z nami finish, pa! Orgazmy i ciaze udawałam”.

Dopiero kiedy wysłała, zdała sobie sprawę, że nie zastosowała jeszcze numeru z ciążą, choć rano kupiła świetny gadżet, mianowicie test ciążowy z dwiema kreskami. Tak na wypadek, gdyby nie było innego wyjścia. Dzieci? Fuf!

\*\*\*

Maciek patrzył na Amelię Prokopiec z przerażeniem. Była pokrwawiona, nieprzytomna, oczy miała zamknięte, a z jej ust wydobywał się charkot, kiedy niesiono ją na noszach do karetki. Przynajmniej było wiadomo, że żyje, choć mina komendanta nie wskazywała na jakieś wielkie zadowolenie z tego faktu. Stawickiego unieszkodliwiono z trudem zaraz po tym, jak zjawili się uzbrojeni policjanci. Wcześniej nikt jakoś nie ośmielił się do niego podejść. Gość z siekiereą zawsze wzbudza szacunek.

Był jakby nieprzytomny, ale za nic w świecie nie chciał oddać siekiery.

Rozpętał się chaos.

– To w końcu jest krąg czy nie jest? – zapytała rzeczowo pani Basia, szybko znajdując temat zastępczy, bo o makabrze przecież będą jeszcze rozmawiać, jak się czegoś konkretnego dowiedzą.

Profesor musiał odpowiedzieć równie rzeczowo.

– Jest.

– Ale te grzyby...

– To taki specjalny gatunek, rzadki, *amanita coccinellidae*, czyli muchomor biedronkowy – wymyślił szybko, zastanawiając się, po co ten durny Wiesiek pomalował pieczarki na czerwono i upstrzył je czarnymi kropkami.

– I coś z nich ścieka...

– To taka trująca substancja – zawołał Kociołek na wszelki wypadek, żeby nikt nie dotykał grzyba, bo mógłby odkryć, że ścieka z niego farba plakatowa. – Baaardzo trująca.

Niestety policjanci zainteresowali się grzybami. A także leżącymi nieopodal okularami i chustką, choć mieli odrobinę trudności z kotami, które nie chciały opuścić ciała swojej karmicielki i uparty się towarzyszyć jej w drodze do szpitala.

Zostały oczywiście powstrzymane, choć po nierównej walce trzeba było udzielić pomocy medycznej ratownikom.

\* \* \*

– No a teraz ona! – zakończył swój wywód komendant, siedząc z Hanką i Maćkiem w ich prowizorycznym biurze, przy czym „ona” powiedział z taką irytacją, jakby jego teściowa dała się poturbować wyłącznie po to, by zrobić mu na złość.

– Ale przynajmniej wiemy, że to Stawicki! – ucieszyła się Hanka.

– To fakt, a na dodatek znaleźliśmy przy nim okulary i chustkę tej Kowalskiej.

– Tylko dlaczego był taki jakiś otępiały? Dlaczego nie uciekał?

– Może nie dał rady... Coś go opętało, uderzył, a potem zasłabł.

Maciek przysłuchiwał się tej argumentacji nieprzekonany. Owszem, fakt, wszystko świadczyło przeciw Stawickiemu.

– A gdzie motyw? – rzucił niepewnie, nie wiedząc, co powiedzieć. – Dlaczego to robił? Po co? I dlaczego napadł na pana teściową? To jakoś się kupy nie trzyma. Tamte inne... Dobra, okej, dałoby się zrozumieć, ale pana teściowa?

– Sam nie wiem – przyznał Kurzydło. – Naprawdę nie wiem.

– Ja to widzę tak... – odezwała się Hanka. – On nie musiał mieć motywu. Wcale!

Wszyscy popatrzyli na nią z nadzieją.

– On może być zwykłym seryjnym zabójcą, czyli takim, który morduje pod wpływem impulsu! Widzi babę, coś mu odbija, morduje. Potem szal mija i już. I dlatego tak siedział tam, w lesie.

– I dlatego zapisał się do biura matrymonialnego! – dorzucił Szczurek, który zaczynał intensywnie odrabiać straty związane ze stażem.

– Nie. Wtedy to nie byłby impuls.

– To zależy. Niektórzy seryjni zabójcy śledzą swoje ofiary. Wybierają je. Jakoś je selekcjonują, na przykład blondynki albo prostytutki...

– Tych trzech kobiet nic nie łączy, trzech, bo nie wiadomo jeszcze, czy bomba w moim domu nie była dla Irenki! Wiek całkowicie różny, każda ma inny kolor włosów, żadna nie jest no, oprócz tej Żanetki..., nie jest prostytutką. Nie. Tu trzeba szukać motywu.

– Zaraz no. I pani Basia została zaatakowana!

– No właśnie. Czyli Stawicki zapisał się do biura matrymonialnego, a potem...

– Ani na Wierciuchową, ani na panią Lilkę nikt nie napadł – stwierdziła Hanka. – Ale może zostawił to sobie na potem?

– A to porwanie twojej babci?

– Nie. Tym się nie ma co zajmować. To jakieś brednie.

– Pani Zosia nic nie wie? – zapytał Maciek. – Może ją zapytać? Bo widziałem, że idzie od lasu...

– Potem – jęknęła Hanka. – Wracajmy do Stawickiego. Zapisał się, a potem chciał wymordować... Bzdura. A finanse? Może o to chodzi?

– Pytacie o finanse Stawickiego?

– No właśnie. Taki Kotłęcın to przecież ogromna fortuna. Może to ma jakiś związek z morderstwami. Inna sprawa, że zupełnie nie rozumiem Stawickiego i tych jego zainteresowań matrymonialnych. Wierciuchowa? Kobieta wygląda jak buldog, majątek marny, do tego swoje lata ma. Co Stawicki mógłby w niej widzieć?

Szczurek znów postanowił zapunktować.

– Bo może on chciał się ustatkować?

– Właśnie – przytaknął komendant. – Mógł chcieć. Sprawdziliśmy jego finanse i odkryliśmy, że jest goły jak święty turecki!

– Jak to? A pałacyk? – Hanka aż krzyknęła ze zdziwienia. – Przecież...

– Nie należy do niego.

\*\*\*

Wiolka była szczęśliwa. Co prawda wybranek był chudy, ale pewnie wycieńczyła go dziennikarska robota, pryszczaty, nie dbał o siebie dostatecznie wciąż w pogoni za nowymi wyzwaniem, i dość zagadkowo się wyrażał, ale to wynikało z głębi jego duszy. Kiedyś słyszała, że ludzie, którzy nie mają nic do powiedzenia, mówią najwięcej. Ten musiał więc wyróżniać się bardzo bogatą osobowością, dlatego milczał. Trochę się też jąkał i zacinał, ale Wiolka złożyła to na karb własnej onieśmiałej urody.

– A wy tak razem? – zapytała zdziwiona, bo słyszała o tym, jak to dziennikarze z różnych pism podgryzają się, nienawidzą, niszczą.

– Nie, nie. No coś ty! – odkrzyknął Remuś. – Nie razem! Nigdy! Nie, nie! – Jego przeżarty zbyt dużą dawką pornografii mózg dość opacznie zrozumiał pytanie.

– A gdzie masz sprzęt?

Pytanie zawisło nad zdumionym Remusiem, uderzyło go jak grom z jasnego nieba. Przeraziło go tak bardzo, że przez chwilę nie mógł wydusić słowa, a potem rażony straszną prawdą, rzucił się do ucieczki. To, że Wiolka wyglądała jak kobieta, jeszcze nie świadczyło o tym, że nią jest. Przecież powinna wiedzieć! Musiała wiedzieć. Musiała, bo jeżeli nie... to z pewnością była jakimś obcym! Wampirem. Stworem. Któryś z tych ogólnie dostępnych w horrorach klasy B.

Biegł więc ścigany przez Wiolkę i przez Romusia. Wiolka sądziła, że biegnie po aparat fotograficzny, więc gnała za nim. A co tam, zgrzana też będzie wyglądać pięknie. Może w jakiejś odjechanej reklamie bielizny...

Remuś wiał coraz szybciej, przekonany, że to, co go goni, kobietą nie jest. Romuś nie nadązał, ale dzielnie biegł za nimi.

Wiekajowa wyłączyła już bigos i wracała na posterunek w krzakach. Kiedy zobaczyła Remusia i usłyszała jego dzikie wrzaski, przystanąła.

– Ciotka! – krzyczał. – Zabij to! Zabij to! To chce mnie dopaść!

Była odrobinę zdziwiona, widząc Wiolkę zamiast Dziuńki, której w sumie mogła się spodziewać. Zdziwiona była też wrzaskami siostrzeńca. Bo skoro on... To może ona... Słyszała o wyuzdanych

małolatach, które nastawały na cnotę porządných chłopców, i choć określenie „porządny chłopiec” pasowało do Remusia jedynie ze względów rodzinnych, to jednak nikt nie powinien go przecież gwałcić!

Niewiele się zastanawiając, zamachnęła się i walnęła Wiołkę na odlew.

– Uspokój się, ty seksualna zdziro – powiedziała ostrzegawczo. – Nie będziesz mi tu Remusia napastować!

Wiołka usiadła na ziemi i przez chwilę nie wiedziała, co się z nią dzieje.

– Ale zdjęcia... Modeling... Ja muszę!

– Może jeszcze cycling i dupeling! Nie dam go zmarnować! – warknęła Wiejakowa. – Mowy nie ma! Znam te wasze erotyczne sztuczki. Ty wywłoko!

Otoczyła ramieniem wrzeszczącego Remusia, który wreszcie jakoś zapomniał o gwałceniu, i zabrała go do domu.

Wiołka powróciła do myślenia o opcji numer trzy. Z rozwalonym nosem i łukiem brwiowym nie mogła w tej chwili marzyć o niczym innym.

Remus był przerażony. Po raz pierwszy od lat spał przy zapalonym świetle, pozasłaniał okna, lustra i zablokował dostęp do wszystkich stron z pornografią. Trauma, jaką przeżył, napastowany przez obcego, wystarczyła na całe lata utrzymania dla sztabu terapeutów i psychologów klinicznych.

\*\*\*

– Jak to nie należy do niego? Sprzedał? – Hanka aż podskoczyła zdziwiona.

– Nie.

– Zmarnował. Pewnie przepił albo co? – wtrącił Szczurek, który doskonale wiedział, że zamięlowanie do trunków bywa kosztowne.

– Albo przegrał w karty. Hazard to paskudztwo.

– Zaraz! Dajcie mi powiedzieć! – warknął komendant, który nie był przyzwyczajony do tego, żeby przerywano mu tak beceremonialnie. – Nie należy do niego, bo też nigdy do niego nie należał! Pałacyk jest własnością jakiejś firmy czy spółki, a Stawicki tylko zarządzał. Jakby jest słupem.

– Ale od zawsze wszyscy...

– Jasne. Od zawsze i wszyscy... Tak to wyglądało, a reszta to plotki i pobożne życzenia. Nikt nie miał wglądu w papiery, więc ludzie sobie dośpiewali, że pałac jest jego, i tyle.

– Czyli wszystko szlag trafił? Bo początkowo myśleliśmy, że te baby się mordują z powodu jego pieniędzy.

– Mogły nie wiedzieć.

– I na pewno nie wiedziały. Za to on doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Pewnie dlatego zainteresował się Wierciuchową. Liczył, że ona ma pieniądze. Ona albo twoja mama.

– Czyli mamy Stawickiego, który leci na pieniądze, i baby, które lecą na pieniądze. To wiele tłumaczy. Tyle że teraz wygląda na to, że to Stawicki mordował.

– Wszystko na to wskazuje. Tylko po co?

– Oj, może ktoś się dowiedział o tym, że nie ma grosza przy duszy, a on chciał się wżenić w Wierciuchową? Przecież za golca by nie wyszła. Zamordował więc Kowalską i tę Żanetkę... Może znalazła coś w papierach? Coś podsłuchała?

– No a pańska teściowa?

– Ją to mógł zamordować dla samej przyjemności mordowania. Ale nie, ona nie powinna była wiedzieć. Nie miała żadnych możliwości. Chyba... – westchnął.

– Chyba, ale to nie jest pewne.

– No nie jest. Może Dziwińska coś jej powiedziała? Ona mogła wiedzieć od tej Żanetki.



- To dlaczego nie zabił Dziunięki?
- Bo Dziunięce nikt by nie uwierzył! Przecież Dziunięki nikt nie bierze na poważnie.
- A pańska teściowa?
- No tak...

Wszyscy zastanawiali się nad tą zagadką. Stawicki nie ma forsy, więc chce się żenić z Wierciuchową, to trzyma się kupy. Ktoś dowiaduje się o stanie jego finansów, Stawicki zaczyna się bać i morduje tego kogoś.

Policja znajduje przy nim okulary i chustkę Kowalskiej. Ma siekiere. Jest na miejscu napaści na Amelię Prokopiec. Posiada dobry samochód, więc mógł nawet napaść panią Basię, choć jak na razie, nie wiadomo, po co miałby jechać za turnusem aż w ruiny i atakować kogokolwiek z przyjezdnych.

- Słuchajcie, on mógł też porwać twoją babcię, Hanka - zakrzyknął Szczurek. - Może nawet nadal ją trzyma gdzieś w podziemiach pałacu! Przecież mówiliście, że ona tu kiedyś mieszkała? Ha? Mógł też wysłać bomby, choć z tą żywnościową to... Wiem! Miał zapasy, które mu się zepsuły, i wysłał je do twoich babć, żeby je zastraszyć! I sobie jakoś to odpisał, że dobroczynność czy jakoś tak, od podatku...

- Szczurek, idź do psychiatry - warknęła Hanka i chciała coś jeszcze dodać, ale Maciek powstrzymał ją gestem dłoni.

- On może mieć rację. Przecież może chodzić o coś innego, o coś sprzed lat! Ktoś go przecież znał te dwadzieścia czy trzydzieści lat temu. Twoja babcia, bo tu mieszkała, Kowalska, Sara, może pani Basia. Znali go, więc znali jego sytuację finansową, a potem nagle ten pałacyk. Porywa babcię, zabija Kowalską, robi zamach na panią Basię... Ale wtedy nie pasują nam Żanetka i Amelia Prokopiec.

- Może chciał zabić Sarę, a trafił na moją teściową?

- Komendancie, ale dzień był jasny... Nie mógł się aż tak pomylić.

- To może chodzi o to, że był jakiś otumaniony? Nażarł się czegoś dla kurażu i walił na oślep? Tak czy siak, musimy przeszukać ten cholerny pałacyk. I w sumie, gdyby napadł na moją teściową przypadkiem, to wtedy ta Żanetka jakoś by się w to zmieściła. Pracowała u niego, więc mogła coś wiedzieć.

- I wszystko to dla małżeństwa z Wierciuchową?! - jęknęła Hanka zaszokowana. - Cała ta hekatomba dla rozpadającego się pensjonatu i kobiety, której twarz mogłaby wyprawić wiele okrętów na morze, ale tylko wtedy, gdyby to była jedyna droga ucieczki? Nie! Możliwe, ba, nawet pewne jest, że to on zabija, ale ten motyw mnie nie przekonuje.

Nikogo nie przekonywał, ale jak na razie był jedyny. Innego nie mieli. Zresztą jak zwykle w takich sytuacjach łatwiej im było dopracowywać to, co mieli, zamiast szukać czegoś, o czego istnieniu mogli nawet nie wiedzieć.

\*\*\*

Pojawienie się Amelii w szpitalu początkowo wywołało jedynie zaniepokojenie. Popłoch nastąpił nieco później, to jest wieczorem, kiedy dwie salowe roznoszące kolację stwierdziły, że będzie kłopot, bo zabrakło kaszanki.

Kaszanka miała być na śniadanie. W plastrach, na zimno, z musztardą. Niestety, zabrakło.

- Bo widzisz, kochana, kaszanka teraz szybko schodzi ze sklepów.

- A jeszcze szybciej z magazynu - stwierdziła druga. - Jak nic ktoś ukradł.

- Może nie kupili?

- Kupili, kupili. Ktoś ukradł, mówię ci.

- No ale kto?

- Wampir? No bo krwi też podobno brakuje. Słyszałam, jak mówili, że tyle wypadków, a krwi brak, i żeby oddawali. No to jak kto ma oddawać, znaczy, że zechłab, nie?

No i poszło. Bo kto leży pod trzynastką? No kto? Ta baba od komendanta, od kotów, ta, co z Dziurką się prowadzi, ta, co to została wampirka, tak?

– Wampir w śpitalu to jak mysz w składnicy sera!

– To i lepiej. Ludzi nie pokąsa.

– A co pani?! Pokąsa! Pokąsa, że ho, ho. Bo patrzy pani, krwi zabrakło, aż kaszankę wyżarła! A ludzie słabe, w łózkach leżą. Na diecie i czosnku brak... To tylko brać i kąsać. Normalnie jakby ten, no, szwedzki stół miała tutaj, bo to i stare tu są, i młode, i alkoholicy, i cukrzyki na deser, i jakaś dziewczica może się trafić?

– Tutaj?

– Gdzie? Tu? Nie! Na wenerologicznym...

– No.

Amelia nie bardzo wiedziała, gdzie się znajduje. Przebudziła się, potoczyła niepewnym wzrokiem dookoła siebie, po czym popadła w odrętwienie. Miała podłączoną kroplówkę, co wcale jej się nie podobało, ale jeszcze była za mało świadoma, żeby coś z tym zrobić.

– Kotleta oddaj! – jęknęła do swoich majaków, ale to nie majaki ją usłyszały. W każdym razie nie tylko.

– No i widzisz pani – padło w odpowiedzi. – Takie to biedne, a kotleta jej ukradli.

– Głupiasz, nie ukradli. Ona głodna. Krwi chce, ale nie ma, to i kotlet by się nadał. Surowy.

– Aż tak?

– Sama pani widzisz! Jeszcze chwila, a kąsać będzie...

Amelia zajmowała izolatkę, niedoścignione marzenie wszelkich chorych.

– I dlatego policję na nią nasłali! Bo to pani wiesz, jak jest. Oni niby się starajom, ale jakoś im nie wychodzi, miasteczko się zwampirzyło jak nic.

Amelia niewiele rozumiała z tej konwersacji, ale pewna część do niej jednak dotarła.

A więc wiedzieli! Wszyscy już wiedzieli! Co prawda nie pamiętała, żeby piła ostatnio coś podobnego do krwi, nie pamiętała też kra-dzieży kaszanki, ale wcale się sobie nie dziwiła. Może w czasie, kiedy była nieprzytomna, co objawiało się czarną dziurą w pamięci, jej druga natura wzięła górę i trochę sobie podjadła.

\*\*\*

Profesor podszedł do okna w wieżycy, odsunął mikrofalówkę, przestawił akumulator i wał od glebogryzarki ogrodowej. Wyrzucił na zewnątrz.

Co prawda okno wychodziło na bazarek, a ten wieczorami pozostawał pusty, ale i tak widok był romantyczny.

Kotlęcín kiedyś nazywał się Teufelring. No, może nie Kotlęcín, nie wioska, ale pałac. Bo wioska to chyba nazywała się Shnitzeldorf, jak ustalili. Zresztą nie wiadomo, w każdym razie powinna się być tak nazywać, tak jakoś mu wyszło z różnych działań językowo-tłumaczeniowych.

Profesor był zdolny do wszystkiego, ale nie do języków obcych, co wcale mu nie przeszkadzało nimi się zajmować. Uważał, że skoro każdy, absolutnie każdy, nawet najmniej zdolny kucharz robi z prostych składników sałatkę czy zupę, a ta zupa, mniej lub bardziej smaczna, będzie jednak jadalna, to ta sama zasada dotyczy języka. Bo czymże jest język, jak nie sałatką z literek podlaną ciężkim, zawiesistym sosem z ortografii? Albo zupą ze słówek pomieszanych ze sobą, posiekanych, poplątanych, ciężkostrawnych i przyprawionych interpunkcją, deklinacją i koniugacją, co czyniło ją obrzydliwie niestrawną? Swoje studia ufologiczne całe przetłumaczył przez internetowy translator i wcale tego nie żałował. Był dociekliwy. Tłumaczył wszystko, więc pewnego dnia, przeglądając stare mapy, trafił na ciekawą nazwę Teufelring. Całej nie dało się przetłumaczyć, ale jak ją podzielił na Teufel i Ring,

to wyszło mu diabeł i pierścień. Diabeł to szatan albo czart, ring, czyli koło, pierś-cień, krąg, a więc diabelski pierścień, szatańskie koło lub czarci krąg. To ostatnie wrzucone w Google, przyniosło kilka zadawalających rezultatów i wielką miłość do grzybów. Profesor rozumował na zasadzie pewnych połączeń. Jeżeli coś istnieje, nie może istnieć ot tak sobie, musi coś znaczyć. Poza tym czytał dużo fantasy i wierzył w to, że Lem był spiskiem, a Erich von Däniken jest mesjaszem.

Dlatego właśnie przyjechał do Zagubina. Był kilka kroków od miejsca, które wyraźnie wskazywało na aktywność pozaziemską. Wiedział, że jeżeli coś ma się zdarzyć, to tylko tutaj i prawdopodobnie teraz.

Wściekał się od kilku dni, nie mogąc porządnie uruchomić maszyn. Musiał się śpieszyć. Musiał coś zrobić, bo wierzył, że teraz, właśnie teraz nastąpi jakiś przełom w jego dziele. Dlaczego? Wampiry już się pojawiły, teraz wystarczyłoby tylko z nimi porozmawiać. Jakoś. Jakkolwiek.

Przygotował więc swoją maszynę. Tym razem nie zamykał nawet okna. Teleportacja teleportacją, ale gdyby mieli problemy, okno też się nada.

Podłączył swoje spięte kajdankami noże do gniazdka w cyklotronianie... Nazwa była oczywiście wymyślona, ale bardzo piękna i techniczna, budziła szacunek. Opuścił wszystko na niemilosiernie już porysowaną płytę gramofonu i włączył.

Płyta kiedyś odtwarzała kołysankę Komedy graną przez zespół Fantomas, ale teraz słyhać było jedynie jęk, chichot oraz to coś, co sprawiało, że komuś, kto znajdował się w pobliżu, własne kości wydawały się ze szkła, a zęby dzwoniły jak bombki na choince.

Oczywiście tylko wtedy, kiedy byli w pobliżu. Ci, którzy znajdowali się dalej, mieli wrażenie, że własna czaszka chce zjeść im mózg.

Aparat zgrzytnął, jęknął, zaciął się i ruszył.

– O Boże! Zaczyna się! – jęknęła przełożona pielęgniarek na drugim piętrze szpitala i poszła do składziku po kask motocyklowy męża. Zazwyczaj pomagał.

\*\*\*

Amelia także to poczuła. Było jak jakiś daleki zew. Jak jęk wszechświata, jak samobójstwo mózgu i rozwolnienie w jednym.

To ostatnie sprawiło, że musiała udać się do łazienki, która zgodnie z najlepszymi tradycjami opieki nad obłożnie chorymi znajdowała się na samym końcu długiego na kilkadziesiąt metrów korytarza.

Lekko oszołomiona Amelia wstała, włożyła kapcie i ruszyła w drogę ku łazience, nieświadomie wlokąc za sobą stojak na krop-lówkę, do której nadal była podłączona.

Słyszała dziwne brzęczenie, zgrzyty i chrobot oraz jęki kobiet, które – jak na komendę – zaczęły rodzić.

– So uta e jeje? – zapytała, usiłując wyartykułować cokolwiek przez brzęczące zęby.

– O ę aria ofe or – odparła jej druga kobieta wędrująca w tym samym kierunku.

Po chwili dołączyła do nich trzecia, czwarta i kolejna. W ten sposób utworzyły szary korowód wlokących się nogą zjaw.

Wszystkie trzymały się za brzuchy.

Za nimi biegły pielęgniarki, dwie salowe, a nawet lekarz i policjant dyżurujący pod pokojem Amelii, który co prawda musiał jej pilnować, ale wcale nie miał zamiaru za bardzo do niej się zbliżać.

Ostatnia świetlówka, która przetrwała jakimś cudem poprzednie eksperymenty profesora, pękła, pogrążając korytarz w ciemnościach i wrzasku.

Szkoło poraniło kilka przypadkowych pacjentek.

\*\*\*

Interwencja Wierciuchowej uratowała kilka ostatnich szklanek i zdenerwowała profesora tak bardzo, że aż zaklął.

\*\*\*

Korowód zatrzymał się.

Kobiety przestały jęczeć.

Amelia otworzyła szeroko oczy i widząc krew, może nie w ilościach hurtowych, ale jednak wszędzie wokół siebie, zdecydowała, że tak dalej być nie może. Owszem, jest wampirem, ale objadanie się jej nie przystoi, i to w dodatku czym, to znaczy kim... Te kobiety były dość nieapetyczne, a lekarz łysy. Zgroza. No i tak jakoś podczas posiłku wołałaby być bardziej świadoma.

Postanowiła, że nazajutrz wypisze się na własne żądanie do domu.

Wciąż była lekko oszołomiona, potłuczona, zakrwawiona, ale nie miała nawet wstrząsu mózgu, co ją samą zdziwiło. Dała się obejrzyć, przebadać, opatrzyć, ale tylko tyle. Musiała wrócić do domu. Musiała. Życie jej córki było o wiele bardziej zagrożone niż jej własne, w końcu cóż znaczy rozcięta głowa i kilka szwów w porównaniu z zapasieniem się na śmierć? Szwy da się zakryć włosami, a figura to już inna sprawa.

Amelia wypisała się ze szpitala i kazała zięciowi odwiedzić się do domu. On sam chętnie na to przystał, bo mimo wszystko teściowa była bezpieczniejsza w domu pod jego opieką niż w szpitalu. Co prawda oprawca, czyli Stawicki, siedział w celi, a pod drzwiami jej sali stał policjant, ale komendant wołał dmuchać na zimne. Bo na oddziale zaczęto patrzeć na nią ze zgrozą i kilka pacjentek zadzwoniło nawet do rodzin, prosząc o dostawę kolków.

\*\*\*

– Czyli mamy właściwie wszystko. Stawicki rąbnął moją teściową siekierą.

– Przyznał się?

– Nie, no co ty, Maciek, tak dobrze to nie ma. Zresztą i tak pewnie by nie pamiętał, bo był naćpany jak bąk.

– I do tego jeszcze narkoman?

– No właśnie. Narkoman. Chyba. To znaczy on twierdzi, że nie, ale wszystko jakoś świadczy przeciwko niemu. Kłamie jak nic! Może cały czas się czymś odurza i stąd te morderstwa? Zawsze tak jest. Niby ktoś jest całkiem normalnym człowiekiem, a jak się napije albo naćpa, to dostaje szału.

– No do szału to mu jeszcze daleko. Musiałby zostawić więcej śladów. – Szczurek wychynął zza drzwi z korytarza, chcąc zaznaczyć swoją obecność. Nie przewidział reakcji Hanki.

– Pozbieraliście krowę? – rzuciła do niego i do Wiołki, która co prawda lekko poobijana, ale zaczynała już szukać nowego kandydata na wielką, albo przynajmniej owocną, miłość. Przymilnie uśmiechała się do Maćka. Tego Hanka nie zamierzała tolerować. Nie, żeby była jakoś specjalnie zazdrosna, właściwie nie miała o kogo ani nawet za bardzo o co, ale wołała dmuchać na zimne.

Zbieranie krowy w zasadzie nie było konieczne, ale stanowiło całkiem dobre zajęcie dla tych dwojga nygusów.

– No. Chyba całą – jęknęła Wiołka. – Chyba wszystkie te pieprzone fioletowe drobinki...

– Chyba? To zostawcie je w korytarzu i przeszukajcie teren jeszcze raz – zarządziła Hanka, po czym zwracając się do komendanta, dodała: – Może to coś nam da?

– Krowa? No tak, ktoś ją wysadził w jakimś celu. Kto wie? Może? Choć ta krowa jest zupełnie bez sensu.

– Tak jak i cała reszta. Założmy, że Stawicki przyjeżdża tutaj i zasiada na tronie w pałacyku. Okej, ktoś go tam sadza, prawda? On gra przez cały czas właściciela. To nie jest ani karalne, ani nawet

niemoralne. Zwyczajna sprawa... Teraz, po latach postanawia się ożenić dla pieniędzy. Dlaczego teraz? Dlaczego nie wcześniej?

– Może coś się zmieniło w jego układach z właścicielem? Dowiemy się, kto nim jest?

– No, nie bardzo. Przy tym stanie sprawy nie dostanę żadnych nakazów. W końcu nawet jeżeli zabił, to nie dotyczy to jego pracodawcy, a poza tym wszystko jest skrzętnie zaprawniczone. Nie mamy dostępu do danych.

– No dobra, niech będzie. Chce się ustatkować i rejestruje się w biurze matrymonialnym. W tym też nie ma nic niezgodnego z prawem.

– No tak, ale potem... Czy ja wiem? Morduje?

– Tylko dlaczego? Dlaczego morduje i dlaczego Kowalską? Dlaczego?

– Bo ona mogła powiedzieć Wierciuchowej prawdę o stanie jego finansów.

– To nie jest najlepszy motyw na świecie, choć ludzie mordują z najgłupszych powodów, ale skąd wiedziała?

– Od Żanetki?

– A ta skąd?

– To mogło być proste. Jeżeli była inteligentna, to szybko by się czegoś dowiedziała. W takim środowisku wystarczy umieć patrzeć, słuchać i dodawać dwa do dwóch.

– To fakt. I ta Kowalska mogła go szantażować? Mogła, ale po co, skoro wiedziała, że on nie ma pieniędzy?

– Może nie mieć fortuny, ale jakieś pieniądze przecież musi mieć!

Siedzieli w komisariacie i czekali na cud.

– I ten szkielet. Wszystko zaczęło się od szkieletu, ale teraz wydaje się, jakby nie miał żadnego znaczenia, tak samo, jak ta wybuchająca krowa. A może Stawicki zabił jakiegoś gościa i zwyczajnie zmienił nazwisko, ukrył się, a tamte go szantażowały, bo wiedziały, że go zabił?

– Tamte tak. Ale moja teściowa?

– Może on tylko myślał, że ona coś wie? Zabija faceta i żyje spokojnie przez dwadzieścia lat. Okej, myśli, że jest bezpiecznie, więc zgłasza się do biura matrymonialnego. Pech chce, że jego zdjęcie zauważa Kowalska... Przypomina sobie jakąś sprawę sprzed lat, coś, co wie, ale o czym nie mogła powiedzieć, albo... Może ta pokojówka czegoś się dowiedziała? Podслуchała coś?

– Hm... Z księgi gości wynika, że Kowalska raz tam była. Pół roku temu.

– O! Czyli przyjechała tam, poznała Żanetkę, dowiedziała się co i jak, a potem zaczęła go szantażować. Pokojówka mogła zbierać informacje.

– Nie. Po co miałyby zbierać informacje, skoro już je miała? Chyba żeby...

Komendant zamyślił się na chwilę, po czym wstał i podszedł do drugiego pokoju. Wrócił tak samo zamyślony. Pogrzebał w papierach.

– Bo wtedy mogłoby nie chodzić o jego pieniądze, a o zbrodnię. Zabójstwo byłoby mimo wszystko bardziej prawdopodobnym motywem. I byłoby bardziej zrozumiałe.

– Ale tyle osób? Wszyscy by wiedzieli? Jeszcze wyjdzie, że całe miasto wie, a tylko my błądzimy jak dzieci we mgle.

Całe miasto wiedziało, ale o czymś zupełnie innym. Wiedziało o ataku wampira na szpital. O strasznym nocnym ataku, w wyniku którego opróżnione zostały składy kaszanki i magazyn krwi. Wiedziało, że tak dalej być nie może i że trzeba coś z tym zrobić. Ogólnie wszyscy chcieli działać, bić, dźgać, dusić, czosnkować, ale tylko na Facebooku. Stworzono wydarzenia „NIE dla wampirów w Zagubinie” i „TAK dla zagubińskich istot mitycznych”.

Było trochę lajków, które potem się sprzeda z całkiem dobrym zyskiem. Kilkoro zagubinian wyraziło swoje zdecydowane opinie na temat sytuacji w mieście słowami ogólnie uważanymi za niecenzuralne.

Padło sporo gróźb karalnych i ci, którzy je wyrażali, pewnie zostaliby pociągnięci do odpowiedzialności, gdyby nie to, że mimo deklaracji żaden komentator nie ukończył jedenastego roku życia.

Po mieście stadami chodzili młodzieńcy uzbrojeni w kołki i młotki oraz duża liczba kibiców piłkarskich wyposażonych w szaliki i kije. Rozwalali śmietniki, niszczyli znaki drogowe i ławki w parkach, wykrzykując „Śmierć wampirom!” Zwykłemu człowiekowi takie zachowanie może się wydać nielogiczne, ale nie będzie miał racji, o nie! To zachowanie ze wszech miar uzasadnione, a nawet przemyślane, jakkolwiek z przemyśleniami u pseudokibiców bywa ciężko. Popatrzmy na to ze strony człowieka, który walczy z wampirami. Co może mu taki wampir zrobić? Może go zagryźć! Kosz na śmieci nie! Wampir może spowodować nieodwracalne zmiany w psychice i sprawić, że taki kibol nagle zacznie się elegancko ubierać albo i myć, a znak drogowy tego nie zrobi! Wampir może zabić, co prawda ławka w sumie też, ale zawsze łatwiej przed nią uciec.

Dlatego całe rzesze obywateli walczą z niesprawiedliwością społeczną, niszcząc mienie publiczne, aby pokazać swoją odwagę i nieprzejednaną wolę walki, nie narażając się przy tym na nic straszniejszego od grzywny.

\* \* \*

Krwiożerczy Piotruś żył zbrodnią. Nic tak nie pobudza apetytu na plotki, jak porządna, niewyjaśniona, cudownie okrutna zbrodnia, a taki właśnie był atak na Amelię Prokopiec.

Dziuinka, która nie odstępowała Marcela ani na krok, żeby broń Boże nie dać mu uciec, cały czas przesiadywała w pensjonacie. Wszyscy przesiadywali w pensjonacie, bo samotne wyprawy do miasta jakoś przestały być w modzie. Ludzie wychodzili parami albo grupami, robili niezbędne sprawunki i wracali najszybciej, jak mogli, żeby nie stracić najświeższych wieści.

Wierciuchowa chodziła niczym chmura gradowa. Turnus się kończył, sprawa z wampirami odrobinę przycichła, a morderstwa – mimo zapewnień Marcela – wcale nie przysporzyły jej nowych klientów. Jeden trup był ciekawy, kusił nowością doznań i dreszczykiem emocji, dwa trupy to nadto, ale amatorzy by się jeszcze znaleźli. Niestety po ataku na Amelię Prokopiec ludzie zrozumieli, że tu mordują. Naprawdę mordują, i to kogo popadnie. I gości pensjonatu, i pokojówki, i tutejszych, bo Amelia właśnie do tej kategorii została zaliczona. To się ludziom nie spodobało, bo w końcu kto jedzie na urlop po to, żeby stać się ofiarą tak niewybrednego mordercy, który nie ma żadnych specjalnych preferencji, a więc zagrożony jest każdy.

Zatrzymanie Stawickiego ogłoszone we wszystkich możliwych mediach, nie tylko lokalnych, przyjęte zostało z zachwytem.

– Musimy iść go spytać, gdzie trzyma Anetkę! – powiedziała babcia Zosia, wpadając do Krwiożerczego Piotrusia po jakieś wiadomości.

Była brudna, cała oblepiona czymś żółtym, na palcach obu rąk miała plastry. Za nią weszła babcia Marylka tak samo utyłtana i poobklejana plastrami.

– Niczego nie znalazłyśmy, ale było to! – powiedziała, wyciągając oskarżycielskim gestem w kierunku zgromadzonych coś podobnego do palca. Było czerwonawe, gruzłowate, niezbyt grube i wyglądało paskudne. Pachniało jeszcze gorzej.

– Jest tego więcej – sapnęła przejęta Marylka. – Kilkanaście. Ten zboczeniec chyba poobcinał im wszystkie palce!

Jęk zgrozy przetoczył się przez salę.

– Idziemy na posterunek! Nie damy się tak traktować! Trzeba coś zrobić! Oni tam umrą z wykrwawienia! Z głodu, ze wszystkiego...

– O ile jeszcze żyją! – mruknęła Emma, wisząc na ramieniu Pita w pozie kusicielki.

– O Boże! – krzyknęła Marylka, łapiąc się za serce. – Ale gdzie on ich trzyma?

– Jak to gdzie? W pałacu! Tam na pewno są lochy! – odparła pewnym głosem pani Basia. – Idziemy!

Wierciuchowa wyczuła moment na pozbycie się gości i uratowanie zapasów kawy oraz herbaty, którą się raczyli od rana. Nie mogła jednak wypuścić ich bez opieki. Lilka była jej potrzebna do sprzątnięcia, Hanka i Maciek siedzieli już na posterunku, a dwoje młodych adeptów sztuki detektywistycznej rozgrzebywało jej ogródek w poszukiwaniu szczątków krowy.

Natychmiast znalazła rozwiązanie. Profesor!

– Zajmie się pan gośćmi! Zaprowadzi pan ich na policję i przyprowadzi na kolację. Wszystkich! Co do jednego. I niech pan pilnuje tych dwoje zbrojczyków – dodała półgłosem, wskazując na Emmę i Pita. – Żadnych skandali! Proszę wziąć ze sobą tego dziennikarza i Dziunię, bo szlag mnie już na nich trafia!

Dziunia od pamiętnej akcji ratunkowej zadomowiła się w Piotrusiu jak wielka pani i chodziła krok w krok za Marcelem, nie chcąc przegapić okazji do wywiadu. Jakimś cudem znalazła też z nim wspólny język.

– No i ona, ta baba, to jak spier...lała, to normalnie aż okno wybiła. No, mówię jak na spowiedzi – perorowała, zdradzając fotografowi najtajniejsze sekrety miasteczka, które on skrzętnie notował. – A ta druga, co żem wcześniej mówiła, to znalazła sobie takiego szczyła na utrzymanka.

Marcel znalazł wreszcie źródło weny twórczej i swoją prywatną muzę. Sprawiała, że zaczął marzyć o karierze reportażysty.

Wszyscy podnieśli się z krzeseł i ruszyli na posterunek prowadzeni przez dwie upaprane babcie. Byli zdenerwowani, podekscytowani i bardzo zadowoleni, że znów coś się dzieje.

Pochód był milczący i ponury.

– Trzeba coś z tym zrobić! – dało się słyszeć raz po raz z ust jego uczestników.

– Nie można tego tak zostawić!

– Tu chodzi o życie ludzkie!

– Tak nie wolno! Trzeba działać!

Słowa te padały na podatny grunt, bo wszyscy w miasteczku bardzo chcieli coś zrobić dla ratowania ludzkiego życia i wszystkim się wydawało, że atak na komisariat jest bardzo ciekawą opcją.

\*\*\*

– Trzeba coś z tym zrobić! – dobiegło komendanta przez okno. Wiedział już, że sprawa nie będzie łatwa.

– Nie można tego tak zostawić! Tu chodzi o życie ludzkie! Trzeba działać! – Usłyszał Maciek i zaklął.

Hanka prawie zemdleła, widząc swoje babcie na czele tego agresywnego i wciąż rosnącego tłumu.

– Oto, co znalazłyśmy! To są palce! – krzyknęła oskarżycielsko babcia Zosia, rzucając na biurko to, co trzymała w ręku. – To są ich zdradziecko odrąbane palce!

– Uuuuu! – jęknął tłum albo raczej tłumek, który zebrał się w korytarzu. – Nie można tego tak zostawić! Tu chodzi o życie ludzkie! Trzeba działać!

– Czyje palce? – jęknęła Hanka przerażona. – Na litość, czyje?

– Babci Anetki i dziadka Mirka! Wszystkie! Wszystkie im poobcinał!

– Gdzie znalazłyście to makabryczne coś? – zapytał komendant nie do końca pewien, co widzi.

– W bombie! Przegrzebałyśmy wszystko dokładnie! O! – Babcia Zosia pokazała swoje pooblepiane palcami palce. – O! Poraniłyśmy się o skorupy słoików, ale znalazłyśmy!

– On ich porwał i trzyma w lochach!

– I karmi się nimi! – krzyknął ktoś z tłumu, jednak nie do końca poinformowany, o kogo i o co chodzi. – Nie można tego tak zostawić! Tu chodzi o życie ludzkie! Trzeba działać!

– W jakich lochach?

– W Kotłęcinie! – odparła ponuro babcia Marylka.

– Tam są lochy?

– Komendancie, przecież to niemieckie, to się kiedyś nazywało Teufelring! Tam muszą być lochy! – stwierdził autorytatywnie Kociołek, jakby wszystko, co jest niemieckie, musiało mieć lochy, nie wyłączając lodówek.

– Tak! Nie można tego tak zostawić! – zawołał ktoś z tłumu, ale komendant wstał i wszystkich uciszył.

– Sam wiem, co mam robić! Panie zostają, reszta na dwór – rozkazał. – I to natychmiast!

Tłum niechętnie wytoczył się na zewnątrz. Jak zwykle w takich sytuacjach zawiedzeni miejscowi poszli szukać zaczepki dalej, a turyści pod wodzą profesora rozłożyli obozowisko przed komisariatem. Tylko Emma i Pit, jak zwykle lubieżnie objęci, oddalili się w kierunku parkowych zarośli.

Hanka obejrzała leżące na biurku „dowody”. Przyjrzała się im z bliska, wzięła jeden przez chusteczkę i wyciągnęła oskarżycielsko w stronę babć.

– Jesteście nienormalne! To nie są palce! To kielbaski! Zwykle suche kielbaski.

– No właśnie – stwierdził komendant zadowolony, że on sam nie musiał ich ustawiać do pionu. – Nikt nie został porwany! Nikt! Rozumieją panie?!

– Ale...

– Niech panie zadzwonią do tej porwanej kobiety, i to natychmiast – rozkazał. Po chwili widząc, jak jedna z pań wyjmuje z kieszeni komórkę, aż się zatrzęsł. – O, nie! Dzwoni pani stąd, ode mnie, na głośnomówiącym. Ja chcę to słyszeć, żeby znowu pani czegoś nie wymyśliła!

Babcia obruszyła się trochę, ale posłusznie podyktowała komendantowi numer telefonu. Wystukał go sprawnie na klawiaturze dość dużego urządzenia, po czym w gabinecie dało się słyszeć sygnał. Jeden, drugi, piąty...

– A nie mówiłam?

– Zaraz! – warknęła komendant. – Ona jest kobietą? Prawda? To dajmy jej czas, żeby znalazła telefon w torebce! O – ucieszył się, słysząc charakterystyczny trzask.

– Słucham? – odezwał się wysoki, modulowany damski głos.

– Cześć Anetka, to ja, Zosia. Gdzie ty się podziewasz? My tu już od zmysłów odchodzimy, a ciebie nie ma i nie ma. I nie wiemy...

– Niech pani da jej odpowiedzieć – szepnęła wściekle komendant.

– No i...

– Przecież ci mówiłam! Jesteśmy na wczasach! We Francji. Paczka przyszła?

– To ty wysłałaś tę bombę?

– Jaką bombę?! Wysłałam ci sery! Sery, pasztet, kielbasę... A co to za numer z bombą?

– No bo mówiłaś, że najlepsze kasztany...

– No tak, są na placu Pigalle, no więc ci wysłałam! Najlepsze!

– Ale mówiłaś coś o tej... no, takiej jednej babie. Lenderowa się nazywała?

– Nie Lenderowa, Langerowa! Widziałam ją! Była w Zagubinie, wiesz...

Informacja o dość zwyczajnym pochodzeniu niezwykłej bomby jakoś nikogo nie zainteresowała. Może i była pocieszająca, ale nic więcej. Natomiast Langerowa to już było coś ciekawego.

– No ale co z tego? Ona miała mi coś przywieźć?

– Ona? Nie! Skąd? Kurier! Chciałam tylko, żebyś wiedziała.

– No ale co ta baba...

– Nie pamiętasz? Wiesz, ta afera, co była jakiś czas temu.

– Jaka afera? – wtrącił się komendant, nie mogąc się doczekać konkretów.



– Przepraszam bardzo, a pan kim jest? – oburzyła się Anetka. – I po co pan się wtrąca do cudzej rozmowy?

– Komendant policji w Zagubinie. Kurzydło – przedstawił się służbiście.

– A więc jednak – ni to westchnęła, ni to ucieszyła się kobieta. – Złapaliście ją?

– No tak jakby, ale co właściwie pani wie o sprawie?!

– Ja? Nic! Oczywiście, że nic. Nie będę z panem rozmawiać! Kto wie, kim pan jest? Ja nie wiem. Mirku, Mirku! – zawołała głośno. – Jakiś facet tu się wtrąca i twierdzi, że jest z policji!

– Nic mu nie mów! Mamy prawo do adwokata! A poza tym każdy tam może się podać za policjanta! Ja panu koło pióra zrobię! Anetko, nic mu nie mów, to musi być oszust! To jest prywatny numer! To, co pan robi, podlega pod stalking...

W tym momencie Hanka wyłączyła telefon.

– Nie ma co dłużej z nimi gadać. Jak dziadek Mirek się włączył do rozmowy, to mamy dobre pół godziny umoralniania, dwadzieścia minut pouczenia i godzinę straszenia. Tak po prostu jest. Nikomu nie da dojść do głosu.

– No, ale nie dowiedzieliśmy się niczego o tej kobiecie. Chociaż to nazwisko coś mi mówi. Langer, Langer... Czy tu nie było jakiejś sprawy? Nieróbek! Chodźcie no tu – krzyknął zaaferowany. – Sprawdźcie w naszych bazach nazwisko Langer. Imienia nie znam. Może Romualda?

Aspirant Nieróbek nie szukała długo. Po kilku minutach wróciła z zadowoloną miną i położyła przed komendantem wydruk.

– Jest. Romana Langer. Była tu kilka lat temu jakaś sprawa z szantażem. Kobieta przyjechała, zameldowała się w hotelu...

– W Kotłęcinnie?

– Nie, w hotelu Czar Zagubina. I coś tam wyszło nie tak, jakiś szantaż... Chodziło o brata właścicielki, ale zanim czegokolwiek się dowiedzieliśmy, zniknęła. Więcej nikt o niej nie słyszał.

– Romana Langer, Romualda Kowalska...

– Może chodziło o ten sam numer! Szantażowała Stawickiego i ją rąbnął. A ta Żanetka mogła jej pomagać zbierać informacje. Dlatego załatwił także i ją.

– A moja teściowa?

\*\*\*

Teściowa udawała że śpi, ale dziura w ścianie pomagała jej obserwować sytuację. Co prawda o tej porze spać nie powinna, ba, nigdy nawet sobie nie pozwalała na takie luksusy jak sješta, ale dziś była usprawiedliwiona potężnym guzem i szwami na głowie.

To, co widziała, wcale jej się nie podobało. Jej córka nie jadła. Ona żarła, opychała się, pochłaniała wszystko, co wpadło jej w ręce, na widelec, łyżkę i chochlę.

Trzy kotlety. Talerz zupy, bułeczka, ziemniaki z masłem czosnkowym, znów bułeczka, sałatka jarzynowa z jajkiem na twardo, śledź...

Potem biegła zamknąć się do łazienki i długo stamtąd nie wychodziła.

Po powrocie kręciła się chwilę po kuchni i znów zaczynała jeść.

Matka nie mogła nawet myśleć o spustoszeniu, jakie poczyni taka dieta w organizmie córki. Nie mogła na to pozwolić, co to, to nie! Wstała i udając, że ledwie trzyma się na nogach, weszła do kuchni, żeby wzbudzić w córce poczucie winy. Im większe, tym lepiej, ale ta znów nalała sobie talerz zupy i jadła, jakby świat miał się skończyć.

– Mmmm... pyszne! – powiedziała z zachwytem, dolewając sobie jeszcze chochelkę.

– Bulimia – zawyrokowała Amelia tonem kogoś, kto obwieszcza koniec świata. Pocieszał ją fakt, że księżna Diana też miała bulimię, czyli choroba jest przetestowana arystokratycznie i jakby co, nie

trzeba się za nią wstydzić.

– Cięża – odpowiedziała córka, smarując bułeczkę dżemem. Doskonale pasowała jej do śledzia z zupą ogórkową.

\*\*\*

Przyrowadzenie turnusu na kolację nie było wcale takie proste, jak się wydawało. Po pierwsze Emma i Pit znów gdzieś się zagubili, a Kociołek wołał bez nich się nie pokazywać, po drugie cała reszta też nie miała ochoty jeszcze wracać. Poszli więc na piwo, na lody, potem na lampkę wina, a w końcu, zataczając się, wyruszyli na poszukiwanie zaginionych kochanków do parku, gdzie wdzięcznymi, czkającymi, pijanymi głosami wołali ich na cały regulator.

– Eeeeeeeeeemm! Eeeeeemmmaaaaa! Piiiit!

– Piiiit, wyłażcie z krzaków! Szybko, tylko się ubierzcie!

Szukali ich dość długo i bardzo im się to podobało. Kiedy udało się odnaleźć obie zguby, które tym razem niczego niestosownego nie robiły, a tylko siedziały na ławce w głównej alejce, wrócili do pensjonatu. Wierciuchowa się wściekla.

– Wszyscy pijani! – warknęła z wyrzutem. – Jak pan mógł do tego dopuścić?! Ja... Ja... nie daruję! Nie daruję! Pan mnie odpracuje te szklanki! – warknęła do profesora. – I tamte jajka... I krowę – dodała na wszelki wypadek. – Ona pewnie też wybuchła od tego buczenia. I wszystkie nieszczęścia!

– A co ja niby miałbym robić? – jęknął profesor, obawiając się, że znów nie będzie mógł prowadzić badań.

– Idzie pan tam do ogrodu, do tej dziury, co ostatnio hydraulik był, i zakopie pan, zasypie, cokolwiek, bo pies znowu coś tam kombinuje, a ja nie mam ochoty na kolejną katastrofę kanalizacyjną. To może pan chyba dla mnie zrobić!

Mógł. Co prawda jego profesorskie ręce dawno już nie trzymały łopaty, ale dziura nie była wielka. Wystarczyło zebrać ziemię rozkopaną przez Zyzola i zgrabić ją do dołu, potem jakoś to uklepać i tyle.

– I połóż pan te stare płyty z chodnika przed domem, żeby pies znowu nie rozkopał! – dodała Wierciuchowa, chcąc jak najlepiej wykorzystać darmową siłę roboczą, która przecież nie trafiała się często.

\*\*\*

– Wszystko pokręciły – stwierdziła Hanka, przytulając się do Maćka. Leżeli w jego pokoju, na łóżku, nieco nieubrani, ale ZUS tu nie obowiązywał. Tu było prywatne mieszkanie Lilki, która chyba nie miała nic przeciwko temu. Zresztą kto by ją pytał? Nie mieli czasu się nawet pomyśleć o tym, co robią, bo ich uczucia wymknęły się spod kontroli.

Dopiero trzy godziny później, trochę ochłonawszy, mogli w ogóle nad czymkolwiek się zastanawiać i o tym czymkolwiek rozmawiać. Pomiędzy pocałunkami oczywiście.

– No, ale miały rację z tym nazwiskiem.

– Miały, ale cała ta reszta z porwaniem? Najważniejsze, że wiemy, jak to wszystko wygląda. Langerowa przyjechała tu kiedyś i kogoś szantażowała. Wiemy też, że Kowalska była tu pół roku temu i wtedy mieszkała w Kotłęcinie.

– Wpisała się na listę potencjalnych żon Stawickiego. Wiesz, on zapisał się do biura też jakoś w tym czasie. Coś na niego miała. Tylko co?

– Może to, że jest tym Klapem?

– Trochę mało, ale możliwe. Ludzie różnie reagują na swoją przeszłość. Może bycie Klapem było dla niego traumatyczne?

– Albo zwyczajnie niebezpieczne.

- Więc umówił się z nią i zamordował, potem upozował zwłoki na ofiarę wampira.
- A szkielet?
- Może nie mieć z tym nic wspólnego. To stara sprawa.
- Właśnie za stare sprawy najczęściej się szantażuje. Ale dobrze. Potem zabił Żanetkę, mógł to zrobić tego wieczora, kiedy mieliśmy nocować w pałacu. Pamiętasz, nie byliśmy w stanie go znaleźć.
- A ta Prokopiec?
- Wiesz, komendant jest naiwny. Ona też mogła w tym maczać palce! Nigdy nic nie wiadomo. No i znaleźli te okulary oraz chustkę... To by się zgadzało.
- I on tak sobie mordował tę Prokopiec i taszczył ze sobą okulary tej pierwszej? Że niby po co mu były potrzebne? Chciał mieć przy sobie dowody? Bez sensu!
- To mógł być przypadek. Szedł gdzieś to zakopać albo co?
- Fakt.

\*\*\*

Profesor nie lubił grzebać w ziemi, dlatego z wielką niechęcią wziął grabie i zaczął spychać mokrą jeszcze glebę do dołu.

Nie była to ciężka praca, choć oczywiście pozostawała niegodna profesora, jednak nie mógł odmówić Wierciuchowej. W imię wieźyczki zrobiliby wszystko!

Dziura była głęboka i szeroka na jakiś metr. Zepchnął jedną partię ziemi w dół i przyjrzał się dokładnie temu, co pojawiło się pomiędzy zębami grabi.

\*\*\*

– Pocałuj mnie – powiedziała Hanka do Maćka, przeciągając się rozkosznie. Było jej dobrze. Wreszcie dobrze. Czowała się ładniejsza, młodsza i o wiele mniej żółtawata. Miłość to najlepszy kosmetyk i tabletki przeciwdepresyjne w jednym, a na dodatek nie można jej przedawkować.

– Kości! Znalazłem kości! Mamy kolejnego trupa! – wrzeszczał profesor radośnie, wymachując niezidentyfikowaną kością piszczelową i wzbudzając trwożny zachwyt w mieszkańcach pensjonatu. W Hance wzbudził wściekłość i znużenie.

– Znowu? Kolejny trup? – jęknęła płacziwie, bardzo zawiedziona. – Czy ludzie nie mogą przestać się mordować chociaż na chwilę?! Przecież to aż nie wypada, tylko zwłoki i zwłoki! – Wstała z łóżka i zaczęła się ubierać. Nie miała na to ochoty, ale zwłoki mają swoje wymagania.

Maciek też narzucił na siebie spodnie i koszulkę. Szybko wyszedł na korytarz.

Profesor był tak zadowolony, że aż promieniał. Gdyby go podłączyć do sieci, oświetliliby trzy średniej wielkości wioski i bożonarodzeniową choinkę.

– Widzicie?! Kość! – Pokazywał wszystkim znalezisko, które dzierzył jak berło. – W dziurze znalazłem!

Wtedy Hanka przypomniała sobie o krzyżyku, który odkryła kilka dni temu w tej samej dziurze.

– Maciek! Chyba musimy zadzwonić do komendanta – powiedziała niepewnie. – I trzeba coś zrobić z profesorem, bo mu całkiem odbija.

Nic zrobić się nie dało.

Plotka, dzięki Dziuńce i Marcelowi, bardzo szybko ruszyła w miasto i zaczęła szerzyć panikę. Tym razem wszyscy mieli już dość.

– No bo pani, jeden, dwa trupy, ale tyle? Ktoś nas chce wymordować doszczętnie! Oni powinni ogłosić jakiś stan zagrożenia, a nie tak sobie siedzieć i nic nie robić. Ja rozumiem, wampiry, rozumiem, ale trupy?

– No bo niby to złapali faceta? Złapali! To skąd kolejny trup? Skąd ja się pytam? Pewnie niewinnego wsadzili, bo im było wszystko jedno! Zawsze tak robią!

– Masz pani rację, żeby im się statystyki zgadzały. Albo on wampir i nocą wylata na żer?

Opustoszało kilka hoteli, których goście, naprędce spakowawszy swoje rzeczy, wyruszyli jak najdalej od Zagubina, twierdząc, że ciekawość to nie tylko pierwszy stopień do piekła, ale czasami także do grobu.

Komendant przyjechał z kilkoma swoimi ludźmi i kazał im przegrzebać wszystko, co się dało, wokół dziury, ale także i w niej.

– To mogą być te brakujące kości. Koparka, nabierając ziemię, musiała po prostu uszkodzić tamten grób. A to? – Obejrzał dokładniej podany przez Hankę dość duży, srebrny krzyżyk, stary, raczej zabytkowy i prawdopodobnie bardzo cenny. – Wydawało mi się, że powinien być lżejszy – powiedział komendant zamyślony.

– Widział go pan już kiedyś?

– Nie, chyba nie albo może gdzieś na jakiejś stronie internetowej? Coś mi to mówi, ale... Sam nie wiem. Za to mogę wam już powiedzieć coś ważnego. Pamiętacie te nazwiska z kartki? Aleksandra Mark, Eliza Gracja Dupont? Mariola Tracz? Wolska Eulalia?

Pamiętali, ale niewiele im one mówiły.

– Wszystkie to ta sama osoba. Romualda Kowalska vel Romana Langer. Babka bawiła się w szantaż. Bardzo prosty i skuteczny. Przyjeżdżała do jakiegoś hotelu, wyszukiwała sprytną pokojówkę i razem z nią wybierała sobie ofiary spośród gości. Na ogół byli to niewierni mężowie w podróżach służbowych z sekretarkami, które udawały żony, ale zdarzały się i żony z młodymi kochankami. Raz czy dwa zarobiła na sprawach ściśle hotelowych, kucharz bez papierów albo jakiś przekręt z sanepidem. Wyjeżdżała i więcej nie wracała w to samo miejsce.

– A tu wróciła...

– Musiała szantażować Stawickiego. Nie wiem jeszcze czym, ale to nie będzie wielki problem.

– Stawickiego? – Z korytarza wychyliła się wykrzywiona zdziwieniem twarz Dziuni. – A tam pan gadasz! Stawickiego? Niepodobna! Toż on mały pikuś!

– Pani się nie wtrąca, pani się nie zna! – warknął komendant. – Pani w ogóle nie powinna się odzywać!

– Łoj, nie muszę! Co mi tam... A tę kartkę, co mi ta suka dała, to niby od kogo macie, co?

– Kto ją dał?

– Noż mówię, ta suka z drugiego piętra. Żaneta. Podleciała do mnie, jak żeście mnie prowadzili, i wcisnęła mi. Pewnie się bała, że i ją ktoś haratnie, i się nie pomyliła... A one to coś dużego nakombinowały, bo Wiesiek mówił po pijaku, że suka zarobi krocie! Krocie, a nie jak od tego Stawickiego groszaki, co jej za robotę płacił.

– A co jeszcze mówił ten Wiesiek? – zainteresował się Maciek, mrugając do komendanta.

– Ano, że flejtuch jestem, mówił. I że świnia. A na ulicy to niby że a, e, dupę trę, a w domu chlew.

– Nie o to chodzi. Chodzi o interesy tej Żanetki.

– Mówił, że dupy daje ruskim na autostradzie.

– Pani Rycka! – oburzył się komendant. – Nam chodzi o te sprawy ze Stawickim!

– To już chyba nic. A może i mówił, ale ja żem pijana była? Coś mi się we łbie kołacze, ale nie za bardzo pamiętam. Może jak bym się napiła? – Zaryzykowała wcale nie zakamuflowaną prośbę o pieniądze, ale komendant ją pogonił.

Amelia popatrzyła na swoją córkę, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu. W jej głowie rozszalał się huragan myśli.

– Że niby Irenka? Teraz? Z tym policjantem? Ale przecież... No niby wiadomo, małżeństwo, ale jakoś tyle lat... I dziecko może mieć włosy w uszach... No i powiedzmy sobie, to kłopot, ciało sobie zepsuje, roztyje się. Tyle lat Amelia ją chowała, tak bardzo się nad nią cackała, a teraz ona... Ale z drugiej strony...

– Dziewczynka – powiedziała córka, wskazując na zdjęcie USG leżące na szafce.

– Dzięki Bogu! Nie będzie mieć włosów w uszach!

– Mamo!

Amelia usiadła i załamała ręce. Przez całe życie poświęcała się dla córki, planowała jej karierę, starała się zrobić z niej wielką panią, marzyła z nią i za nią. A właściwie bardziej za nią, bo Irena niewiele chciała od życia. A teraz coś takiego?!

Od dziesiątego roku życia wychowywała ją sama. Było ciężko, a jednak sobie radziły. Były jak dwie nierozłączne... No, jak matka i córka, a teraz...

Zaraz! Dziewczynka! Amelia podskoczyła, kiedy dotarła do niej wreszcie ta wiadomość. Dziewczynka! Śliczna, mała, cudowna laleczka, którą będzie można ubierać i malować. Oby tylko nie była podobna do tego policjanta. Będzie można na konkursy piękności ją wysyłać. I na balet, i do szkoły wdzięku!

Dziewczynka! Serce Amelii podskoczyło z radości, kiedy wreszcie dotarła do niej ta wiadomość.

To będzie dziewczynka!

– Córeczko – powiedziała, patrząc na Irenę z niepokojem. – Czy ty aby nie jesz za mało? Teraz powinnaś się naprawdę dobrze odżywiać. Zaraz upiekę ci karkówkę i kluski śląskie zrobić. I kapustę zasmażaną. A do tego sernik! Z bitą śmietaną.

– I z ogórkami kiszonymi poproszę – powiedziała bezwiednie Irena. Po chwili jednak pobiegła do łazienki.

\*\*\*

– Odwieźliśmy Stawickiego do Wrocławia – rzucił komendant, wchodząc do zaimprovizowanego biura Maćka. – Wreszcie sprawa rozwiązana. Teraz będziemy mogli zamknąć to wszystko i wziąć urlop.

– Jasne – ucieszyła się Hanka. – A ja będę mogła wrócić do normalnej pracy.

– No nie wiem – westchnął Maciek. – Marika będzie musiała naprawdę się teraz starać, żeby znaleźć klientów. Dzwoniła, że jej ludzie porezygnowali, jak wyszła sprawa z tym Stawickim, że niby w jej biurze mordercy szukają żon.

– Stawicki dwadzieścia lat temu przyjechał tu jako Robert Klap. Zamordował jakiegoś faceta, ale żeby się nie wydało, zmienił nazwisko i podjął pracę jako „właściciel” pałacyku. Dobrze mu się żyło, aż pewnego dnia zapragnął się ożenić i wstawił swoje zdjęcie na stronę biura matrymonialnego. Wtedy wszystko się zaczęło. Sara rozpoznała w nim Klapa.

– Pani Saro, przyjdzie tu pani! – zawołał, wychodząc na korytarz. – Jak to było z tym Klapem?

Kobieta weszła. Była lekko zawstydzona.

– No bo Basieńka, moja kuzynka, pokazała mi zdjęcie tego Stawickiego i powiedziała, że on ma forsę. To ja sobie wydrukowałam, sprawdziłam to ucho i ten palec, i stwierdziłam, że przecież powinien oddać pieniądze, co jest córce winien. I to z odsetkami!

Basieńka też weszła do biura.

– No właśnie. Powinien – stwierdziła z mocą.

– No i jak przyjechałam, to postanowiłyśmy z nim porozmawiać, ale jakoś nie było okazji.

– No tak. Niestety nie tylko ona go rozpoznała. Kowalska też. Mieszkała tu przed laty. Musiała wiedzieć coś o zabitym mężczyźnie.

– Chodzi o wampira? – odezwała się z korytarza Dziuńka.

– Tak, o wam... Nie! Nie chodzi o żadnego wampira! Chodzi o najzwyczajniejszego człowieka. O szkielet. On nie jest wampirem! Boże kochany!

– I Kowalska przez tę Żanetkę go szantażowała.

– No właśnie! Przyjechała, on bał się katastrofy i ją zabił. Potem zabił tę drugą. Sądząc, że moja teściowa jest z nimi w zмовie, postanowił zabić i ją. I to wszystko! Teraz trzeba tylko dowiedzieć się, kim jest szkielet...

– Pan zgłupieł, no wampirem jest!

Wiolka weszła do biura i usiadła, zakładając nogę na nogę. Nie było w tym nic strasznego, ale Hanka zamarła, kiedy zorientowała się, że Wiolka ma spódniczkę wielkości chusteczki do nosa.

– Krowa pozbierana, większość dużych kawałków sklejona – powiedziała, uśmiechając się zalotnie. – Chodź Maciek, to ci pokażę.

Potłuczona fioletowa krowa nie jest zazwyczaj jakimś specjalnym artefaktem miłosnym, brak jej romantyzmu i pewnej klasy, ale dodana do kusej spódniczki i uśmiechu nieco pokiereszowanej Wiolki wydała się Hance wysoce podejrzana.

– Ja ją obejrzę – warknęła, zabijając w Wiołce ostatnią nadzieję. – No! Chodźmy! I czym ją kleiłaś?

– Wodą z mąką, bo Szczurek mówił, że nie wszystko pasuje. A gips mógłby za mocno złapać.

Szczurek zyskał u Hanki punkt za inteligencję, kiedy zobaczyła bledne posklejane zwierzę. Fakt, większość dużych kawałków została zlepiona... ze sobą.

– Wiolka! Coś ty zrobiła?! To nie jest krowa, to jakiś zmutowany dziwoląg! – wrzasnęła Hanka tak głośno, że aż wywołała z kuchni Wierciuchową, która wyszła na zewnątrz i przyjrzała się dziwolągowi. – Rozklejaj to natychmiast!

– Nie! – zaprotestowała Wierciuchowa. – Normalnie jest w porządku. Ten, no Picasso. No! Jak nie Picasso! A krasnale też byś tak umiała?

\*\*\*

A jednak włosy w uszach nie dawały Amelii spokoju. Dręczyły ją, drażniły, przerażały, ba! nawet jej się śniły, gęste, krzaczaste, skręcone, jakby lekko lonowe... Fuf! Wzdrygała się na samą myśl o włosach lonowych zięcia. To było straszne. Opętały ją. Z jednej strony były one, z drugiej jej córka i wnuczka. Niby nic się nie dało już zrobić, a jednak Amelii opuszczała myśl, że powinna.

– Mamusiu, co to za paczka z Allegro? – zapytał zięć grzecznie, potrząsając paczką.

– No, ku... piłam. Takie tam. I przyszło.

– Ale co to jest?

– No takie...

Zięć rozciął taśmę klejącą i otworzył paczkę.

– Takie... ziemniaki? – zapytał zdziwiony. – Mamusia przesadza. Ziemniaki w warzywniaku...

– No, ale te specjalne są – odparła szybko, błogosławiąc oszusta, który zamiast maszynki za kilkaset złotych przesłał jej trzy kilo ziemniaków. Co za wspaniały złodziej, pochwaliła go w duchu. W końcu z ziemniaków łatwiej się wytłumaczyć.

– Jak to specjalne?

– No... – pośpiesznie szukała w myślach czegoś, co mogłoby być specjalne w ziemniakach – do ogródka. Dla dziecka, jak się urodzi... One są takiej odmiany specjalnej.

– Nie mamy ogródka – warknęła komendant.

– Można posadzić na trawniku – brnęła Amelia. – Albo w doniczce! Zresztą... Ty zawsze wszystko utrudniasz. Ziemiaki specjalne! Rozumiesz? Specjalne!

– Mamusia też jest specjalna – mruknął komendant.

Nie wiedział, co więcej ma powiedzieć. Robienie awantury o ziemiaki nie wydało mu się rozsądne. Opuścił. Opuścił już i tę dziurę w ścianie, wędrujący kredens, biuro matrymonialne. Ziemiaki nie były warte sągonu.

\*\*\*

– Stawicki!

– Co znowu Stawicki?

– Rozumiesz? Ten zamordowany nazywał się Arnold Stawicki, a Kłap go zabił i ukradł mu tożsamość. Bał się oskarżenia o niedotrzymanie obietnicy małżeństwa. Stąd cała sprawa! Jest jeden taki w papierach, figuruje jako zaginiony w Gdańsku dwadzieścia kilka lat temu. Pisałem już do nich do komendy. Za kilka dni będą papiery i wszystkie dane, bo są w archiwum.

– Czyli wszystko jasne. Kowalska, czy jak jej tam, żyje z szantażu w hotelach. Przyjeżdża do Kotłęcina i razem z tą Kupś jakoś się tego dowiadują. Facet zabija jedną, potem drugą... Chce załatwić też moją teściową, bo ona jest z Gdańska! Myślał, że to z jego powodu przyjechała. Rozumiecie?! Pani Basia to musiał być przypadek, może dla odwrócenia uwagi, albo chciał załatwić nie ją, a Sarę! Bomba też. A co do krowy, to pewnie szukał tego krucyfiks. Wiedział, że go nie znaleziono, i pewnie wiedział też, gdzie wysypano ziemię z lasu.

– Skąd mógł to wiedzieć?

– To proste! Z plotek. Były plotki o wampirze, a nie byłoby ich, gdyby znaleziono krucyfiks.

– Czyli krowa to on.

– Właśnie. Krowa... A Sara i pani Basia tylko pogorszyły sprawę. Rozpoznał je, przestraszył się, postanowił działać. W sumie gdyby nie to biuro matrymonialne, to pewnie nic by się nie wydarzyło. A swoją drogą twoja babcia Anetka dobrze skojarzyła fakty. Jakiś czas temu było głośno o szantażu w Zagubinie, ale sprawy nie rozwiązano.

\*\*\*

Tej nocy wszyscy spali całkiem dobrze. Komendant pochrapywał, Irena sapała, Amelia śniła o włosach łonowych wyrastających z zusu zięcia.

Obudziła się nad ranem. Bezszelestnie weszła do łazienki. Postanowiła załatwić sprawę po swojemu. Wzięła pęsetę i zakradła się do sypialni.

Najpierw jedno ucho, potem drugie, zdecydowała. Złapała pęsetą wystający z ucha zięcia włos. Pociągnęła. Pociągnęła z całej siły.

Kurzydło spał dobrze. Nic tak nie odstresowuje, jak zamknięcie sprawy. Nagle poczuł ogień w głowie. Straszny, pierwotny ból, który rozlał się na szyję, oczy i uszy. Drażył go do wnętrza, palił rozżarzonym żelazem. Poczul, że coś usiłuje wyrwać mu mózg.

– Aaaa – wrzasnął nieprzytomnie. – Aaaaarr!

Amelia z obrzydzeniem trzymała w palcach włos. Chciała złapać drugi, ale komendant podskoczył. Nie wycelowała i wbiła pęsetę w jego policzek.

– Chyba wydułabam mu oko – jęknęła.

– Aaaaarrhhhh – wrzasnął przebudzony. – Mamusia?! – zapytał grobowym tonem. – Jeżeli to mamusia, to natychmiast wynooooocha z mojego domu! – wrzasnął, nie mogąc się opanować. Wyrwał pęsetę z policzka i poszedł zdezynfekować ranę – Mózg? Pęsetą?!

Amelia zmartwiała.

– Aż taki znowu wielki nie jest – mruknęła złośliwie. – No! Ale tego się po tobie nie spodziewałam! – odparła wyniośle i poszła się ubrać. – No nie! Do matki? Wynocha? Przecież to... Przecież... to chamstwo!

Ranny Kurzydło, kiedy tylko ochłonął, chciał ją przeprosić. W gruncie rzeczy był dość ugodowy i spokojny z zasady, ale już jej nie było. Włokąc się nogą za nogą, szła w kierunku Krwiożerczego Piotrusia. Obrazić, oczywiście się obraziła, ale przecież musiała dbać o dziecko. Nie zamierzała zostawić wychowania wnuczki komuś takiemu!

\* \* \*

– To nie był wampir, tylko Stawicki, co go Stawicki zaślachtował? Eee... – Dziuńka wiedziała już wszystko. I to wszystko wcale jej się nie podobało. – Wampir był. No nie, pani Emalio!

Amelia, jak wszyscy, siedziała w jadalni. Tym razem jako pełnoprawna mieszkanka, co bardzo ucieszyło Wierciuchową. Ale Amelia nie była zadowolona. Emanowała z niej obrażona duma.

Pod wpływem impulsu zadzwoniła do córki, chcąc wywołać u niej poczucie winy. Ten manewr zawsze działał.

– Spakuj mnie – powiedziała obrażonym tonem. – Spakuj wszystko. Moje zdjęcia też. Tobie nie będą potrzebne, bo jak widzę, rodzina nic dla ciebie nie znaczy.

Córka usiłowała ją udobruchać. Nie dała rady.

– I że ten zięć tak panią ma za nic? No, no... Niby policjant. Ale one takie som, tak, tak. A wampir był i jest. Tylko te policjanty to specjalnie ukrywajom, żeby wiecie...

– Tak, tak – wtrącił się profesor. – Oj tak, tak...

Wiolka tłukła pracowicie krasnale, a potem równie pracowicie je sklejała. Jeżeli ktoś pomyślał, że krasnale są koszarne i gorzej już nie mogą wyglądać, doznawał potwornego olśnienia po wejściu do ogródka.

– Boże, czy ta dziewczyna nie może ciszej?

– A nie może! Nie może! Galerię sztuki robimy! Nie będzie zoo, będzie galeria! Mała? A tę fontannę to dasz radę jakoś przerobić?

– Jasne, pani Wierciuchowa, jasne, że dam, ale młot pneumatyczny będzie potrzebny. I zezwolenie, bo to chyba zabytek...

– E tam, powiemy, że się przypadkiem tego... – Wierciuchowa umiała liczyć pieniądze.

Wiolka poczuła zew talentu i nie zamierzała się ograniczać. Wreszcie znalazła swoje powołanie. Tłukła, co się dało. Kleiła, jak się dało. Była w swoim żywiole. Wyprodukowała już nawet kilka ciekawych eksponatów, które bardzo zainteresowały turystów z Niemiec.

Hanka przyglądała się temu z niedowierzaniem, ale i z pewną ulgą. Wiolka nie była materiałem na detektywa. Szczurek już bardziej. Choć bardziej w tym akurat przypadku wcale nie znaczyło bardzo.

Wszyscy tkwili w okowach letniego upału, który nawet Mačka i Hankę wygonił z łóżka. Turnus powoli szykował się do wyjazdu, który miał nastąpić za dwa dni.

Dziuńka chodziła jak cień za Marceliem i doczekała się kilku rozsądnych pytań do wywiadu, choć uważała, że dziennikarz nie wywiązuje się za bardzo z obietnicy, bo co kogo obchodziło, że Dziuńka jest po czterech klasach? Po co pytał o Wieśka? Dlaczego robił jej zdjęcia w pełnym słońcu, skoro miał pokazywać ją jako wampirkę? Może nie jedyną, ale jednak pierwszą w miasteczku.

Profesor pracowicie nastawiał swoją maszynę tak, żeby nie atakowała jajek, ale nie bardzo mu to wychodziło.

– I widzicie, Teufelring – powiedział zamyślony – to jest jedyne miejsce w Polsce, gdzie kosmici mogą wylądować, ba, już nieraz wylądowali. To taki pradawny czarci krąg.



– Ale panie Kociołek, przecież taki grzybny czarci krąg to po niemiecku Hexenring, a nie Teufelring! I tam chodzi o wiedźmy, a nie o diabły – odezwał się Szczurek.

– I co z tego?! I co z tego?! Każdy by tylko krytykował i krytykował! A nikt nie pomoże! Nikt! – Profesor prawie się rozplakał, uciekając zaraz po śniadaniu do wieżyczki, gdzie ze względu na bliskość dachu czuł się jak w saunie.

Obiad był wyjątkowo dobry. Wierciuchowa wiedziała, że dwa, trzy ostatnie obiady muszą być dobre. W ten sposób zostaną w pamięci. Pierwszy obiad, zanim klient zapłacił za pobyt, był zawsze jako taki, a dwa ostatnie wręcz doskonałe. To, co pomiędzy, ludzie jakoś zapominali. I w sumie mieli szczęście.

\*\*\*

Irena pozbawiona kontroli matki zjadła wszystkie zapasy słodczy, popiła wodą z ogórków kiszonych, zwymiotowała i poszła po zakupy.

– Kochanie, spakuj mamę – poprosiła komendanta, zanim ten wyszedł do pracy. – To ty się z nią pokłóciłeś, a mnie boli głowa. I jestem słaba. Płakać mi się chce.

Kurzydło zrobiłby wszystko dla żony, szczególnie teraz, kiedy się okazało, że jest w ciąży wcale nie planowanej, za to wyczekiwanej od lat.

– Dobrze, kochanie – powiedział, wzdychając. – Co tylko zechcesz.

Pakowanie teściowej wcale nie było strasznym wyzwaniem, bo dawało nadzieję, że ona nie wróci. W każdym razie nieprędko. No i ostatnie ślady tej strasznej kobiety znikną z ich mieszkania. To nie było bez znaczenia.

Poszedł do pokoiku, w którym mieszkała, i zaczął wyciągać szuflady. Najbardziej obawiał się pakowania bielizny. Wyjął więc szufladę i wysypał jej zawartość prosto do torby. Na to zaczął układać wszelkie inne materialne ślady pobytu teściowej w ich domu.

\*\*\*

Maciek i Hanka zostali wezwani do komendy zaraz po obiedzie.

– Cholera, cholera, cholera! – pieklił się komendant. – Wyszedł za kaucją! Ten pieprzony morderca wyszedł! – wrzeszczał, jakby oni byli temu winni. – Sędzia, który rozpatrywał wniosek, uznał, że podejrzany będzie odpowiadał z wolnej stopy!

– Koszmar. Koszmar jak nic...

\*\*\*

Amelia także uczestniczyła w imprezie zapoczątkowanej przez Szczurka sześciorakiem piwa, a chętnie podjętej przez wszystkich, z Dziwnką na czele. Turnus powrócił z miasta z zapasami pamiętek i alkoholu oraz wiktuałów. Bo choć obiad był naprawdę dobry, to jednak śmierdział malizną, jak to delikatnie, acz trafnie określiła pani Basia.

Alkohol i upał powaliły wszystkich już koło dwudziestej pierwszej, ale jeszcze przez jakiś czas niedobitki i niedopitki włościły się z kąta w kąt, marudząc i szukając czegoś do wypicia.

Maciek i Hanka wraz z psem poszli nad rzekę, gdzie było nieco chłodniej.

\*\*\*

Amelia cierpiała. Ogólnie podobno cierpienie uszlachetnia, ale nie takie! Jej własna córka wyrzuciła ją z domu, to znaczy zięć, ale przecież córka mu się nie postawiła! Jej własna córka niewdzięcznica! I to kiedy? Teraz, kiedy jej rady byłyby jej najbardziej potrzebne, teraz, kiedy... No bo przecież ciąży...

To było straszne. Amelia żałowała, że uniosła się honorem i wyprowadziła. Żałowała tego bardzo, o wiele łatwiej jest wybuchnąć płaczem i dać się przeprosić, niż wracać z wygnania, gdzie nikt jakoś nie odwiedził jej jeszcze ze łzami w oczach i z kwiatami...

I być może nie odwiedzi.

Zasnęła zmęczona, zmartwiona i nieszczęśliwa. Śnił jej się ciężki poród.

Jej własny do ciężkich nie należał, bo miała cesarkę przeprowadzoną ze względów medycznych, ale widziała w telewizji, jak to się odbywa normalnie. Śniło jej się istne porodowe szaleństwo! Krzyki, jęki, pokoty zemdlonych mężów, buczenie rozbitych, ale wciąż jeszcze nagrywających kamer, trzaski fleszy, tupot oszalałych pielęgniarek i metaliczny szczełk narzędzi chirurgicznych oraz włosy łonowe zięcia, które wiły się po korytarzu niczym węże.

Obudziła się. Buczenie trwało nadal. Profesor! Buczenie musiało wiązać się z profesorem i mogło oznaczać dwie katastrofy. Pierwszą była realna możliwość wylądowania kosmitów, którzy wkurzeni tymi nocnymi wrzaskami przylecą, żeby mu porządnie dokopać, drugą to, że Irenka zacznie rodzić.

Irenka oczywiście była daleko, a do porodu miała jeszcze około sześciu miesięcy, ale Amelia postanowiła dmuchać na zimne.

– Niewdzięczna córko! Uratuję cię! – jęknęła półprzytomnie i postanowiła sama w zastępstwie kosmitów dokopać profesorowi. Chciała dokopać i jemu, i jego maszynie, tak, aby albo jedno, albo drugie przestało działać.

Noc po upalnym dniu była koszmarnie parna, a niebo zasnuło się burzowymi chmurami. Na szczęście jeszcze nie grzmiało, za to wiał porywisty wiatr. Wiatr nocą bywa sugestywny. Jego poddmuchy, postukiwania, szelesty i porywy czasami przypominają dziwaczne szepty, zmieniają się w głosy, szemrania, jęki.

Amelia wyszła z pokoju.

– Teraz. Teraz – zaszeptano tuż za nią.

Zniecierpliwiona poprawiła włosy i szerokim gestem zarzuciła na ramiona chustkę, którą wzięła zamiast podomki. Coś jęknęło.

Amelia odwróciła się, zawróciła do pokoju, chciała wziąć parasolkę, którą walczyłyby się łatwiej, ale przypomniała sobie, że jej nie ma. Zamaszyście zamknęła drzwi.

– Ojjjjj – stęknęło tuż za nią.

Z daleka dobiegł jej uszu pomruk wichru i jęk syreny.

– Wozi się – warknęła. – Zięć... Na sygnale się wozi, a mnie to rzeczy nie łaska było przywieźć. Wredny mały sukinsyn!

Skierowała się ku wieżycze i pokonała kilka schodów, kiedy poczuła, że coś ją łapie za nogę.

– Znów się zaczepiłam. Cholerna koszula nocna... – sapnęła.

Z braku piżamy Amelia spała w pożyczonej od babci Marylki koszuli nocnej. Tak jak i babcia Marylka, koszula była obszerna. Byłaby w stanie pomieścić nie tylko Amelię, ale i trzy inne osoby, dlatego strasznie płątała się kobiecie pomiędzy nogami.

Amelia szarpnęła z całej siły. Coś znów jęknęło. Dałaby sobie głowę uciąć, że usłyszała huk.

– Otwierać! – wrzasnęła przy drzwiach profesora, waląc w nie pięściami. – Otwierać!

Znów usłyszała huk. Coś spadło na nią jak jakiś jastrząb. Waląc rękoma niczym cepami, zdołała zlikwidować to coś, co z oczywistych powodów jastrzębiem być nie mogło, ale wyrośniętym nietoperzem-wampirem jak najbardziej.

– O Boże!

Otworzyły się drzwi. Pchnięte mocno przez profesora, zepchnęły Amelię na półpiętro. Uderzyła głową o schodek. Jeden, drugi, trzeci...

Usłyszała wycie wampira. Jego jęk był zdecydowanie przejmujący.

– Panie Kociołek! Panie Kociołek, pan przestanie! To boli.

– Jeszcze raz! – krzyknął profesor, a jego głos wydał jej się bardzo piskliwy. – Jeszcze raz. Wal! Wal! Na dole schodów pojawił się Stawicki. Był niewyraźny.

– Morderca! On mnie zabije... – krzyknęła Amelia.

– Jezus, kiedy on sam ledwie żywy – mruknęła Dziuniąka. – Przecie leży.

– Wal! Wal!

W tym momencie ktoś wyraźnie posłuchał polecenia, bo od drzwi wejściowych rozległo się walenie.

– Tędy, szybciej – zawołał ktoś inny, przeciskając się przez okno. – Tędy!

– Kiedy nie mogę! Noga mi utknęła na tej cholernej krowie...

– Rozwał ją!

– Wierciuchowa mnie zabije.

– Niech robi, co chce! Tam zaraz stanie się coś złego. Łap. Natychmiast.

Bałagan, jaki powstał, dało się opisać tylko jednym słowem. To był chaos. Nic więcej, nic mniej. Wszędzie widać było jakichś ludzi. Część z nich padła, część stała, część krwawiła.

Amelia leżała na schodach odrobinę poturbowana, na niej leżały drzwi i profesor. W drzwiach tkwiła siekiera.

U stóp schodów leżał nieprzytomny Stawicki.

Hanka podtrzymywała Dziuniąkę, która cierpiała jedynie na kaca, ale za to bardzo malowniczo.

Komendant wyciągnął teściową spod profesora.

– Wyłącz pan to buczydło, bo zaraz oszaleję! – rozkazał.

W kącie przy drzwiach, trzymając się za ręce, stali Emma i Pit w kajdankach.

– Jezuuuuu! – Wierciuchowa prawie splunęła na ich widok. – Jezuu! Pieprzone zboki!

– Zboki? A tak, tak – mruknął komendant, po czym uśmiechnął się, a jego uśmiech przypominał nieco obłąkańczy grymas. – Drodzy państwo – oznajmił – nie ma żadnych wampirów!

Wszyscy zadrżeli z wrażenia, zastanawiając się, czy wzywać pogotowie do komendanta, czy tylko do jego teściowej.

– Jasne, jasne... – obruszył się Marcel. – Komendant usiądzie, wody się napije... I że niby ten nalot, jak na jaskinię rozpusty, to z powodu braku wampirów? Czy znów się pieprzyli w krzakach? – Wskazał wzrokiem na Emmę i Pita.

– Jaki nalot? – zapytał zdziwiony komendant. Popatrzył dookoła siebie. – Aaa, to – mruknął. – To nie my.

Stan komendanta zaczynał budzić poważne obawy. Nalot był. I był to ewidentnie nalot policyjny ze wszystkimi koniecznymi atrybutami. Syrena, wrzaski, wywalone drzwi, rany cięte i tłuczone oraz duża liczba przypadkowych ofiar.

Wszyscy, mniej lub bardziej trzymając się na nogach, wylegli z pokoi i poszli za komendantem do jadalni.

– Nie ma wampirów...

– Jasne, jasne, nie ma... – jęknął Marcel.

– No nie ma. Ten, jak to plotkarze nazwali, pochówek wampiryczny to było zwykle morderstwo! – powiedział Kurzydło takim tonem, jakby morderstwo było czymś tak banalnym, jak jajko na miękko. – Otóż dwadzieścia lat temu przyjechał tu pewien człowiek i kupił pałacyk w Kotłęcinie.

– Ten Stawicki, co mówili, że go ten drugi Stawicki zabił – stwierdziła dobrze poinformowana Dziuniąka. – Ten, co tam leży i wierzga?

– Otóż nie. Ten, który wierzga, to Klap. Mamusiu, niech mamusia spojrzy – zwrócił się do Amelii.

– Mowy nie ma! – ryknęła Amelia. – Nie będę słuchać niewdzięczników!

– Ależ ja proszę! – Kurzydło podsunął jej pod nos zdjęcie. Spojrzała. Spodziewała się zobaczyć na nim coś bardziej zaskakującego niż samą siebie na przedartym zdjęciu ślubnym. – Szyja! Niech mamusia spojrzy na szyję.

Amelia popatrzyła i rozpląkała się rzewnymi łzami. Fakt, od ślubu minęło trochę czasu. Kiedyś miała piękną gładką szyję, nie to, co teraz.

– O co ci chodzi? Że operację powinnam sobie zafundować? Tak? – wychlipała zrozpaczona. – Że niby żaden wampir mnie nie tknie? O to chodzi?

Kurzydło prawie się zagotował.

– Nie! Chodzi o to, co mamusia ma na szyi!

– Zmaaaarszczki?!

– Krzyżyk – powiedział, dając za wygraną, po czym położył przed kobietą srebrny krzyżyk znaleziony w błotnej dziurze. Zdjęcie znalazł w szufladzie, pakując rzeczy teściowej. Przypomniał sobie wtedy, dlaczego krzyżyk wydał mu się znajomy. – Trzeba zrobić badania genetyczne...

– Boże, Waldemar! Znaleźliście tego złodzieja Waldemara?! Gdzie jest ten szubrawiec?! Gdzie on jest?! – krzyknęła wściekle Amelia, zaciskając pięści.

– W tej chwili w laboratorium.

– Niech ja go tylko dopadnę! Wszystkie pieniądze! Zabrał szubrawiec...

– On nie żyje. Został zamordowany dwadzieścia lat temu.

Amelia zamarła. Owszem, życzyła mu śmierci, najlepiej strasznej, ale jak dotąd jej życzenia jakoś się nie spełniały.

– Pani Amelio – wtrąciła się Hanka. – Pani Amelio, pani mąż Waldemar przyjechał tutaj dwadzieścia lat temu i kupił pałacyk w Kotłęczynie. Niestety, zaraz potem został zamordowany.

– Stawicki?! – wrzasnęła Amelia i jak tur ruszyła do walki. Powstrzymało ją dwóch funkcjonariuszy.

– Ależ nie. To nie on go zabił. Waldemar Prokopiec przyjechał tu z kimś ze swojej rodziny, z przyrodnim bratem. Miał dużo gotówki, bał się z tym podróżować sam. Kupił pałacyk i na wszelki wypadek podpisał bratu, przyrodniemu, dodajmy, pełnomocnictwo. A tamten go zadźgał i zakopał.

– Rozumiem, ale co z tym pochówkiem wampirycznym?

– Problem polegał na tym, że grób okazał się za mały i dlatego odcięto mu głowę. Plotka oczywiście zrobiła swoje. Brat zatrudnił Stawickiego... Ukradł dla niego tożsamość faceta, który wyjechał do Stanów. Niestety ten nowy Stawicki po dwudziestu latach zapragnął się usamodzielnić i ożenić. Nie miał grosza, więc wybrał biuro matrymonialne, a w nim znalazł „bogaczkę” Wierciuchową. Tam przez przypadek Stawickiego zobaczyły pani Sara Dupont i pani Kowalska, która dwadzieścia lat wcześniej mieszkała w Zagubinie. Ona wiedziała, że Stawicki nie jest właścicielem, ponieważ wiedziała też, kto powinien nim być. Znała Waldemara. Uciekła się więc do szantażu. Liczyła na pieniądze, ale przeliczyła się. Została zamordowana, a jej zwłoki podziabano tak, aby wyglądały na ofiarę wampira.

– A ta druga?

– Pomagała jej. Pracowała w pałacyku. Pośredniczyła w przekazywaniu żądań.

– A ja? Po co mnie ktoś chciał zamordować? Ja nikogo nie szantażowałam!

– Tak, ale mamusia dziedziczy pałacyk. To proste. Morderca chciał zabić i mamusię, i Irenę, moją żonę, bo wtedy stałby się prawnie właścicielem. Dostaliśmy wszystkie papiery. Waldemar Prokopiec podpisał upoważnienie, ale dość ograniczone. Nie mogli tego sprzedać.

– Nie mogli? Kto?

– Ano tak, przedstawiam wam Emmę i Pita, czyli Ewelinę i Piotra, przyrodnie rodzeństwo Waldemara Prokopca.

– Rodzeństwo?! Jezus, Maria! – Wierciuchowa przeżegnała się trzy razy. – A oni ten seks, z tym seksem, ciągle seks i seks... Toż to zбочzone!

– Ależ nie! Oni tylko udawali, żeby móc bez zbędnych pytań zniknąć i robić swoje.

– A krowa?

– Musieli ją wysadzić. Bali się znalezienia krzyżyka. To był jedyny ślad, który mógł powiązać szkielet z pałacym.

– Czyli on nie był szubrawcem? O, ja nieszczęśliwa, a tak go wyzywałam! – jęknęła Amelia – Z piekła nie wyjdę! – Nagle coś przyszło jej do głowy, więc dodała: – Czyli tak jakby...

– Tak. Jest pani, a raczej po wszystkich formalnościach będzie pani właścicielką pałacu w Kotlęcinnie i całkiem okazałych sum.

– Pałacyk? Czyli? Znaczy...

Będę panią na Kotlęcinnie! Wrzasnęła jej dusza i zaczęła już szykować się do życiowych zmian. Zmiany jawiły się jej w falbankach, koronkach i w różowym kolorze.

– Nie wierzę – sapnęła Wierciuchowa. – A koza? Sama widziałam, jak się tam z tą kozą tarmosili! To musiał być seks! Oni są zbrodni!

– To pani jest zbrodnia – warknęła Emma. – Zbroczo-na! Seks i seks. To była zmyłka! Prosta, zwykła zmyłka! Walnęliśmy w łeb tę wariatkę, to co było robić? Musieliśmy się jakoś ukryć, a gdzie lepiej niż na widoku?

– Ale po co było...

– Kretynka! – warknęła Emma. – Jak to po co?! Jezuuu, na wszystkim oszczędza, a nie wie, po co?! Dla pieniędzy!

– Panią Basię? Dla pieniędzy?

– A tam zaraz panią Basię. To miała być ta druga... Ta, co chciała Stawickiego do sądu o pieniądze podawać. Przecież wszystko by się wydało!

Amelia siedziała i obserwowała wszystkich jak zamurowana. Nie mogła zrozumieć, co się z nią dzieje. Nagle jakby odmłodziła, wypiękniła, wyprostowała się.

Wierciuchowa była niepocieszona.

– Żadnych wampirów? A te trzy groby?

– Kilku przedsiębiorczych zagubiniów chciało trochę ożywić sprawę z wampirami. Wykopali trzy szkielety... Resztę znie!

– Nie. A ta bomba? Ta, co nie była żywnościowa?

– Zamówili ją u jakiegoś tutejszego idioty. Na szczęście. Nazywał się Remigiusz Norek. Siostrzeniec mojej sprzątaczkę, ale nie mogę go zamknąć, bo jest w szpitalu psychiatrycznym. Coś mu się porobiło. Twierdzi, że napadła go jakaś kosmiczna istota i chciała go zgwałcić. No, ale na szczęście w Zagubinie nie ma już wampirów.

– Nie ma wampirów? – jęknęła Dziunia. – Nie ma wampirów?

Amelia uśmiechnęła się z wyższością.

– Nie ma, ale będą! Mianuję panią oficjalnym wampirem Kotlęcina – powiedziała tonem wielkiej pani. – To będzie nie lada atrakcja. No i pana stąd zabieram, profesorze. Wybuduję panu wieżę i będzie pan prowadził badania przez cały rok! Tak. Irenka i dziecko oczywiście zamieszkają ze mną... Ty też, kochany – dodała, patrząc łaskawie na komendanta. W tej chwili jakoś przestał jej przeszkadzać. A wy, młodzi, zatrudnicie się u mnie... Pani, pani Hanko, będzie moim detektywem hotelowym, a pan...

– A ja nie mam najmniejszego zamiaru zwalniać się z policji! – warknął Maciek.

– Oj dobra, dobra – obruszyła się pani na Kotlęcinnie. – Jak nie, to nie.

– Pikasicę też zabieramy? – zapytała zaciekawiona Dziunia.

– Mowy nie ma – wrzasnęła Wierciuchowa. – Ja ją odkryłam! Ona mnie fontannę już zaczęła uzdatniać! Jeszcze trochę przy środku i będzie można ją na powrót kleić! To będzie rzeźba, jakiej nikt jeszcze nie widział!

Profesor poszedł wyłączyć buczydło. Najpierw usiłował usunąć wywalone drzwi, ale nie był w stanie, bo to były porządne, ciężkie drewniane drzwi. Przez chwilę mordował się z nimi, a w końcu wsunął się pod nie, żeby przedostać się do pokoju. Zgięty w pół przesunął się do pomieszczenia, ale zahaczył rękawem o klamkę i drzwi z łomotem wpadły do pomieszczenia, uderzając w wał od glebogryzarki. Wał spadł na jedną z mikrofalówek, która, spadając na podłogę, pociągnęła za sobą jakiś kabel. Ten zaś pociągnął kajdanki, a one z kolei noże. Coś zawył przeciągłym, długim jękiem potępieńca, wybuchło falą mechanicznego wrzasku i łomotu.

– O ja pierdziele... Co on tam robi? – jęknęła Wioletka.

Odpowiedziało jej makabryczne iuuuuuuuuliiiiuuu jakiegoś kosmicznego sprzężenia, aż wszyscy skrzywili się z bólu.

– Panie Kociołek! – wrzasnęła Wierciuchowa.

– Już, już – odpowiedział pospiesznie profesor z góry. – Ja tylko ten, ciklotronian...

Zatrzęsła się ziemia, a potem nastąpiła cisza przerywana jakimś gulgotem.

– Nareszcie spokój – powiedział komendant.

Zza okna dobiegał ich początkowo cichy, potem jakby głośniejszy gulgot. Następnie zagrzmiąło.

– Burza? – zdziwiła się Hanka, wtulając się w Maćka. Co prawda burzy się nie bała, ale każdy pretekst do przytulania jest dobry. Byli na etapie Misia i Koteczka. Mieli nadzieję, że wkrótce przejdą do Dziubdzusia i Dziubeńki, ale nigdy nie dotrą do Starej Zołzy i Debilnego Palanta.

– Nie... Chociaż? Kto wie.

Gulgot się powtórzył, ziemia znów się zatrzęsła. Coś chrobotnęło i huknęło tak głośno, że aż się skulili.

– A jednak pada – powiedział Wierciuchowa, słysząc krople spadające na dach. Musiały być wielkie.

Ciap, ciap, ciap... Dudniło o dach, okna i wszelkie inne powierzchnie. Po chwili usłyszeli pomniejsze stuki.

Z brzękiem wyleciało kilka szyb.

– Grad? – zdziwiła się Amelia.

– Nie. Fontanna – odpowiedział Kurzydło, wyglądając na zewnątrz przez rozbite okno. Zamiast fontanny ziała w tym miejscu wielka dziura, a z niej z chlupotem i gulgotem strzelała z ziemi czarna struga wody z błotem.

Dookoła wałały się kości.

Białe, większe i mniejsze, w ilościach zaskakujących.

– Wampiry! – ucieszyła się Dziunia. – Są wampiry!

Znów coś lupnęło. Do jadalni przez okno z hukiem wleciała czaszka.

– Wampiry! – ucieszyła się Wierciuchowa. – Dzięki Bogu! Nie zginiemy!

– To nie wampiry, tylko jakiś niewypał – wrzasnął komendant, ale nikt go nie słuchał. – Coś wybuchło! Przestańcie gadać głupoty, coś wybuchło i rozwalilo rury pod fontanną. Kości to...

Nikt nie chciał go słuchać. Nie było sensu. Głos rozsądku to najczęściej ignorowany głos na świecie.

Zresztą nie bardzo było komu go słuchać. Wierciuchowa potrzebowała wampirów jak kania dżdżu, zaś Amelia tonęła w różowej mgielce marzeń i zastanawiał się, czy posiadanie pałacu automatycznie czyni ją arystokratką. Dziunia chciała być naczelnym wampirem, ale co to za naczelnny wampir, kiedy jest jedyny. Posiadanie pobratymców, nawet martwych, bardzo jej odpowiadało. Wioletka też potrzebowała wampirów, bo jej sztuka, a raczej jej sprzedaż wymagała turystów.

W sumie cały Zagubin potrzebował wampirów.

Hanka i Maciek nie potrzebowali nikogo i niczego, oprócz odrobiny przestrzeni i dużej ilości środków ochrony... hm, z pewnością nie roślin.

Nazajutrz w sklepach i na bazarku znów pojawiły się nowe dostawy akcesoriów anty-wampirycznych. Ludzie znów zaczęli się przyjemnie bać. Zagubin odetchnął z ulgą. Wampiry oznaczały zarobek, a zarobek oznaczał inwestycje, zaś inwestycje oznaczały lepsze życie.

Wiesiek schował trumnę w piwnicy na zaś. Przyda się na kolejną Wampiriadę.

Wierciuchowa umówiła się ze Stawickim.

Marika wpadła w szał i wywaliła Hankę na zbity pysk. Szczurek awansował.

Profesor został w wieżycze. Wierciuchowa sama dostarczyła mu sprzętów do odbudowy maszynerii. Wraz ze Stawickim, który nie miał się gdzie podziać, a więc zajął sypialnię właścicielki pensjonatu, zdjęli tabliczkę z Zakazem Uprawiania Seksu.

Marika zemdlła, gdy tylko się o tym dowiedziała. Wszyscy oprócz niej wierzyli, że wampiry to świetlana przyszłość miasteczka. Jak się okazało, tylko Marika miała rację. To, co się stało potem, było o wiele straszniejsze, ale, to fakt, dało się na tym całkiem nieźle zarobić.

A może wcale nie trzeba było oddawać tych kości do analizy? Niestety Kurzydło był służbistą.